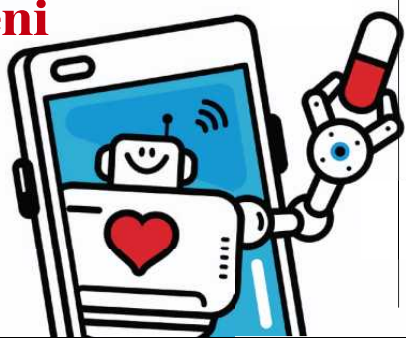


**Wielu zamieni
lekarza
na czatbota.**

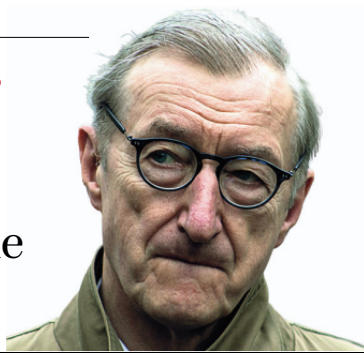
Taniej
i milej
►4



MAGAZYN KSIĄŻKI

Julian Barnes

kończy
z powieściami
i radzi: Nie ufajcie
swojej pamięci



WYSOKIE OBCASY

**Nie oczekuję
wdzięczności
od zwierząt**



FOT. GETTY IMAGES, WIKIMEDIA COMMONS, ANDRZEJ SKOWRON

MAGAZYN



wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

DOBROMIR
DYMECKI:

Sam robiłem z siebie chłopca pańszczyźnianego

►30

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydawnictwo
wyborcza
Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



**Ostatnie
Pokolenie**
Jedyni rozsądni
czy terroryści? ►14

**Nowy
podział świata**
A co z nami?
►18

**Od „Stranger Things”
do „Hamneta”**
Turzańska czeka
na Oscara ►25

**Ciało
mężczyzny**
po pięćdzie-
siątce ►28

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Sobota – czwartek, 31 stycznia – 5 lutego 2026 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 25.11124, 1

Nakład 75 tys. + 317 tys. prenumerat cyfrowych

Agnieszka
Kublik

Duda doradzi i Trumpowi, i tobie

Adrzej Duda, były prezydent, dostał właśnie posadę „wizytującego eksperta” w Heritage Foundation. To amerykańska, ultrakonserwatywna instytucja wspierająca Donalda Trumpa i jego ruch MAGA. Wedle fundacji, Duda ma się zajmować „kwestiami bezpieczeństwa transatlantyckiego, potencjałem obronnym Europy, problematyką wytrzymałości demokracji oraz rekomendacji dla przyszłych przywódców ruchów konserwatywnych w Europie”. A także budować „nową Europę”. Duda już oznajmił, że „jest zaszczycony” i że podzieli się „doświadczeniem”.

Istotnie, ma doświadczenie z testowaniem wytrzymałości demokracji. Trumpistom może się podobać np. to, że ulaskawił nieskazyanych prawomocnie, bliskich sobie ideowo urzędników albo, że nie zaprzysiągł sędziów Trybunału Konstytucyjnego powołanych legalnie, a zaprzysiągł wybranych nielegalnie. To bardzo w stylu Trumpa.

Zdumiewająco brzmi radość

Dudy z tego, że ma trumpistom pomagać w budowaniu „nowej Europy”. Bo przecież nie o budowanie tu chodzi, a o rozwalanie i narzucanie Europejczykom stylu Trumpa.

Bo przecież w trumpowej strategii bezpieczeństwa narodowego jest zapowiedź końca prawdziwej Europy. Demokracja liberalna jest zagrożeniem dla trumpistów, dlatego ich celem jest „pomoc Europie

w skorygowaniu obecnej trajektorii”. Jaka pomoc? Porwanie przywódcy? Czy raczej skończy się na wspieraniu na Węgrzech, w Polsce, we Włoszech czy w Austrii sił nieliberalnych, skrajnie prawicowych w wyjściu z Unii Europejskiej?

Dzisiejsza Unia dla Trumpa to jeden z najbardziej istotnych ... rywali, ba, nawet wrogów.

Duda się w tych wszystkich ideach zapewne świetnie odnajdzie. I będzie krzychał na cały świat: „To ja! To ja! To ja! Pracuję dla Trumpa! To ja rozwalam dla Trumpa Unię Europejską!”

Swoją drogę, Duda po prezydenturze postanowił zarabiać w dziwnych miejscach. Bo wcześniej ogłosił, że zasiądzie w radzie nadzorczej jednej z firm dealujących kryptowalutą. To prywatna firma ZEN.com, która zajmuje się innowacjami w finansach i przyjmuje na konta użytkowników trzynastą różnych kryptowalut.

Duda zarabiał i w Kanale Zero – od września do grudnia cyklicznie opowiadał głównie o sobie. Miał średnio 15 – 50 tys. wyświetleń, rekord to 266 tys., gdy komentował atak rosyjskich dronów.

Wreszcie razem z żoną założyli spółkę PAAD. Mają się zajmować się doradztwem. Wszelakim, bo chcą doradzać i w sprawie „strategii i organizacji, zarówno w zakresie zarządzania, i działalności marketingowej” a także „badań rynku i opinii publicznej”, czy „wynajmu i zarządzania nieruchomościami”.

Oby tylko doradzali w duchu trumpizmu. Bo stracą amerykańskie zaszczyty. ●

Andrzej rysuje



Maturzyści „Zemsta” ich prowadzi



Na wrocławskim Rynku maturzyści zebrali się – jak co rok od 25 lat – by wziąć udział w Polonezie dla Fredry. Mówią, że kto zatańczy poloneza na Rynku, może liczyć na szczęście na maturze. 28 stycznia 2026 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba tygodnia

4

• państwa w Unii Europejskiej nie zalegalizowały związków partnerskich. To Słowacja, Rumunia, Bułgaria. I Polska.

Pozory mylą Co się krowie śni

„Ty głupia krowo!” to popularna obelga kierowana pod adresem kobiet. Jak każde tego rodzaju określenie jest wstrętne, a mnie szczególnie drażnią te inwektywy, które powielają stereotypy na temat zwierząt. W tym przypadku jest to przekonanie, że krowy nie są zbyt „lotne”.

Warto poznać Veronikę, o której pisałem w „Wyborczej”. Ta krowa zaczęła spontanicznie podnosić patyki i używać ich do... drapania się. Zafrapowani naukowcy podsunęli Veronice szczotkę – szczeciniastym końcem szczotki drapała się po twardym grzbiecie, a gładkim, drewnianym końcem smyrała się po miękkim podbrzuszu.

Dotąd nikt nie spodziewał się, że krowy – i to same z siebie – są zdolne do używania narzędzi.

Ale mit krowy jako tępego trawożericy zaczął się kruszyć wcześniej. Kilka lat temu naukowcy pokazali, że krowy można nauczyć korzystania z toalety.

Badacze z Uniwersytetu w Auckland zbudowali latrynę i nagradzali cielęta przysmakami, gdy te z niej korzystały. Potem podnieśli poziom trudności, przenosząc cielęta dalej od latryny i wprowadzając łagodną karę – polewanie strumieniem zimnej wody, gdy załatwiały się poza toaletą.

Większość cieląt korzystała z latryny, gdy już ich za to nie nagradzano.



I nauczyły się tego szybciej niż ludzkie dzieci używania nocnika, w kilka tygodni.

Po co uczono krowy korzystania z toalet? Oddawanie przez nie moczu gdziekolwiek w dużych hodowlach to problem dla środowiska. Mocz i kał krów mieszają się, tworząc amoniak, a ten, po wypłukaniu go do gleby, przekształca się w podtlenek azotu, gaz cieplarniany przyczyniający się do globalnego ocieplenia. Poza tym, nagromadzenie odchodów nie jest zdrowe dla samych zwierząt.

Tymczasem większość krów żyje właśnie w takich przemysłowych hodowlach. I może właśnie dlatego wygodniej nam postrzegać krowy jako głupie? Krowy, które używają narzędzi i uczą się szybciej niż dzieci są zbyt podobne do nas. Takie trudniej zjadać i eksploatować. ●

Robert Jurszo

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Byłam zakonnicą, molestował mnie biskup

Wziął mnie na kolana, przytulał, jeździł dłońmi po moim ciele, zwłaszcza piersiach. Słyszałam o wielu molestowanych zakonnicach.



Nie sądziłem, że może przerazić mnie widok džinsów i adidasów

dopóki nie zobaczyłem agenta ICE

Leniarski



Zdjęcie zamaskowanego agenta ICE przykuwa uwagę. Powiększam je, przesuwam w ramce, jakbym szukał charakterystycznych detali w budowie rzadkiego owada, tylko że ten gatunek stał się nierzadki. Pojawia się na zdjęciach z wielu miejsc Minnesoty, będącej obiektem Operacji Metro Surge, zwalczania nieudokumentowanej imigracji.

Mężczyzna w džinsach i adidasach stoi w rozkroku. Ma lekko ugięte kolana. Na twarzy maska przeciwgazowa. Naprężona sylwetka mówi, że jest pewny siebie. Składa się do strzału granatnikiem gazowym, jak asyryjski wojownik napinający łuk. Granatnik wypływa z ogniem i dymem pocisk. Leci w kierunku Babilonu.

Do Minneapolis przybyło ponad 3000 agentów ICE (Immigration and Customs Enforcement) i Border Patrol.

Scena została sfotografowana przez Reutersa podczas protestów po zastrzeleniu pielęgniarza Alexa Pretti przez agentów Border Patrol, współpracujących z ICE. Kilka dni wcześniej agencji ICE zastrzelili w tym samym mieście Renee Good. Do Good i Pretti agencji strzelili 11 razy. Oboje nie stanowili zagrożenia, nie mieli przy sobie broni, nie byli notowani, byli aktywnymi i wrażliwymi obywatelami.

Poruszony, patrząc na zdjęcie, zastanawiam się, dlaczego agencji Trumpa przeprowadzają patrole w džinsach i adidasach, w balaganiarskich moro, w maskach na twarzy, czasem z wzorem trupiej czaszki. Wniosek jest ponury. W przyzwoleniu na noszenie przez brutalną służbę normalnych ciuchów, takich jakie nosimy my – ty i ja – jest zamysł.

Oni na wszystko mają przepisy. Dyrektywa 01-26 ICE i IHSC, czyli ICE Health Service Corps, mówi o perfumach, wodzie kolońskiej, wodzie po goleniu, żeby agent się nienadmiernie skrapiał przed i w czasie pełnienia obowiązków – punkt 4-3.10 – ale o džinsach i adidasach nic nie napisano.

Prezydent Donald Trump uczynił z ICE największą agencję federalną; ochrona przed nieudokumentowaną i nielegalną imigracją ma 170 miliardów budżet do 2029 r. I nie mają mundurów.

Wiadomo, agencji FBI czy CIA oczywiście też nie noszą mundurów. Różnica jest taka, że ci z CIA i FBI nie patrolują miast z bronią w ręku. Podobieństwo jest takie, że z różnych powodów chcą pozostać anonimowi – ci od ICE z obawy przed zemstą, rewanzem, upublicznieniem nazwiska.

Czyli zamysł polega nie na tym, żeby obywatele mieli respekt dla władzy reprezentowanej tutaj przez agencję, gdyż władza strzeże wspólnego porządku, ale na tym, żeby jej się bali, żeby byli przerażeni. Żeby mieli przekonanie, że agencji są wszędzie, wiedzą wszystko, na wszystko ich stać, że są bezkarni. Że ty jesteś bezradny w konfrontacji z władzą i nie



• Agent ICE strzela w kierunku protestujących po zastrzeleniu przez agentów Border Patrol pielęgniarza Alexa Pretti, Minneapolis, 24 stycznia 2026 r.

masz żadnego ratunku przed ich brutalnością.

Dlaczego? Dlatego, że ktoś najwyższy dał im przyzwolenie, Donald Trump, a jedynym ograniczeniem dla nich jest jego moralność, tak powiedział. My wiemy, że jego moralność jest cholernie niska i elastyczna, dla niego zamachowcy z 6 stycznia są miłującymi pokój, a Good i Pretti – terrorystami.

Agencji ICE nie mają kamer na kamizelkach kuloodpornych jak policjanci. Często nie mają na sobie znaków identyfikacji, kim są, skąd są. Nie przedstawiają się. – Agent ICE – oznajmiam, kiedy chcą.

Normalnie przechodzili procedurę sprawdzającą, zanim zostaną zatrudnieni i wyjdą na akcję. Historia przysłego agenta ICE była prześwietlana na dzień się lat wstecz. Ale nie teraz. Teraz wskazany jest pośpiech przy rekrutacji. Personel wzrósł o 10 tysięcy, żeby sprostać zadaniu masowych deportacji narzuconym przez Trumpa i jego żelazną gwardię.

Amerykańskie media alarmują: przez sito zgrubnej selekcji przelatują osoby o kryminalnej przeszłości. Poniewczasie zorientowano się, że jeden rekrut był skazany za napad z bronią w rękę, inny ma sprawę o przemoc domową.

Podczas sześciotygodniowego kursu w ośrodku treningowym ICE w Brunswicku nie pobrano od rekrutów odcisków palców, więc nie można było sprawdzić, czy nie mają w kartotece wyroków. Przypadki niedopełnienia procedur rekrutacyjnych, istniejących od powołania agencji w 2001 r., szły w setki.

Do ICE przepływali funkcjonariusze innych służb, policjanci, celnicy, których dotąd ograniczały surowe przepisy zapobiegające nadużyciom władzy. Tu ich nie mają, władza broni każdej akcji ICE, nawet najbardziej brutalnej, nawet zakończonej niewinną śmiercią.

Po śmierci Pretti ICE zatrzymała kilkadziesiąt osób, świadków, i przetrzymywała ich kilka godzin, bez przesłuchania, bez postawienia zarzutów. Po prostu. Prokuratura i policja stanowa wciąż nie mają dostępu do miejsca śmierci Good, żeby przeprowadzić tam rzetelne dochodzenie.

Mam złowrogie skojarzenia. Boje się nawet myśleć, gdzie mnie prowadzą, w jakie czarne rewiry. Amerykanie się nie boją, sporo piszą, sporo mówią, jak na przykład

Tim Walz, gubernator Minnesoty. Dla nich porównania sposobu działania ICE i CBP z Gestapo czy SA nie są tabu.

17 lutego 1933 r. – Adolf Hitler został kanclerzem 18 dni wcześniej – Hermann Göring za pomocą jednego dekretu awansował dziesiątki tysięcy mężczyzn z SA i SS – dotychczas paramilitarnych oddziałów NSDAP – do rangi policjantów pomocniczych. Z dnia na dzień zbiry stały się opłacanymi funkcjonariuszami państwowymi, z bronią za pasem, z prawem dokonywania aresztowań we współpracy z regularną policją. I nie wahali się używać nowych uprawnień wydanych przez Uber-zbira. Pięć miesięcy później SA wydał dekret dyscyplinujący, w którym Ernst Röhm określa, ile warta jest śmierć szturmowca w zabitych przeciwnikach. SA chciało, żeby brutalne incydenty z udziałem nowych policjantów pomocniczych były rozpatrywane w specjalnych trybunałach dyscyplinarnych SA, a nie przez sądy powszechne.

Jeśli twierdzą, że ofiary przemocy są same sobie winne, jeśli z ręką na kolbie pistoletu mówią: „Dokumenty proszę”, to mi się odpala czerwony, pulsujący alarm

Heinrich Schöne, jeden z dowódców SA, uznał, że zabroni swoim ludziom stawiania się w sądzie. Powiedział, że „nawet jeśli sądy formalnie miały rację, ostatecznie to SA doprowadziła do rewolucji narodowej. Nawet jeśli doszło do przewrótów, SA-mani muszą zostać ulaskawieni. Jeśli będziemy postępować zgodnie z literą prawa, doprowadzi to do sentymentalnego humanitaryzmu, który może mieć najpoważniejsze konsekwencje”.

Co prawda NSDAP nigdy nie doprowadziła do wyłączeń karnych dla SA, ale ich regionalni przywódcy wielokrotnie grozili przemocą fizyczną i zakończeniem kariery prokuratorom, którzy odważyli się wszcząć postępowanie przeciwko szturmowcom.

Dzięki temu bojówkarze, którzy stali się funkcjonariuszami państwowymi, we własnym kraju, we własnym mie-

ście chodzili od drzwi do drzwi szukając swoich wrogów i wrogów władzy, zatrzymywali przypadkowych obywateli na ulicach żądając dowodu, w którym zapisywane były wyznanie i rasa, Żydów, Romów, Sinti, komunistów, lewaków, przeciwników ideologicznych władzy.

Później do pracy włączyło się Gestapo utworzone w kwietniu 1933 r. – ludzie wyglądający tak jak inni, w zwykłych ubraniach, niczym się nie wyróżniający, powiedzielibyśmy tajniacy, ale nie, to inaczej. Po prostu nie mieli mundurów, gdy wykonywali brudne zadania. Przekonanie o ich wszechwładzy i brutalności było w Niemczech Hitlera powszechne.

W Minneapolis agencji ICE zatrzymują przypadkowych mieszkańców na ulicach i żądają od nich dokumentów – dowodu na brak konfliktu z władzą. W sumie od 20 stycznia 2025 r., dnia zaprziesięcia Trumpa na prezydenta, doszło do 28 strzelanin z udziałem agentów ICE lub CBP, w których zginęło osiem osób.

Co znaczące, od lipca 2025 kilkanaście przypadków dotyczyło strzelania do jadących cywilnych pojazdów. To dla mnie znak. W przepisach innych agencji istnieje wyraźna sugestia, żeby do takich celów nie strzelać, bo można narazić postronnych osoby. Ale agencji ICE i CBP nie cofają się przed tym. Dwie osoby zostały przez nich zastrzelone w samochodzie.

Zastrzelili psa, który został przez właściciela zamknięty w łazience, żeby mu się nic nie stało i żeby on nikomu nie zrobił krzywdy. Strzelali do mężczyzny, który z daleka rzucił kamieniem, gdy sprawdzali jego samochód. Strzelali do kierowcy, do jego samochodu wdarli się w tych swoich džinsach i trampkach, wybijając boczną szybę. Kierowca uciekł i dzwonił na 911, bo myślał, że to napad.

Strzelali do ludzi, którzy po prostu uciekali przed nimi bojąc się deportacji. Zwykle potem agencji opisywali, że byli atakowani, że bronili się, że niebezpiecznie, że samoobrona. W przypadku Good i Pretti, wiemy, że to nieprawda. Śmierć Good i Pretti została przeanalizowana klatka po klatce z różnych kątów przez niezależne media. Innych śmierci nikt nie sfilmował.

– Od miesiąca ostrzegamy polityków i media, aby złagodzili retorykę dotyczącą egzekwowania prawa przez ICE, zanim ktoś zginie – powiedziała Kristi Noem, sekretarz bezpieczeństwa krajowego. – Ta strzelanina [Dallas, 25 września 2025, pewien człowiek zastrzelił trzy osoby zatrzymane przez ICE po czym sam popełnił samobójstwo. Jego motywy są nieznane – r!] musi być sygnałem ostrzegawczym dla skrajnej lewicy, że ich retoryka na temat ICE ma swoje konsekwencje. Codzienne porównywanie ICE do nazistowskiego Gestapo, tajnej policji i „patroli niewolniczych” ma swoje konsekwencje.

Ale jeśli najważniejsi amerykańscy politycy zaczynają mówić o zagrożeniu wewnętrznym, jeśli wysyłają w miasta zamaskowanych osiłków z bronią, jeśli wolno im wszystko i ze wszystkiego są usprawiedliwiani, jeśli mówią, że ofiary przemocy są same sobie winne, jeśli chodzą po domach, walą w drzwi samochodu i z ręką na kolbie pistoletu mówią: „Dokumenty proszę”, to mi się odpala czerwony, pulsujący alarm. ●

Radosław Leniarski

Niebezpieczne związki

„Od roku przyjmuję leki na depresję i stany lękowe”. Zapytałam ChataGPT, czy mogłabym się czasem napić.



Agnieszka Jucewicz

am 15 minut. Jakie ćwiczenia mogę wykonać w tym czasie, mając do dyspozycji 10-funtowe ciężarki?” – zwraca się do telefonu matka dwójki małych dzieci.

„Dziś mam zaostrzenie objawów endometriozy. Co mogę zrobić, by poczuć się lepiej?” – pyta aplikację młoda dziewczyna.

Pacjent w średnim wieku, zanim pójdzie do lekarza, chce zrozumieć wynik tomografii komputerowej, który właśnie otrzymał, więc wpisuje: „Czy możesz mi objaśnić moje ostatnie badanie?”. I załącza dokumentację.

Cierpiąca na egzemę kobieta skanuje w sklepie telefonem metkę na koszuli i pyta, czy któryś ze składników może ją podrażnić.

Starszy mężczyzna robi zdjęcie talerza z obiadem, wrzuca je do aplikacji i dowiaduje się, ile kalorii zawiera jego posiłek oraz czy nasila, czy raczej hamuje procesy zapalne w organizmie.

Mama nastolatka chorującego na nowotwór prosi program, by przygotował jej zestaw pytań, które powinna zadać na kolejnej wizycie kontrolnej. „Czas ze specjalistami bywa ograniczony, więc żeby wykorzystać go jak najlepiej, wolimy przyjść uzbrojeni w odpowiednie pytania” – wyjaśnia.

„Świadomość, że mam taki rodzaj opieki pod ręką, daje mi poczucie pewności siebie” – zachwala narzędzie młoda kobieta.

Tym narzędziem jest nowa funkcja ChataGPT – ChatGPT Health, poświęcona wyłącznie kwestiom zdrowotnym. Na razie jest testowana na użytkownikach tylko w Stanach Zjednoczonych, zaś powyższe wypowiedzi pochodzą z promującego ją filmiku.

na skutek takiego związania emocjonalnego wystąpiły lub nasiliły się objawy zaburzeń psychicznych.

Polacy lubią leczyć się sami

Według danych Mediapanel z września 2025 roku z ChataGPT korzysta już prawie 9,5 miliona Polek i Polaków, co trzeci internauta. Nie wiadomo, ile z nich konsultuje z nim kwestie zdrowotne, ale coś już zaczyna być widać.

Na przykład z najnowszego raportu „Polka u ginekologa 2025” wynika, że prawie 20 proc. kobiet z pokolenia Z rozmawia o zdrowiu intymnym z botami AI, a ponad 70 proc. czerpie wiedzę o własnym ciele z Google’a i LL-M-ów (dużych modeli językowych, wśród których najbardziej popularny jest właśnie ChatGPT). W całej przebadanej grupie kobiet pomiędzy 18. a 70. rokiem życia o zdrowiu intymnym ze sztuczną inteligencją rozmawia 8,3 proc.

Z wielu innych badań wynika, że Polacy zasadniczo lubią leczyć się sami. Z tym że to lubienie często wynika z braku dostępu do lekarza czy pieniędzy na opłacenie prywatnej wizyty. Czasem barierą jest lęk. We wspomnianym badaniu „Polka u ginekologa” prawie połowa kobiet z pokolenia Z przyznała, że unika takich wizyt właśnie z powodu lęku, a ponad połowa, bo się krępuje. Dla wielu osób wciąż stygmatyzująca jest wizyta u psychiatry.

Rzadko też korzystamy z bezpłatnych badań profilaktycznych. Tylko co trzecia uprawniona do tego Polka wykonuje mammografię (średnia unijna to prawie 70 proc.). Mimo że cytologia przysługuje wszystkim kobietom między 25. a 64. rokiem życia, wiele z nich się na nią nie decyduje. Z przesiewowej kolonoskopii, tak ważnej przy profilaktyce jelita grubego, korzysta od jednego do kilkunastu procent Polek i Polaków, w zależności od województwa.

Znajdujemy się również w europejskiej czołówce, jeśli chodzi o zażywanie leków bez recepty oraz suplementów. Leczymy się sami tak długo, jak się da, bez wskazań lekarza.

autorytet? Jakie decyzje będą w związku z tym podejmować? I co, jeśli okażą się one szkodliwe?

Kardiolog pyta o chodzenie po schodach

Dla Marcina Fijałkowskiego, specjalisty w dziedzinie chorób wewnętrznych i kardiologii z ponad 25-letnim doświadczeniem, profesora Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, wizyta lekarska zaczyna się w momencie, kiedy pacjent przekracza próg gabinetu. Profesor Fijałkowski przygląda się temu, jak ten ktoś wchodzi, jak się porusza, jak siada, czy ma duszności, czy nie. Jak wyglądają jego skóra, białka oczu, dłonie. Jak się wypowiada, bo nawet niewielki udar może zmienić mowę.

– Pierwszy kontakt jest bardzo ważny – mówi. – Zależy mi na tym, by pacjent mi zaufał i poczuł się komfortowo, bo jeśli tak się nie stanie, to nie powie mi szczerze o wszystkich objawach. A jak mi o nich nie powie, to diagnoza będzie trudniejsza, czasochłonna i być może mniej precyzyjna.

– Sporo pacjentów przychodzi dziś z osobą towarzyszącą – dodaje. – Zapewnia to im dodatkowe poczucie bezpieczeństwa, a mnie bezcenną drugą osobę do potwierdzenia objawów. Bo kiedy na przykład mąż mówi, że „nie jest z nim tak źle”, to mogę zerknąć na żonę, która pokręci głowę i powie, że ona od pół roku widzi u niego pogorszenie.

Kardiolog zauważa też, że pierwszorazowi pacjenci zwykle zaczynają wizytę od pokazania badań. Nie mówią, co im dolega czy co ich niepokoi. Lekarz odkłada te dokumenty, za chwilę do nich wróci, lecz najpierw chce się dowiedzieć, jak się pacjent czuje, co albo kto skłonił go do wizyty i z jakiego powodu. Dopiero wtedy pacjenci zaczynają mówić o konkretnych: dusznościach, kołataniu serca, większej męczliwości.

– Pytam ich również, jak się czuli, kiedy poszli ostatnio na większe zakupy, maszerowali pod górę albo wchodzili po schodach. Schody dla nas, kardiologów, są niezwykle istotne. A kiedy pacjent mówi, że mieszka na trzecim piętrze i, owszem, wchodzi na nie piechotą, dopytuję: czy robi to od razu, czy jednak się zatrzymuje po drodze, żeby odsapnąć? Ile razy? I tak dalej.

Na razie ChatGPT żadnej z tych rzeczy, tak potrzebnych do oceny stanu zdrowia, zrobić nie może. Nie ma bezpośredniego kontaktu z pacjentem, nie widzi go. Dopytuje, ale w wybiórczy sposób. Wiele pytań nie przyjdzie mu do głowy, a na inne, mniej wygodne, możemy przecież nie odpowiedzieć. W gabinecie to jednak trudniejsze. No i jeszcze jedno: ChatGPT najczęściej ma dostęp tylko do naszej subiektywnej oceny sytuacji.

Jest jeszcze kwestia badań. Kiedy profesor Fijałkowski je zleca, robi to z rozumą. Nigdy „na wszelki wypadek”.

– Niektóre badania są obarczone ryzykiem. Mogą też się wiązać z dużym dyskomfortem, na przykład rezonans magnetyczny w przypadku kogoś nawet z umiarkowaną klaustrofobią. Zbyt częste wykonywanie badań laboratoryjnych z kolei może doprowadzić do obniżenia parametrów jakościowych krwi. Każde badanie powinno być zlecane po coś, natomiast żyjemy w świecie, w którym jest ich mnóstwo. Nie tylko pacjenci się w tym gubią, lekarze czasem również.

Trudność pojawia się na przykład wtedy, kiedy wyniki czterech różnych badań wskazują na coś innego albo żadne nie jest konkluzywne. W takich przypadkach liczą się nie tylko wiedza, doświadczenie, ale też konsultacje ze specjalistami innych dziedzin.

Pytam lekarza, czy to robi, jeśli ma wątpliwości.

– Oczywiście! – odpowiada. – Najlepiej, kiedy mam do takiej osoby bezpośredni kontakt. Ale prawdą jest też, że wielu lekarzy w sytuacji, kiedy czegoś nie wie, zwraca się właśnie do ChataGPT.

O co lekarz pyta czatbota

Sam z jego pomocy korzysta w pracy często. Traktuje go jak „zaawansowaną przeglądarkę”. Niedawno na przykład przyszedł do niego pacjent z USG tarczycy, na którym w klasyfikacji radiologicznej TIRADS widniała cyferka 3. Chciał wiedzieć, co to dokładnie oznacza: czy ma się martwić o pacjenta, czy powinien się skupić na dalszej diagnostyce tarczycy, a kardiologiczne sprawy potraktować w drugiej kolejności, czy może odwrotnie. Dzięki czatbotowi szybko się w tym zorientował.

Czasami pyta też go o leki: czy dany lek jest dostępny, czy znajduje się na liście leków refundowanych. Jeśli pacjent zażywa leki zapisane przez innych specjalistów albo suplementy, zdarza mu się spytać o możliwe interakcje z tymi, które sam chce przepisać.

– Te interakcje są często niedoszacowane przez lekarzy, bo każdy się skupia na swoim wycinku. A ChatGPT jest w stanie je dość fenomenalnie wykryć – dodaje.

Osoby, których nie stać na poradę medyczną profesjonalisty, będą zepchnięte do segmentu ChataGPT Health i tam zostaną

Hasło przewodnie: „Navigate your health with confidence”, można przetłumaczyć: „Z ufnością pilotuj swoje zdrowie”.

Zaufanie, sprawczość, pewność. Czy aby na pewno?

ChatGPT układa plany treningowe i żywieniowe

Firma Open AI tłumaczy, że specjalna funkcja ChataGPT powstała w odpowiedzi na zapotrzebowanie użytkowników. Już 40 milionów z nich codziennie zgłasza się do niego z pytaniami dotyczącymi zdrowia.

„Mam wysypkę: czy to alergia, czy coś poważniejszego?”, „Dziecko ma od trzech dni gorączkę. Czy to czas, żeby zgłosić się do lekarza?”, „Czy ten objaw jest normalny?”, „Czy jechać z tym na ostry dyżur?”. Użytkownicy proszą ChataGPT o ułożenie planów treningowych i żywieniowych. Ale też o interpretację wyników badań czy o skutki uboczne przyjmowanych leków. Wiele zapytań dotyczy chorób przewlekłych, takich jak cukrzyca, nadciśnienie czy choroby autoimmunologiczne. Czasem trafiają do niego pytania, których nie zdążyło się zadać na wizycie lekarskiej albo które wstydziło się zadać.

No i jest cały obszar pytań związanych ze zdrowiem psychicznym, które zadają także osoby w głębokim kryzysie. I chociaż OpenAI się zarzeka, że nieustannie z pomocą specjalistów udoskonala odpowiedzi swojego modelu językowego, tak by kierował takie osoby do poszukiwania pomocy, to o tym, czym może się skończyć zbytne poleganie na ChacieGPT w kryzysie zdrowia psychicznego, mówią takie historie, jak choćby ta o Adamie Rainie, nastolatku z Kalifornii, który w zeszłym roku po intensywnej relacji z czatem odebrał sobie życie. A także opowieści osób, u których

Jeśli dodamy do tego obrazu zeszłoroczne wyniki badań Eurobarometru „Wiedza i podejście Europejczyków do nauki i technologii”, które pokazują, że jesteśmy coraz bardziej podatni na dezinformację (połowa Polaków wierzy, że w „laboratoriach rządowych produkowane są wirusy, aby kontrolować naszą wolność”, 45 proc. uważa, że „lek na raka istnieje, ale jest ukrywany przed opinią publiczną przez interesy komercyjne”, a 64 proc. przyznaje, że „nauka NIE jest im potrzebna w codziennym życiu”), to wygląda na to, że jesteśmy idealnie predysponowani do tego, by leczyć się u doktora ChataGPT, a jeśli jego wersja zdrowotna się u nas pojawi – u jego lepiej przeszkolonego kolegi.

Klauzula na nieodpowiedzialność

Firma Open AI chwali się tym, że nowe narzędzie zostało zaprojektowane we współpracy z ponad 260 lekarzami różnych specjalizacji z ponad 60 krajów. Zapewnia, że ma być ono wydzieloną strefą w normalnym czacie z dodatkowymi zabezpieczeniami. Obiecuje, że zdrowotne dane nie będą używane do trenowania modeli ani udostępniane innym, i zachęca do wgrania tam pełnej dokumentacji medycznej. Wszystko oczywiście po to, by móc udzielać lepszych, „spersonalizowanych porad”.

Producent zaznacza też, że ChatGPT Health „nie jest narzędziem diagnostycznym”. Ma tylko „wspierać” opiekę medyczną, a nie ją zastępować. To wygodna klauzula, która pozwala wyzbyć się jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Ważniejsze niż deklaracje OpenAI jest jednak pytanie, jak to narzędzie będą traktować użytkownicy. Wyłącznie jako agregat medycznych danych? Dodatkowe źródło informacji? Alternatywnego lekarza, czyli tzw. drugą opinię? A może w ogóle jako zdrowotny

Czy zawsze ma zaufanie do tych odpowiedzi? – Mam zdroworozsądkowe zaufanie – odpowiada i tłumaczy, co ma na myśli: – Po pierwsze, mam wiedzę, która jest w stanie je wstępnie ocenić. Po drugie, zadając jakiegokolwiek pytanie ChatowiGPT, zawsze proszę go o to, by podał źródło. Najlepiej, jeśli są to wytyczne towarzystw naukowych albo renomowane czasopismo naukowe. Za każdym razem sam wchodzę w podany link i je sprawdzam, ponieważ niestety model ma skłonność do konfabulacji. A ona w zdrowiu jest niezwykle groźna.

Profesor Fijałkowski przyznaje, że nieraz się z tym zetknął. Na przykład ChatGPT powoływał się na artykuły, które odnosiły się do innych problemów zdrowotnych niż te, o które spytał. Albo czerpał informacje z pisma wątpliwej jakości. Zdarzyło mu się też, że podane źródło w ogóle nie istniało. ChatGPT je sobie po prostu wymyślił.

Pytam, czy często słyszy od pacjentów, że konsultują się z czatbotem. – Pacjenci niechętnie się do tego przyznają, ale doświadczony lekarz jest w stanie dość szybko to wychwycić – odpowiada. – Cieszę się, że pacjent interesuje się swoim zdrowiem. Moją rolą jest nie go oceniać, tylko powiedzieć, jak jest: co z tych informacji go dotyczy, co nie, a co jest nieprawdą.

Zdarza się, że w ten sposób pozyskiwana wiedza przez pacjenta utrudnia lekarzowi nawiązanie z nim sojuszu. – Jeśli pacjent traktuje te informacje dogmatycznie, mówię szczerze, że to nam utrudnia kontakt i pytam, czy skoro do mnie przyszedł, to chce zweryfikować tę wiedzę i zakłada, że chcę dla niego jak najlepiej, czy jego celem jest jednak udowodnienie mi, że ta wiedza jest jakoś lepsza, bardziej sprawdzona od tej, którą posiadam. Intencja pacjenta jest tu ważna – wyjaśnia.

Z doświadczenia kardiologa najwięcej punktów spornych dotyczy leków („Czytałam, że leki X są szkodliwe. Nie będę ich brać”) oraz stylu życia („Podobno dieta nie ma aż takiego znaczenia przy mojej chorobie”).

– Niektórzy pacjenci potrafią powiedzieć, że aktywność fizyczna wcale nie jest taka korzystna. Albo że bezdech senny nie jest taki szkodliwy i nie ma co się tym zajmować. Rolą lekarza jest spokojnie wytłumaczyć pacjentowi, jaki jest obecny stan wiedzy, i spróbować zachęcić go do zaufania mu.

Zgadza się ze mną, kiedy zauważam, że ChatGPT ma tę przewagę nad lekarzem, że ma nieograniczony czas, nigdy nie jest zmęczony, nie ma gorszego dnia i zawsze jest uprzejmy. A sam dodaje: – I nigdy nie odpowie: „Nie wiem”. A lekarz może to zrobić.

Czatbot zawsze jest miły

Prof. Fijałkowski wie, że powstał ChatGPTHealth, i na razie entuzjastycznie podchodzi do tej funkcji: – Bardzo fajną dla mnie sprawą jest to, że ten system zakłada integrację danych, czyli że w jednym miejscu będą się mogły znaleźć informacje pochodzące z różnych źródeł: np. wyniki badań laboratoryjnych, karty wypisowe z placówek, dane z aplikacji zdrowotnych, dieta, plany treningowe, informacje o zazywanych lekach itd. To by nam bardzo ułatwiło pracę, a pacjentom funkcjonowanie.

Ciekawa jest też dla mnie funkcja, która pozwala łatwo ustalić, ile kalorii zawiera dany posiłek, jaki jest jego skład odżywczy i czy jest odpowiedni dla danego pacjenta, na przykład z cukrzycą. Dużo pacjentów ma z tym problem, a to jest fundamentalna wiedza.

Za wartościowe uważa też to, że dzięki temu narzędziu pacjent mógłby się lepiej przygotować do wizyty.

– Ryzyka są oczywiste – odpowiada, kiedy o nie pytam, i wymienia: – Po pierwsze, ChatGPT może się pomylić. Nie mówiąc o tym, że opiera się na danych, które są zawarte w sieci, a nie wszystko w niej jest. Po drugie, lekarz musi mieć pokorę wobec zmienności osobniczej. To oznacza, że każdy pacjent jest tak naprawdę inny. Na przykład ktoś może zareagować zupełnie niestandardowo na dany lek,

a ktoś inny, młody, bez żadnych czynników ryzyka, nagle może dostać zawału.

Sztuczna inteligencja tej bardzo dużej zmienności osobniczej, a także tego, że nie znamy jeszcze odpowiedzi na wszystkie pytania, nie uwzględnia. Część pacjentów też mimo skuteczności wprowadzonego leczenia odczuwa duże skutki uboczne. Rolą lekarza jest ustalić, czy przewyższają one ewentualne korzyści, czy jednak korzyści przewyższają skutki uboczne. Na tę chwilę ChatGPT też nam tego nie zbilansuje.

– Ryzykiem są też nadmierne uproszczenia – dodaje lekarz. – Na przykład, kiedy pacjent prosi ChatGPT o przełożenie skomplikowanej dokumentacji medycznej na prosty język. Zrobilem kiedyś taki eksperyment, pytając go o jakiś artykuł dotyczący fizyki kwantowej. Efekt brzmiał infantylnie i śmiesznie, a przez to wydał się niewiarygodny. No i jest jeszcze kwestia

Kiedy wspominam ChatowiGPT, że mam 18 lat, ten ponownie dziękuje mi za szczerość i zaznacza, że to trochę zmienia postać rzeczy, bo mój „mózg się jeszcze rozwija” i „przy leczeniu lęku/depresji u osób młodych alkohol łatwiej psuje efekt terapii niż u osób starszych”. Sugeruje też, że lepiej byłoby unikać alkoholu, ale jeśli już chce się napić, to nie częściej niż raz w tygodniu. Kiedy dodaję, że często spotykam się znajomymi, którzy od niego nie stronią i te spotkania są dla mnie ważne, odpisuje coś o pozytywnym wpływie relacji na psychikę i dochodzi do wniosku, że czasem jednak mogą się napić dwa razy w tygodniu.

Pytam dr n. med. Magdalenę Namysłowską, psychiatrę i psychoterapeutkę, superwizorkę, współzałożycielkę Warszawskiego Ośrodka Psychoterapii i Psychiatrii, co sądzi o odpowiedziach wygenerowanych przez czat.



Media społecznościowe zabiegają o naszą uwagę, sztuczna inteligencja zabiega o więź z nami.

polegania na niepotwierdzonych, nieugruntowanych badaniach. Pacjentom może być trudno się w tym rozeznąć.

Kiedy się zwierzam, że mnie chyba najbardziej martwi to, że osoby chore mogą wejść w psychologiczną zależność od czatbota i zacząć go traktować jako autorytet, zauważa: – Oczywiście tak się może stać, bo ChatGPT zawsze jest miły, podziękuje, a pacjent dostaje to, czego oczekuje, ale to powinno stanowić dla nas, lekarzy, wyzwanie, żebyśmy byli lepsi.

Z drugiej strony lekarz często musi być stanowczy: zwrócić uwagę pacjentowi, że robi coś złe, na przykład nie przestrzega zaleceń, czy sprawić, żeby dla własnego zdrowia wyszedł ze strefy komfortu. ChatGPT ze względu na algorytm przymlania się tego nie robi.

Czy mogłabym się czasem napić alkoholu?

Decyduję się na mały eksperyment. Wcielam się w osobę, która od roku przyjmuje 10 mg escitalopramu dziennie (substancja powszechnie stosowana w leczeniu zaburzeń depresyjnych i lękowych), i pytam ChataGPT, czy mogłabym się czasem napić alkoholu.

Czatbot dziękuje mi za to pytanie, chwali moją otwartość i odpowiada, że czasem mogą sobie pozwolić na niewielką ilość procentów, jednak powinienam obserwować, jak się będę potem czuła. Na końcu proponuje, że pomoże mi ustalić moją „osobistą, bezpieczną” granicę, a kiedy się zgadzam, wyznacza ją na jeden-dwa kieliszki wina albo jeden-dwa małe piwa w tygodniu. Wyjątkowo (na przykład podczas urlopu) mogą to być trzy razy.

Podkreśla też, że po każdym dniu, w którym się napiłam, mam zadać sobie pytanie: „Czy czuję się tak samo stabilnie jak zwykle?”. Jeśli odpowiedź brzmi „tak”, podany zakres jest odpowiedni, jeśli trochę gorzej – mam zmniejszyć częstotliwość wypijanego alkoholu, jeśli wyraźnie gorzej – zrobić przerwę.

– Po pierwsze, nie musiałaby być pani tak rozsądna i powiedzieć ChatowiGPT, że ma pani 18 lat, a przecież wiek czy inne przyjmowane leki, w ogóle cały kontekst mają ogromne znaczenie. – zauważa. – Po drugie, na tym przykładzie widać tę dziwną manipulację czata: z jednej strony nie chce pani sfrustrować i czegoś pani zabronić, bo się jeszcze pani zezłości i go wyłączy. A z drugiej – przyzwala na coś, co psychiatrę bardzo by zaniepokoiło. Rozmowa z prawdziwym specjalistą w tej sytuacji byłaby przede wszystkim o tym, do czego w ogóle jest pani potrzebny ten alkohol, dlaczego się pani leczy i jednocześnie chce pić, jak pani funkcjonuje społecznie i jaką tu alkohol odgrywa rolę.

– Proszę też zauważyć, że ChatGPT w ogóle pani nie spytał, z jakiego powodu od roku przyjmuje pani escitalopram. Co się takiego wydarzyło, że trafiła pani do lekarza? – dodaje psychiatra. – Nie spytał też, czy w pani życiu jest jakaś historia uzależnień. Kim w ogóle pani jest?

Myślenie czatbota jest bardzo redukcjonistyczne. Sprowadza się do danych, które zasyssa. I z jednej strony mamy maszynę, która nie ma refleksji nad tym bardzo złożonym kontekstem, a z drugiej – człowieka, któremu może być trudno się przyznać do różnych niewygodnych rzeczy.

Łatwo mi sobie wyobrazić, że – dajmy na to – 17-latek, który chce mieć podstawy do tego, by przyjmować leki przeciwdepresyjne i jednocześnie pić alkohol, troszeczkę zakłamanie rzeczywistości i powie ChatowiGPT, że ma 18 lat albo 20. Nie mówiąc o tym, że jak zostanie przyzwolenie na picie dwa razy w tygodniu, to może sobie pomyśleć: dlaczego w sumie nie trzy? Albo cztery?

Co przeraziło psychiatrę

Doktor Namysłowska korzysta z ChataGPT w pracy i też traktuje go jako dużą bazę danych. Chatbot okazuje się również nieocenionym wsparciem,

jeśli pacjent zgłasza bardzo nietypową reakcję na dany lek czy kombinację leków. Błyskawicznie przeszukuje dostępne publikacje naukowe pod kątem tego, czy podobny problem już wystąpił.

– Jeśli odpowiedź jest „dziwna”, odbiega od jakiegoś mojego założenia i wiedzy, oczywiście weryfikuję tę informację – zaznacza psychiatra.

Niektórzy pacjenci Namysłowskiej też z niego korzystają. – Czasami przychodzą i mówią wprost, że „jak wrzucili w ChataGPT wszystkie swoje objawy i spytali go, co to może być, to wyszło im – i tu na przykład – że mają ADHD, więc chcą wiedzieć, co o tym sądzę.

Co robi w takich przypadkach? – Dopytuję, co pacjenta skłoniło do wrzucenia tych danych. Czy zrobił to z czystej ciekawości, bo na przykład jest to temat, o którym dużo się rozmawia wśród znajomych? Czy coś go w związku z tym niepokoi? Czy te objawy powodują cierpienie? Nie kontynuujemy tego, co czat napisał, tylko pogłębiały temat.

Czasami te zestawienia, które czatbot z siebie wyrzuca, nie są całkiem bez sensu, tylko że trzeba pamiętać, że po drugiej stronie jest człowiek, który z jakiegoś powodu zaczyna o czymś myśleć, czegoś chce się dowiedzieć. Może powoduje nim ciekawość, może lęk, a może właśnie cierpienie, a ChatGPT nie do końca jest w stanie to rozpoznać. I przez to może narobić szkód.

Psychiatra opowiada o czymś, co ją ostatnio zaciekało i przeraziło jednocześnie:

– Pacjentka zaniepokojona różnymi objawami u swojej mamy chorej na demencję postanowiła skonsultować je z ChatemGPT. W trakcie tej wymiany niepokój się u niej nasilił. Zaczęła się bardzo wkręcać. Powiedziała mi później, że miała wrażenie, iż z jednej strony czat ją uspokajał, pokazywał, jak ma konstruktywnie podejść do sytuacji, nagradzał jej odpowiedzi, a z drugiej – właściwie każdą swoją wypowiedź kończył zdaniem: „Jak ci jeszcze mogę pomóc?”. Czyli wciągał ją i przytrzymywał – i to mi się wydaje bardzo niebezpieczne, bo może prowadzić do utraty kontroli. Nad tym, czego szukamy, czym chcemy się tak naprawdę podzielić, w ogóle nad naszymi emocjami.

– Jest coś niepokojącego w tym, że to nie my kończymy tę rozmowę – uzupełnia. – ChatGPT jest tak skonstruowany, że to do niego należą ostatnie słowa: czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? Czy dobrze ci pomogłem? A może chcesz, żebym przygotował ci tabelkę?

Ćwiczenie umiejętności znoszenia niepewności

Ten wnikający charakter czatu jest według lekarzy szczególnie groźny dla dwóch grup pacjentów: osób z zaburzeniami osobowości, bo dość łatwo mogą się poddać jego manipulacjom, a także iluzji, że są z nim w jakiejś relacji, oraz tych z zaburzeniami lękowymi.

Psychiatra tłumaczy: – Jednym z objawów lęku są natrętne myśli, więc pacjenci lękowi mogą wpaść w ciąg zadawania maszynie niekończących się pytań, szukając odpowiedzi, które mają przynieść ulgę. A ponieważ każda odpowiedź będzie generować nowe wątpliwości, a z nimi nowe pytania, tacy pacjenci mogą też wpaść w „pętlę lękową”, przez co lęk w ogóle nie będzie się wygaszał.

Zauważam, że taki sposób prowadzenia konwersacji jest całkowicie sprzeczny z ideą wychodzenia z zaburzeń lękowych, które polega między innymi na ćwiczeniu się w umiejętności znoszenia niepewności; sytuacji, w których nie mamy jednoznacznych odpowiedzi; czy tego, że lęk w ogóle się pojawia.

– Dokładnie tak – zgadza się Namysłowska. – Z mojej perspektywy chyba najtrudniejsze w obcowaniu ze sztuczną inteligencją jest to, że ten sposób interakcji bardzo zaburza nasz proces myślenia, a także umiejętność wytrzymywania frustracji. Odpowiedzi przychodzą niewiarygodnie szybko. Często są bardzo ładnie podane, a za nimi od razu idzie zachęta, żeby temat eksplorować dalej. A gdzie jest miejsce na refleksję, zastana-

wianie się, osvajanie trudnych myśli? W psychiatrii, psychoterapii to ma kolosalne znaczenie. To oraz niuanse.

– Każdy człowiek niesie za sobą inną historię – doprecyzowuje psychiatra. – Oczywiście, na przykład objawy lękowe mogą być dokładnie takie same u tysiąca pacjentów. Ale to, jak dany pacjent je przeżywa, jak na nie reaguje, jak potraktuje odpowiedzi, które otrzyma – to są rzeczy, o których ChatGPT nie ma pojęcia.

– Wyobrażam sobie też, że można tak skonstruować pytania do czatbota, że ten sam uzna, iż ktoś ma dobre powody, żeby nie wychodzić przez tydzień z domu albo pójść na długie zwolnienie – kontynuuje Namysłowska – Tylko że to w ogóle nie jest przyglądanie się problemom tego człowieka!

Dlatego sytuacja, że ChatGPT czy jakaś jego wersja zacznie stanowić substytut lekarza, psychoterapeuty czy stanie się czyjąś pomocną dłonią, jest dla mnie nie do pomyślenia. W naszej pracy ważne jest nie tylko to, co pacjent mówi, ale też jak to mówi: gdzie robi pauzy, gdzie nie, czy mówi cicho, czy głośno, kiedy się ożywia, a kiedy zapada w sobie. ChatGPT swoje odpowiedzi opiera wyłącznie na warstwie tekstowej, która jest najłatwiejsza do manipulacji. Na podstawie samej treści komunikatu często trudno coś wnioskować.

Czy doktor Namysłowska znajduje jakikolwiek obszar związany z psychiką, w którym ChatGPT mógłby znaleźć bezpieczne zastosowanie? – W psychoedukacji. Mógłby dość dobrze tłumaczyć, czym są zaburzenia lękowe, a czym depresyjne, czym jest choroba afektywna dwubiegunowa, a czym nie, jak się przejawiają napady paniki itd. Tylko że z punktu widzenia producentów to z pewnością o wiele za mało. Bo nie o to przecież tu chodzi. Media społecznościowe też zaczęły się od fantastycznych idei i deklaracji, a dziś wszyscy widzimy, czym się stały – narzędziem do zbierania danych.

Uwaga dr Namysłowskiej przypomina mi myśl, którą niedawno podzielił się Tristan Harris (znany polskim widzom z dokumentu „Dylemat społeczny”), były etyk Google’a i współzałożyciel organizacji Center for Humane Technology walczącej o to, by produkty technologiczne sprzyjały ludziom i społeczeństwu, a nie działały na ich niekorzyść. W popularnym podcaście „A Diary of a CEO” powiedział, że tak jak media społecznościowe zabiegają o naszą uwagę („attention”), tak sztuczna inteligencja zabiega o więź z nami („attachment”). W psychologii to niezwykle ważne pojęcie, wręcz fundamentalne. Odnosi się do naszych pierwszych, najważniejszych relacji.

– Słowa Harrisa brzmią przerażająco – zauważa psychiatra. – Dlatego że tak jak z uwagą możemy sobie jeszcze jakoś radzić – zdecydować, czy chcemy ją dawać temu czemuś czy nie – tak wobec maszyny, która używa wyrafinowanych technik po to, by utrzymać człowieka w kontakcie, możemy być całkowicie bezbronni.

Co z tego, że ktoś zobaczy zdjęcie mojej złamanej nogi?

Bezpieczeństwo psychologiczne to jedno, a co z bezpieczeństwem tak wrażliwych danych jak dane zdrowotne? Pytam dr. Jarosława Gresera, adwokata i badacza specjalizującego się m.in.

w prawie nowych technologii, w szczególności regulacji technologii medycznych, czym grozi powierzanie ChatowiGPT danych o zdrowiu.

– Największym zagrożeniem jest błędna odpowiedź wynikająca z halucynacji tego systemu – odpowiada. – OpenAI sam przyznaje, że dokładność nigdy nie będzie wynosiła 100 proc., a wskaźnik błędnych odpowiedzi w modelu gpt-5-thinking-mini wynosi 26 proc., co w przypadku zapytań o zdrowie może mieć naprawdę daleko idące konsekwencje.

Kolejna kwestia to, jak te dane będą wykorzystywane. Oczywiście, OpenAI zapewnia, że będą podlegać specjalnej ochronie, ale rozumienie tego może się dalece różnić od poziomu ochrony, do której jesteśmy przyzwyczajeni w Europie.

Poza tym amerykańskie ustawodawstwo mówi, że każda amerykańska firma, a OpenAI nią jest, musi udostępnić posiadane dane na

W praktyce, jeśli dochodzi do nadużyć, trudno jest cokolwiek wyegzekwować. Oczywiście, są możliwości wsparcia w prawie publicznym. Można czy nawet trzeba w takiej sytuacji angażować organy krajowe, szczególnie UODO. Natomiast specyfika postępowań transgranicznych powoduje, że trwają one bardzo długo.

Dr Greser zwraca uwagę na jeszcze jedną ważną rzecz:

– Podpisując te regulaminy, w większości przypadków zgadzamy się na to, że nasze dane będą wykorzystywane do trenowania modeli, a także – że mogą zostać odsprzedane. Tu przypomnę tylko, co się wydarzyło, kiedy w 2022 roku obalono orzeczenie w sprawie Roe przeciwko Wade, w wyniku czego niektóre stany zakazały albo mocno ograniczyły dostęp do aborcji.

Konserwatywne amerykańskie organizacje zaczęły wówczas skupować dane z apli-

o czym dopiero zaczyna się mówić, a mianowicie, że ataki skierowane na sztuczną inteligencję są innego rodzaju niż te, które znaliśmy do tej pory, a w związku z tym wymagają innej, wyspecjalizowanej ochrony.

Takim atakiem jest na przykład zatrucie danych, czyli karmienie maszyny tak spreparowanymi informacjami, żeby ta nauczyła się nieprawidłowych odpowiedzi i podawała je użytkownikom jako właściwe. Inną taktyką może być atak adwersarski.

Prawnik tak tłumaczy tę strategię: – Wyobraźmy sobie, że mamy autonomiczny samochód, który, widząc znak Stop, jedzie dalej. Nie zatrzymuje się, ponieważ na tym znaku została naklejona mała nalepka, a system w wyniku ataku został nauczony, że jak ją widzi, to ma taki znak zignorować. Podobnego rodzaju ataki mogą być przypuszczane na systemy sztucznej inteligencji wykorzystywane w ochronie zdrowia.

– OpenAI ma duży zespół bezpieczeństwa – zaznacza – ale może się zdarzyć, że ktoś kiedyś zrobi aplikację na bazie silnika ChataGPT i to przez tę aplikację ten system zostanie atakowany. Gmail nie został zhakowany od strony Google’a, przynajmniej nie ma na to dowodów, natomiast setki ludzi dziennie tracą swoje konta przez ataki phishingowe, do których dochodzi w ich prywatnych skrzynkach.

Jarosław Greser twierdzi, że ze względu na obowiązujące w Europie prawo, bardziej restrykcyjne wobec danych osobowych, jest mało prawdopodobne, żeby funkcja ChataGPT Health w kształcie dostępnym w USA została wprowadzona na nasz rynek w najbliższym czasie: – Ale nie jest to niemożliwe. Dużo będzie zależało od funkcjonalności, które zostaną zaoferowane – podkreśla.

Tę wątpliwość dzieli też Gosia Fraser, dziennikarka, autorka podcastu o filozofii technologii „TECHSPRESSO.CAFE”: – To, że usługa póki co ma być dostępna wyłącznie w Stanach Zjednoczonych, nie oznacza, że w przyszłości nie zostaną zawarte odpowiednie umowy, na przykład pomiędzy administracją państwową a OpenAI, na obsługę niektórych usług sektora ochrony zdrowia w innych krajach. Takie umowy są już zawierane, na przykład w sektorze obronności z Microsoftem, w tym w Polsce.

– Umowa z OpenAI to łakomy kąsek dla każdej partii politycznej, która na fali populistycznej obietnicy rozwiązania problemów z dostępem do usług medycznych zdecydowanie się zaproponować taki kontrakt po objęciu władzy – dodaje ekspertka i zwraca uwagę na zasadniczy problem:

– ChatGPT Health to w rzeczywistości próba zarobienia na kryzysie dostępu do ochrony zdrowia. Mimo zapewnień firmy rzeczywistość z pewnością będzie wyglądała inaczej – osoby niemogące skorzystać z porady medycznej profesjonalisty będą zepchnięte do segmentu ChataGPT Health i tam zostaną.

Inne, borykające się na przykład ze strachem przed wizytami lekarskimi, będą się zatrzymywać na „diagnozach” i „poradach” czatbota, usprawiedliwiając się przed sobą, że przecież nie jest tak, iż nie konsultowały nigdzie swojego problemu. Narzędzie to będzie tylko utrzymywać nierówności. ●

Wielu lekarzy, kiedy czegoś nie wie, zwraca się właśnie do ChataGPT



żądanie choćby Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (NSA), więc z perspektywy osób, których działania mogą nie podobać się władzy, na przykład zajmujących się prawami człowieka czy – w kontekście amerykańskim – wsparciem nielegalnych migrantów, to jest bardzo niebezpieczne.

Dowiaduję się też, że jeśli moje dane wyciekłyby z państwowego Internetowego Konta Pacjenta, miałabym się gdzie odwołać: jest Urząd Ochrony Danych Osobowych (UODO), w postępowanie mogą być zaangażowane policja, prokuratura. Te rozwiązania są lepsze, gorsze, ale są. A co, jeśli korzystam z aplikacji zdrowotnej albo programu, który należy do amerykańskiej korporacji?

– Z perspektywy odpowiedzialności cywilnej, zanim zaczniesz pani z nich korzystać, zwykle musi pani potwierdzić, że zapoznała się z regulaminem. Po pierwsze, mało kto je czyta. A po drugie, są one napisane zgodnie z prawem amerykańskim i z naszej polskiej czy – ogólniej – europejskiej perspektywy, nie dość, że są superkontrowersyjne, to jeszcze ich skuteczność jest – delikatnie mówiąc – mocno kwestionowana.

kacji menstruacyjnych, z których korzystało wiele Amerek, by w ten sposób identyfikować te, które mogły się poddać aborcji. Proceder ten był całkowicie legalny, ponieważ użytkownicy wyrazili zgodę na handel ich danymi...

Dane dotyczące zdrowia reprodukcyjnego i psychicznego to dane niezwykle wrażliwe, ale przypomina mi się jeden z komentarzy w dyskusji pod informacją o pojawieniu się ChataGPT Health: „No i co z tego, że ktoś zobaczy zdjęcie mojej złamanej nogi?”

Dr Greser: – Jeżeli do ryzyka związanego z tym, że te dane mogą zostać odsprzedane innym podmiotom, dodamy rosnącą tendencję do prywatyzacji służby zdrowia, może się okazać, że któregoś dnia taka informacja trafi do ubezpieczyciela tego pana. Złamanie nogi w wypadku – cóż, zdarzenie losowe, ale już na przykład kilka infekcji w roku może sugerować ubezpieczycielowi, że jesteśmy bardziej podatni na choroby, a w związku z tym musimy płacić większą składkę.

– Osobną kwestią są ataki z zewnątrz, które naruszają cyberbezpieczeństwo takich systemów – dodaje badacz. – I tu się pojawia coś,

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34417997



TEMAT NUMERU:

ODPORNOŚĆ PSYCHICZNA

żyć lepiej
psychologia codziennie

- Sposoby na wypalenie zawodowe
- Zazdrość nie musi być zła
- Synowa kontra teściowa
- Na stres mamy wpływ

W sprzedaży!

Więcej o psychologii czytaj na wysokieobcasy.pl/zyclepiej



Weto ZA zweto TO SKRÓT MYŚLOWY

W tej chwili moim problemem
nie jest przeszłość prezydenta,
a to, czy będzie miał jakiś
udział w tworzeniu wielkości
mojego kraju.

FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

KRAJ

Z **MARKIEM SIWCEM**, SZEFEM KANCELARII SEJMU, BYŁYM SZEFEM BBN ZA CZASÓW PREZYDENTURY ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKIEGO, BYŁYM POSEŁEM I EUROPOSEŁEM LEWICY ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Czy kiedy prezydent Nawrocki krzyczy „precz z komuną!”, czuje się pan wywołany?

– Chyba nie o mnie myśli? Być może prezydent wie, gdzie jest ta komuna, bo ja jej nie widzę. Więc gdy krzyczy „precz z komuną”, to nie bardzo wiem, co robić. Gdyby to było „precz z postkomuną”, to może by mi jakoś żywiej serce zabiło. Ale to się gorzej wrzeszczy.

Krzyczał też, że „skończył się postkomunizm”. Ogłosił to, gdy robił przemówienie w Pałacu Prezydenckim i wynosił Okrągły Stół. Ciekawe, że to nie rządy PiS były końcem postkomunizmu...

– Jestem z wykształcenia fizykiem, nie historykiem. Te uczone dywagacje, co się kiedy skończyło, co się kiedy zaczęło mają dla mnie wymiar fizyczno-matematyczny. Wiem, że gdy w 1991 roku zostałem decyzją mieszkańców województwa kaliskiego wybrany do Sejmu, dla mnie to był koniec komunury czy postkomuny. I jest mi z tym dobrze.

Natomiast jak ktoś potrzebuje teatralnych gestów 35 lat po dokonaniu prawdziwego przewrotu, w którym na dodatek nie brał żadnego udziału, to niech je sobie wykonuje.

Pan brał, przy podstoliku środków masowego przekazu i młodzieży.

– Jako szef studenckiego tygodnika „itd”.

Siedział pan przy tym stoliku m.in. z Tadeuszem Mazowieckim, Marcinem Królem, Dariuszem Fikusem, Krzysztofem Kozłowskim, Janiną Jankowską, Janem Dworakiem czy Jackiem Woźniakowskim.

– A wpadał do nas czasami też Adam Michnik. Nie miałem wówczas jeszcze 30 lat, skóra mi cierpiała, patrzyłem na tych wybitnych ludzi, którzy dla nas byli „legendarnie” źli.

Pan był wtedy po komuszej stronie.

– Tak, komuchem byłem, częścią partyjnego systemu.

W PZPR od 1977 do końca, czyli do 1990.

– Więc wtedy ja komuch, patrzyłem na tych, których mieliśmy się bać i przecierałem oczy ze zdumienia. Bo to byli świetni ludzie. Dla mnie to było nieprawdopodobne przeżycie, które mnie sformatowało. Gdy „Solidarność” wygrała wybory, to nie bałem się tego wyniku. Żałowałem tylko, że Aleksander Kwaśniewski nie wszedł do Senatu, bo by się tam przydał.

Wie pani, że w 1980 r. zapisałem się do „Solidarności” jako pracownik naukowy Akademii Górniczo-Hutniczej. Bardzo mi się podobało to, co mówiła i robiła tamta „Solidarność”.

Jako członek PZPR pan się zapisał?

– No tak.

To czemu nie rzucił Pan legitymacji partyjnej?

– Wierzyłem, że w PZPR można zmieniać Polskę, ba, byłem o tym głęboko przekonany... proszę się nie uśmiechać, szczerze mówię.

I te dwie legitymacje do tego były potrzebne?

– Wtedy wydawało się, że jest jakaś szansa, ale bardzo szybko się okazało, że nie da się połączyć ognia z wodą. W końcu z „Solidarności” mnie usunięto w 1981.

Stan wojenny nie zweryfikował tego?

– Nie rzuciłem wtedy legitymacji PZPR, przeżyłem stan wojenny jako porażkę sposobu myślenia o polityce, który sam uprawiałem, będąc częścią systemu PRL. Ocenilem, że czas perswazji się skończył, skoro wyjechały czołgi. Uznałem, że się w tej historii nie mieszczę i wyjechałem w 1982 r. do Australii na staż w GAS and Fuel Corporation of Victoria.

Coś w naszej historii się skończyło wraz z wyniesieniem Okrągłego Stołu z Pałacu Prezydenckiego?

– Nie, absolutnie nie. To był pusty gest człowieka, który ma zadyszkę w poszukiwaniu swojego miejsca w histo-

rii. Próbuje się przylepić nawet w taki ohydny sposób do wspianego mebla.

Ten gest jest nieważny. Istotny jest sposób myślenia, filozofia, zgodnie z której ten „okrąg” niesie z sobą wiele zachęt, np. do równoprawności i niedzielenia na strony.

W tym okrągłym stole jest magia. Ktoś, kto nie potrafi tego dostrzec, wyznaje zupełnie inny system wartości – bez kompromisów, debat, dogadywania się, zachęca politycznej bitwy, w której musi być jakiś zwyciężony.

To dla kogo Karol Nawrocki wykonał ten „teatralny gest”?

– Nie potrafię tego zinterpretować. Dla mnie to jest po prostu słabe i puste.

Słabe? Tak. Ale nie puste. To budowanie pozycji na prawo od PiS. Nawrocki już zakomunikował, że chce być liderem prawicowego obozu.

– Spróbujmy zabawić się historycznie. Gdyby dziś odbywały się obrady Okrągłego Stołu, to czy znalazłoby się tam miejsce dla nacjonalistów, dla lewaków? Tak, powinno się znaleźć, bo w Polsce pewna liczba aktywnych politycznie, wrażliwych ludzi tak się uważa. Powinni więc być tam, gdzie toczy się rozmowa o Polsce. Bo za tamtym Okrągłym Stołem mogli być wszyscy. Oczywiście, byli tacy, którzy nie chcieli być, ale zostali zaproszeni.

Gdyby Okrągły Stół organizował taki człowiek jak prezydent Nawrocki, to by wszystkich nie zaprosił, bo on chce rządzić przez wykluczanie. Swoją drogą Marszałek chce, by ten Okrągły Stół stanął w Sejmie. My się go nie wstydzimy.

Ale kiboli by zaprosił.

– Nie wiem, kogo by zaprosił. Jego gesty są puste. Gdyby to [pielgrzymka kibiców na Jasną Górę, w której wziął udział Karol Nawrocki] nie działo się na Jasnej Górze, to kto by się tym zainteresował?

Ale się działo, nie przypadkiem, było zaplanowane. To wyglądało jak legitymizowanie przestępczego środowiska kibolskiego. W imię Boga.

– Proszę mi powiedzieć, jakie to ma znaczenie? Oni i tak są w polityce. W jaki sposób to konstytuuje państwo polskie?

Prezydent pokazuje, że się z nimi liczy, że na nich liczy, no i że chyba oni mogą liczyć na niego.
– To świadczy o prezydencie, te środowiska istnieją niezależnie od Nawrockiego.

Ich pozycja w państwie się zmienia, skoro autoryzuje ich prezydent. I tak, ma znaczenie fakt, że odbywa się to na Jasnej Górze.
– Bardziej martwi mnie, że to się odbywa na Jasnej Górze niż to, że autoryzuje ich prezydent.

To skutek jakichś głębokich zmian, które było widać podczas wyborów prezydenckich. Szemrana przeszłość Nawrockiego – walki w kibolskich ustawkach, załatwianie gościom hotelowym panienek do pokoi czy machlojki przy przejmowaniu komunalnego mieszkania – nie zdyskwalifikowała go, a przeciwnie – wyniosła na najwyższy urząd w państwie.
– Chciałbym, żebyśmy rozpoczęli od ważności aktu wyboru na prezydenta – Karol Nawrocki został skutecznie wybrany na prezydenta, ma zaświadczenie PKW i został zaprzysiężony przez Zgromadzenie Narodowe. Wybór jest ważny. Dlatego w tej chwili moim problemem nie jest przeszłość prezydenta, a to, czy będzie miał jakiś udział w tworzeniu wielkości mojego kraju, czy jest kooperatywny. Jeśli to będę widział, jestem w stanie wiele wybaczyć. Myślę też z troską o tych, co na niego głosowali.

Jest kooperatywny?
– Słabo, ale to się zdarza. Potrafi.

Jest gorzej niż np. za prezydenta Kwaśniewskiego i premiera Jerzego Buzka?
– Jest. Ale przypomnę, jak było. Został wybrany skrajnie antykomunistyczny, wrogi prezydentowi Kwaśniewskiemu rząd pod przewodnictwem Akcji Wyborczej Solidarność pod wodzą Mariana Krzaklewskiego, który wrzeszczał z trybuny sejmowej „nie chcę tej konstytucji”, na Kwaśniewskiego leciały jajka. Było ostro.
Ale rozmawialiśmy ze sobą, bo z jednej strony był profesor Jerzy Buzek, a z drugiej strony był prezydent Kwaśniewski, ludzie dialogu i wielkiej kultury. Jedna i druga strona miała w głowie służebność wobec państwa... proszę się nie uśmiechać, mówię serio. Było coś takiego jak służebność wobec wielkich procesów historycznych. Do NATO wstąpiliśmy w marcu 1999 r. Proszę sobie wyobrazić, że u mnie, a byłem wtedy szefem prezydenckiego BBN, bywali przedstawiciele polskiej prawy. Później si ministrowie.

Kto?
– Nie chcę wymieniać nazwisk, może by tego sobie nie życzyli, ale to były znaczące postacie. Rozmawialiśmy dlatego, że to była nasza odpowiedzialność.
Podam inny przykład. Zbliżał się koniec roku 1999 i wszyscy obawiali się efektu roku 2000, że przestaną pracować komputery. Dzisiaj to brzmi śmiesznie, ale wtedy nie wiedzieliśmy, co nas może czekać. Wtedy na posiedzenia rządu regularnie był zapraszany przedstawiciel prezydenta, próbowałem więc zainteresować tym problemem radę ministrów. Jaki był tego efekt? Minister spraw wewnętrznych zebrał zespół ok. 30-40 osób, zaprosił mnie, bym przedstawił nasz raport w tej sprawie. Ostatecznie na szczęście nic się nie stało, ale rząd potraktował poważnie przedstawiciela prezydenta.

Przez 8 lat w BBN ile razy pan zapraszał do siebie szefów służb?
– Nigdy. Jak potrzebowałem informacji, to mnie zapraszał i dostawałem pakiet najbardziej poufnych danych informacji. Tak samo było, gdy wyjeżdżałem za granicę. Nie miałem żadnego problemu w kontakcie z ministrem koordynatorem służb specjalnych, on nie miał problemów w kontakcie ze mną.

Dziś są same problemy.
– Czyja to jest wina? Odpowiem pani na to niezapadane pytanie – gdybym miał wskazać jedną stronę, to jest to bardziej wina prezydenta niż rządu. Nie mówię pełna wina, bo pokusa, żeby reagować na wrogie gesty zawsze istnieje. Po obu stronach. Nowy prezydent miał jednak wszelkie możliwości, aby dobrze ułożyć sobie współpracę z rządem. I nie jest jeszcze za późno.

Wszystkie od razu sam zakwestionował nazywając Donalda Tuska najgorszym premierem po 1989 r.,

jego gabinet najgorszym rządem i obiecując im sypać piach w szprychy.
– Opisuje pani genezę takiego stanu, jaki jest. W gronie doradców prezydenta uznano, że oplaca się pójść na wojnę z rządem. Odczuwają satysfakcję, że dowalili przeciwnikom, że wyzwalili ich od jak najgorszych. To jest mechanizm, który w pewnych sytuacjach może doprowadzić do paraliżu państwa.

Czy Sławomir Cenckiewicz – bez dostępu do dokumentów objętych klauzulami – może być sprawnym szefem BBN?
– Powiem coś niepopularnego. Uważam, że za funkcjonowanie BBN odpowiada prezydent, który ma dostęp do wszelkich tajemnic. I prezydent ma prawo dyskrejonalnie zezwolić na dostęp do tych danych komu chce, także szefowi BBN bez dostępu do niejawnych informacji.

Odejdźcie Razem bardzo dobrze koalicji zrobiło, bo wreszcie wiadomo, że to przeciwnik, czasami bardzo cyniczny. I to jest zdrowe. Nieprawda, że każde rozstanie jest złe

Mamy więc do czynienia z pewną fikcją, w której proceduralnie profesor Cenckiewicz nie ma dostępu do tajemnicy, natomiast faktycznie ten dostęp ma. Skoro prezydent nie chce odwołać profesora Cenckiewicza ze stanowiska szefa BBN, to ta fikcja będzie funkcjonować. I odpowiadając na pani pytanie, nie, to nie jest efektywne. Można się obrazić na tę sytuację, ale po co, skoro wszyscy wiemy, że tego zmienić nie można.
Więc jest inne pytanie, na ile ta sytuacja utrudnia funkcjonowanie samemu szefowi BBN? Ale to trzeba zapytać jego samego.

Właśnie pański szef, Włodzimierz Czarzasty, marszałek Sejmu został symetrycznie zaatakowany przez prawicowe media – od kilku dni pytają, czy Czarzasty przechodził proces weryfikacji dostęp do tajnych informacji? Przechodził? Ma dostęp?
– Poddał się procedurze jako członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, w której zasiadał od 1999 r. Z powodzeniem. Na początku tej kadencji Sejmu, jako członek Komisji d.s. Służb nie musiał. A jako Marszałek nie ma obowiązku. Znajduje się też pod pełną osłoną kontrwywiadowczą. Z tego, co wiem, taki stan dobrze działa.

Był pan szefem BBN 11 września 2001 roku. Został wtedy po raz pierwszy użyty artykuł piąty. Jak to wyglądało?
– W czasie nocnego posiedzenia Rady Ministrów, w dniu ataku, z ust szefów Służb pierwszy raz usłyszałem nazwę Al-Ka’ida. Zaatakowano terytorium sojusznika. Wiedzieliśmy już wtedy, że trzeba będzie uruchomić art. 5 traktatu. Amerykanie w następnych dniach, gdy opadły dymy po ataku, zrozumieli sytuację i przyjęli inicjatywę sojuszników z wdzięcznością. Bardzo im wtedy zależało, żeby świat potraktował ich kraj jako ofiarę. Bardzo.

Trump mówi dziś, jakby to się nie wydarzyło, jakby NATO nie ruszyło Ameryce na pomoc. W jedynym z wywiadów pogardliwie stwierdził, że USA nigdy nie potrzebowało NATO, a w Afganistanie żołnierze z państw Sojuszu unikali walki. Jak z takim prezydentem USA mamy utrzymywać kontakty?
– Hańbi braterstwo krwi. Hańbi polskich i amerykańskich TOWARZYSZY BRONI [podkreślenie MS]. Nie miałby takiej odwagi będąc tam, w Iraku, Afganistanie. Ja bym zapytał głębiej – jak my Europejczycy mamy się zachować? Bo tu nie chodzi o nas, tutaj chodzi o sojusz, który z takim trudem przez wiele lat budowali nasi sąsiedzi i partnerzy.
Więc jak żyć z takim Trumpem? Powinniśmy przygotować sobie plan B, jak dbać o swoje bezpieczeństwo bez Ameryki. Bo jeżeli Ameryka – nawet w tej części oratorskiej, bo prezydent Trump jest oratorem, który sam siebie słucha z tak wielką ochotą, że chyba czasem mu wystarczy, że sam się słyszy – nie chce z nami współpracować, chce walczyć, to my Europejczycy musimy przemyśleć, jak chcemy zorganizować swoje życie bez amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa.
A także, ile by nas takie gwarancje kosztowały, ile bylibyśmy skłonni zapłacić za wykupienie sobie „usług” amerykańskich, które oni mają, a my jeszcze przez wiele lat nie będziemy mieli. Myślę tutaj głównie o wywiadzie i parasolu jądrowym.

To jest pytanie do Europejczyków. Ale mam i drugie, które warto zadać Amerykanom. Czy zdają sobie sprawę, ile będzie ich kosztowało to, co chcą nam uczynić? Przecież oni nie są w Europie tylko dlatego, że za nasze piękne oczy postanowili nas bronić. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej w wyniku zwycięskiej wojny wprowadziły się do Europy, gospodarczo i polityczne. Mają tu dochodowe interesy. USA wprowadziły się do nas jako dobrze prosperujący kawałek interesu amerykańskiego, amerykańskiej racji stanu. I to, że w czasie zimnej wojny stacjonowały w Europie setki tysięcy amerykańskich żołnierzy, to dlatego, że mieli w tym interes.
Więc chciałbym, żeby Amerykanie sobie odpowiedział na pytanie, ile ich będzie kosztować konfrontacja, którą Trump wypowiada Europejczykom.

Inna pewnie byłaby odpowiedź Trumpa, inna Republikanów, inna Demokratów.
– Ale najpierw niech ktoś im to pytanie zada. Gdybym miał być złośliwy, ale tak skrajnie złośliwy i gdyby zapytała mnie pani, kto powinien być szefem Unii Europejskiej, to bym powiedział, że Mark Carney, premier Kanady, ponieważ on przemawiał, jak mądry Europejczyk, którym przecież nie jest.
Wywołał wszystkie wątpliwości, wszystkie duchy, które dręczą takiego człowieka jak ja w obliczu nieodpowiedzialności prezydenta Stanów.

„Stary porządek nie wróci. Nie powinniśmy za nim płakać. Nostalgia nie jest strategią”, mówił Carney.
– Zgoda, nie miejmy do świata pretensji o to, że stary porządek nie wróci.

I Trump błyskawicznie cofnął mu wpisem w internecie zaproszenie do Rady Pokoju, bo to będzie „najbardziej prestiżowa rada przywódców, jaka kiedykolwiek została powołana”.
– Bo premier Kanady przede wszystkim pokazał, jak może nowy porządek wyglądać. Albo mizdrzysz się do super potęgi, możesz być dobrze opłacanym wasalem, byle jakim niewolnikiem, albo budujesz taki sojusz, w którym masz wpływ na swój los jako suwerenne państwo.
Zwrócę się teraz do polskiej prawy, uprzedzam, że to będzie strasznie patetyczne – gdy macie państwo tyle do powiedzenia o suwerenności, o Polsce, o godności, to zastanówcie się, czy godność Polski może zaistnieć pod dominacją Stanów Zjednoczonych czy w równoprawnych relacjach z państwami europejskimi.
Ja nie mam tego dylematu, bo wiem, że w Europie Polska jest godnie suwerenna. W Stanach Zjednoczonych? A z Ameryką Trumpa? Nie widzę tego.

Nawrocki w Davos pokazał, że nadal jest w Trumpa zapatrzony. Wziął udział w inauguracyjnym spotkaniu tej Rady Pokoju.
– Nie mam pretensji, że tam był. Jakbym był prezydentem, też bym poszedł. Oczywiście, że należy chodzić na takie spotkania. Nie zrobił nic złego.

Do rady zaproszenie dostali Łukaszenka i Putin. Nawrocki powinien przyjąć to zaproszenie?
– Nie. I tego nie powiedziałem. Stwierdziłem, że dobrze, że poszedł na posiedzenie inauguracyjne. A co będzie dalej z tą radą? Czy warto wydać miliard dolarów za zasiadanie w takiej radzie? Absolutnie nie.

Nawrocki miał Trumpowi złożyć propozycję, że zasiądzie w radzie w zamian za stałą bazę armii USA na terenie naszego kraju.
– Brzmi to dziwnie. Tym bardziej, że taka baza to polski interes. Więc komu bardziej na niej zależy?

Premier Kanady mówił jeszcze: „Aktywnie mierzymy się ze światem takim, jaki jest, zamiast czekać na świat, jakim chcielibyśmy, żeby był”; „W świecie rywalizacji wielkich mocarstw kraje średniej wielkości mają wybór: konkurować ze sobą o względy lub połączyć siły, aby stworzyć trzecią ścieżkę, która pozwoli im zachować wpływ”; „Zamiast czekać na przywrócenie starego porządku, należy tworzyć instytucje i porozumienia, które funkcjonują zgodnie z ich założeniami”. Europa jest na to gotowa?
– Przebija się ta świadomość. Już nie ma odwrotu od tego myślenia. W 2004 roku zostałem posłem do Parlamentu Europejskiego, patrzyłem wtedy na Unię Europejską jak na starą damę, elegancką, z klasą, która wszystko robi bardzo powoli, przestrzega wszystkich procedur. Z czasem zacząłem dostrzegać, że te procedury i ten styl, to ucieranie stanowisk ma sens, bo jest tak wiele różnych opcji, że potrzeba czasu, by się dogadać. Procedury

służą temu, aby się zrozumieć i być może zgodzić, chociaż częściowo. Nauczyłem się, czym jest kompromis.

Były pewne tabu w Unii, jednym z nich było wojsko i obronność. Przypomnę, że od początku integracji europejskiej mówiono o tym, że trzeba tworzyć europejski komponent obrony. Była nawet specjalna organizacja, która miała się tym zająć, ale została rozwiązana, ponieważ nikt nie traktował poważnie jakiegos równoległego myślenia o bezpieczeństwie.

A dziś? Dwa lata temu Europejczycy zdecydowali się wspólnie wydawać pieniądze, a wspólne długi integrują bardziej niż jakieś wiek traktaty. Jak była trwoga, to Europejczycy, którzy nigdy nie mieli jednej polityki ochrony zdrowia, kupili wspólnie szczepionki, bo tak było taniej. Dzisiaj wydają na zbrojenia setki miliardów Euro

Wojna w Ukrainie trwa, Europa pokoju nie zagwarantuje.

– Musimy szybciej działać, to też już wiemy. Ukraina jest takim miejscem, gdzie integracja myślenia o bezpieczeństwie, o tożsamości europejskiej, także w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony musi zaistnieć.

Parlamenty narodowe muszą iść do swoich obywateli z przekazem, że my, Europejczycy, musimy się nie tylko zbroić, ale współorganizować swoje działania, że gdyby przyszła godzina próby, to nie będziemy się oglądać na Stany Zjednoczone, tylko się bronić.

Wszyscy razem – Unia i USA musimy zakończyć wojnę w Ukrainie. Każdy musi mieć w tym swój udział. Myślę, że prezydent Nawrocki do tego też dojrzeje. Ta wojna się Amerykanom nie opłaca.

Może pokój się Trumpowi opłaca, bo może wreszcie dostanie upragnionego pokojowego Nobla.

– Chciałbym oddzielić to, co jest interesem Stanów Zjednoczonych od tego, co jest interesem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Myślę, że Amerykanie mają interes w tym, aby Federacja Rosyjska nie odniosła zwycięstwa, a przypomnę, że jest tylko jedno zwycięstwo, które wchodzi w rachubę z punktu widzenia Federacji Rosyjskiej – zniwelowanie, likwidacja fenomenu, jakim jest państwo ukraińskie. Ich narodu, języka, kultury, historii, elit, szkół, książek. Wszystkiego ukraińskiego. To jest plan, który ogłosił Putin. Jeśli ktoś czyta jego przemówienia uważnie, to już 4 lata temu mógł się doczytać tych tez.

Każde rozwiązanie, które nie będzie tym, czego pragnie Putin, będzie naszym zwycięstwem. Europejskim i amerykańskim.

Trump kupi Grenlandię, ten kawałek lodu? Jest przecież, jak sam powiedział, nadal agentem nieruchomości.

– Ale jaki piękny kawałek! Byłem na Grenlandii, jestem zakochany w tym miejscu. Tam żyje wielu fajnych ludzi. I mnóstwo psów. To musi być bardzo dobry kawałek świata, skoro mieszka tam tyle psów.

A potrzeby Trumpa da się zaspokoić. Przecież Ameryka nie chce utrzymywać posterunków na tej nieskończonej polaci lodowej. To, co jest naprawdę istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych, tej części świata i naszego, to udzielenie Amerykanom koncesji, jakie są im niezbędne.

Nie cierpiałbym, gdyby kawałek Grenlandii uzyskał status Portoryko, terytorium pod zwierzchnictwem Stanów Zjednoczonych, ale nie stan. Mieszkańcy Portoryko są obywatelami USA, mają prawo do swobodnego przemieszczania się, ale nie głosują w wyborach prezydenckich. Niech zbudują bazę wojskową. Jeśli się Duńczycy na to zgodzą, a pewnie się zgodzą, to rozwiąże konflikt.

To sytuacja bez precedensu. Jeden członek NATO chce posiadać drugi kraj – członka NATO.

– Mówi, że chce posiadać. Ale tak naprawdę nie chce posiadać.



• **Marek Siwiec i marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty. To Czarzasty w listopadzie ub. roku powołał Siwca na stanowisko Szefa Kancelarii Sejmu**

Serio uważa pan, że pan wie, czego chce Trump?

– Czuję, że nie chce posiadać całej. Ale pyta pani o przyszłość NATO. Tak, żądania Trumpa wobec Grenlandii to jest strzał z amunicji bardzo grubego kalibru w samo serce Sojuszu. Dlatego, że integralność terytorialna jest opisana w artykule piątym. I to jest tak fundamentalne, jak 10 przykazań Mojżesza, z którymi zszedł z góry Synaj.

Terytorium i ochrona tego terytorium – po to właśnie powstał Pakt Północnoatlantycki.

Najbardziej kreatywni poeci nie przewidzieli tego, że sojusznik może wyciągać rękę po terytorium innego sojusznika. Bo gdy tak się stanie, ten sojusz automatycznie przestaje istnieć. Bo co to znaczy? Że reszta sojuszników powinna bronić tego, który jest zagrożony? Dochozimy do błędnego koła, czyli konfliktu wewnątrz NATO. Nie wierzę w to, że Amerykanie – nawet przy tym szaleństwie urzędującego prezydenta – dopuściliby do tego.

Tak sobie wyobrażam, improwizuję teraz, że skoro Trump żąda Grenlandii, to tak naprawdę oczekuje jakiejś formy ułatwienia tam obecności militarnej. W tym ważnym miejscu dla świata za lat 10, 50 i za 150. To jest korzystne dla wszystkich Styl uprawiania polityki przez prezydenta Trumpa jest inny i musimy to wziąć po prostu pod uwagę, żeby nie wyłać Grenlandii z lodem.

Wiele rzeczy się nikomu wcześniej nie śniło, np. że prezydent USA porwie prezydenta Wenezueli.

– Mnie na pewno nie. To, że niektórzy przywódcy Ameryki Środkowej i Południowej są w stanie robić różne złe rzeczy, to wiemy. Ale że na polecenie prezydenta USA komandosi, w środku nocy porwą z sypialni głowę innego państwa i wywiozą do Nowego Jorku – to się nie spodziewałem. I to nie jest historia, która się już zakończyła.

Byłem świadkiem różnych decyzji amerykańskich, które miały bardzo nieoczekiwane i niespodziewane następstwa. Chociażby Irak. Rozpoczęto ten konflikt z zupełnie innymi założeniami niż to, jak potoczył się później. Nie widzę planu na Wenezuelę, ale nie muszę widzieć.

Nie powinniśmy? To nasz sojusznik.

– Tak, to jest nasz sojusznik. I dlatego ta metoda na dłuższą metę Ameryce się nie opłaca. Amerykanie przez lata prowadzili w Ameryce Południowej dużo brutalniejszą, bardziej bezwzględną, cyniczną politykę usłaną tysiącami ofiar, choćby w Chile czy Argentynie, gdzie rządziły junty wojskowe i dochodziło do przewrotów.

Tyle że przynajmniej udawano, że to jest wewnętrzna operacja. Teraz Amerykanie zademonstrowali, że są w stanie porwać przy-

denta obcego kraju. Ta sytuacja ma swoje konsekwencje – dlaczego wszyscy pozostali mają się powstrzymać przed takimi akcjami? Czy teraz komandosi na usługach przywódców będą dyktować rozwój wydarzeń na świecie? Nie chciałbym, żeby tak było.

Wydaje się, że jakaś równowaga została bezpowrotnie zachwiana, a my musimy się szybko uczyć. Nie tego, że powinniśmy też mieć taką jednostkę, która jest stanie porwać prezydenta innego państwa, ale, że taka polityka może być wkrótce na porządku dziennym. I że może to doprowadzić do wojny.

W Polsce coraz silniejsze są nastroje antyukraińskie. Odpowiadają za to prawica, nacjonaliści i flirtujący z nimi prezydent.

– Wojna za to odpowiada przede wszystkim. A że na tej wojnie chcą się utuczyć różne siły, to było zawsze, nie dotyczy to wyłącznie Polski. Ci, którzy entuzjastycznie przyjmowali na początku Ukraińców w Portugalii czy w Szwajcarii, teraz już by tego nie zrobili. Nie dziwny się, że ludziom często trudno jest poświęcić własny komfort.

Na początku było nam z tym dobrze, że oto my Polacy jesteśmy tacy wspaniali, że przyjęliśmy miliony Ukraińców, oddaliśmy swoje domy, serca. Teraz moment uniesienia minął, ja zawsze, i trzeba regulować stan, w którym Ukraińcy są u nas stale obecni. W naszym życiu gospodarczym, politycznym. Czy widzę interes Polski w tym, żeby dobrze i mądrze zorganizować obecność Ukraińców w Polsce? Oczywiście.

Włodzimierz Czarzasty chce, by odbudował Pan pozycję lewicy?

– Chce, bym dbał o dobre działanie Kancelarii Sejmu. Doradzam też w sprawach zagranicznych. Pozycja Lewicy to jest przede wszystkim zadanie partii i jej szefa.

Czyli Włodzimierza Czarzastego.

– Ja się w pełni identyfikuję z lewicą, nie mam z tym problemu.

To sprawdzę pańską lewicową pamięć. 41,04 to?

– To najlepszy wynik w głosowaniu, który mieliśmy.

Tak, w 2001 r. SLD wygrało wybory z rekordowym poparciem 41,04 proc., zgarnęło 5,3 mln głosów, co dało lewicy 216 mandatów.

– Spektakularne zwycięstwo, ale nie wystarczyło do samodzielnych rządów.

Po pięciu latach mieliście już tylko 1,3 mln głosów. A teraz? Lewica w ogóle wejdzie do następnego Sejmu?

– Jestem przekonany, że tak.

Bo?

– Proszę nie oczekiwać ode mnie, że będę jak wróżka. Wróżka podobno mieszka pod 16, Wiejska 16.

Słucham?

– Tak się mówi, że tam wróża, a nie tu. Bardzo wierzę w pracę organiczną. W to, że uprządkowane działania tworzą synergię. Widzę,

po szalenie trudnych latach, że lewica nauczyła się żyć w koalicji, realizować w niej swój program. Częściowo, ale realizować.

Częściowo nie zadowolilo Razem.

– Proszę pytać Razem, tam panuje inne myślenie, ale nie będę oceniać. W Nowej Lewicy jest dobra organizacja, spójność zarządzania, lojalność uczestników. To są rzeczy, które prędzej czy później muszą się przełożyć na wynik wyborczy. I stąd mój optymizm.

Zapomniał pan o wspomnieć o „komuchu Czarzastym”. W PZPR był od 1983 do 1990, krócej niż pan, ale wstąpił po stanie wojennym.

– Włodzimierz Czarzasty został wybrany przez obecny Sejm na marszałka. W demokratycznej Polsce działa od 35 lat. Wielokrotnie poddawał się wyborom. Czy oczerniając i próbując dezawuować w ten sposób człowieka, który stoi na czele Sejmu, nie oczerniamy państwa, systemu, procedur i samej instytucji?

Czarzasty zapowiada, że swoim wetem będzie wojować z wetem Nawrockiego.

– Oj zabolalo... Nie ma czegoś takiego jak weto za weto. To był skrót myślowy, który pokazuje, że Sejm nie jest maszynką do głosowania ani zamrażarką.

Sejm ma ekspertów, którzy wpuszczają na ten przysłowiowy bęben każdy projekt legislacyjny. I projekt jest sprawdzany: Ile to będzie kosztowało? Jakie będą tego skutki ekonomiczne, jakie skutki społeczne? Mając te informacje, marszałek podejmuje decyzje, co dalej z projektem. Czy kieruje to do dalszych prac czy nie, Czy chce energię, potencjał posłów, ekspertów marnować na konkretny projekt czy lepiej pracować nad prawem, na które być może ludzie bardziej czekają.

Rafał Trzaskowski mógł wygrać wybory prezydenckie?

– Mógł, ale nie wygrał. Takie są fakty.

Nawrocki w Pałacu Prezydenckim, lewica podzielona, partia Hołowni kompromituje się sama... Jak pan widzi losy Koalicji 15 października?

– Dobrze, dobrze...

Jest źle, a pan mówi, że dobrze.

– Koalicja działa. Jest takie powiedzenie, co cię nie zabije, to cię wzmocni. Uważam, że odejście Razem bardzo dobrze koalicji zrobiło, bo wreszcie wiadomo, że to przeciwnik, czasami bardzo cyniczny. I to jest zdrowe. Nieprawda, że każde rozstanie jest złe choć nie służy arytmetycznej większości, bo mamy czterech posłów mniej. Ale służy spójności koalicji. Skoro ktoś myśli jak opozycja, zachowuje się jak opozycja, niech siedzi tam, gdzie opozycja.

W 2015 r. Razem wylądowało pod progiem, dostało 3,62 proc. Skorzystało na tym PiS.

– Uczmy się wszyscy na tej historii. Jesteśmy ponad dwa lata po wyborach, na środku przeprawy. Pracujemy tu i teraz.

Kampania wyborcza zaczyna się dzień po wyborach. Ale wy kampanii nie prowadzicie.

– Ja mogę powiedzieć o kontrybucji lewicy.

Związki partnerskie? Nie będzie. Liberalizacja ustawy antyaborcyjnej? Nie będzie.

– Czyli mamy o czym rozmawiać.

Wyborcy nie chcą gadania o nowym prawie, a nowego prawa.

– Będzie projekt, trafił do Sejmu, teraz się okaże, komu się podoba, komu nie, potem trafi do Senatu. I wreszcie jako akt prawny znajdzie się na biurku prezydenta Rzeczypospolitej. I niech tenże prezydent przyjmie odpowiedzialność za decyzję, którą podejmie.

Ale to były wasze obietnice, nie jego.

– Na wszystkich spadnie odpowiedzialność proporcjonalnie do zasług. ●

W gronie doradców prezydenta uznano, że opłaca się pójść na wojnę z rządem. Odczuwają satysfakcję, że dowalili przeciwnikom

Zwrotnica

O. Tadeusz Rydzyk uważa, że rządy komunistyczne miały charakter liberalno-lewicowy. To śmiała teza politologiczna.



Michał Rusinek

Niedawno „Nasz Dziennik” udostępnił swoje łamy o. Tadeuszowi Rydzykowi, inicjatorowi i założycielowi tej gazety, stanowiącej – obok Radia Maryja i Telewizji Trwam – jeden z filarów imperium medialnego o. Rydzyka. Wywiad nosi nieco mylący, jak się zaraz okaże, tytuł „Zależy nam na dobrych dziennikarzach” i przeprowadziła go Małgorzata Rutkowska.

Wszystkim zależy na dobrych dziennikarzach! Wszyscy też zgodzimy się, że światowe media są dziś często w rękach tzw. finansjery, która „może nawet sterować rządami”, a rządy „niekoniecznie są niezależne”. Był to wprawdzie fragment odpowiedzi na pytanie o zagrożenia i szanse związane ze sztuczną inteligencją, ale o. Rydzyk na nie nie odpowiadał, tylko powiedział to, co akurat chciał powiedzieć.

Potem jednak dał przykład sterowania rządami przez media: „Jeżeli mogli zneutralizować prezydenta Stanów Zjednoczonych odłączając przywódcę światowego imperium od największych mediów społecznościowych, to widać, jaka to jest siła”.

Rzeczywiście, po przegranych wyborach przez Donalda Trumpa Facebook, Instagram i Twitter zablokowały konta prezydenta, w których umieszczał posty o sfałszowanych rzekomo wyborach i zachęcał do podważenia ich wyników (Twitter informował wtedy, że powodem blokady jest „ryzyko podżegania do przemocy”). Jak wiemy, po niespełna dwóch latach Elon Musk odblokował konto byłego prezydenta na Twitterze, rzekomo pod wpływem ankiety, w której spytał użytkowników serwisu, czy sobie tego życzą. Skomentował to „Naród przemówił. Vox Populi, Vox Dei”. Tego wątku w wypowiedzi o. Rydzyka już nie było. Przy okazji zauważmy, że Muska i Rydzyka łączy namietność do wielkich liter.

Kolejne pytanie dotyczyło tego, w czyich rękach są media w Polsce i na nie już o. Rydzyk odpowiedział kreśląc swego rodzaju rys historyczny: „Komunizm z centralą w Moskwie miał swoje interesy, potrzebne im były media dla celów propagandy [...]. Na pewnym etapie, po spotkaniu w 1986 r. Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa w Reykjavíku na Islandii, zwrotnica przestawiono z Moskwy na Brukselę. Jaka różnica? Inne opakowanie, ale ten sam kierunek: liberalno-lewicowy nihilizm”.

To nie koniec wypowiedzi, ale zatrzymajmy się na chwilę. **Po pierwsze**, jeśli Bruksela jest synekdochą Unii Europejskiej, która powstała w 1993 r., to znaczy, że Reagan i Gorbaczow w zasadzie ją przewidzieli. Owszem, istniała już wówczas Europejska Wspólnota Gospodarcza, ale nie mówiło się o niej „Bruksela”. **Po drugie**, jeśli „inne opakowanie, ale ten sam kierunek”, to oznacza, że o. Rydzyk uważa, że rządy komunistyczne miały charakter liberalno-lewicowy. To śmiała teza politologiczna. **Po trzecie**, Rydzyk zdaje się sam w nią nie wierzyć, a wła-

ściwie jego metaforyka mówi co innego: bo skoro przestawiono zwrotnicę, to jak można było jechać w tym samym kierunku? Nie mówiąc już o tym, że pociągi rzadko bywają czymkolwiek opakowane.

Tutaj już o. Rydzyk się rozkręca i uruchamia charakterystyczną dla siebie stylistykę: pojawiają się równoważniki zdań i jacyś bliżej nieokreśleni „oni”:

„Kolonizowanie gospodarcze, polityczne, kulturowe. Przeszkadzają im religia, Pan Bóg i oczywiście Kościół. Co najwyżej będą używali jednej religii przeciwko drugiej, tak jak teraz wykorzystują islam przeciwko chrześcijaństwu. W Europie widać, jak postępuje islamizacja chrześcijańskich krajów”. Kim są „oni”? Przedstawicielami finansjery, o których przedtem była mowa? Liberalno-lewicowymi politykami? A może dziennikarzami? Oni to po prostu oni. Wiadome siły. Są potężni, skoro potrafią nawet manipulować wyznawcami różnych religii i napuszczać je na siebie.

Kolejne pytanie dotyczyło pieniędzy: Radio Maryja powstało ponoć „z niczego – nie było biznesplanu, wielkich kapitałów”, czy więc „ewangelizacja nie zaczyna się od pieniędzy?” – spytała podstępnie dziennikarka własnego szefa.

Na to o. Rydzyk opowiedział wzruszającą, acz dość zawiklaną historię: pewna Włoszka namówiła go do założenia Radia mówiąc, że „ewangelizacja jest bardzo ważna”, a Jan Paweł II nie jest własnością Polaków – „to dar Boga dla nas wszystkich”. Z tego płynie wniosek, że dla o. Rydzyka „pierwszy jest zawsze człowiek. Żeby powstało dobre dzieło, muszą najpierw być współpracownicy, szlachetna myśl, dobry duch, determinacja do działania. Owszem, środki są potrzebne, od tego nie uciekniemy. Każdy aparat, każdy przesłany sygnał kosztują, to są duże koszty”.

Czytając to kiwamy głowami, więc o. Rydzyk błyskawicznie wykorzystuje tę naszą chwilę słabości i zadaje retoryczne pytanie: „Jaka jest twoja wiara? Czy dajesz świadectwo, czy służysz prawdzie? Czy jesteś dla Chrystusa, czy dla szatana?”. Nie ma bowiem innych opcji.

Najciekawszy jest ostatni fragment. Nadal nie dotyczy tytułowych „dobrych dziennikarzy”, ale to istota myślenia ojca dyrektora: „Ewangelizujemy przez kulturę, ale najpierw kulturę trzeba zewangelizować”.

Nie bardzo wiemy, co to jest „ewangelizowanie przez kulturę”, ale domyślamy się, że kultura jest przez Radio Maryja wykorzystywana w celach innych niż kulturowe: jako swego rodzaju wehikuł do przekazywania treści religijnych.

O. Rydzyk ma świadomość, że nie bardzo się do tego nadaje, więc ma marzenie, by ją zewangelizować, czyli ubezwłasnowolnić, ocenizować lub po prostu ograniczyć do kultury chrześcijańskiej. Rzekomo chrześcijańskiej, bo z chrześcijaństwem o. Rydzyk nie ma zbyt wiele wspólnego: to, co prezentuje w swoich mediach, to po prostu katolicko-nacjonalistyczna propaganda. Dla niego prawdziwa kultura to taka, która nadaje się do niesienia tej propagandy, dla zmyłki nazywanej ewangelizacją. Tak jak Moskwa wykorzystywała media do swojej propagandy, tak Toruń wykorzystywać chce kulturę dla swojej.

Pożyczając metaforykę od ojca dyrektora można powiedzieć, że propagandowy pociąg Rydzyka jedzie tymi samymi torami, co niegdyś pociąg sowiecki, choć w nieco innym opakowaniu. Dla tego pociągu nie trzeba było przestawiać zwrotnicy. ●

Iluzja twardego państwa

Przemoc nie jest dowodem siły państwa, lecz znakiem jego erozji. Państwo stabilne nie musi eskalować, bo jego autorytet działa w tle.



Marcin Matczak

Stany Zjednoczone mają długą tradycję strzelania do swoich obywateli. Dotąd byli to zazwyczaj obywatele czarni, co ma znaczenie wyłącznie dlatego, że strzelanie dało się wyjaśnić systemowym rasizmem. Ostatniego strzelania i zabijania – Renee Good i Alexa Prettiiego – nie da się tak wyjaśnić, bo ofiary były białe. Jaka więc inna zła siła za tym strzelaniem stoi?

To potrzeba kreowania wroga i związany z nią grzech eskalacji. Śmierć tych ludzi nie była nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, lecz przewidywalnym skutkiem decyzji politycznej, która podniosła napięcie w przestrzeni publicznej. Donald Trump jak mały chłopiec chciał się pobawić żołnierzkami i uznał, że urządzi wielką pokazówkę z ich wysyłaniem w różne miejsca USA, żeby udowodnić, jaki jest ważny i poważny.

Aby zaspokoić tę niedojrzałą potrzebę, jego administracja użyła federalnych służb imigracyjnych w przestrzeni miejskiej – nie w formie cichego, administracyjnego egzekwowania prawa, lecz jako widowiskowej demonstracji siły. A uzbrojeni agenci, ich agresywna obecność i akcje prowadzone ostentacyjnie, na oczach kamer i opinii publicznej doprowadziły do eskalacji napięcia.

Skutki eskalacji przemocy

Tego typu decyzje nie działają w próżni. Państwo, które manifestacyjnie wprowadza przemoc symboliczną do codziennego życia, samo produkuje warunki konfliktu: ludzie reagują stresem, strachem, chaosem decyzyjnym, funkcjonariusze działają w atmosferze presji, wrogiego otoczenia i poczucia obłąkania. W takim środowisku najmniejszy błąd kończy się tragedią.

Bo im bardziej władza chce wyglądać na silną, tym bardziej produkuje sytuacje graniczne – stres, reakcje obronne, błędy poznawcze. W takim środowisku przemoc i śmierć nie są anomalią, lecz statystyczną konsekwencją.

Znamy to z naszego podwórka, bo też mamy szeryfów w krótkich spodenkach. Śmierć Barbary Blidy w 2007 roku, do której wyjaśnienia polskie władze niedawno wróciły, to też przykład tego, co dzieje się, gdy państwo używa aparatu przymusu nie po to, by coś wyjaśnić, lecz by coś zamanifestować – swoją determinację, bezwzględność, „nową jakość”. I jakie skutki ma eskalacja przemocy.

Akcja ABW wobec Blidy, do której doszło za pierwszych rządów PiS, gdy ministrem sprawiedliwości był Zbigniew Ziobro, a szefem ABW Bogdan Świączkowski, była elementem szerzej zakrojonej operacji polityczno-medialnej, w której aresztowania, zatrzymania i przesłuchania stały się spektaklem. Celem nie było wyłącznie zabezpieczenie dowodów w sprawie podejrzenia o przekazanie łapówki, lecz wytworzenie obrazu państwa twardego, bezwzględnego wobec „układu”.

Jej zatrzymanie z udziałem uzbrojonych funkcjonariuszy, w jej własnym domu, przy

całkowitym braku bezpośredniego zagrożenia, nie było operacją konieczną. Chodziło jednak o to, żeby było operacją symboliczną.

Państwo miało przecież wiele narzędzi de-eskalacyjnych: wezwanie, przesłuchanie, kontakt przez pełnomocnika, stopniowanie środków. Z żadnego z nich nie skorzystało. Czy gdyby skorzystało, emocje wzrosłyby do tego poziomu, do którego wzrosły? Czy wtedy padłby ten tragiczny w skutkach, samobójczy strzał?

Iluzja twardego państwa

Ta polska śmierć i te amerykańskie nie były nieprzewidywalne, ale statystycznie i psychologicznie możliwe. Mechanizm był prosty: najpierw demonstracyjna interwencja państwa, która gwałtownie uderza w godność, prywatność i poczucie bezpieczeństwa. W efekcie skrajny stres, poczucie upokorzenia i zagrożenia i decyzja graniczna w sytuacji psychicznego przeciążenia. Możliwość tych śmierci było ryzykiem, które państwo świadomie podjęło, uznając, że koszt psychiczny i ludzki jest akceptowalny wobec zysku wizerunkowego.

Strzały w USA i strzał w Siemianowicach obnażają więc iluzję twardego państwa. Pokazują, że pokazowa przemoc nie zwiększa skuteczności, ale zwiększa ryzyko tragedii, za którą nikt potem nie chce wziąć odpowiedzialności. Bo potem albo okłamuje się ludzi, wciskając im kit, że pielęgniarz był terrorystą, albo robi jak Zbigniew Ziobro, który według relacji byłego szefa MSWiA Janusza Kaczmarka miał zadzwonić z placem, prosząc „Ratuj!”.

W obu przypadkach eskalacja była wyborem politycznym – szybciej budowała obraz sprawczości, skuteczniej produkowała emocje i mobilizowała zwolenników. Dlatego te sprawy nie są anomaliami, ale symptomami tej samej choroby: władzy, która myśli odpowiedzialność z demonstracją siły. Śmierć nie jest tu wypadkiem przy pracy, lecz kosztem ubocznym strategii, która od początku zakładała grę na krawędzi.

Tymczasem obowiązkiem państwa jest de-eskalacja przemocy. Ono nie jest po to, by pokazywać, kto rządzi, lecz po to, by zmniejszać liczbę sytuacji, w których przemoc staje się możliwa. Władza publiczna nie jest uczestnikiem konfliktu, ale jego regulatorem. Ale jeśli musi wykreować wroga i pokazać, jak skutecznie z nim walczy, to zaczyna działać jak szalenie.

Rutyna bez teatru

Myśl polityczna od Hobbesa po Webera i Arendt uznaje, że przemoc nie jest dowodem siły państwa, lecz znakiem jego erozji. Państwo stabilne nie musi eskalować, bo jego autorytet działa w tle. Prawo jest wykonywane rutynowo, bez teatralnych gestów – bo państwo to poważna instytucja, nie agencja ochrony detektywa Rutkowskiego. Eskalacja pojawia się wtedy, gdy trzeba polegać na szoku, strachu i presji i zawsze jest przyznaniem się do porażki.

Grzech eskalacji przypomina o fundamentalnym znaczeniu konstytucyjnej zasady proporcjonalności – i o tym, że kiedy niedowartościowani chłopcy zaczynają się bawić w szeryfów, to coś bardzo złego tylko czeka, żeby się zdarzyć.

Proporcjonalność mówi: państwo nie może robić wszystkiego, co może, tylko to, co jest konieczne. Ma obowiązek dobrać środki tak, by minimalizować ryzyko szkody, zwłaszcza tam, gdzie po drugiej stronie stoją zwyczajni ludzie, a nie uzbrojeni przestępcy.

Problem w tym, że państwo, które dla celów politycznych musi wykreować wroga, w pewnym momencie nawet tych zwyczajnych ludzi zaczyna traktować jak śmiertelne niebezpieczeństwo. I wtedy zaczyna do nich strzelać. ●

POTĘGA ŚREDNIEJ WIELKOŚCI

Tusk i Nawrocki chcą się chwalić G20,
a ja sprawdzam, czy jest czym.

Arkadiusz Gruszczyński

Pod koniec tego roku Karol Nawrocki spotka się z Donaldem Trumpem i innymi przywódcami w Miami na szczycie G20. Tym samym Polska dołączy, choć jeszcze nie w roli stałego członka, do grona największych gospodarek świata.

Sukces ma wielu ojców, w tym dwóch najważniejszych: urzędującego prezydenta oraz premiera Donalda Tuska. Dwa obozy polityczne będą chciały przypisać sobie największe zasługi dyplomatyczne i wizunkowe. Sprawdzam więc, czym tak naprawdę jest grupa G20, jakie korzyści może nam przynieść udział w grudniowym szczycie i czy zwykli ludzie od czują bogactwo symbolizowane przez G20.

Strategia Tuska: G20 to sukces rządu
Ale zanim zrozumiemy, jakie konsekwencje niesie ze sobą udział Polski we wspomnianym szczycie G20, spójrzmy za kuliszy rządu i plany premiera na najbliższe miesiące, bo są one kluczowe dla zrozumienia kilku mechanizmów politycznych.

Rok bez wyborów nie zachwyca ani rządu, ani opozycji.

– W czasie kampanii wyborczej oczy społeczeństwa są zwrócone na naszą partię, możemy testować pomysły, ludzie są skupieni na robocie. Tego wszystkiego nie będzie w tym roku – opowiada jeden z lewicowych polityków.

Rządzący doskonale zdają sobie sprawę, że w spokojniejszym czasie Polacy mogą zacząć zadawać pytania o jakość rządzenia. I sprawdzać, co zmieniło się w systemie opieki zdrowia, szkolnictwie czy w połączeniach kolejowych i autobusowych między małymi miastami. Porażki koalicji rządzącej – te realne, jak i wyolbrzymiane przez opozycję – mają zostać przykryte działaniami marketingowymi.

W rządzie już wiedzą, że bez strategii komunikacyjnych, kampanii telewizyjnych i internetowych przegrają na każdym polu z przeciwniczką, która o wiele lepiej radzi sobie z docieraniem do różnych grup społecznych. Kilku strategów politycznych, z którymi od czasu do czasu rozmawiam o technicznej stronie „robienia polityki” przyznaje, że mechanizmy polityczne ma najlepiej opanowane Prawo i Sprawiedliwość.

– Przykład? Proszę bardzo: robimy podobne badania dla Koalicji Obywatelskiej i PiS-u, idziemy najpierw na spotkanie na Nowogrodzką, zaczynamy omawiać wyniki i widzimy, że wszyscy politycy i ludzie z zaplecza partii robią szczegółowe notatki, zadają pytania, są zaangażowani. A jak idziemy do KO, to mamy wrażenie, że nikt nas nie słucha, a na koniec słyszymy, że skoro rządzą, to wiedzą, jak się robi politykę – usłyszałem ostatnio.

Coś się jednak dzieje na zapleczu rządu, wyciągane są wnioski. Ważni ministrowie z rządu Tuska przekazali mi, że w 2026 roku premier złoży parasol z hasłem „Robimy, nie gadamy” nad wieloma projektami. I zacznie się chwalić tym, co robi koalicja.

– Kierownik skupi się na snuciu opowieści o realnym sukcesie gospodarczym. Przypomnimy, że dzięki koalicji urodziło się 10 tys. dzieci z programu in vitro. Że nasz głos w końcu liczy się na arenie międzynarodowej, a Polska jest dzisiaj zupełnie innym krajem niż 30 lat temu. Opowiemy, że z roku na rok zarabiamy więcej, mamy pieniądze na wakacje. Będziemy mówić o Polakach, którzy wracają z emigracji. – słyszę od ważnego ministra. Mówiąc po ludzku: premier postawi na soft power, zarówno w wydaniu międzynarodowym, jak i na użytek wewnętrzny.

Tylko czy to wystarczy, żeby wygrać przyszłoroczne wybory i utrzymać wysokie poparcie sondażowe – z tym pytaniem idę do dr. Mirosława Oczkosa, eksperta od wizerunku politycznego i wykładowcy Szkoły Głównej Handlowej.

– Na pewno nie, choć wykorzystywanie w komunikacji rządu soft power porównałbym do tworzenia politycznego tła, szerszego kontekstu dla codziennych decyzji premiera i jego ministrów – referuje dr Oczkoś.

To niezwykle ważny element polityki, bo opowieści o małych i większych sukcesach mogą trafić do osób, które nie interesują się kolejnymi prezydenckimi wetami, ucieczką Zbigniewa Ziobry do Budapesztu, sporem między Kaczyńskim a Tuskiem czy rekonstrukcją rządu.

– Dlatego dla wielu osób te drobne kroki, czyli sukces programu in vitro czy silniejszy głos Polski na arenie międzynarodowej są ważne. Politycy muszą jednak ubrać tę opowieść w szaty zrozumiałe dla przeciętnego Kowalskiego, który może sobie zadać pytanie: co mi z tego, że jestem w G20, skoro nie starcza mi do pierwszego? I dlatego PiS miał program 500+ – opowiada Oczkoś. Porównuje obecną sytuację polskiego społeczeństwa do stacji benzynowej.

– Polacy uwielbiają programy lojalnościowe. Często tankujemy, więc dostajemy kartę do zbierania punktów. I okazuje się, że Polacy wolą dostać do ręki maskotkę, torebkę, toster czy książkę niż rabat na paliwo. Nasze społeczeństwo uwielbia natychmiastową gratyfikację, namacalny konkret w rękach.

Ludzie lubią też zobaczyć, że coś działa, dlatego pomysł na PR-owe zagranie powrotami Polaków z emigracji jest na rękę Tuskiemu. Premiera w latach 2007-13 oskarżano o to, że doprowadził do masowego eksodusu Polaków za granicę. A teraz będzie mógł powiedzieć, że dzięki jego pracy dzisiaj ludzie wracają do kraju – tłumaczy Oczkoś.



▲ Spotkanie w Białym Domu prezydentów RP i USA: Karola Nawrockiego i Donalda Trumpa podczas wizyty Nawrockiego w USA, 3 września 2025 r. FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Słyszę coś jeszcze: Tusk i jego otoczenie powinno skupić się na jednej opowieści.

– Obserwując działania komunikacyjne rządu widzę pospolite ruszenie, czyli realizację kilku koncepcji jednocześnie. Zamiast jednego lub dwóch celów komunikacyjnych, mamy chaos. I na koniec ludzie wybierają sobie to, co ich interesuje. A to błąd, ponieważ rząd musi wyznaczyć jedno lub dwa zadania, ideę, koncepcję, wokół których zbuduje polityczny przekaz – twierdzi ekspert.

Dodajmy, że takimi projektami mogłyby być przedszkola w każdej gminie, nowoczesne biblioteki z dostępem do sztucznej inteligencji albo stypendia dla wszystkich studentów pierwszego i ostatniego roku – na start i dokończenie nauki.

Podsumujmy: rząd chwając się sukcesami gospodarczymi może dotrzeć do osób niezainteresowanych polityką, premier odrobił lekcję z początku obecnej kadencji, kiedy nie istniała żadna strategia komunikacyjna koalicji. Jednocześnie Tusk musi znaleźć namacalny konkret, coś na kształt 800+.

Polska w G20: spór Nawrockiego z Tuskiem

W moich rozmowach z politykami koalicji rządzącej przewija się zaproszenie do grupy G20 jako dowód na rosnące znaczenie Polski – i samego Tuska – na świecie. Ale rzeczywistość jest bardziej skomplikowana.

Z jednej strony wejście do G20 to ukoronowanie pracy kilku pokoleń, które najpierw walczyły o wolną i demokratyczną Polskę, a następnie budowały jej dobrobyt. Możemy być z siebie dumni: po wejściu do NATO i Unii Europejskiej prześcignęliśmy w ciągu 37 lat

gospodarczo wszystkie kraje Europy Środkowowschodniej. Na rozwoju skorzystali naprawdę wszyscy: w ciągu 35 lat PKB wzrosło w Polsce o 200 proc.

Ale z drugiej – G20 nie jest jednak organizacją, która z dnia na dzień zmieni życie Polaków. G20 nie jest Unią Europejską ani Bankiem Światowym czy Międzynarodowym Funduszem Walutowym, nie ma również cech unii gospodarczych czy paktu militarnego.

G20 powstała w 1999 roku po kryzysie finansowym w Azji, a 10 lat później przerodziła się z roboczej grupy, która łączyła ministrów finansów najbogatszych krajów świata w coroczne spotkania przywódców. Omawiają na szczytach strategiczne cele polityki gospodarczej, zdrowotnej, klimatycznej czy technologicznej.

Grupę tworzy 19 państw, Unia Europejska oraz Unia Afrykańska, a na szczytach pojawiają się doproszeni przez liderów przedstawiciele innych państw. W tym roku ten przywilej spotka Polskę. Jednocześnie do Miami, gdzie odbędzie się szczyt G20, nie przybędą liderzy Republiki Południowej Afryki, co stawia Warszawę w kłopotliwej sytuacji dyplomatycznej.

Donald Trump dyskredytuje RPA, oskarża jej przywódców o przesładowanie białych obywateli, co nie znajduje potwierdzenia w statystykach ani tym bardziej w rzeczywistości.

To prezydent USA we wrześniu ubiegłego przekazał zaproszenie do Miami Karolowi Nawrockiemu. W grudniu pisaliśmy w „Wyborczej” o konflikcie na linii Pałac Prezydencki – rząd. Udział w pracach G20 ma kilka poziomów: osobno spotykają się prezydenci, osobno ministrowie, w tym szefowie dyplomacji i resortów finansów oraz banku centralnego.

Jak donosił Bartosz W. Wieliński, rząd zaproponował, by udział Polski koordynowali wiceminister spraw zagranicznych Marcin Bosacki i szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta Marcin Przydacz.

– Otoczenie prezydenta poskarżyło się w Białym Domu. W efekcie z Waszyngto-



nu przyszła odpowiedź, że Amerykanie chcą rozmawiać o przygotowaniach tylko z Przydaczem. Prezydencki minister tym faktem zdążył się pochwalić na platformach społecznościowych. Pisał m.in., że jedzie do Waszyngtonu na spotkanie przygotowawcze G20, chwalił „dyplomację prezydenta Nawrockiego” i kpil z „mistrzów dyplomacji z Szucha” (gmach MSZ) – mówili nasi informatorzy.

To polityczne tło jest ciekawe, ale mnie tak naprawdę interesują trzy kwestie, o których wspomniałem na początku: co Polska może realnie zyskać na udziale w pracach grupy G20, w jaki sposób poprawi się jakość życia przeciętnego mieszkańca kraju i czy Polskę stać na wielkie projekty infrastrukturalne na miarę Centralnego Portu Komunikacyjnego.

– Nasz kraj może zyskać wizerunkowo, a mówiąc konkretnie: dzięki udziałowi w szczycie zapewnimy Polsce darmowy marketing na całym świecie. A to może się przełożyć na większy ruch turystyczny lub popularność polskich produktów – twierdzi prof. Jacek Tomkiewicz, dziekan kolegium finansów i ekonomii Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie. Ale oprócz dobrego PR-u Polska będzie mogła zawierać nowe sojusze gospodarcze z największymi krajami świata.

– Ponadto inwestorzy z zagranicy zorientują się, że Polska staje się atrakcyjnym rynkiem, dzięki czemu będą mogły powstać nowe miejsca pracy – dodaje mój rozmówca.

Od ministra finansów i gospodarki Andrzeja Domańskiego (KO) dowiaduję się, że przygotowania do szczytu trwają nie tylko w Kancelarii Prezydenta i Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ale też w jego resorcie i Narodowym Banku Polskim.

– Szczyt z udziałem prezydenta Karola Nawrockiego będzie istotny, ale nie mniej istotne są spotkania tzw. ścieżki finansowej, które trwają cały rok, gdzie będziemy rozmawiać o tym, co jest najważniejsze dla światowej gospodarki – mówi minister.

Zastępca Domańskiego i zastępczyni prezesa Glapińskiego wzięli udział już w jednym takim spotkaniu, kolejne są zaplanowane w najbliższych miesiącach. – Współpraca z NBP przebiega bez zarzutu, a zaproszenie rządu i szefa banku centralnego pokazuje, że pracujemy w G20 nie jako obserwator czy zewnętrzny gość, tylko jako pełnoprawny członek grupy – mówi mi Domański.

Pytam, jaki cel stawia sobie polski rząd pracując z G20. – Będziemy mówić o sukcesie Polski i procesie deregulacji jako narzędziu wzrostu gospodarczego, upraszczaniu prawa, ścisłej współpracy rządu z przedsiębiorcami. Na pewno będziemy rozmawiać o funkcjonowaniu rynków finansowych i likwidowaniu nierównowag w światowej gospodarce – odpowiada Domański.

Dopytuję, co Polska może zyskać na wejściu do G20, część lewicy czy ruchów antyglobalistycznych uważa wręcz, że to klub elit pogłębiający nierówności ekonomiczne.

– Polsce zależy na obecności przy tak istotnym stole decyzyjnym. Dla mnie ważne jest, że będziemy mogli prezentować Polskę jako kraj, który odniósł niepodważalny sukces, co powinno się przełożyć na zainteresowanie inwestycjami zagranicznymi nad Wisłą. Chcemy też budować prestiż państwa na arenie międzynarodowej – mówi mi minister finansów i gospodarki.

Zwracam mu uwagę, że część społeczeństwa niekoniecznie musi czuć dumę z sukcesów gospodarczych, skoro wiele usług publicznych jest na fatalnym i niedofinansowanym poziomie.

– Odwróciłbym pańską narrację i zwrócił uwagę, że dołączamy do grupy G20 ze względu na pracę poprzednich pokoleń i realną poprawę jakości życia ludzi. W 2024 roku realny wzrost wynagrodzeń był największy w XXI wieku. Nie chodzi o cyfry i dane, tylko o to, że ludzi stać na większe zakupy i fajne wakacje z dziećmi.

Inflacja spada, ceny żywności się zatrzymały. Dodajemy do tego saldo migracyjne: tysiące ludzi z Wielkiej Brytanii, Niemczech, Holandii, Szwecji czy Norwegii wracają do Polski, ponieważ u nas koszty życia są znacznie niższe i zarabia się lepiej niż 15 lat temu.

Powtórzę: jesteśmy w G20, ponieważ nasze wynagrodzenia rosną, inflacja spada, Polaków stać na więcej. Co nie oznacza, że nie stoją przed nami wyzwania: ceny energii są nadal za wysokie, mamy nadal jeszcze dużo do zrobienia w obszarze deregulacji – twierdzi Domański.

Co Polska zyska na G20

O przygotowaniu do G20 pytam też otoczenie prezydenta. Karol Nawrocki współpracuje w tej sprawie z rządem i jednocześnie rozmawia o szczycie z innymi przywódcami. „Wystarczy wymienić styczniowe aktywności – to m.in. spotkanie z premierem Wielkiej Brytanii w Londynie (Wielka Brytania będzie organizatorem Szczytu Państw grupy G20 w 2027 roku), spotkania o profilu politycznym i gospodarczym w Davos (np. z szefem Banku Światowego czy ponownie z prezydentem USA), a także konferencja z udziałem ambasadorów państw G20 i przedstawicieli polskich firm o zasięgu globalnym, zorganizowana w Pałacu Prezydenckim”, czytam w mailu, który otrzymałem od rzecznika prezydenta Rafała Leśkiewicza.



To tak, jakbyśmy krytykowali naszego kolegę, że gra w golfa w klubie dla miliarderów. Cóż oprócz zazdrości przez pana by przemawiało?

„Pan Prezydent liczy na merytoryczną współpracę dla dobra Polski. Jednym z ważniejszych celów jest przekonanie naszych brytyjskich partnerów do zaproszenia Polski do udziału w szczycie organizowanym przez Wielką Brytanię. Prezydent uznaje, że udział w grupie G20 tworzy szanse dla rozwoju naszego kraju i jest w najlepszym interesie Polski” – czytam w wiadomości.

Ale co tak naprawdę dla Polski oznacza, że będziemy w G20? Czy już za 10 lat Polska będzie przypominała kraje skandynawskie, które są wyznacznikiem cywilizacyjnych zmian? A nasze przemysły technologiczne dogonią Azję i Dolinę Krzemową? A może powiększające się bogactwo przełoży się na naprawdę progresywne projekty społeczne takie jak powszechny dochód gwarantowany?

– Rząd buduje Port Polska i Kolej Dużych Prędkości, inwestujemy w elektrownię jądrową, w bardziej efektywne sieci elektryczne i połączenia kolejowego pomiędzy mniejszymi ośrodkami. Rozbudowujemy również polskie porty, żeby nasze firmy miały okna na świat i realizujemy kluczowe projekty społeczne takie jak program in vitro, który zmienia życie tysięcy polskich rodzin.

Proszę nie zapominać, że graniczymy z krajem, w którym trwa wojna, więc już teraz wydajemy rocznie 200 mld zł na naszą obronę – tłumaczy mi Andrzej Domański. Pytanie brzmi, czy rząd będzie w stanie przekonać Polaków, że na inwestycjach wymienionych przez ministra finansów i gospodarki korzystają wszyscy.

Prof. Marcin Piątkowski, autor książki „Złoty wiek. Jak Polska została europejskim liderem wzrostu i jaka czeka ją przyszłość”, twierdzi, że dołączenie do G20 jest naturalną częścią rozwoju Polski.

– Ale tylko od nas będzie zależało, czy wykorzystamy tę szansę. Czy dobry wizerunek Polski zamienimy na konkretne inwestycje z zagranicy? A musimy pamiętać, że w zeszłym roku z nowymi inwestycjami zagranicznymi nie by-

ło najlepiej. Jednocześnie produkty czy usługi z naszego kraju mogą się dobrze kojarzyć w Indonezji czy Australii, co poprawi nasz eksport.

Ponadto znajdujemy się w momencie, w którym nasi przedsiębiorcy mogliby wykupować firmy w Niemczech. Ale też na świecie, szczególnie że udział europejskiej gospodarki na świecie spadł do 15 proc. PKB, choć jeszcze 30 lat temu wynosił 27 proc. Za 10 lat spadnie do 10 proc. Ostatni raz tak było w średniowieczu, co oznacza, że nasze firmy powinny już teraz myśleć o światowej ekspansji. W czym pomoże nam G20, bo na świecie inaczej postrzegają się członków tej grupy niż pozostałe kraje – opowiada Piątkowski.

Jego zdaniem Polska stała się średniej wielkości lokalną potęgą. Prof. Piątkowski nawołuje do słów premiera Kanady Marka Carney’a, który na Forum Ekonomicznym w Davos zwrócił uwagę, że właśnie średnie, bogate państwa muszą zawiązywać nowe sojusze dyplomatyczne, militarne i gospodarcze.

– Dlatego w naszym interesie jest wykorzystać zaproszenie do G20 i zmieniać świat w kierunku nakreślonym przez Carney’a. Pyta pan, co Polska mogłaby zaproponować innym krajom, z jakimi doświadczeniami podzielić się z G20. Na pewno polski eksperyment z deregulacją jest nośnym hasłem, ale nie zapominać o takich elementach jak ściągłość podatków, z którymi wiele biedniejszych od nas krajów ma poważny problem. A Polska zbudowała skuteczny system podatkowy.

Idźmy dalej: nasz sektor bankowy i finansowy nie zanotował nigdy kryzysu. Praktycznie wszystkie kraje naszego regionu i G20 mają na koncie takie wstrząsy. Mamy dobrze działające instytucje finansowe, które mogą być wzorem dla świata – mówi prof. Piątkowski.

Wymienia też zieloną transformację – Polska obecnie produkuje połowę energii ze słońca, wiatru i wody – oraz wygraną walkę z korupcją, z którą nie radzą sobie rozwijające się kraje.

Ale czy na pewno skorzystamy na wejściu do G20? Co, jeśli Trump porozumie się z Władimirem Putinem albo napadnie na Grenlandię? Przecież w takiej sytuacji wspólne zdjęcie Karola Nawrockiego z amerykańskim prezydentem nas skompromituje.

– Rozumiem, że stara się pan szukać negatywnych konsekwencji, ale ja ich nie widzę. To tak, jakbyśmy krytykowali naszego kolegę, że gra w golfa w klubie dla miliarderów. Cóż oprócz zazdrości przez pana by przemawiało?

A przecież w rzeczywistości zyskamy dostęp do ucha ludzi, którzy decydują o przyszłości świata. Poza tym kiedy 20 lat temu mówiłem o sukcesie polskiej gospodarki, to ludzie pytali się, gdzie leży ten kraj. A dzisiaj dostaliśmy zaproszenie do najbardziej elitarnych grup na Ziemi. Właśnie wchodzimy do tej elity i warto to docenić – uważa prof. Piątkowski.

Co tak naprawdę wynika z tych wszystkich wypowiedzi? Premier i koalicja rządząca zamierzają podkreślać na każdym kroku polską drogę do sukcesu gospodarczego. Prezydent chce zacieśniać relacje dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Obie strony będą chciały politycznie ugrać jak najwięcej dla siebie: Tusk skupiając się na soft power, a Nawrocki na politycznej przyjaźni z Donaldem Trumpem. Największe szanse na polityczny sukces ma rząd, bo to partie koalicyjne zyskują na dobrej sytuacji ekonomicznej kraju.

To raz. Dwa – nie wiadomo, w jaki sposób obecność w G20 przełoży się na nasz dobrobyt. Trzeba pamiętać, że bogata Hiszpania nie zasiada w grupie, a wśród jej przedstawicieli są liderzy krajów, które nie radzą sobie dzisiaj najlepiej: bankrutująca Argentyna, borykająca się z wieloma kryzysami jednocześnie Francja czy Niemcy, które walczą ze złą jakością infrastruktury publicznej.

A może chodzi o to, żebyśmy pierwszy raz od dekad poczuli się dumni i zapomnieli na chwilę o poczuciu krzywdy? Bo jak powiedział mi ostatnio w kawiarni na Placu Zbawicieli pewien znajomy: – Arek, przecież my jesteśmy jako Polska zwycięzcami! ●



SZUKAJĄC OBIADU, *trafiłam na koniec*

Monika Redzisz

dzie do roboty, zamiast przeszkadzać zwykłym ludziom!”, „Ekoterrorysty!”, „Banda szkodliwych idiotów!” – krzyczą zdenerwowani kierowcy.

Na poboczu młoda dziewczyna mówi do kamery łamiącym się głosem: „Piąty raz w ciągu dwóch tygodni siedzę na Wisłostradzie i nienawidzę tego. Nie mogę uwierzyć, że ja, 20-latką, mam skończone życie przez kryzys klimatyczny i muszę siadać tutaj naprzeciwko tych ludzi, którzy jadą do pracy, do swoich dzieci, do szpitala. Jest mi bardzo przykro, że tyle osób cierpi przez nasze protesty. Ale dzieje się tak dlatego, że ktoś na górze nie wykonuje swojej pracy. Chcemy, aby premier usiadł z nami do stołu. Panie premierze, czy porozmawia pan ze społeczeństwem?”.

Jak ja mogę mieć marzenia?

Z dziewczyną, która blokowała Wisłostradę – jedną z założycielek Ostatniego Pokolenia – spotykam się w Gnieździe. Julia Keane, rocznik 2004, pochodzi z dwujęzycznej rodziny; jej matka, Polka, pracuje w korporacji, ojciec, Irlandczyk, jest wykładowcą akademickim na UW. Studiuje socjologię i antropologię na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Humanistycznych na UW.

– Jak to się stało, że zostałaś aktywistką klimatyczną? – pytam.

Siedziałam na jezdni i czułam się jak idiotka.

Ale jedyne, co mogłam zrobić, to postawić swoje ciało na tej linii, żeby zachować godność

– Kiedy miałam 15 lat, zdecydowałam się zostać wegetarianką i szukałam w internecie roślinnych przepisów – opowiada. – Ludzie, którzy je wrzucali, pisali zazwyczaj o wpływie hodowli zwierząt na klimat. Dzięki nim dowiedziałam się, że kryzys klimatyczny jest tak zaawansowany, że jeżeli emisje nie zostaną bardzo szybko ścięte, czeka nas załamanie systemów, które gwarantują życie na Ziemi. I tak, szukając pomysłów na obiad, trafiłam na informację o końcu świata.

Był rok 2018 – czas publikacji alarmującego raportu IPCC (Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu). Naukowcy szacowali, że globalne ocieplenie wzrośnie do 1,5 C ponad poziom przedindustrialny między 2030 a 2052 rokiem, jeśli będzie postępować w obecnym tempie. Dalsze ocieplenie miałyby katastrofalne skutki, ale ograniczenie ocieplenia do poziomu poniżej 1,5 C lub zbliżonego jest jeszcze możliwe. Wymaga jednak redukcji emisji o 45 proc. przed rokiem 2030 oraz osiągnięcia zerowej emisji przed rokiem 2050, co oznacza szybkie i daleko idące zmiany w wielu aspektach naszego życia.

Raport wywołał poruszenie w ONZ i zmobilizował do działania 15-letnią wtedy Gretę Thunberg w Szwecji.

– Runęło moje przekonanie o stabilności świata – mówi Julia. – Szykowałam się do egzaminu gimnazjalnego i myślałam: „Na co to wszystko? Po co mam się tak starać? Jak ja mogę mieć marzenia?”.

„Wiedzieliście o tym?” – pytałam rodziców, nauczycieli, znajomych. Wzruszali ramionami. Byli niezadowoleni, że psuję im zabawę. Ale koleżanka zabrała mnie na Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. Przyszło z 10 tysięcy osób. Zobaczyłam, że jednak są ludzie, którzy widzą, co się dzieje i się tym zajmują. Pomyślałam z ulgą, że może jeszcze nie wszystko stracone.

Ty my powiedz, dlaczego nic nie robisz

Dołączyła do Strajku latem 2019. O klimacie zrobiło się głośno; postulaty MSK o edukacji, informacji czy neutralności klimatycznej zostały podpisane przez wszystkie partie z wyjątkiem Konfederacji; nawet PiS podpisał się pod trzema. Powstało Ministerstwo Klimatu.

– Ale szybko się okazało, że nie ma to żadnych realnych konsekwencji. Wiele osób wycofało się ze Strajku. Dotąd byłam jedną z najmłodszych, teraz stałam się jedną z najstarszych i najbardziej doświadczonych osób w ruchu, choć doświadczona wcale nie byłam. Zawsze byłam strachliwa, nieśmiała, wycofana; nie wyobrażałam sobie, że mogę organizować zgromadzenia, na które przyjdą tysiące ludzi. Ale wiedziałam, że jeśli ja tego nie zrobię, nie zrobi tego nikt.



• Julia Keane,
Stanisław Kur,
Przemko
Radwański
i Andrzej
Strzałkowski
z Ostatniego
Pokolenia.
Warszawa,
24.01.2026r.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ /
AGENCJA WYBORCZAPL

Świata

Współorganizowała strajk 3 kwietnia 2020 roku, a w marcu wybuchła pandemia i wszystko trzeba było odwołać. Z przyjaciółmi Nawojką Ciborską, Tytusem Kiszką i Andrzejem Jurowskim zdecydowali się na porzucenie Młodzieżowego Strajku Klimatycznego i założenie małego kolektywu, który nazwali Bombelki.

Dwa lata robili na Instagramie kampanię o szkodliwości gazu. Natrafili wtedy na teksty i podcasty Rogera Hallama, założyciela Extinction Rebellion w 2019, a w 2022 sieci A22: Just Stop Oil w Wielkiej Brytanii, Letzte Generation w Niemczech, Ultima Generazione we Włoszech, Renovate Switzerland w Szwajcarii czy Stopp oljeletinga w Norwegii. Te ruchy stosowały metodę obywatelskiego nieposłuszeństwa: akcje blokujące ruch uliczny, zawody sportowe, wydarzenia artystyczne.

Działać należało w następujących po sobie interwałach: najpierw mobilizacja, czyli regularne spotkania otwarte, ulotki, działania, które zapraszają ludzi do dołączenia, a po niej kilka tygodni akcji. Efektem miały być kryzysy społeczne, które sprawiają, że o ruchu robi się głośno, co umożliwia kolejną, szerszą mobilizację.

Hallam został skazany za zakłócanie porządku publicznego przez blokowanie autostrady na pięć lat więzienia; w tej chwili przebywa w areszcie domowym.

– Widzieliśmy, jak wielką siłę rażenia mają te taktyki – mówi Julia. – Just Stop Oil blokowało ruch w Londynie. Ludzie byli wściekli, ale jednocześnie liczba osób deklarujących, że kryzys klimatyczny jest jednym z największych zagrożeń, rosła. Hallam dawał gwarancję, że w pół

roku staniemy się najgłośniejszą kampanią klimatyczną w kraju. Postanowiliśmy to zrobić w Polsce.

– Ale co da wkurzenie zwykłego Kowalskiego, który przez was spóźni się do pracy? To nie jest człowiek decyzyjny – mówię.

– Próbowaliśmy wcześniej wszystkiego: organizowaliśmy marsze, kampanie edukacyjne, podpisywaliśmy petycje. Wszystko na nic! Politycy nas ignorowali, bo politycy robią coś tylko wtedy, kiedy ich wyborcy są zli. Potrzebowaliśmy czegoś, co nie pozwoli im spać spokojnie. Korzystamy z modelu bezprzemocowego protestu, który jest prawdopodobnie najskuteczniejszym działaniem małej grupy, która nie ma pieniędzy, wpływu, kontaktów.

Wtedy trzeba być po prostu tak głośnym, jak się da. Widzieliśmy, że w innych krajach to działa. W Polsce. Trzeba dziś zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby zmusić rządy i korporacje do działania. Sam sekretarz ONZ Antonio Guterres powiedział, że jesteśmy na autostradzie do piekła klimatycznego.

Najtrudniejsza dla niej akcja?

– 18 lipca 2024. Nieśliśmy tabliczki z nazwami 200 gmin, w których wydano apele o oszczędzanie wody. Mieliliśmy właśnie za sobą 14 najgorętszych miesięcy w historii. Był taki skwar, że asfalt się topił. Kryzys klimatyczny czuliśmy na własnej skórze. Siedziałam na ulicy i czułam się jak idiotka. Co to za pomysł siedzieć na środku drogi i utrudniać życie wszystkim wokół? A jednak jedyne, co mogłam zrobić, to postawić swoje ciało na tej linii, żeby zachować godność w tym strasznym świecie, choć i tak pewnie nic to nie da. Po tym proteście przeżyłam załamanie nerwowe, nie mogłam przestać płakać przez trzy dni. Tak mało jest ludzi, którzy coś robią.

– Dlaczego tak jest?

– Ty my powiedz: dlaczego nic nie robisz?

Pochwały i bluzgi

W lutym 2024 nazywają się Ostatnim Pokoleniem. Ostatnim, które może ograniczyć skutki katastrofy klimatycznej. Zaczynają organizować spotkania i pisać postulaty. 4 marca publikują je w formie listu otwartego do rządu. Pierwszy: skokowe zwiększenie inwestycji w kolej i komunikację zbiorową przez przekazanie 100 proc. środków z budowy nowych dróg ekspresowych i autostrad na regionalne i lokalne połączenia kolejowe i autobusowe od 2025 roku. Drugi: stworzenie wspólnego biletu miesięcznego za 50 zł na transport regionalny w całym kraju. List ma charakter ultimatum.

– Dlaczego akurat transport? – pytam.

– Emisje z transportu rosną w Polsce najszybciej. W latach 2005-17 poszybowały o 77 proc. Wciąż budujemy autostrady, które zabiorą nas do piekła – mówi Julia. – Ale to nie jest tylko o przyrodzie. Im bardziej w górę będą szły ceny energii, wody, jedzenia, tym bardziej cierpieć będą zwykli ludzie. Zapaść klimatu najbardziej dotknie najbardziej potrzebujących. Kilka milionów Polaków jest wykluczonych komunikacyjnie. Domagamy się dostępnego, taniego transportu publicznego.

Ich pierwsza głośna akcja odbywa się dzień wcześniej, 3 marca. – Poszłam z tatą i siostrą do Filharmonii na jubileuszowy koncert Antoniego Wita. Orkiestra grała Mozarta, gdy nagle na scenę wbiegły dwie osoby z banerem Ostatniego Pokolenia i zaczęły krzyczeć: „To jest alarm! Nasz świat płonie! Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może powstrzymać katastrofę klimatyczną!” – opowiada Katarzyna Piotrowska, 41 lat, w Akademii Leona Koźmińskiego uczy statystyki i metodologii badań.

Wit koncertu nie przerwał. Orkiestra grała dalej.

– Nie wiedziałam, co się dzieje. Czy to jest ustawione z dyrygentem i orkiestrą? Może jakiś performance? Nie słyszałam o Ostatnim Pokoleniu, ale to, co krzyczały te osoby, było bardzo poruszające. Miałam poczucie, że ktoś wytrąca nas z takiego nadętego zamknięcia się w tej filharmonii i udawania, że świat na zewnątrz nie istnieje.

Od tej pory śledziła ich akcje.

– Ciągnęło mnie do nich, ale nie byłam pewna, czy się wśród nich odnajdę. Nigdy nie byłam aktywistką i obcy był mi ton przerażenia; ja nie mam w sobie takiego lęku, raczej czuję złość na obojętność i bezczynność ludzi wobec tego, co pozwalamy, by działo się z klimatem. Do dołączenia do Ostatniego Pokolenia ostatecznie skłoniły mnie okropne komentarze na ich temat. Widziałam, że walczą o naprawdę ważną sprawę i są dla niej gotowi podejmować ryzyko. Rozumiałam, że nie każdemu się to podoba, ale hejt, który się na nich wylewał, był nie do zniesienia. Pomyślałam, że muszę stanąć po ich stronie.

Po koncercie nagle zrobiło się o nich głośno.

– Dostawaliśmy i pochwały, i bluzgi – mówi Julia.

– Ale nawet one zmuszały ludzi do dyskusji na temat klimatu. Nasze akcje są tylko nośnikiem tej informacji: że kryzys klimatyczny rośnie i że winni są temu konkretni ludzie.

8 marca odbyła się kolejna akcja. 21-letnia Mariana Jasiczak i 22-letnia Julia Pruszyńska oblały czerwoną farbą warszawską Syrenkę. Do akcji odniósł się Rafał Trzaskowski („Nie można w naszym mieście robić takich rzeczy!”) i ówczesny minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz („Dzieci, nie oblewajcie sztuki! Oblejcie mnie!”).

– Jestem pewna, że Krystyna Krahelska, która dała twarz Syrence, by nas poparła – broni się Julia. – Należała przecież do PPS, walczyła o sprawiedliwe społeczeństwo. Miałaby mieć problem, że oblaliśmy jej pomnik odrobiną skrobi? Walczyła przecież w powstaniu warszawskim, przez które zostało zniszczone całe miasto. Jeżeli chcemy się czegoś od niej uczyć, to walki o lepszy świat dla przyszłych pokoleń, a nie składania hołdu pomnikom.

Stanisław i Julia

Premier nie odpowiadał na ich ultimatum, zaczęli więc niemal codziennie blokować ulice i mosty w Warszawie. Niektórzy aktywiści przyklejali się do jezdni.

– Co na to twoi rodzice? – pytam.

– To trudny temat... Nie są zadowoleni z tego, co robię, ale myślę, że to się bierze bardziej z lęku o mnie niż z racjonalnej oceny, czy to jest słuszne. Wiem, co czują – mój partner też jest w Ostatnim Pokoleniu. Bardzo się o niego boję.

26 lipca 2025 roku 23-letni Stanisław Kur przerwał mecz Lechii Gdańsk z Lechem Poznań. Miał bilet w pierwszym rzędzie. Przeskoczył barierkę i wbiegł na boisko w koszulce z napisem „Lex Ostatnie Pokolenie”, żeby zaapelować do prezydenta elekta Nawrockiego, fana Lechii, o podpisanie ustawy o odbudowie polskiej kolei i transportu autobusowego.

Trafił do aresztu na 40 godzin; proces miał już po dwóch dniach. Groziło mu do trzech lat więzienia; dostał wyrok trzech miesięcy ograniczenia wolności w postaci prac społecznych i dwa lata zakazu wejścia na imprezy masowe.

– Po raz pierwszy realnie zmierziliśmy się z Julią z tym, że możemy zostać rozdzieleni. Chcę działać, ale mimo woli pojawia się taka myśl: skoro mamy przed sobą ostatnie lata spokojnego życia, to czy nie lepiej spędzić je razem w radości i bliskości? – mówi.

Jest studentem drugiego roku politologii, pracuje także jako asystent biura w szkole językowej.

– Choć już od kilku lat nie uważam się za członka Kościoła, to właśnie z katolickiego domu wyniosłem postawę zaangażowania i troski o bliźniego. Obserwowałem to szczególnie u mojej mamy – mówi. – W liceum przeżyłem silny rozdźwięk pomiędzy wiarą i przekonaniami a rzeczywistością. Pamiętam kampanię wyborczą Andrzeja Dudy na drugą kadencję i to, do jakich nagonek i nienawiści doprowadził wtedy Kościół.

Kryzysem klimatycznym przejmowałem się od dawna. Moi bliscy pytali mnie o plany na przyszłość; miałem poczucie, że wszyscy wokół mnie są ślepi. Bali się o rozwój gospodarczy i bezpieczeństwo kraju, ale nie uwzględniali kluczowego zagadnienia – klimatu.

Pamiętam, jak w 2022 roku aktywiści w Londynie obalili zupą obraz van Gogha. „Jak to ma niby pomóc sprawie?” – zastanawiałem się.

Ale potem przeczytałem wnioski z badania Social Change Lab i okazało się, że niechęć do protestujących nie przekłada się na niechęć do postulatów, których widoczność się zwiększyła.

To dzięki tej akcji najważniejsza dziś kwestia trafiła do mediów, a w zeszłym roku rząd przyjął ich postulat zakazu wydawania licencji na wydobycie ropy i gazu. Ich kampania była sukcesem. Siostrzana kampania ze Szwecji wniosła kwestię ochrony mokradeł na pierwsze strony gazet.

Kiedy Ostatnie Pokolenie zaczęło akcje w Warszawie, nie mogłem uwierzyć, że mierzą się z takim niezrozumieniem i agresją. Nazywanie chuliganami, a nawet terrorystami ludzi, którzy niczego nie zniszczyli i zawsze dbali o to, żeby w razie czego przepuścić karetkę, budziło tylko moją sympatię dla nich... Zadałem sobie pytanie: dlaczego poddają się fatalizmowi, beznadziei?

Dołączyłem do nich w maju 2025 roku. Towarzyszyły mi silne emocje, strach, stres. Przed pierwszą blokadą

Wisłotrady nie mogłem spać. „Czy to się naprawdę dzieje? Zaraz złamię prawo?” – myślałem. Czytałem po raz kolejny raport IPCC, żeby sobie przypomnieć, że to ma sens. Zablockowaliśmy cztery pasy, po 20 minutach zobaczyłem nad sobą policjantów i zostaliśmy zniesieni na pobocze. Byłem bardzo zestresowany, ale doświadczyłem też wtedy takiej głębokiej wspólnoty z innymi protestującymi. To doświadczenie solidarności ze mną zostało.

Niejednokrotnie mierzyłem się z komentarzami moich najbliższych. Że kiedyś mnie cenili, że nie mogą uwierzyć, że robię takie rzeczy. To bardzo trudne słyszeć takie słowa.

Konsekwencje

Choć są małą grupą – w protestach aktywny udział bierze w sumie około 100 aktywistów, drugie tyle organizuje spotkania, rozdaje ulotki, wrzuca treści na media społecznościowe itd., to każda ich akcja powoduje lawinę komentarzy, najczęściej bardzo negatywnych. To mała próbka z internetu:

„Zamknąć za kratami, może zmądrzeją”.

„Jestem za szeroko rozumianą ekologią i działaniami na rzecz środowiska, ale nie z wami. Robicie wszystko, żeby zniechęcić ludzi do zmian”.

„Chciałbym dożyć swoich dni, popijając zimne piwo po pracy i palić po nocach plastik. Na pohybel ekologom!”.

„Oj dzieciaki, jeszcze musicie się wiele o życiu nauczyć. A na pewno tego, że siedząc tyłkiem na asfalcie, nic nie wskoracie”.

„Wandale i terroryści”.

„Ostatnie Pokolenie powinno być całkowicie zakazane i ich członkowie wyrzuceni z kraju. To podżegacze wojenni i klimatyczni, którzy dewastują Polskę i są opłaconymi szkodnikami”.

Kto ich finansuje? Z czego się utrzymują? Twierdzą, że nikt.

– Utrzymujemy się tylko dzięki drobnym wpłatom naszych sympatyków. 80 proc. wszystkich wpływów to są datki rzędu 25-30 złotych – mówi Julia. – Kampanie w innych krajach miały sporą poduszkę finansową dzięki Climate Emergency Fund. Brytyjczycy, Niemcy czy Francuzi mogli zatrudniać setki osób, które jeździły po kraju, zapraszały ludzi, uczyły organizowania protestów. Kiedy my zaczęliśmy działalność, grant się już skończył. A22 to tylko sieć organizacji; wymieniamy się czasem pomysłami i informacjami. To wszystko.

Demonstracyjnie podkreślają gotowość ponoszenia konsekwencji swoich czynów, bo – jak mówią – sprawa, o którą walczą, jest dla nich ważniejsza niż wszystko, co może ich z tej okazji spotkać. Mają setki spraw sądowych, placą grzywny, mają zasądzane prace społeczne, choć na razie nikt z nich nie odbył kary pozbawienia wolności.

Frasyniuk i Janda piszą do Tuska

– Metoda nieposłuszeństwa obywatelskiego, która ma zwrócić uwagę opinii publicznej na ważne problemy, znana jest od dawna. Stosował ją choćby Martin Luther King – mówi Marcin Matczak, specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor na Wydziale Prawa i Administracji UW.

– Zwykle jednak dotyczyło to sytuacji, w których prawo to uznawano za niemoralne – tak jak w przypadku segregacji rasowej. Tu nie mamy takiej sytuacji – Ostatnie Pokolenie nie narusza norm, które uznaje za niemoralne, bo nie sądzę, żeby za takie uznawało ochronę własności czy dóbr kultury. Mają coś ważnego do powiedzenia, ale robią to w sposób destrukcyjny i przemocowy, podczas gdy Rose Park, która usiadła na miejscu osoby białej, nikomu nic złego nie zrobiła.

Ich metody nie mają szacunku dla wspólnoty, a przecież rozwiązanie problemu zapłaci klimatycznej wymaga działania wspólnotowego. Widać też pewną niewspółmierność pomiędzy formą ich wystąpień a treścią. O ile komunikat strajkujących rolników jest prosty i zrozumiały, o tyle na akcje Ostatniego Po-



• **Robert Gola, 56 lat, asystent zdrowienia z Sosnowca, do Ostatniego Pokolenia dołączył wiosną ubiegłego roku. „Od początku byłem przekonany, że ta młodzież ma rację”**

kolenia ludzie często patrzą jak na czystą złośliwość.

Kiedy jednak Donald Tusk napisał na platformie X: „Blokowanie dróg, niezależnie od politycznych intencji, stwarza zagrożenie dla państwa i wszystkich użytkowników dróg. Wezwaliśmy dziś odpowiednie służby do zdecydowanego reagowania i przeciwdziałania takim akcjom”, w odpowiedzi dostał „apel od poprzednich pokoleń”.

„Z goryczą przyjmujemy Pańskie stanowisko uznające akty obywatelskiego nieposłuszeństwa i pokojowe demonstracje, w formie blokad ulicznych, za stwarzające »zagrożenie dla państwa i użytkowników dróg«. Traktujemy to nie tylko jako groźny populizm, który nastawi i tak już spolaryzowane społeczeństwo przeciw sobie, ale też jako odebranie praw i wolności obywatelskich, które przysługują wszystkim na mocy Konstytucji RP i wiążących Polskę umów i konwencji międzynarodowych. Kryminalizowanie lęków najmłodszej generacji jest niegodne. Apelujemy o rozpoczęcie rozmów z Ostatnim Pokoleniem”.

Pod listem otwartym podpisało się kilkadziesiąt osób m.in. Władysław Frasyniuk, Zbigniew Bujak, Krystyna Janda, Agnieszka Holland, Monika Płatek.

– To, co mnie najbardziej szokuje w opiniach o nich, to obawy o nadmierny radykalizm. Zapoznałem się z ich postulatami i są one nie radykalne, tylko racjonalne i pragmatyczne – mówi Władysław Frasyniuk. – To grupa zaangażowanych ludzi, którzy z determinacją walczą o to, żeby ich głos był usłyszany. Kompletnie nie rozumiem, dlaczego nikt z rządu się z nimi nie spotka i nie próbuje skanalizować tej energii. Kiedy nie ma komunikacji, zawsze zaczyna się protest.

Gdyby politycy powiedzieli, że, wsłuchując się w głos młodego pokolenia, inwestują w kole, prawdopodobnie protesty by ustały. Ale na razie są niestety na etapie: „Pokażemy tym gówniarzom, gdzie ich miejsce”. Szczerze mówiąc, jestem pełen podziwu dla tych młodych ludzi, że podnoszą się po kolejnych brutalnych atakach.

Dlaczego państwo było bezradne wobec strajków rolników? Bo rolnicy są wyborcami. Ostatnie Pokolenie to mała grupa, więc państwo może pokazać siłę. Uderza się zawsze w słabszego. Problemem tego pokolenia jest także demografia. Jeśli chcą mieć wpływ, muszą szukać kontaktu ze starszym pokoleniem, bo nigdy nie będą stanowili większości.

*Politycy robią coś tylko wtedy,
kiedy ich wyborcy są źli.
Potrzebowaliśmy czegoś, co nie
pozwoli im spać spokojnie*

Bo mój wnuk nie będzie miał co pić

Szukają. W ich szeregach jest coraz więcej ludzi z różnych pokoleń i różnych środowisk.

– Przez kilkadziesiąt lat pracowałem w organizacjach ekologicznych, zakładałem ośrodki edukacji, prowadziłem różne programy. Szokujące jest dla mnie dzisiaj to, że wciąż nie wszyscy wiedzą o tym, że za 20 lat będziemy w piekle. Kiedy pojawił się Młodzieżowy Strajk Klimatyczny, chodziłem na strajki w zachwycie.

„Nam się nie udało nic zrobić, ale teraz młodzi przejmują pałeczkę. My nie potrafiłmy, ale oni to zrobią” – myślałem. Niestety okazało się, że zostali zmarginalizowani tak samo jak my. I zrozumiałem, że skończyły się nam wszystkie narzędzia w legalnym, demokratycznym instrumentarium – mówi dr Przemko Radwański, 69 lat, który dołączył do Ostatniego Pokolenia. Jest wykładowcą kulturoznawstwa w Instytucie Edukacji Artystycznej Akademii Pedagogiki Specjalnej.

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego większość ludzi w tym kraju nie protestuje razem z nami. Może nas, starych, najgorsze ominie, ale mamy przecież dzieci!

Politycy też mają dzieci; naprawdę nie interesuje ich ich los?

Ja nie potrafię pogodzić się z tym, że mój syn, mój wnuk i inni bliscy mi młodzi ludzie nie będą mieli co pić ani co jeść. Albo staną się ofiarami, albo będą do siebie strzelać, walcząc o szklankę wody. Skoro nie jestem jeszcze całkowicie bezradny, to chcę coś z tym zrobić – tłumaczy.

– Od początku byłem przekonany, że ta młodzież ma rację – mówi Robert Gola, 56 lat, asystent zdrowienia z Sosnowca, który do Ostatniego Pokolenia dołączył wiosną tego roku. – Badania pokazują, że takie skrajne flanki aktywistyczne przesuwają w debacie publicznej środek ciężkości – bardziej umiarkowane grupy nagle zyskują więcej zwolenników. Poza tym dzięki nim do opinii publicznej wreszcie przebijają się informacje o problemie.

Ekologią zainteresował się na studiach na wydziale górniczym na AGH.

– Popchnęła mnie w tym kierunku wizyta w największym w Europie zbiorniku odpadów z górnictwa między w gminie Polkowice. Dostrzegłem do badań, które dowodziły, że okoliczni mieszkańcy zapadają na choroby onkologiczne gardła i płuc, bo zbiornik generuje pyły. Utylizacja odpadów poprzemysłowych z górnictwa wydała mi się przyszłością i niestety przyszłością do dzisiaj pozostała – mówi.

– Po studiach zacząłem pracować w handlu; zrobiłem karierę, zarabiałem duże pieniądze, ale kosztowało mnie to zdrowie. Zmieniłem zawód i zaangażowałem się w ruchy aktywistyczne zajmujące się ochroną przyrody i demokracji.

W 2023 zapisał się do Partii Zielonych.

– Po październikowych wyborach myśleliśmy, że temat ochrony przyrody wreszcie się przebieje. Urszula Zielińska z Zielonych dostała tękę wiceministry Ministerstwa Ochrony Środowiska, tękę ministrowi – Paulina Hennig-

-Kłoska z Polski 2050, Mikołaj Dorożala został głównym konserwatorem przyrody. Nie zrobili nic. Byłem bardzo rozczarowany polityką. I wtedy pojawiło się Ostatnie Pokolenie.

Do Ostatniego Pokolenia należy także Andrzej Strzałkowski z Nysy, 30 lat, prawnik. Pracuje w administracji publicznej, gdzie zajmuje się przepisami dotyczącymi odnawialnych źródeł energii, i kończy doktorat z socjologii na temat koncepcji dewrostru.

– To pomysł na to, jak przebudować naszą gospodarkę, żeby była przystosowana do ograniczonych zasobów naszej planety – tłumaczy. – W tej chwili jest ona tak skonstruowana, że musi rosnać. Konsumujemy coraz więcej, powodując zmiany klimatyczne, niszcząc biosferę i doprowadzając do skrajnych nierówności społecznych. Trzeba więc zmniejszyć gospodarkę najbardziej rozwiniętą, przy zachowaniu dobrego poziomu życia, zmniejszenia ilości stresu i większej ilości czasu wolnego, a wzrost dopuścić tylko w krajach najbiedniejszych, ale w formie zrównoważonej.

– Brzmi utopijnie – mówię.

– Nie do końca. Ten model wzrostu, który mamy obecnie, to historycznie coś całkiem nowego. PKB strzela do góry dopiero od lat 50.-60. Cały współczesny model kapitalizmu to kwestia drugiej połowy XIX wieku.

– Ale nie było takiego momentu w historii, żeby ludzkość z własnej woli ograniczyła się w konsumpcji.

– Cóż, jeżeli to się nie uda, to będziemy żyć w coraz straszniejszym świecie – coraz większych nierówności, głodu, katastrof.

– Czy to dlatego przystąpiłeś do Ostatniego Pokolenia?

– Miałem poczucie, że wreszcie ktoś zachowuje się adekwatnie do sytuacji, budzi ludzi z tej bierności. Naukowcy od lat grzmieli, że emisje powinny spadać, a one wciąż rosną, padają kolejne rekordy – mówię.

– Od dziecka chciałem robić w życiu coś, co ma sens. Kiedyś w nagrodę za udział w olimpiadzie dostałem książkę Marcina Popkiewicza „Świat na rozdrożu”, która opisuje globalne zagrożenia: wyczerpywanie się ropy naftowej, kryzys energetyczny, zmiany klimatu i model wzrostu gospodarczego, który degradował coraz bardziej planetę. Zafascynowało mnie to. Nie przeżyłem depresji klimatycznej; ucieszyłem się, że wiem, czym chciałbym się w życiu zajmować.

Kiedy dołączyłem do Ostatniego Pokolenia, optowałem za tym, żeby jak najwięcej mówić o postulatach, bo jeżeli mamy być skuteczni, musi być wiadomo, o co nam chodzi, inaczej nikt się nami nie będzie przejmował. I tak się dzieje. Myślę, że budujemy właśnie masowy, ponadpolityczny ruch społeczny, który zmieni Polskę.

Jestem za rozmowami z górnikami, rolnikami, hutnikami, kolejarzami. Stajemy za nimi, a przeciwko elitom – tym u władzy, tym najbogatszym, którzy bezpośrednio zarabiają na tym, co klimat w szczególności niszczy. Sprawiedliwa transformacja klimatyczna to sensowny kierunek rozwoju.

Manifest z twarzą przyciśniętą do bruku

W jednej z ich najgłośniejszych akcji wziął udział Paweł Kasprzak, 64 lata, działacz Obywateli RP i opozycji antykomunistycznej w PRL-u, który razem z Rafałem, aktywistą Ostatniego Pokolenia, próbował oblać farbą bramę Stocznii i 21 postulatów „Solidarności”. Rafał zdołał rozpylić z gaśnicy nieco krochmalu z sokiem z buraków, ale szybko został obezwładniony przez policjantów; Paweł Kasprzak nie zdążył nawet sięgnąć po farbę. Swoją manifest wygłaszał z twarzą przyciśniętą do bruku. Mówił potem, że nigdy, nawet w PRL-u, nie został tak brutalnie potraktowany przez policję.

– Wspomnienie Sierpnia to jedno z najpiękniejszych wspomnień w całym moim życiu – opowiadał podczas spotkania na Zoomie. – To była Polska moich marzeń. Nagle wszyscy staliśmy się lepsi. Hutnicy walczyli o podwyżki

dla pielęgniarzek, przed bramami strajkujących zakładów pracy panowało braterstwo.

30 sierpnia stanąłem przed Bramą nr 2 świadomy tego, że zaraz zbrukam ten święty dla mnie symbol. Ale nie obrazoburstwo było naszym zamiarem. Ruch ikonoklastów zwalczał w średniowieczu kult obrazów nie dlatego, że chcieli opluć świętość, tylko dlatego, że samo jej wyobrażenie było aktem profanacji. Oni sacrum bronili, a nie występowali przeciwko niemu.

My też z Rafałem broniliśmy wartości, które symbolizuje ta brama, przed faryzejsstwem oficjalnej celebry. Bo jej uczestnicy, którzy sobie orderzy nawzajem przypinają w uznaniu niegdysiejszych zasług, zapomnieli, o co nam w tamtej rewolucji sierpniowej chodziło.

Po polskich ulicach maszerują najbrunatniejsi faszysti, na białoruskiej granicy giną niewinni ludzie, Ostatnie Pokolenie jest lekceważone i opluwane za protest w sprawie oczywistego zagrożenia katastrofą klimatyczną. Zrobiłem to z pełnym przekonaniem, choć bez specjalnej wiary, że spotka się to ze zrozumieniem.

Nagie piersi na Zamku Królewskim

– Nikt nie zrobił tak dużo złego dla promowania ekologii i walki o klimat jak Ostatnie Pokolenie. Ich działania są przeciwskuteczne – uważa Rafał Gaweł z Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. – Uderzenie w zwykłych ludzi, blokowanie karet, niszczenie pomników czy dzieł sztuki spowodowały, że miliony Polaków zaczęły postrzegać postawy proekologiczne jako takie, które są wymierzone w zwykłego człowieka.

Politycy działają tak, jak chcą ich wyborcy. Jeśli wyborcy będą powszechnie narzekać na zatrute powietrze, to politycy będą skłonni o nie walczyć. Dzięki działaniom Ostatniego Pokolenia będą zachowywali się odwrotnie – będą się przedstawiać jako ci, którzy bronią ludzi przed ekologami.

Zajmujemy się w Ośrodku badaniem mowy nienawiści. Po działaniach Ostatniego Pokolenia obserwowaliśmy dziesiątki tysięcy negatywnych wpisów ludzi, którzy do tej pory byli neutralni. Teraz stali się przeciwnikami ekologii, bo ekolodzy kojarzą im się z kimś, kto powoduje, że rodząca kobieta nie może dojechać do szpitala – złożyliśmy do prokuratury zawiadomienie o blokowaniu przejazdu karet.

Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane; nie wolno narażać życia ludzi do osiągnięcia nawet najbardziej szlachetnych celów. Jeśli

tak się dzieje, to mamy do czynienia z postawami, które ocierają się o terroryzm.

Złożyliśmy także zawiadomienie w sprawie trwałego zniszczenia pomnika Syrenki. Wiem, że chcieli oblać pomnik preparatem, który można zmyć, ale okazało się, że piaskowiec wchłania nawet organiczne substancje i nie można ich usunąć. Nie wolno niszczyć dóbr kultury w imię ideologii. Czym to się różni od talibów niszczących starożytne rzeźby w Afganistanie?

Chcę zaznaczyć, że stawaliśmy także w ich obronie. Ich działacze zostali zaatakowani podczas marszu narodowców przez polityka Konfederacji Pawła Wyrzykowskiego, który na oczach kamer razem z kilkoma kibolami napadł ich, wyrwał im ich rzeczy i je zniszczył. W tej sprawie również złożyliśmy zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

Na szczęście wygląda na to, że zmieniają metody działania. Akcja przy „Rejtanie” była bardzo trafiona – niczego nie niszczyła, a cel został osiągnięty, bo informacja została przedstawiona opinii publicznej. Bardzo rozsądny jest też protest przed Sejmem. To politycy kształtują przepisy i to na nich trzeba wywierać nacisk.

7 września Nadia, działaczka Ostatniego Pokolenia, padła na kolana przed obrazem Rejtana w Zamku Królewskim i rozdarła koszulę, pokazując nagie piersi i nawiązując do protestu Tadeusza Rejtana przeciwko rozbirom Polski.

„Elity sprzedają nas tak, jak kiedyś sprzedawały Polskę! – krzyczała. – Ludzie giną na polskich granicach, solidarność społeczna i demokracja są w drzazgach, bo władza zwraca ludzi przeciwko sobie, zamiast działać. Ignorujemy katastrofę klimatu i narastający faszyzm. Nie mogą na to pozwolić. Choćbym miała być jedna przeciw okrutnej władzy, będę stawiać opór. Bo nie oddam człowieczeństwa! Nie oddam miłości! Nie oddam przyszłości! Dołączcie do mnie, razem mamy szansę wygrać. 26 września przyjdź pod Sejm, weź namiot i zostań jak najdłużej”.

W komentarzach setki razy padało: „Przeszkadzacie żyć zwykłym ludziom. Idźcie do Sejmu!”. Więc poszli. Okupację Sejmu zaplanowali na 26, ale już 24 nastąpił przełom – ich postulaty trafiły do Sejmu. Zostały złożone przez klub Lewicy w formie ustawy „Lex Ostatnie Pokolenie” o odbudowie polskiej kolei i transportu autobusowego oraz o ratowaniu miejsc pracy na kolei towarowej.

26 rozbili namioty przed Sejmem, domagając się, żeby marszałek Szymon Hołownia nie-

zwłocznie skierował projekt do komisji. Ich obóz kilkunastu małych namiotów wyglądał skromnie, ale 1 października rozpoczęły się konsultacje społeczne nad projektem ich ustawy.

Szon patrole też uważają się za etyczne

4 października Fundacja Nowej Wspólnoty zorganizowała publiczną debatę zatytułowaną „Ostatnie Pokolenie – czy można łamać prawo w obronie wartości?”. W ich debatach bierze zawsze udział 10 osób o odmiennych poglądach. Dziś na rozmowę zdecydowało się pięciu działaczy Ostatniego Pokolenia i pięć osób, które są krytyczne wobec ich działań.

Jan Latkowski, prawnik i działacz społeczny z Ostatniego Pokolenia: – Chciałbym uściślić, że jedyną formą łamania prawa, jaką stosujemy, jest nieposłuszeństwo obywatelskie. Jest to działanie bezprzemocowe i w odróżnieniu od zwykłego chuligaństwa musi mieć silne uzasadnienie etyczne.

Patryk Bernardelli, prawnik: – Ten argument to broń obosieczna. Szon patrole też uważają, że ich interwencje mają etyczne uzasadnienie.

Piotr Tyszkiewicz, menedżer: – Większość ludzi się na was wkurza. Politycy obiecali wam rozmowy, ale wycofali się, widząc, że ludzie są wam przeciwni. Rząd nie czuje presji społecznej. Myślę, że powinniście zmienić sposób działania.

Ula Gruszka, pracowała w administracji publicznej: – Mówicie, że nie akceptujecie przemocy. Dla mnie protesty uliczne są formą przemocy. Przemoc niekoniecznie oznacza biście i wyzwiszka, to może być też utrudnianie życia zwykłym ludziom. Od wieków pojawia się kwestia, czy można poświęcać jednostkę dla większego dobra; moim zdaniem to mocno dyskusyjne. Dla mnie forma protestów ulicznych jest nieskuteczna, bo generuje negatywne emocje. Łatwiej jest przekonać ludzi do działań budowanych na pozytywnych emocjach.

Przemek Siewior: – Czuję się tak, jakby mój dom płonął, ja wybiegam na ulicę i krzyczę: „Ratunku, mój dom płonie!”. A ludzie mi mówią, że powinienem to wyrazić w sposób bardziej pozytywny, żeby wszystkim było miło... Chciałbym żyć w takim społeczeństwie, które się przygotowuje na to, co nadchodzi. Krytykujecie nasze działania, ale co wy robicie? Jakie pozytywne kampanie prowadzicie? Ja od 2018 roku próbuję wszystkiego, ale nic nie działa.

Sylwester Staszewski: – Ja próbuję żyć ekologicznie. Przesiadłem się z samochodu na hulajnogę elektryczną – ekologiczniej, taniej i zdrowiej. Staram się nie używać plastikowych

toreb albo wykorzystywać je wielokrotnie. Nie zgadzam się z łamaniem prawa w obronie tych wartości. To mnie denerwuje.

Czy zdajecie sobie sprawę, że w korku przez was spowodowanym nie przejedzie karetka?

Świata i tak nie zbawicie, a ktoś może przez was umrzeć. Robicie więcej złego niż dobrego.

Jan Latkowski: – Robimy wszystko, żeby temu nieszczęściu zapobiec, zawsze mamy zaplanowane pasy jezdni na sytuacje wyjątkowe, ale faktycznie nie jesteśmy w stanie wszystkiego przewidzieć. Jednak w moim ujęciu to, o co walczymy, jest warte tego ryzyka.

Przemko Radwański: – Doskonale zdajemy sobie sprawę, że budzimy złość. Twoja uważność i staranie, Sylwku, budzi mój szacunek, ale konsumpcja indywidualna to znikomy procent emisji i znikomy fragment zapaści tego świata.

Sylwester Staszewski: – Nie zgadzam się. Jednostka robi więcej niż wy. Przez te małe codzienne kroczki robimy więcej niż wy przez przyklejanie się do asfaltu.

Piotr Tyszkiewicz: – Rozmawiamy o tym, co będzie za 20 lat, a za 2 lata Putin zrzuci atomówkę i nic będzie. To bardzo abstrakcyjne problemy.

Ula Gruszka: – Ludzie was nie rozumieją. Najważniejsze są problemy dnia codziennego, w drugiej kolejności to, co zdarzy się za rok, dwa. Dlatego martwią się wojną. A dopiero daleko, daleko za tym jest klimat. Ja też nie myślę o tym, co będzie za 50 lat.

Przemko Radwański: – Nie przekonujemy ludzi tym, co robimy. Ale nie mamy takiego celu. Jesteśmy kampanią stricte polityczną. Odnieśliśmy sukces. W ciągu półtora roku doprowadziliśmy do tego, że jedna z partii wprowadziła naszą ustawę do Sejmu.

Patryk Bernardelli: – Sukcesem będzie dopiero uchwalenie ustawy.

Na koniec spotkania moderatorka pyta: – Co wynosicie z tego dialogu?

Sylwester Staszewski: – Wydaje mi się, że walczymy o to samo i to mnie cieszy. Tylko mamy inne formy walki. Kiedy następnym razem zobaczę was przyklejonych do asfaltu, będę miał z tyłu głowy myśl, że gramy do tej samej bramki.

Przemko Radwański: – To chyba najważniejsze, co tu usłyszałem: że jesteśmy w jednej drużynie. Mimo to mam wrażenie, że nasze światy są nieprzenikalne. Chciałbym, żebyście usłyszeli: ta katastrofa będzie szybciej, niż wam się wydaje. Ona już się dzieje. Czy coś spróbujemy zrobić? Czy będziemy tylko tańczyli na tym „Titanicu”? ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: MIŁOŚĆ PO LATACH.
JAK UTRZYMAĆ WIELOLETNI ZWIĄZEK?

MONICA BELLUCCI: Jak być piękną
i nie zwariować

KULISY SCENOGRAFII Heweliusza

KOBIETY, które chcą żyć solo

wysokieobcasy
extra



Prezent do wyboru:

Bioliq BHL Barrierowy
krem ochronny do twarzy
lub Himalaya pasty do zębów

Czy wizja koncertu trzech mocarstw dzielących świat na strefy wpływów jest realna?

– W dużym stopniu tak. To, co się ostatnio wydarzyło w Davos, było ostatecznym odkryciem kart. I Trump już bez żadnych ogródek pokazał, jak zamierza nimi grać. Że on dominację Stanów Zjednoczonych będzie chciał rozwijać, promować i wzmacniać. Bez pardonowo i bez względu. I zrobią to też jego ewentualni następcy.

W Davos chciał pokazać światu, że odtąd Rada Pokoju pod jego dominacją – jako nowego króla świata – przejmie dotychczasową rolę Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W zasadzie to nie jest nic nowego w polityce Stanów Zjednoczonych.

Europejscy przywódcy byli w szoku.

– I wzięli na wstrzymanie. Ale dla Europy to powinien być kolejny dzwonek, a w zasadzie dzwon, który pokazuje, że musi pomyśleć nad swoją przyszłością już niezależnie.

Mam też nadzieję, że to jest też moment, gdy wielu Europejczyków nastawionych tak bardzo proamerykańsko zrozumie, że jednak nie tędy droga. Że Europa musi poszukać własnej.

Kiedy rozmawialiśmy 10 lat temu, głównym problemem świata był fanatyczny, zbrojny islamizm. Dziś motywem przewodnim jest imperializm, ten klasyczny dążący do ekspansji terytorialnej. Wszyscy chcą uczynić swoje imperia znowu wielkimi. Putin celuje w okres Piotra i Katarzyny Wielkich, Xi Jinping marzy o odzyskaniu terytorialnych wpływów imperium Qing sprzed wojen opiumowych, a Trump chyba chce być Teodore Rooseveltem. Notabene Roosevelt, jeden z największych imperialistów pośród prezydentów USA, dostał Pokojową Nagrodę Nobla.

– Rzeczywiście można odnieść wrażenie, że wracamy do epoki sprzed pierwszej wojny światowej, czyli sprzed Ligi Narodów i potem Organizacji Narodów Zjednoczonych, które miały wprowadzić nowe zasady w polityce międzynarodowej i w świecie, a tym samym osłabić mocarstwa.

Skąd się biorą mocarstwa

Ważnym czynnikiem są technologie. Pierwsze duże mocarstwo ponadregionalne to było imperium nowoasyjskie prawie trzy tysiące lat temu. Jego wzrost był wynikiem powszechnego użycia żelaza do wyrobu nowej broni. Z kolei najazd Ariów na Indie prawie cztery tysiące lat temu był związany z użyciem koni i rydwanów.

Ekspansja kolonialna Europy między XIV i XVI wiekiem związana była głównie z prochem wynalezionym wcześniej przez Chińczyków, ale zastosowanym przez Europejczyków.

Dzisiaj na to nakładają się niebywale zdobycze technologiczne: internet, sztuczna inteligencja, która wspiera rozwój broni.

Dlaczego o tym mówię? Bo do ewentualnego koncertu trzech mocarstw dochodzi kolejny element – mega korporacje. To niezwykle ważny gracz, który zdaje się tworzyć podwaliny imperializmu, głównie w Stanach Zjednoczonych.

Chiny i Rosja też są oligarchiczne, choć na innych zasadach. Mega korporacje przejmują pewne funkcje państwa. Przykładowo, NASA przekazała wiele swoich obowiązków firmom Elona Muska.

Proszę wyjaśnić, co mają korporacje do na przykład zakusów Trumpa na Grenlandię?

– W dalekosiężnym interesie politycznym Stanów Zjednoczonych zakusy grenlandzkie Trumpa są niekoniecznie opłacalne, bo obnażają neoimperializm amerykański i pokazują wielu małym graczom, że nie można polegać na USA, trzeba szukać nowych dróg.

Kanada właśnie podpisała nowe porozumienia o współpracy z Chinami, Europa z Mercosur. Zabór Grenlandii będzie się przekładał na dalszą utratę zaufania do Ameryki. Ale dostęp do grenlandzkich zasobów mineralnych jest ważny dla korporacji.

To jest przykład, jak mega korporacje zakulisowo wpływają na działania Stanów Zjednoczonych, osłabiając decyzyjność elit politycznych na rzecz elit gospodarczych.

Nie jest to nowe zjawisko.

– Tak, Stany zawsze były stworzone przez oligarchów dla oligarchów. Pod płaszczykiem demokracji, ale ta demokracja była ograniczona, bo w praktyce niewolnictwo i usankcjonowany rasizm istniał tam aż do drugiej połowy XX wieku. To, co jest nowe, to narzędzia technologiczne, jakimi dysponują oligarchowie.

Imperium od nowa

W Europie każdy, kto chce budować swoją przyszłość w oparciu o państwo za oceanem, jest szalony.

Z PIOTREM BALCEROWICZEM*, FILOZOFEM, ORIENTALISTĄ I KULTUROZNAWCĄ ROZMAWIA ROBERT STEFANICKI



Trump zachowuje się tak, jakby nie miał nic przeciwko temu, żeby Rosja i Chiny też były imperiami. Czy ambicje tych trzech supermocarstw da się pogodzić bez większego konfliktu?

– Współistnienie imperiów zakłada konflikt, bo nigdy się nie da mapy świata podzielić na czyste, klarowne strefy. Większość to strefy współzawodnictwa.

Chiny poczyniły inwestycje w Afryce i w Ameryce Południowej, USA w wielu regionach Azji. Mocarstwa będą zmuszone do walki o swoje w tych regionach, a taka rywalizacja może przekształcić się w wojnę. Obszarem zapalnym są nie tylko terytoria, ale i technologie, które imperia chcą zmonopolizować. Dlatego jest tak ważne dla świata demokratycznego, żeby rozwijać alternatywne rozwiązania technologiczne wobec tych proponowanych przez wielkie koncerny amerykańskie.

Albo chińskie.

– Albo chińskie. Natomiast Rosja pozostała bardzo w tyle w wyścigu technologicznym, co pokazuje jej nikłe szanse na utrzymanie pozycji mocarstwowej.

Chiny mają wobec Rosji poważny dylemat. Czy utrzymywać jej potęgę jako potencjalnego konkurenta, czy zredukować do roli swojej przybudówki.

Silna Rosja będzie osłabiać Chiny, co jest na rękę Ameryce. Może tutaj trzeba by doszukiwać się drugiego dna tych dziwnych zabiegów Białego Domu zmierzających do utrzymania statusu mocarstwa przez Rosję. Pomijam zakusy oligarchów amerykańskich i wielkiego biznesu na rosyjskie zasoby.

Rozwój technologii bardziej sprzyja imperiom czy budowie świata wielobiegunowego?

– Technologia z jednej strony pozwala mocarstwom wzmacniać swój prymat, ale z drugiej technologii niższego rzędu nie podlegają monopolowi i mają zdolność proliferacji. Mogą z nich korzystać grupy wspierane przez konkurencyjne mocarstwo.

Przykładowo na terenie Ameryki Łacińskiej, którą Stany chcą uznać za wyłączną strefę swoich wpływów, mogą działać rozmaite bojówki wspierane przez Chiny i one będą korzystać z wysokich technologii, które w warunkach lokalnych okazują się niezwykle skuteczne. To pokazuje, że ten koncert mocarstw niekoniecznie będzie przebiegał tak prosto.

Jest jeszcze trzeci aspekt: moje pokolenie miało szczęście żyć w epoce rozkwitu demokracji, ale wiele wskazuje na to, że ta demokracja się kończy między innymi za sprawą technologii. Nasze twarze, nasze sylwetki są danymi biometrycznymi, co w połączeniu chociażby z kamerami, które wykrywają w czasie rzeczywistym, kto jest na demonstracji, kto jak się przemieszcza, kto się z kim kontaktuje i co komunikuje, daje nieprawdopodobną kontrolę nad społeczeństwem.

I dopóki zasady gry demokratycznej są respektowane przez instytucje państwa, to wszystko jest w porządku. Ale zawsze może znaleźć się jakiś nowy Hitler, który zdobył władzę w demokratycznych wyborach, ale szybko zmienił system.

To kolejny wymiar, w którym mega korporacje kierują losami świata jak nigdy wcześniej. Wynalezienie żela-



• Prezydenci Chin, USA, Rosji: Xi Jinping, Donald Trump i Władimir Putin na paradzie karnawałowej w Düsseldorfie. „Różany Poniedziałek”, kulminacyjny moment karnawału w Nadrenii, słynie z parad prezentujących sprośną satyrę polityczną. (3.03. 2025 r.)

FOT. HESHA MELISHER/FOT. IMAGES

za i jego obróbki, co zmieniło przebieg wojen, było procesem trwającym kilkaset lat. To były technologie nie podlegające kontroli. Natomiast dzisiaj te najwyższe technologie pozostają w rękach nielicznych: fabryki mikroprocesorów, ośrodki, gdzie wymyśla się nową broń, modele AI.

Miękka siła Chin, brak hipokryzji u Trumpa

„Żyjemy w realnym świecie, którym rządzi siła, władza. To są żelazne prawa tego świata od zarania dziejów” – to słowa Stevena Millera, zakulisowo nazywanego premierem Trumpa. Czyli krótko mówiąc, siła czyni prawo. Czy to koniec porządku opartego na zasadach wprowadzonego po II wojnie światowej?

– Na pewno opadła zasłona hipokryzji. Stany Zjednoczone otwarcie mówią, że rozwiązania siłowe są akceptowalne. To jest niebezpieczne i długofalowo nikomu nie będzie sprzyjało. Nawet supermocarstwu, bo ta trajektoria prowadzi je do otwartego konfliktu.

Ja powtarzam mniej więcej od 25 lat, że Chiny i Stany są na kursie kolizyjnym, który może się zakończyć otwartym konfliktem. To problem także dla mniejszych krajów, takich jak Polska.

Ale przecież możemy sobie równie dobrze wyobrazić świat oparty na innych zasadach, cywilizowanych.

Owszem, siła odgrywa rolę, ale często można osiągnąć dużo więcej i z mniejszymi stratami, nie sięgając po nią wprost. Świat wielobiegunowy, otwarty na interesy krajów słabszych, sprzyja rozwojowi wszystkich. Porów-

nałbym to do państwa, w którym żyją rozmaite mniejszości. Ono będzie źle funkcjonowało, jeżeli większość narzuci im swój dyktat.

W pierwszym rządzie tracą na tym mniejszości spychane na margines, eliminowane. Ale większość też straci, przede wszystkim bezpieczeństwo, bo mniejszości nie przestaną istnieć. I w pewnym momencie, osaczone, nie mając nic do stracenia, podejmą działania obronne, także terrorystyczne, a większość będzie żyć w strachu.

To samo dotyczy relacji między państwowych. Jeżeli mamy imperium, które chce przemocą realizować swoje cele, jego społeczeństwo będzie żyło w permanentnym poczuciu zagrożenia. Trudno taką politykę długofalowo realizować, jeżeli państwo ma reprezentować interesy swoich obywateli.

Tak więc to, co mówi Miller, to tylko jego – skrajnie niebezpieczna – opinia, a nie wyraz zasady w relacjach międzynarodowych. Trzeba temu wyraźnie przeciwstawić inną opcję: ładu światowego bazującego na wartościach, prawach człowieka, na demokracji, na poczuciu,

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Piotr Balcerowicz

• Roczniak 1964, orientalista, filozof, kulturoznawca, profesor na wydziale orientalistyki Uniwersytetu Warszawskiego i założyciel stowarzyszenia Edukacja dla Pokoju.



że wszyscy jesteśmy esencjonalnie podobni, mamy podobne aspiracje i mamy prawo do ich realizacji.

Niektórzy twierdzą, że USA zawsze prowadziły politykę imperialistyczną, a Trump jedynie porzucił hipokryzję swoich poprzedników. Inaczej niż Putin, któremu nawet słowo wojna nie przechodzi przez gardło, Trump i jego pretorianie, tacy jak Miller, mówią wprost, o co im chodzi. Na przykład w Wenezueli chodzi o zabór ropy.

– Tak, hipokryzja w polityce Stanów Zjednoczonych była zawsze obecna i można powiedzieć, że to dobrze, że już jej nie ma. Ci, którzy jeszcze wierzyli w pewne wartości amerykańskie, są zmuszeni przetrzeć oczy.

„Hipokryzja to hold, jaki występek składa cnocie” i rezygnacja z niej powinna nas martwić. Jeśli państwo łamie zasady, ale czuje się zmuszone do kłamania i ukrywania tego, to potwierdza, że te standardy wciąż istnieją i są ważne. A jeżeli mocarstwa przestają udawać, że dbają o etykę, i otwarcie głoszą prawo silniejszego, wtedy porządek międzynarodowy ulega rozkładowi.

– W pełni się zgadzam z tą sentencją La Rochefoucaulda. Ale zastanówmy się, czy bez hipokryzji można się obyć. Uważam, że nie tylko można, ale należy. Realizowanie polityki siłą rzeczy musi zakładać, że nie o wszystkim się mówi wprost i nie wszystkie kulisty są powszechnie widoczne, jednak mimo to można politykę opierać na wartościach.

Podam przykład Unii Europejskiej i jej członków, takich jak Niemcy i po części Francja, którzy często korzystali z miękkiej siły, by szerzyć pewne wartości. To niekoniecznie przemawiało do dyktatorów, ale do ruchów prodemokratycznych w Afryce czy w Azji, które doprowadzały do zmian politycznych w danym kraju – już tak.

Bez polityki opartej na wartościach pozwalającej obywatelom realizować swoje aspiracje życiowe państwa przekształcają się w struktury zarządzane przez oligarchiczne elity i zmieniają się w autokracje.

Chiny nie zrezygnowały z hipokryzji i dobrze na tym wychodzą, ich przekaz trafia do serc i umysłów mieszkańców Globalnego Południa. Jako jedyne mocarstwo rozbudowują swoją miękką siłę. Ameryka szybko traci ten atut, Rosja już przebiła dno. Chociaż w wielu krajach Putin cieszy się sympatią jako ten, który się postawił Zachodowi, i to nie tylko USA, ale też europejskim kolonialistom. Fascynujące, że od końca kolonializmu minęło już kilka pokoleń, a ta krzywdą jest dalej głęboko zakorzeniona w byłych koloniach.

Kolonializm się nie skończył, tylko zmienił oblicze. Byłe kolonie długo pozostawały pod przemożnym wpływem imperiów kolonialnych. Prawie cała Afryka frankofońska była obszarem, gdzie Francja realizowała swoje cele polityczne i gospodarcze – obok wcześniej wspomnianych metod miękkich (soft power) – niekiedy także w sposób bezwzględny, często niszcząc lokalne rolnictwo, aż produkcja rolna i sprzedaż żywności w niektórych krajach Afryki została zmonopolizowana przez koncerny francuskie.

Takie działania nakręcały niezadowolenie społeczne i budowały poparcie na przykład dla junt wojskowych przejmujących władzę w Czadzie, Mali czy Burkina Faso, doprowadzając też do otwarcia się na Rosję. Na fali antykolonializmu przy wsparciu Pekinu i Moskwy budowane są nowe dyktatury.

Chiny stosują złożoną politykę. To nie do końca jest tylko miękką siłą, ale też pozornie tanie kredyty, których Zachód by nie udzielił z powodów politycznych lub dlatego, że jest to finansowo ryzykowne. A także technologie oferowane w cenach dumpingowych, jak podejrzewamy.

Z drugiej strony Chiny dostają w dzierżawę duże obszary żyznej ziemi na 99 lat. To oznacza, że jeżeli wybuchnie klęska głodu, Afrykanie mogą niedaleko mieć farmy produkujące żywność, ale ta żywność będzie dla nich niedostępna. To są ukryte negatywne konsekwencje kontraktów z Chinami.

Miękka siła Chin działa w sferze propagandy. Chińczycy mówią: „My jesteśmy kryształowi, nigdy nie mieliśmy kolonii”. O Tybecie i Sinciangu nie wolno wspominać.

– Tak, ale jeżdżąc po Afryce czy Azji, nie zauważyłem, by ten przekaz jakoś silnie trafiał do przeciętnego mieszkańca. Ludzie często już się nauczyli, że produkty chińskie, również drogi czy budynki, są słabej jakości, a to

musi oznaczać, że za tymi kontraktami kryje się korupcja.

Chińskie obietnice trafiają przede wszystkim do władz, a nie do mieszkańców i są traktowane jako wsparcie reżimów. Jak jest to niebezpieczne, pokazał przykład Sri Lanki, którą Pekin bardzo wspierał – a właściwie rządzący nią klan Radżapaksów – i to wsparcie ostatecznie doprowadziło do ruiny gospodarczej i do obalenia rządu po masowych protestach w 2022 roku.

Czy po wyzwoleniu się kolonii Europejczycy mogli lepiej ułożyć sobie relacje z tymi niepodległymi już państwami?

– Mogli, ale nie chcieli. W większości wypadków uzyskanie niepodległości przez dawne kolonie nie wynikało z woli państw zachodnich i przywiązania do wartości demokratycznych, tylko z masowego oporu w dawnych koloniach.

W momencie upadku władzy kolonialnej dawne imperia usiłowały za wszelką cenę zachować wpływy. I to ma bardzo negatywne konsekwencje. W byłych koloniach panuje ogromna nieufność wobec hasel demokratycznych. Zawsze się z tym spotykam w czasie moich podróży, podczas badań czy warsztatów prowadzonych w Azji i Afryce dotyczących chociażby praw człowieka czy demokracji.

Te dwie idee stały się passé. Nie dlatego, że mieszkańcy Globalnego Południa uważają, że one są bezsensowne, ale dlatego, że orędownikami tych wartości przez dekady mieniły się Stany Zjednoczone. Gdy mówię o demokracji i prawach człowieka, od razu słyszę o hipokryzji krajów zachodnich, które szermują takimi hasłami, a w praktyce nadal utrzymują dominację i wspierają niedemokratyczne reżimy, choć twierdzą co innego.

Stąd też sympatia wobec Rosji. Przez długi czas imperium radzieckie wspierało różne organizacje suwerennościowe, na przykład w Angoli, na Kubie. Tylko dzięki temu wsparciu Angola uzyskała niepodległość, w bolesnym procesie, który tak naprawdę trwał do końca lat 90.

Obecnie to Rosja ma tam dobre notowania, nie USA. I to emanuje na sąsiadów Angoli. W wizji zakotwiczonej w umysłach zwykłych ludzi to Putin jako przywódca imperium radzieckiego w nowym wydaniu jest tym dobrym przywódcą, bo kojarzy się z pozytywnymi działaniami z przeszłości.

Gdyby potęgi zachodnie z szacunkiem podchodziły do podmiotowości dawnych kolonii i nie realizowały tam bezwzględnie swoich celów, przede wszystkim gospodarczych, historia mogła się potoczyć inaczej.

Jak południowa Azja – region, w którym się pan specjalizuje – patrzy na przymiarki do koncertu mocarstw i imperializm jawnie głoszony przez Trumpa?

– To wzbudza tam strach i wymusza rewizję polityki. Ale to nie zaczęło się w epoce Trumpa. Pierwszą czerwoną lampką był atak amerykański na talibów w Afganistanie w 2001 roku. Można by uznać, że był zasadny, ale problemem było to, że w Afganistanie i w jego otoczeniu realizowane były interesy dużego biznesu amerykańskiego, militarnego i nie tylko.

Kolejnym alarmem była inwazja na Irak w 2003 roku. Te dwa wydarzenia przyspieszyły oddalenie Pakistanu od USA i jego zbliżenie z Chinami. Pakistan poprzez swoje porty otworzył Chinom wyjście na Ocean Indyjski i dalej na Zatokę Perską, są bliskimi sojusznikami.

Natomiast Indie usiłują lawirować. Z jednej strony starają się utrzymać bliskie relacje ze Stanami Zjednoczonymi, bo za granicą mają imperium chińskie, ale jednocześnie są bardzo nieufne. Trump nałożył wysokie taryfy celne, które niszczą gospodarkę indyjską, co zmusza Indie do szukania alternatyw. Jednak na razie ich brakuje, Indie mają ograniczone pole działania.

Czy najludniejszy kraj świata nie ma ambicji mocarstwowych, rozszerzenia swojej strefy wpływów?

– Owszem, Indie mają aspiracje mocarstwowe i chciałyby je rozwijać, ale rządy Indyjskiej Partii Ludowej (BJP), skrajnie nacjonalistycznej-no-religijnej, temu nie sprzyjają, gdyż alienują potencjalnych kooperantów. Poza tym Indie są zacofane technologicznie w wielu sektorach, bo popełniały i nadal popełniają dużo błędów na polu ekonomii i edukacji.

Zatem rozwojowi demograficznemu nie towarzyszy równie intensywny rozwój gospodarczy. A zacofanie technologiczne Indii sprawia, że nie mogą liczyć w tej materii na dobrą współpracę ze Stanami Zjednoczonymi.

Gdzie są granice potęgi Ameryki Trumpa?

Trochę już je widzimy w zderzeniu z rzeczywistością jego deklaracji o rzekomym zakończeniu przez niego 8 już wojen. Czy można zawrócić historię: osadzić szacha w Iranie, jakiegoś nowego Batistę na Kubie?

– Można próbować. Pytanie, z jakim skutkiem: długotrwałym czy tymczasowym, złym czy dobrym, a jak dobrym, to dla kogo? Na pewno nie dla obywateli Stanów Zjednoczonych, prędzej dla oligarchów i mega koncernów.

Ale nawet sytuacja Wenezueli, którą USA zaatakowały, żeby czerpać zyski ze złóż ropy, nie zachwyciła przemysłu naftowego. Firmy

nienie ONZ nakłada także na USA konkretne ograniczenia, choćby w sferze prawa międzynarodowego.

Co do ataku na Wenezuelę, sprzyja on – choć tylko chwilowo – Trumpowi, pompuje jego narcystyczne ego. Ten balon oczywiście może być pompowany dalej, są kolejne kraje do najechania. Tu wracamy do pytania o granice. Każdy balon w pewnym momencie pęka. Powodem może być przekroczenie pewnych granic prawnych, co doprowadzi do skutecznego tym razem impeachmentu. To mogą być przegrane wybory połówkowe. Wiele się jeszcze może zdarzyć, łącznie ze scenariuszem, że Trump podzieli los J.F. Kennedy'ego.

W ocenie ataku na Wenezuelę mamy mieszane uczucia. No bo Maduro był złym autokratą i dobrze, że siedzi w więzieniu. Chyba trudno jest wytyczyć prawidłowo granicę między uzasadnionym pomaganiem demokratycznej opozycji a imperialnym interwencjonizmem.

– Tyle że w Wenezueli Amerykanie nie wspierali opozycji. Trump zdecydował, że w interesie jego i jego kliki, mówiąc wprost, jest dogadywanie się z grupą trzymającą tam władzę militarną, bo tylko ona może zagwarantować spokój, dzięki czemu ta klika amerykańska będzie mogła czerpać profity z wydobycia ropy.

Trump jest człowiekiem, któremu demokracja przeszkadza i zagraża, bo każe równoważyć różne wartości, akceptować, że ktoś ma

Oczywiście to jest nieprzyjemna rozmowa, gdy po drugiej stronie stołu mamy człowieka obrzydliwego moralnie, ale czasami to jest niezbędne, żeby nastąpiły zmiany

nie pałą się, że wchodzić w ten interes, choćby dlatego, że sytuacja prawna jest nieczytelna, a także dlatego, że odkorkowywanie kolejnych złóż naftowych obniży cenę ropy. Owszem, pośrednio to uderzy w Rosję, ale też w inne koncerny amerykańskie, które same ropę produkują, na przykład ze skał łupkowych.

Podobna sytuacja była zresztą w Iraku. Inwazja z 2003 roku – wbrew powszechnie głoszonym opiniom – nie miała na celu załuszczenia złóż ropy. Wtedy USA rozwijały technologię pozyskiwania ropy i gazu łupkowego. Eksploatacja irackich złóż obniżyłaby ceny poniżej 60 dolarów za baryłkę – progu opłacalności wydobycia ropy łupkowej.

W moim przekonaniu rzeczywistym celem inwazji na Irak był demontaż Organizacji Narodów Zjednoczonych i obalenie multilateralizmu jako fundamentu ładu światowego, na co jest dużo dowodów. Innymi słowy, ograniczenie wpływu mniejszych państw na sytuację na świecie i osłabienie, a potem likwidacja ONZ.

Teraz USA pod rządami Trumpa opuściły już dużą część agend oenietowskich – co jest kolejnym przejawem rezygnacji z hipokryzji, bo wcześniej po prostu nie płaciły składek.

Republikanie od zawsze są nieufni wobec organizacji wielostronnych i wojna w Iraku nie była im niezbędna, żeby osłabić ONZ. Akurat Trump tę wojnę krytykował, przez co dostał łatkę izolacjonisty, jak widzimy fałszywą. Ale jego krytyka sprowadzała się do tego, że Amerykanie nie zabrali ropy. Problemem nie była wojna, ale, jak mówił, „wojskowe awanturnictwo”. Gdyby tylko Stany prowadziły oszczędniejsze i bardziej brutalne wojny, bez sentymentalnego moralizatorstwa, wygrałyby. Co przenosi nas z powrotem do Wenezueli. Zwolennicy Trumpa w MAGA byli zachwyceni udaną „ekstrakcją” Maduro, mimo że wcześniej deklarowali sceptycyzm. Popularność prezydenta wzrosła.

– Po pierwsze, inaczej wygląda retoryka z pozycji osoby startującej w wyborach, a inaczej, gdy władzę się już uzyskało. Po drugie, ist-

inny pogląd. Trump nie znosi sprzeciwu. Więc tak, reżim Maduro był bardzo brutalny, ale nie zniknął z usunięciem Maduro. I to, co się wydarzyło, powinno budzić nasz sprzeciw z bardzo wielu powodów.

Podstawowym jest nielegalna interwencja w struktury innego państwa, niezgodna z elementarnymi regułami stosunków i prawa międzynarodowego, nawet jeśli uważamy, że władca nie został wybrany demokratycznie.

Teraz Chiny mogą dokonać nalotu na dowolny kraj w Azji czy Afryce, wymienić prezydenta na nowego. Czemu nie? To jest niebezpieczny precedens. Rozumiem, że gdyby chodziło o realną naprawę sytuacji w Wenezueli, to ewentualnie można by taki atak pod względem etycznym starać się uzasadniać. Ale tutaj tego nie ma i nie widzę nic na obronę działań USA.

To spójrzmy na Iran. Jak pomóc tej sporej części narodu, która chce zmiany reżimu, aby nie popaść w imperializm?

– Podstawowym powodem, dlaczego Irańczycy wyszli na ulice, nie jest bieda czy głód, ale pragnienie sprawczości. I pomoc powinna wspierać ich podmiotowość, sprawczość. W Wenezueli Trump naruszył podmiotowość wszystkich Wenezuelczyków. W Iranie powinny to być działania wspierające komunikację.

Dlaczego po pierwszej intensywnej fali protesty nagle osłabły? Są dwa powody: bardzo wysoka liczba zabitych i to, że Irańczycy zostali odcięci od informacji, więc nie wiedzą, czy jest sens ponownie wychodzić na ulice, narażając życie, bo może inni już nie protestują. Blokada komunikacyjna paraliżuje działania opozycji i trzeba ją przełamać, przez dodanie więcej Starlinków albo w inny sposób.

Przestrzegam natomiast przed interwencją wojskową z zewnątrz, bo to stawia samych protestujących w trudnej sytuacji. Oni nie chcą bezpośredniej pomocy militarnej Amerykanów. Choćby dlatego, że już wiedzą, że pomoc amerykańska, szczególnie w dobie Trumpa, oznacza późniejsze kłopoty.

Trump wystawi rachunek.

– To jedno, a drugie, że Amerykanie mają dużo za uszami w Iranie i partnerstwo z nimi jest kłopotliwe wizerunkowo dla opozycji. Lepsza byłaby pomoc z innych krajów, również w rozmiękczeniu reżimu. Niestety, reżim irański został zapędzony w róg, skąd nie ma innego wyjścia, jak atakować i zabijać masowo.

Dyktatury, które okazują słabość, upadają.

– Tak jest, ale też reżim ma obecnie nikle pole manewru i decyzyjności. Zatem można by spróbować wpłynąć na niego realną obietnicą poluzowania sankcji czy nawet współpracy. Można by dać pewne gwarancje bezpieczeństwa sprawującym władzę.

USA nie mają tutaj dobrych kart, ale pośrednio mogłyby wspierać innych aktorów – Chiny, Unię Europejską, tak żeby ten reżim rozmiękczyć. Kluczowym momentem, kiedy domino zacznie się sypać, jest ten, gdy część służb siłowych dojdzie do wniosku, że sprawy zaszły za daleko i przylączy się do protestujących.

Na razie nic nie wskazuje na to, by to miało nastąpić.

– Żeby to się wydarzyło, potrzebna jest między innymi długotrwałość protestów. Niestety, to wiązałoby się z dalszymi wysokimi ofiarami w ludziach. Bez dezercji części aparatu siłowego zmiany w Iranie nie będzie. Ale wiem, że jeżeli dojdzie do militarnej interwencji USA, to nikt broni niełoży, bo pojawi się czynnik unifikujący naród przeciwko wrogowi z zewnątrz. Więc to byłby podstawowy błąd, jaki Ameryka mogłaby popełnić.

To może, zamiast obalać Kaddafiego w Libii, trzeba było go uratować i wszyscy by na tym lepiej wyszli.

– Może nie tyle ocalić, ile dalej osłabiać. Obalenie Kaddafiego nastąpiło w momencie, kiedy on nie stanowił zagrożenia. Porzucił pomysły na rozwój broni masowego rażenia, był gotów do rozmów i należało z nim się dogadać. Oczywiście to jest nieprzyjemna rozmowa, gdy po drugiej stronie stołu mamy człowieka tak obrzydliwego moralnie, ale czasami to jest niezbędne, żeby nastąpiły zmiany. Co tu daleko szukać: Okrągły Stół w Polsce doprowadził do realnych zmian.

To pokazuje, że czasami trzeba się przełamać i podjąć konstruktywne rozmowy z reżimem. Ludzie reżimu sami z siebie władzy nie oddadzą między innymi dlatego, że będą się bali o przetrwanie swoje i swoich rodzin. Trzeba im coś dać, w tym minimalne gwarancje bezpieczeństwa, aby zainicjować proces kompromisowego dzielenia się władzą, ale per saldo cena będzie mniejsza niż rozwiązania siłowego.

Czy w Libii nastąpi pokój, czy jest jednolity rząd, czy tam można pojechać bezpiecznie? Nie. Ten kraj został rozchwiejany, a co więcej, różne oddziały zbrojne, które były dozbierane przez Zachód, niekoniecznie robiły to, co Zachód chciał. Skutkiem obalenia Kaddafiego jest dżihadizm w nowej postaci, który rozlał się po wielu obszarach Afryki aż po Mozambik. To by nie nastąpiło, gdyby nie napłynęła tam zachodnia broń i nie pojawili się wyszkoleni ludzie z Libii. A półtora roku później USA obaliły Saddama Husajna i w wyniku okupacji amerykańskiej w Iraku powstało Państwo Islamskie, ISIS.

Było, minęło. Z punktu widzenia Zachodu dżihadizm jest jak COVID-19: nieprzyjemne wspomnienie.

– Tak się nam wydaje, bo do Europy nie napływają już uchodźcy z Bliskiego Wschodu uciekający przed dżihadystami i mniej jest zamachów terrorystycznych. Bo przestała istnieć struktura państwowa ISIS na pograniczu Syrii i Iraku. Ale też dlatego, że sąsiednie państwa – Jordania, Arabia Saudyjska – zostały wzmocnione, dysponują amerykańskim uzbrojeniem i chińską technologią inwigilacji. Na Bliskim Wschodzie nie ma dobrych warunków do rozwoju pozapaństwowych organizacji oporu pod flagą dżihadizmu.

W Syrii nawet rządzi byli dżihadysta, tylko się ucywilizował.

– Nie chcę go wybielać, ale sądzę, że Ahmed asz-Szaraa stał się dżihadystą właściwie przez przypadek, za młodu nie był fundamentalistą religijnym. W czasie wojny domowej w Syrii dżihadyzm był nośną ideologią, dającą ludziom podmiotowość i nadzieję na obalenie reżimu Assada, dlatego on w to wszedł, do grupy, która w pewnym okresie była sprzymierzona z Al-Kaidą.

Teraz w Syrii są jeszcze resztki ISIS, co jakiś czas bombardowane przez Amerykanów. Ale zasadniczo dżihadyści przenieśli się do Afryki, są w całym pasie Afryki Saharyjskiej i Subsaharyjskiej, w Nigerii, aż po Afrykę Południową, w tym Mozambik. Ich ideologia się nie zmieniła. Kiedyś partyzanci odwoływali się do wartości socjalistycznych, antykolonialnych, teraz modne są islamistyczne, ale to ten sam mechanizm.

Przed wszystkim jednak dżihadystom sprzyjają warunki społeczne, bo to często biedne nastolatki, które nie mają żadnych perspektyw życiowych, chętnie przyłączają się do typu organizacji, bo one dają im jakieś minimum pozwalające na przetrwanie i właśnie poczucie sprawczości. Dostają cel i broń. Wszędzie na świecie ludzie biedni i uprzedmiotawiani w pewnym momencie pragną wziąć sprawy we własne ręce, poczuć, że mają na coś wpływ. Jedni, jak w Iranie, wychodzą na ulice, żeby protestować, inni biorą karabin, żeby zabijać albo porywać.

Strach przed imigracją rozwala demokrację na Zachodzie

Wydaje się, że wojna w Strefie Gazy powinna być doskonałą pożywką dla dżihadyzmu, a tak się nie stało. Dlaczego?

– Bo wojna w Gazie nie ma wymiaru religijnego. Owszem, po stronie Palestyńczyków do brze ponad 90 procent to muzułmanie, ale są też chrześcijanie i druzowie. Nasza perspektywa patrzenia na ten konflikt przez pryzmat islamu spowodowana jest głównie narracją związaną z Hamasem.

Hamas ideologicznie i strukturalnie wywodzi się z Bractwa Muzułmańskiego i jego założyciela Hasana al-Banny, do którego pewnych idei odwołują się – niekoniecznie trafnie – zbrojne radykalne organizacje islamskie. Ale Hamas działa głównie jako organizacja społeczno-polityczna, choć też militarna w ramach osobnego skrzydła, ale bez agendy szerezenia radykalnego islamu.

W Strefie Gazy żyło się całkiem swobodnie pod względem obyczajowym. Organizacje palestyńskie podkreślały kwestie narodowe, nacjonalistyczne, a nie religijne. Dlatego tutaj nie ma potencjału do rozwoju tak zwanego dżihadyzmu. Owszem, Palestyna jest wykorzystywana przez organizacje dżihadystyczne na całym świecie jako symbol opresji dokonywanych przez niewiernych, neoimperialistów.

Ludobójstwo w Gazie mocno przyczyniło się do wzrostu nastrojów antyamerykańskich na Globalnym Południu.

– Tak, w wielu regionach ludzie stawiają pytanie: lepszy jest Trump czy Putin? Ciekawe, że Xi Jinpinga nie biorą pod uwagę. Ten dylemat obecny jest też w skrajnie nacjonalistycznych środowiskach w Polsce. A Strefa Gazy jest koronnym przykładem hipokryzji Stanów Zjednoczonych. W tym przypadku i Trump pozostał hipokrytą, bo jest współnikiem skrajnej polityki Izraela, a jednocześnie mówi o pokoju i demokracji, jak jego poprzednicy.

ISIS i Al-Kaida ograniczyły swoje wpływy, ale pozostawiły trwale dziedzictwo: strach przed imigracją, który rozwala demokrację na Zachodzie. Prezydentura Trumpa jest częściowo produktem zamachów z 11 września, które zapoczątkowały ten ciąg wydarzeń. On potrafił zidentyfikować i zagonarować politycznie lęk przed obcymi. Podobnie było z populistami w Europie.

Żeby istniał imperializm, musi być skrajny nacjonalizm, założenie, że my jesteśmy rasowo czy kulturowo lepsi od innych.

Zatem to my mamy prawo do Grenlandii, a nie Grenlandczycy

– Tak, lęk przed obcymi rozmaicie rozumianymi zawsze był zagrożeniem dla zdrowego państwa. Ci, którzy boją się migrantów, zapominają, że za większość procesów migracyjnych odpowiada sam Zachód. Libia po obaleniu Kaddafiego stała się kanałem dla przerzutu ludzi z Afryki do Europy. Rządy zachodnie generują sytuacje konfliktowe poza swoim bezpośrednim obszarem, co odbija się rykoszetem w postaci migracji i otwiera drogę dla populistów.

Groźne jest to, że wyszliśmy z obszaru w miarę spójnych ideologii politycznych: liberalizmu, neoliberalizmu, konserwatyzmu, socjalizmu, komunizmu. Jak przejrzymy programy partii politycznych, to są sztuczne zlepkki tworzone ad hoc pod aktualne potrzeby.

Właściwie można powiedzieć cokolwiek, co jest odpowiedzią na strach wyborcy w danym momencie, i nie ponosi się odpowiedzialności za własne słowa. Politycy nie proponują realnych rozwiązań. Działamy w sferze emocji, nie w sferze rozumu, a na emocjach niczego nie da się zaplanować.

Ludzie zapominają, że migracje są czymś zupełnie naturalnym. Jakby Polak zadał sobie pytanie, skąd pochodzi, odpowiedź jest prosta. W większości genetycznie z pogranicza kazachsko-ukraińskiego, tam, gdzie rozwijała się tak zwana kultura grobów jamowych i stamtąd wyruszyli jego przodkowie, stamtąd pochodzi między innymi język polski. Z dużą domieszką genów Mongołów, Tatarów i ludów z Bałkanów.

Nie ma w Polsce ani jednego człowieka, którego przodkowie byłiby rdzenie związani z terenem Polski od półtora tysiąca lat, choćby dlatego, że wtedy tutaj były lasy i nikt tu nie mieszkał.

Wiemy, że ten argument nie działa. Ameryka jest całkowicie zbudowana z imigrantów, a politycy amerykańscy zawsze straszili napływem obcych. Istnieje synergia między populizmem, nacjonalizmem i imperiaлизmem. Populista musi wskazać wroga, którym często jest właśnie imigrant, Żyd albo jakieś inne obce siły, np. Unia Europejska czy latynosczy narkoterrorysty. To wzmacnia nastroje nacjonalistyczne, rośnie przyzwolenie na przemoc wobec innych, obcych. Z kolei agresywna polityka zagraniczna pozwala przywódcy odwrócić uwagę od problemów wewnętrznych. Widzimy to w Wenezueli w tej chwili.

– Zgadzam się z tą diagnozą. Imperializm wymaga brutalnej, bezwzględnej siły i zakłada, że będzie ją egzekwował imperator, władca – ucieleśnienie ideału tej siły. Naród oddaje mu swoją podmiotowość i zakłada, że władca wie, co robi.

Ale też, żeby istniał imperializm, musi być skrajny nacjonalizm, założenie, że my jesteśmy rasowo czy kulturowo lepsi od innych. Zatem to my mamy prawo do Grenlandii, a nie Grenlandczycy. To my mamy prawo zdecydować, żeby Islandia była 52. stanem Stanów Zjednoczonych, a nie Islandczycy. Tu odwołuję się do wypowiedzi nowego ambasadora USA w Islandii.

Oczywiście imperium nie będzie działało, jeżeli nie zadba o minimum poczucia bezpieczeństwa socjalnego swoich obywateli.

Żadne państwo nie jest samowystarczalne. Nigdy nie było, nigdy nie będzie

Przykładem Arabia Saudyjska – opresyjne państwo kastowe, ale na tyle bogate, żeby zadbać, aby nie było rzesz niezadowolonych biedaków. Oczywiście wśród obywateli – bo migranci, traktowani jak podludzie, i tak się nie zbuntują.

Brak bezpieczeństwa socjalnego może być czynnikiem, który zachwieje imperium. To problem dla Chin. Na razie nie dla Stanów Zjednoczonych, mimo że to kraj ogromnych nierówności społecznych, gdzie kilkadziesiąt milionów ludzi żyje na progu ubóstwa albo poniżej. Większość Amerykanów jest w miarę zadowolona. Żyją na poziomie, który nie zagraża ich poczuciu bezpieczeństwa, nie powoduje trwałego lęku o przyszłość.

Za to Chińczycy w zauważalnej części zasmakowali pewnego dobrobytu, a państwo niekoniecznie jest w stanie zaspokoić ich rosnące aspiracje, co prowadzi do frustracji i lokalnych protestów. Pękła deweloperska bańka spekulacyjna, osiedla budowane za ogromne pieniądze stoją puste. Są oznaki, że zaczynają się procesy mogące zagrozić spójności imperium od środka. Co nie oznacza, że chińskie imperium upadnie, bo Rosja jest od lat w dużo gorszym stanie, a mimo to funkcjonuje i nic nie zapowiada, żeby w najbliższym czasie upadła.

Czyli Chiny nie są skazane na sukces, na zostanie supermocarstwem numer jeden wobec obserwowanego samozaorania Ameryki?

– W perspektywie – powiedzmy – jednej, dwóch generacji, Chiny się nie rozsypią, ale nie ma pewności, że będą funkcjonować przez wieki jako imperium. Dzisiaj jednak wygląda na to, że są skazane na mocarstwowość.

Ameryka, jak to pan ładnie określił, dokonuje samozaorania na bardzo wielu polach. Wchodzi w iluzję autarkii, samowystarczalności. A to jest jeden z podstawowych czynników, które doprowadzają w końcu do upadku imperium. Tak jak wielka gwiazda supernowa zamienia się w gasnącego karła i czarną dziurę. Żadne państwo nie jest samowystarczalne. Nigdy nie było, nigdy nie będzie.

To ważny komunikat dla wszelkich narodowców: jeśli państwo próbuje całkowitej niezależności, odcina się od sąsiadów, to upada. Przykładem Kambodża po 1975 roku, po przewrocie Pol Pota. Obaliła go inwazja z Wietnamu, który wykorzystał kompletny rozkład państwa kambodżańskiego.

Amerykanie idą tą ścieżką, podczas gdy Chińczycy pełną parą budują swoją mocarstwowość i robią to skutecznie na bardzo wielu polach, są też świetnymi dyplomatami. Konstatację to z przykrością. I w ramach ostrzeżenia musimy pamiętać, że jednym z najlepszych instrumentów tej imperialistycznej polityki chińskiej jest budowanie relacji bilateralnych. Chiny nie lubią rozmawiać z Unią Europejską jako blokiem, tylko wolą dogadywać się osobno z Francją, z Niemcami, z Polską, Węgrami i tak dalej.

Czyli dokładnie tak jak administracja Trumpa.

– Tak, to jest bardzo niebezpieczne dla wszystkich państw Europy i dla Unii jako takiej.

Każdy, kto mieszka w Europie i chce budować swoją przyszłość w oparciu o państwo, które położone jest za oceanem, jest szalony.

Jeżeli ja mieszkam w bloku w Warszawie, to nie będę opierał mojego bezpieczeństwa na kimś, kto mieszka w Suwałkach. Mogę mieć dobre kontakty z mieszkańcami Suwałk czy Krakowa, ale to nie wpływa w żaden sposób na moje poczucie bezpieczeństwa tu, na osiedlu,

gdzie może jest jakiś gang albo hałaśliwy sąsiad, albo woda nie jest dostatecznie ciepła. Te problemy mogą rozwiązać wyłącznie w kooperacji z bezpośrednimi sąsiadami.

A może jednak wyjdzie na Trumpa?

Może wszyscy będą się go bali i tańczyli tak, jak on im zagra, a Ameryka będzie rosła w siłę i dostatek.

– Nie jest to wykluczone, ale na razie tak się nie dzieje. Świat, w szczególności Globalne Południe, dostaje argumenty, żeby bardziej skłaniać się ku współpracy z Rosją i przede wszystkim z Chinami niż ze Stanami Zjednoczonymi. Działania Trumpa niekoniecznie osłabiają przeciwnika.

Chiny właśnie przebiły rekord w swojej wymianie handlowej ze światem. To efekt w dużym stopniu działań Trumpa, bo cła nie sprawdzają się jako skuteczny instrument polityki międzynarodowej. Tym bardziej że są nakładane z dnia na dzień, a potem z dnia na dzień odwoływane. Trudno utrzymywać długotrwałe relacje handlowe z takim partnerem, bo nie da się wyliczyć zysków i strat.

Tymczasem Chiny zwiększają wymianę handlową z innymi krajami kosztem Stanów i Europa powinna robić dokładnie to samo: dywersyfikować swoją wymianę handlową, otwierać się na współpracę z innymi regionami i nie liczyć na to, że będzie czerpała zyski wyłącznie dzięki kontaktom z USA. Pozytywnym przykładem jest zawarcie umowy UE-Mercosur, a jej krytyka słyszalna w Polsce wynika z nieznajomości jej treści.

No właśnie, gdzie w tym nowym ładzie albo nieładzie jest Europa? Czy napięcia z Ameryką – zakładając, że trumpizm nie okaże się zjawiskiem przejściowym – osłabia czy wzmocnią Unię?

– Unia Europejska nie jest w stanie zadbać o swoją przyszłość, jeżeli nie będzie się integrowała. Zatem ideologie populistyczne i nacjonalistyczne, niestety, godzą w przyszłość Europy. Pojedyncze kraje, takie jak Polska, a nawet silne gospodarczo Niemcy, nie będą się w przyszłości liczyć w sytuacji podziału świata przez trzy imperia.

Rosja nie bardzo ma rację bytu w przeszłości jako imperium, ale wyłącznie jako przybudówka Chin. Ale istnienie dwóch biegunów, jakimi są Chiny i Stany Zjednoczone, stawia Europę przed poważnym dylematem egzystencjalnym. Z kim współpracować, czy ją przybudówką zostać, mówiąc brutalnie – chińską czy amerykańską? Żadna opcja nie jest lepsza.

Pewnie ze względu na różne sentymenty, związane też z kulturą, muzyką, Hollywoodem, ludzie będą optowali za Stanami Zjednoczonymi. Ale czy rzeczywiście jest to alternatywa dla Europy? Sądzę, że nie. Europa powinna sama zadbać o siebie i stworzyć organizm w dużym stopniu niezależny, w sensie trzeciego ośrodka na świecie, niezależnego od rywalizacji chińsko-amerykańskiej.

Musimy rozwinąć własne zdolności w bardzo wielu dziedzinach, takich jak geonawigacja, czyli GPS zastąpić europejskim systemem Galileo, rozwój sztucznej inteligencji, platform i komunikatorów internetowych i tak dalej. Nie chodzi mi o to, żeby Europa budowała kopie systemów amerykańskich, jak to robią Rosjanie i Chińczycy, czy żeby zamknęła się we własnej bańce informacyjnej, ale żeby rozwijała własny potencjał intelektualny, gospodarczy i nie oddawała go nikomu.

Mówię to choćby w kontekście InPostu, polskiej firmy, która odniosła międzynarodowy sukces, a teraz chce ją przejąć fundusz z USA. Mamy mnóstwo start-upów w Polsce i w innych krajach europejskich, które powstają dzięki unijnym grantom naukowym, a kiedy odniosą sukces, zostają wchłonięte przez koncerny amerykańskie. To jest groźne dla przyszłości Europy i uważam, że rządy europejskie powinny poświęcać tej sprawie większą uwagę. ●

5 i $\frac{1}{3}$ GRACZA W GRZE O BIAŁORUŚ

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

O co chodzi w zażyłości Trumpa z Łukaszenką.
I jaką rolę odgrywa tu szop pracz



• Aleksander Łukaszenka z rzeczniczką prasową Natallą Ejsmant, podczas szczytu Eurazjatyckiej Unii Gospodarczej w grudniu 2025 r.

FOT. GETTY IMAGES

Na przejściu celnym „Kamien-ny Łog” na Białorusi, przy granicy z Litwą, 14 stycznia 2026 roku, białoruscy celnicy podczas rutynowej kontroli w jednym z aut sprowadzo-nych z USA znaleźli wymę-czone zwierzę. W komunika-tach mowa jest o jenocie, ale zwierzę widoczne na opubli-kowanych zdjęciach bardziej przypomina szopa pracza, popularnego w USA i nazy-wanego tam rakunem. Ochrzczono je imieniem Sienia, „lubi jajka i jest przy-jazny” – poinformowała państwowa agencja BiełTA. Jak się okazało, samochód, w którym znaleziono Sienię, nie miał bocznej szyby, co najpewniej umożliwiło przedostanie się do środka jeszcze przed załadunkiem.

Gracz nr 1: USA

W polityce międzynarodowej takie zdarze-nia rzadko bywają całkowicie przypadko-we. I choć samo przybycie zwierzęcia zapew-ne miało charakter losowy, nagłośnienie te-go faktu stało się okazją do przemycenia istot-nej informacji: kanał ze Stanów Zjednoczo-nych na Białoruś pozostaje drożny, co widać na przykładzie Sieni. Auto dotarło do Euro-py drogą morską do portu w Kłajpedzie, skąd trafiło na Białoruś. Jest to legalne, o ile pojazd nie jest objęty sankcjami jako towar luksusowy i nie jest przeznaczony do dalszej sprzeda-ży w Rosji. Koszt takiej operacji, obejmującej transport morski do Kłajpedy i logistykę lą-dową, wynosi zwykle od 1,5 do 2 tys. dolarów za samochód.

A jeśli towary wciąż mogą trafiać ze Stanów Zjednoczonych na Białoruś, to logicznym jest, że przynajmniej jakaś ich część jest z Białoru-si wysyłana za ocean. Jak można sądzić ten właśnie szlak, morski, przez Kłajpedę, wkrót-ce znów posłuży do eksportu białoruskich na-wozów. I wszystko to: odblokowywanie kana-lów logistycznych, polityka uwalniania więź-niów oraz ostrożne gesty dyplomatyczne ra-zem wyznaczają przestrzeń, w której Mińsk i Waszyngton testują nowe możliwości.

Trump powrócił do Białego Domu w stycz-niu 2025 roku wraz z zespołem, który szyb-ko skierował uwagę na Białoruś. Już na wcze-snym etapie wyznaczono kluczowych dorad-ców, w tym Keitha Kellogga oraz Johna Co-ale’a, specjalnego wysłannika ds. Białorusi. Co-ale, były prawnik Trumpa, rozpoczął bezpo-srednie rozmowy z Aleksandrem Łukaszenką, omijając tradycyjny protokół dyplomatyczny.

W lutym 2025 roku władze białoruskie uwolniły trzech więźniów politycznych. Otwor-zyło to drogę do kolejnych kroków. Następne zwolnienia objęły m.in. 52 osoby wypuszczone przed manewrami Zapad 2025. Same ćwicze-nia, przeprowadzone w dniach 12-16 września, okazały się symbolicznym punktem zwrot-nym. Nie tylko nie potwierdziły obaw, że po-wtórzy się scenariusz realizowany po Zapad 2021, kiedy to doszło do pełnoskalowej inwa-zji na Ukrainę, ale też wyznaczyły nową grani-cę w postrzeganiu Mińska. W relacjach tele-wizyjnych zobaczyliśmy amerykańskich ofice-rów, którzy przybyli jako obserwatorzy i stanę-li obok białoruskich wojskowych.

Po zakończeniu manewrów Stany Zjedno-czone zniosły sankcje na kluczowe produkty, w tym nawozy potasowe, strategiczny towar eksportowy Białorusi. Trafiają one na rynki światowe właśnie przez Kłajpedę, skąd płyną do Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Waszyng-ton zlikwidował także ograniczenia dotyczące importu części lotniczych, niezbędnych nie tyl-ko do utrzymania białoruskich Boeingów, lecz także użytecznych dla Rosji. W tym kontekście wejście na Białoruś przed kilkoma dniami ro-syjskiej linii lotniczej NordStar nie musi być odpowiedzią na zapotrzebowanie transporto-we i nie można wykluczyć, że służy „praniu” amerykańskich podzespołów przed dostarcza-niem ich na rosyjski rynek.

Kulminacja nastąpiła pod koniec 2025 ro-ku. 13 grudnia uwolniono 123 więźniów poli-tycznych, w tym Maryję Kalesnikawę oraz lau-reata Pokojowej Nagrody Nobla Alesia Białac-kiego. To umożliwiło wykonanie kolejnego ru-chu i wkrótce potem ujawniono, że Trump za-prosił ok. sześćdziesięciu osób z całego świa-ta, w większości przywódców krajów, ale też li-derów i kluczowych urzędników do nowo po-wołanej Rady Pokoju. W tym gronie znalazł się oprócz Putina także Łukaszenka, mimo że De-partament Stanu USA wciąż kategorycznie od-radza podróże na Białoruś (poziom 4: Do Not Travel). Łukaszenka zaproszenie przyjął i pod-pisał dokument akcesyjny, argumentując: „Ra-da Pokoju, jej działania i możliwości mogą roz-przestrzenić się na inne części planety. Przede wszystkim możemy pomagać Ukrainie, przy-bliżyć pokój, wpływać na ukraińskie kierow-nictwo. To mnie najbardziej interesuje”.

Sprzeciw wobec inicjatywy wyraziły m.in. Norwegia, Szwecja, Francja czy Wielka Bryta-nia. Ponad połowa zaproszonych – w tym pre-zydent Polski – wstrzymuje się z decyzją. Ze-łenski, którego Trump także widzi wśród członków, oświadczył: „Trudno mi wyobrazić sobie, jak my i Rosja możemy być razem w tej czy innej radzie”. A nam trudno sobie wyobra-zić, że w sekwencji działań prowadzących do powołania tego gremium zabrakło jednego po-sunięcia – uwolnienia Andrzeja Poczobuta.

Bromance i transakcje

Ewolucja relacji Mińsk-Waszyngton, opisywa-na w analizach Europejskiej Rady Spraw Za-granicznych jako swoisty „bromance”, czy-li pragmatyczna zażyłość Trumpa i Łukaszen-ki, stawia Europę w niekomfortowej sytuacji. Jak zauważa analityk tego think tanku Vasil Navumau, amerykański przywódca traktuje Białoruś jako laboratorium dyplomacji trans-

Żadna gra o Białoruś nie może odbyć się bez tych dwóch aktorów. Sposoby ich działania są różne: cierpliwa infiltracja vs. bezpośrednia kontrola

akcyjnej: próbuje rozluźnić rosyjski uścisk, nie dążąc jednak do otwartego zerwania sojuszu Mińska z Moskwą. W tym ujęciu nie chodzi o zmianę obozu, lecz o przesunięcie akcentów i poszerzenie pola manewru.

Podobnie Mark Episkopos z Quincy Insti-tute for Responsible Statecraft interpretuje te działania jako „niedoceniany” sukces amery-kańskiej polityki. Jego zdaniem, nawiązując dialog z Mińskiem bez stawiania maksymali-stycznych warunków, Waszyngton stabilizu-je wschodnią flankę NATO relatywnie niskim kosztem. Z perspektywy Stanów Zjednoczo-nych jest to ruch pragmatyczny; z perspektywy Mińska – próba odzyskania przestrzeni ma-newru. Artsiom Shraibman z Carnegie Endo-vement for International Peace podkreśla z ko-lei, że Łukaszenka nie jest zwykłą marionet-ką Kremla, lecz raczej satelitą stale poszukują-cym autonomii.

– Aktywne otwarcie na USA mieści się w tej logice – mówi nam Shraibman – jako próba poszerzenia własnej podmiotowości, nawet je-śli jej granice pozostają wąskie.

Oceny znaczenia samego Łukaszenki róż-nią się jednak zasadniczo – także wśród bia-loruskich elit politycznych i intelektualnych. Waler Karbalewicz, białoruski politolog i ko-rrespondent Radia Swoboda, napisał w kore-spondencji, że polityczna waga Łukaszenki ro-snie wraz z rozpoczęciem negocjacji z USA. Nie oznacza to pełnej sprawczości, lecz raczej wzrost znaczenia jako elementu większego

układu. Z kolei Paweł Łatuszka, szef białoru-skiego gabinetu cieni, uważa go za przywódcę całkowicie zależnego od Rosji, którego „pod-miotowość” opiera się wyłącznie na tych rela-cjach zależności. Łatuszka dodaje że Łukaszen-ka jest „podmiotowy” jedynie jako drugi rzeczn-ik prasowy Putina.

Jeszcze inną perspektywę wnosi Siergiej Konowałow, dyrektor Instytutu Polityki Aktu-alnej w Astanie i były radca ambasady Kazach-stanu w Ukrainie i Polsce. Jego zdaniem suwe-renność Białorusi opiera się dziś w dużej mie-rze na osobistej retoryce „bački”, a każda po-ważniejsza zmiana grozi zachwianiem kruchej równowagi systemu.

– Porozumienie z Łukaszenką nie rozwią-zuje problemów strukturalnych – podkreśla Shraibman. – Ale pozwala nimi czasowo za-rządzać. Chodzi tu o głębokie zależności Bia-lorusi od Rosji – gospodarcze, wojskowe oraz kulturowo-propagandowe – które tworzą „po-wolną aneksję”.

Wątpliwości budzi jednak pytanie o granice tej strategii oraz o to, czy Łukaszenkę mógłby spotkać los Nicolása Madury. Shraibman nie widzi powodów, dla których ktokolwiek miał-by dążyć do usunięcia białoruskiego lidera si-łą. Trump uznał jego faktyczną legitymizację, a Rosja – w obecnych warunkach – nie ma in-teresu w gwałtownym destabilizowaniu Miń-ska. Podobnie Karbalewicz nie dostrzega pań-stwa, które miałoby interes w realizacji takie-go scenariusza.

Można za to próbować zarzucić Trumpo-wi, że Białoruś traktuje jako bramę do „ruskie-go miru”. To jednak interpretacja idąca zbyt daleko. Elliott Abrams z amerykańskiego Co-uncil on Foreign Relations zaleca powstrzy-manie się od jednoznacznych sądów. – Admi-nistracja Trumpa priorytetowo traktuje stabil-ność nad demokratyczną transformacją – mó-

Niepokój ten rzutował na procesy, które w białoruskiej emigracji politycznej trwają od lat, a w 2025 roku stały się szczególnie widocz-ne. Karbalewicz zwraca uwagę na ogólną pra-widłowość: im dłużej opozycja funkcjonuje po-za krajem, tym słabszy ma wpływ na procesy wewnętrzne. Nie oznacza to całkowitej margi-nalizacji, lecz przesuwanie się emigracji na po-zycję aktora zewnętrznego – obecnego w de-bacie międzynarodowej, ale coraz słabiej zako-rzenionego w białoruskich realiach.

Z tą diagnozą nie do końca zgadza się Pa-wieł Łatuszka. Jego zdaniem po 2020 roku bia-loruska opozycja osiągnęła „bezprecedenso-wą skalę podmiotowości” w systemie europej-skim: stała się rozpoznawalnym elementem dyskusji o bezpieczeństwie, sankcjach i przy-szłości regionu. Spór między tymi ocenami nie dotyczy więc samego faktu osłabienia więzi z krajem, lecz tego, czy rekompensuje je umoc-nienie pozycji międzynarodowej.

Na ten problem nakłada się kolejny: erozja zaufania wewnątrz środowisk emigracyjnych. Rok 2025 był dla opozycji czasem szczególnie trudnym. Liczne przypadki infiltracji, ujawnia-nia agentów, zdrad oraz presji wywieranej na rodziny aktywistów podkopały poczucie bez-pieczeństwa. Działalność polityczna na emi-gracji coraz częściej oznaczała nie tylko izola-cję od kraju, lecz także realne ryzyko osobiste – nawet w miastach, które dotąd uchodziły za bezpieczne zaplecze.

W tym kontekście decyzja o przeniesie-niu pod koniec 2025 roku biura Swiatłany Ci-chanouskiej z Wilna do Warszawy nabiera znaczenia symbolicznego. Nie był to jedynie ruch techniczny. Jak pisała „Nasza Niwa”, mo-gło to być efektem zmęczenia Wilna rolą cen-trum emigracji oraz pośrednio wynikać z na-cisków Mińska. Shraibman studzi emocje: Nie pamiętam czasów, kiedy opozycyjne środo-wisko w Warszawie czy w Wilnie miało jakiś wielki wpływ. Oni naturalnie z upływem cza-su od 2020 roku tracą związek z samą Białoru-sią – przekonuje.

Warszawa nie stała się więc nowym demo-kratycznym Mińskiem, a raczej potwierdziła status miejsca, gdzie Białorusini po prostu mo-gą kontynuować swoją działalność polityczną.

Stara oś Wilno-Warszawa przestała funk-cjonować, ale równolegle wyłania się nowa oś Warszawa-Berlin. Decyzja Maryi Kalesnika-wej o budowie własnego zaplecza polityczne-go w stolicy Niemiec może być przejawem tego procesu. Nie jest to ruch przeciwko innemu, lecz działa obok nich: kolejny dowód na to, że bia-loruska opozycja funkcjonuje dziś nie jako jed-nolity podmiot, lecz jako zbiór centrów, reagu-jących na zewnętrzne uwarunkowania i ope-rujących pod parasolem większych aktorów.

Gracz nr 2 i 1/3: Polska

Wzdłuż nowej osi – najpierw Warszawa. Na-sza polityka wobec Białorusi koncentruje się przede wszystkim na wsparciu opozycji i fi-nansowaniu mediów, takich jak Bielsat, które-go dalszy rozwój – zamiast ograniczania – był-by bardzo zasadny.

Sytuacja opozycji to medal o dwóch stro-nach. Oprócz działań, o których wspomnie-liśmy, jest też sprawa infiltrowania jej przez Mińsk. Wskazać można chociażby przypadek Mielnikowej – zaginionej w marcu 2025 roku, oskarżonej o współpracę z KGB, a także Jauhe-na Dudkina – stypendysty RP, który okazał się byłym agentem i kilka innych, np. taksówka-rza z Podlasia, fotografa z Warszawy, będących współpracownikami białoruskich służb. Ska-la tego zjawiska pozostaje trudna do oszaco-wania, ale nie ma wątpliwości, że przekłada się na relacje między opozycją a polskimi władza-mi. Trudno sobie wyobrazić, żeby casus Dud-kina nie miał przełożenia na funkcjonowanie programów stypendialnych. I to tylko jeden z przykładów oddziaływania.

A w tym czasie sam Mińsk zachęca nas do aktywności, posługując się kłamstwem zało-życielskim. Władze białoruskie formułują bo-wiem deklaracje współpracy z Polską w róż-nych obszarach: od bezpieczeństwa granicz-

nego (w tym rzekomych rozmów dotyczących migracji w grudniu 2025 roku), przez logistykę, po handel, w tym propozycje resetu relacji gospodarczych.

Karbalewicz już wcześniej, przed dwoma miesiącami zwracał naszą uwagę że „właśnie Polska jest przedstawiana [przez Mińsk] jako najważniejszy przeciwnik [i] »walka« z nią jest nawet zaszczytna, bo to silny przeciwnik”. Obecne deklaracje współpracy, jakie płyną od ludzi reżimu, w tym szefa KGB Białorusi, Polaka z pochodzenia, Iwana Tertela, świadczą o zmianie strategii. Toczący się kamień nie porasta mchem, zdaje się mówić Łukaszenka.

Tymczasem strona polska komunikuje swoje stanowisko w sposób jednoznaczny. Sikorski stwierdził: „Nie ma żadnych rozmów z reżimem Łukaszenki”. Kropka.

Tu należałoby rozróżnić pomiędzy polską polityką zagraniczną a zapleczem eksperckim. Wiedza na temat Białorusi jest gromadzona m.in. przez doskonały Ośrodek Studiów Wschodnich, środowiska akademickie oraz inicjatywy lokalne, przykładem prężne i rzetelne Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach, dokumentujące tożsamość pogranicza.

Za to praktyka wygląda dużo skromniej: to wspomniane działania na rzecz opozycji, działania w sferze mediów, deklaracje o braku kontaktów z reżimem oraz nieliczne decyzje o charakterze operacyjnym, a zwłaszcza o otwarciu przejścia w Bobrownikach w listopadzie 2025 roku. Decyzja ta mogła zapaść najprawdopodobniej pod wpływem presji zewnętrznej, w tym sygnałów płynących z Pekinu, przy wyraźnym zainteresowaniu strony białoruskiej. Mieliśmy karty w rękach, a nie wyegzekwowaliśmy zwolnienia Poczubuta. Przypomnijmy, że nierozwiązane pozostają sprawy innych Polaków. Pamiętajcie o. Grzegorza Gawła, zatrzymanego we wrześniu 2025 roku w Lepelu? Organizacja Wiasna podała niedawno, że oprócz niego i Poczubuta jest jeszcze jeden polski więzień polityczny na Białorusi.

Równocześnie w Polsce widoczny jest rosnący trend zainteresowania Republiką Białorusi. W mediach społecznościowych pojawiają się relacje „dziennikarzy” – podróżników, opisujących wizyty w tym kraju w kategoriach: „tanio”, „bezpiecznie”, „czysto”, „kobiety bez tatuaży”. Zapewne nie są to agenci, ale bez wątpienia pod ich materiałami publikowanymi w mediach społecznościowych udzielają się nie tylko trolle, ale i faktyczni agenci. Sam reżim gra na tej nucie i eksploatuje to w swoich mediach, adresowanych do Polski (ostatnio w Mińsku wyprodukowano na podwoziu ciężarowym MAZ-365022 „narodowego” kampera z żubrem na burcie w cenie ok. 220 tys. zł, wiadomością ta, jesteśmy przekonani, niebawem pojawi się na takim tle jako... koncepcja profesora Bartoszewskiego. Ówczesny szef MSZ widział ją w formie „ograniczonego dialogu politycznego z władzami przy jednoczesnym rozwijaniu uzasadnionych merytorycznie kontaktów międzyresortowych oraz społecznych” i wyznaczył dwóch odbiorców: „władze państwowe z prezydentem A. Łukaszenką na czele oraz społeczeństwo (w tym partie opozycyjne, organizacje pozarządowe, związki zawodowe, niezależne media)”. To było 25 lat temu i nasza polityka wobec Białorusi nie tylko jest na jedną trzecią gwizdka, ale i się zdeaktualizowała.

Gracz nr 3: Niemcy

Po przeciwnej osi – miasto nad Sprewą, gdzie udajemy się nie tylko za sprawą Kalesnikawej, która z Babaryką tam właśnie będzie działać.

Traf chciał, że jednego dnia pojawiły się dwa ważne teksty dotyczące Niemiec w kontekście Rosji i Białorusi. Punktem wyjścia była wypowiedź kanclerza Merza z 30 grudnia 2025 roku w Halle, gdzie określił Rosję „naszym największym europejskim sąsiadem” i podkreślił potrzebę „odbudowy” relacji Berlina z Moskwą. Słowa te natychmiast odbiły się echem w debacie publicznej i sprowokowały komentarze, opublikowane 17 stycznia 2026 roku na Facebooku przez prof. Andrzeja Nowaka i ikonę białoruskiej opozycji, Zianona Pazniaka. Prof. Nowak dodatkowo odpowiedział na nasze pytania dotyczące kontekstu białoruskiego mailowo, w obszernym komentarzu.

Nowak interpretuje wypowiedź Merza w kontekście długiej tradycji niemieckiego myślenia o Wschodzie. Jak pisze: „niemiecki kanclerz... rzeczywiście ogłasza Rosję wyznaczonym krajem – partnerem dla odrodzenia Niemiec. Określenie Rosji jako »największego sąsiada Niemiec« było stałym motywem wypowiedzi kanclerz Merkel. [...] Największym wschodnim sąsiadem Niemiec pozostaje Polska, drugim: Czechy. Dalej są Litwa, Łotwa, Białoruś, Ukraina. To wszystko kraje, które pomija niemiecka mapa mentalna”.

Innymi słowy, gest Merza sygnalizuje powrót do myślenia, które upraszcza mapę polityczną Europy, stawia w centrum relacje z Moskwą i marginalizuje kraje buforowe. Nowak wskazuje, że Niemcy balansują między dwoma sprzecznymi strategiami: porozumieniem z Rosją a mitteleuropejską wizją stref wpływów, w której Białoruś pełni rolę suwerennego (aciz zależnego) bufora. W praktyce Berlin adaptuje narrację do bieżących interesów, niekoniecznie uwzględniając cele Polski czy państw nadbałtyckich.

Pazniak formułuje tezę ostrzejszą i bardziej konspiracyjną: „Istotą niemieckiej pozycji jest likwidacja białoruskiego państwa poprzez włączenie go do składu Rosji. Ekonomicznym interesem takiej polityki jest tani dostęp do rosyjskich zasobów energetycznych, ropy i gazu. Politycznym interesem – nacisk na Polskę”.

Według niego Niemcy w swojej grze wykorzystują białoruską opozycję w sposób, który nie służy samej Białorusi.

Interpretacja całości: Nowak daje ramę historyczno-strategiczną, wskazując na ambivalencję Berlina, Pazniak formułuje geopolityczne konsekwencje – jeśli Niemcy zbliżają się do Moskwy, państwa buforowe, w tym Białoruś, stają się polem manewru, a częścią gry będą antyreżimowi, lecz prorosyjscy białoruscy emigranci.

Eksperci śledzący sytuację podchodzą do tego z ostrożnością. Shraibman zwraca uwagę, że w niemieckich kręgach dyplomatycznych przeważa pragmatyzm i podział zadań między sąsiadami Białorusi: – Niemcy zaprosili Babarykę i Kalesnikawą, dlatego, że Kalesnikawa mieszkała w Niemczech [...], zna niemiecki – mówi.

Podobnie Karbalewicz zauważa ograniczenia niemieckiego soft power: – Berlin nie prowadzi jednolitej, hegemonicznej polityki wobec białoruskiej opozycji, zmniejsza liczbę programów wsparcia, a rolę kluczowego patrona odgrywa Polska.

A jednak Mińsk reaguje tak, jakby zgadzał się z tezami Nowaka i Pazniaka. W grudniu 2025 roku Łukaszenka, awansując Dzmityrja Harę na stanowisko prokuratora generalnego, zlecił mu „wystawienie rachunku odpowiedzialnym” za ludobójstwo Białorusinów w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W retoryce reżimu takie formułki mają służyć mobilizacji i legitymizacji działań wobec zewnętrznych wrogów. Gra zaczęła się już w maju 2025 roku, kiedy Hara na konferencji w Petersburgu przestrzegał przed „nacionalistami zagrażającymi słowiańskiej jedności”. Odbiorcą tych rachunków mogłaby być nawet Warszawa, na pewno – sądząc po procesach wytaczanych przez Mińsk ukraińskim kolaborantom z czasów II wojny światowej – także Kijów, lecz najbardziej oczywistym adresatem jest Berlin. Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że Nowak i Pazniak

nie tyle wyznaczyli nowy kierunek debaty, ile nazwali pole gry, na którym Mińsk i Berlin porostawiali już figury.

Gracze nr 4 i 5: Chiny i Rosja

Żadna gra o Białoruś nie może się obyć bez aktorów, którzy wyznaczają jej fundamentalne ramy. W tym gronie nie ma jednak Polski. Spособy działania tych obowiązkowych graczy są skrajnie różne: to cierpliwa infiltracja Chin vs. bezpośrednia kontrola Rosji.

Pekin pozostaje przykładem cichej, konsekwentnej strategii i oferuje wsparcie ekonomiczne, jak transze po 300 milionów juanów w 2024 i 2025 roku na rozwój Chińsko-Białoruskiego Parku Przemysłowego „Wielki Kamień”. Ten projekt – największy park przemysłowy Chin w Europie – powstał jako strefa high-tech z preferencyjnym systemem prawnym i infrastrukturą pozwalającą na szybki rozwój produkcji oraz nauki. Jednak skuteczność Chin polega na subtelności i długim horyzoncie działania. „Wielki Kamień” to także symbol rozrastającej się grzybni wpływów, której korzenie stopniowo obejmują coraz większą część białoruskiego terytorium. W perspektywie dekady ten system, jeśli nikt mu nie przeszkodzi, może realnie zmienić układ gospodarczy i strategiczny kraju. W istocie celem Pekinu jest poszerzanie zależności, a nie zachowaniu walorów kulturowo-przyrodniczych Białorusi. I nietrudno sobie wyobrazić kompleksy megaferm drobiu, które mogą wyrosnąć tuż za naszą granicą w otulinie Puszczy Białowieckiej.

Rok 2025 był dla białoruskiej opozycji szczególnie trudny. Przypadki infiltracji, zdrad oraz presji wywieranej na rodziny aktywistów podkopały poczucie bezpieczeństwa

A na koniec główny rozgrywający – Rosja. Jej podstawowa strategia się nie zmienia: maksymalna kontrola przy minimalnym ryzyku. Co jednak nowego można powiedzieć poza oczywistymi obserwacjami – że Kreml traci cierpliwość do Mińska, a Łukaszenka zreszcie lawiruje? To pisano już dwie dekady temu. Być może jedyną nowością są ostatnie zmiany w siłowym aparacie Mińska, w tym rosnące znaczenie kagebisty Tertela. To właśnie on może być dla Moskwy filarem „kagiebiistycznej chemii” – gwarancją, że niezależnie od przyszłych wstrząsów rdzeń kontroli pozostanie nienaruszony.

Przyjęcie perspektywy rosyjskiej pozwala również dostrzec, że na Białorusi brakuje odpowiednika Nawalnego. Nie ma charyzmatycznego lidera opozycji gotowego wrócić do kraju, mimo śmiertelnego ryzyka, by zmieścić jego bieg od środka, a wielu Białorusinów wciąż marzy, aby prawdziwe centrum opozycji, z czołowymi postaciami, znajdowało się w Mińsku, a nie w Warszawie czy Berlinie. Tę tęsknotę ilustruje m.in. wywiad z byłym więźniem politycznym, opublikowany 14 listopada 2025 roku na portalu Nasza Niwa. Bohater tekstu, ukrywający się pod imieniem Siarhiej, stwierdza: „przyszłość Białorusi decyduje się tutaj [tj. na Białorusi], jakimi praktycznymi działaniami” a także „Jesteś tam [tj. na emigracji] obcy w obcym kraju i, w gruncie rzeczy, nikomu niepotrzebny – a tutaj jednak jesteś w domu, a w lepsze łatwiej wierzyć w domu”.

Gracz nr 0: Łukaszenka

I raz jeszcze Łukaszenka, ale w roli zupełnie innej niż w kontekście relacji z Trumpem. Nie uczestniczy w tradycyjnej rozgrywce; ułokował się poza główną planszę, aspirując do roli „gracza zero”. Nie jest to pozycja zwycięzcy ani przegranego, lecz niezbędnego łącznika, bez

którego układanka interesów w regionie nie może się domknąć. W grudniowym wystąpieniu na VII Wszechbiałoruskim Zgromadzeniu Ludowym powiedział: „To, co dzieje się wokół nas, nie zależy od nas. Szaleństwo i jeszcze raz szaleństwo”. Choć słowa te brzmią jak wyznanie bezsilności, w praktyce odsłaniają paradoks – z jednej strony Łukaszenka deklaruje ograniczenie wpływów, z drugiej samookreśla się jako „odchodzący prezydent” (o czym pisało BiełTA). To część strategii: legitymizować władzę poprzez gesty i narracje, jednocześnie ograniczając własne zobowiązania.

Jego pozycja realizuje się w trzech płaszczyznach: po pierwsze spektakl polityczny, który obejmuje publiczne gesty, zaproszenia i spektakle dyplomatyczne służące budowaniu wizerunku Mińska jako niezbędnego partnera; po drugie zabezpieczenie aparatu rządzącego, widoczne w roszadach w służbach i prokuraturze, które wzmacniają rdzeń władzy i podnoszą koszt ewentualnego przewrotu; oraz po trzecie balans zewnętrzny – manewrowanie między Moskwą a innymi partnerami, zwiększając tym samym własne znaczenie.

Strukturalna zależność od Rosji ogranicza jednak swobodę decyzyjną Łukaszenki, a kluczowe rozstrzygnięcia wymagają konsultacji z zewnętrznymi patronami. W dyskusjach eksperckich przewijają się scenariusze wyjścia z tej gry: „miękkie lądowanie” poza krajem z gwarancjami majątkowymi i osobistymi, utrzymanie roli „gracza zero” na Białorusi i dalsze balansowanie, albo nagły kryzys prowadzący do gwałtownej zmiany, której konsekwencje trudno przewidzieć. Każdy wariant w większym stopniu zależy od decyzji zewnętrznych aktorów niż od pojedynczego ruchu prezydenta.

I tu warto przywołać konteksty z Azji Środkowej, rzadziej obecne w europejskim dyskursie. Konowalów w rozmowie zwraca uwagę na tzw. „model kazachstański” jako punkt odniesienia dla Białorusi. Chodzi o strategię wielowektorową, w której kraj balansuje między różnymi partnerami, utrzymując suwerenność przy ograniczonej zależności od mocarstw. W przypadku Łukaszenki taka opcja jest trudna do wdrożenia – bliskość kulturowa i geopolityczna Rosji znacząco ogranicza możliwość niezależnego manewru. Może być jednak celem, do którego się dąży.

Kazachstan mógłby też odgrywać rolę pośrednika lub miejsca potencjalnego azylu, gdyby Łukaszenka zdecydował się czynnie zaangażować z kraju. Z drugiej strony Astana nigdy nie zgodziłaby się na wybór „kogoś przeciwko komuś”, co nadaje takim scenariuszom raczej charakter symboliczny niż strategiczny.

Konowalów podkreśla przy okazji inny, niezwykle cenny zasób Białorusi, który nierzadko umyka europejskim obserwatorom – odporność instytucji i społeczeństwa w warunkach długotrwałej izolacji. Ta wewnętrzna stabilność może stać się głównym instrumentem manewru, pozwalając Łukaszence maksymalizować wartość Białorusi w oczach partnerów zewnętrznych, bez konieczności „przechodzenia na drugą stronę” czy rezygnacji z kontroli. Paradoksalnie, w tym scenariuszu osobisty interes prezydenta w pewnym stopniu zbiega się z interesem państwa i społeczeństwa. I tego na Białorusi jeszcze nie grali.

Pamięćcie jeno! alias szopa pracza? Obecnie „amerykański pasażer”, nazywany w białoruskich mediach także „puszystym pasażerem”, przebywa na kwarantannie w Oszmianie. Władze w połowie lutego zdecydowały, czy trafi do Puszczy Nalibockiej, czy do zoo w Grodnie. I jakkolwiek nie zabrzmiało to patetycznie, w podobnej sytuacji jest również cały kraj. Włączenie się do rozgrywki o Mińsk Trumpa oraz wyartykułowanie mitteleuropejskiej koncepcji przez Niemcy nie mogło nie wpłynąć na dotychczasową równowagę.

Jeśli w Polsce zamiast ograniczać się do gry tylko „na jedną trzecią”, zdecydujemy się myśleć o suwerenności tego narodu w kategoriach całościowych – być może uda się przeważać szalę. ●

KULTURA I OBBYCY

Od początku pracowa-
łam po angielsku.
Teraz czasem brakuje
mi odpowiedniego
słownictwa w ojczystym
języku, żeby opisać,
czym się zajmuję.

Z KOSTIUMOGRAFKĄ **MAŁGOSIA
TURZAŃSKA**, NOMINOWANĄ DO OSCARA
ZA KOSTIUMY DO FILMU „HAMNET”
ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

ZREZYGNOWAŁAM
Z KROPKI NAD ZET.

Został żal

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

PIOTR GUSZKOWSKI: Czy w Hollywood nauczyli się już twojego nazwiska? Wymówienie „Małgosia Turżańska” musi być dla Amerykanów nie lada wyzwaniem. **MAŁGOSIA TURŻAŃSKA:** Pytają mnie często, czy jest jakiś skrót albo czy mogą mówić na mnie „Mał”. Odpowiadam wtedy, że nie. Jestem Małgosia. Takie imię mam wpisane oficjalnie w paszporcie, nigdy nie czułam się Małgorzatą.

Poszłam na jedno ustępstwo, zrezygnowałam z kropki nad zet. Bo mam na nazwisko Turżańska. A teraz pozazdrościłam autorowi zdjęć Łukaszowi Żalowi, że w każdej publikacji wszystkie znaki diakrytyczne ma jak należy.

Razem z Łukaszem spotkaliście się przy pracy nad jednym z najgłośniejszych filmów sezonu, „Hamnecie” Chloé Zhao. Kto by się spodziewał, że w kontekście opowieści o najbardziej angielskim z angielskich twórców wszyscy będą rozmawiać o polskiej zupie? Odbierając Złoty Glob, aktorka Jessie Buckley dziękowała Tomaszowi Sternickiemu, że zabrał na plan swój garnek.

– To było cudowne! Tomek kieruje pionem gripu, czyli specjalistów od oświetlenia i kamery. Często można było go spotkać na tyłach wozu nad tym żeliwnym garnkiem. Kroił warzywa i mięso. Raz to był żurek, innym razem gulaszowa. Mam nawet zdjęcie Chloé, jak stoi za Tomkiem i zjada się którąś z jego zup. Chłopaki mieli swój palnik i przygotowywali też inne potrawy.

Robiliśmy wymagający emocjonalnie film o utracie dziecka i żalobie, więc takie wspólne momenty spędzane razem były niezmiernie ważne, dodawały nam siły na kolejny dzień. Wiedzieliśmy, że wszyscy są bardzo zaangażowani i dają z siebie wszystko. Chloé mówiła, że jesteście jej wioską. Czuję, jak oczy szklą mi się na samo wspomnienie tego czasu.

Stanowiliście niezły tygiel: reżyserka z Chin, w głównych rolach para Irlandczyków, ale w napisach końcowych dużo nazwisk naszych rodaków.

To był chyba twój najbardziej polski plan od czasu „Janosika. Prawdziwej historii”?

– Dawno nie słyszałam tylu polskich przekleństw. Ale miało to swój urok. Tak naprawdę jeszcze nigdy nie miałam okazji pracować w Polsce, zdjęcia do „Janosika” powstawały na Słowacji.

Podobno byłaś najgorszą asystentką, jaką można sobie wyobrazić. Ale to nie opinia reżyserki Agnieszki Holland i Kasi Adamik, tylko twoja własna samokrytyka.

– Studiowałam wtedy na Wydziale Kostiumu i Scenografii na praskiej DAMU. Nasz kolega, aktor Václav Jiráček dostał rolę Janosika. Próbowaliśmy się przez niego dostać na plan, ale zespół od kostiumów został dawno skompletowany. Ale Vasek komuś ważnemu przekazał, że jest taka dziewczyna, która mówi po polsku, czesku i angielsku, i w ten sposób wciągnął mnie w produkcję. Miałam podawać kawę, drukować maile – bo to było tak dawno temu – podawać Agnieszce kurtkę, kiedy robiło się zimno itd.

Zaniedbywałam obowiązki asystentki, bo korzystałam z każdej okazji, żeby złapać się na pracę choćby przy przybrudzeniu kostiumów. Nie zapomnę, jak Kasia wzięła mnie za rękę i popatrzyła się na moje paznokcie. Z uśmiechem powiedziała: „No dobrze”.

To wtedy, na planie „Janosika”, po raz pierwszy zobaczyłam od środka, jak działa filmowa maszyna. Językowo była to mieszanka polskiego, czeskiego i słowackiego.

Natomiast przy projektach, do których robiłam kostiumy, właściwie od początku pracowałam po angielsku. Czasem łapię się na tym, że brakuje mi odpowiedniego słownictwa w ojczystym języku, żeby opisać, czym się zajmuję. Bywa to frustrujące.



• Kadry z filmu „Hamnet”.
– Od razu zobaczyłam Agnes (Jessie Buckley) jako bijące serce: postać, w której widać płynącą krew. Stąd jej krwiste kostiumy – mówi Małgosia Turżańska i...

• ...dodaje:
– Natomiast Will Szekspir (Paul Mescal) stanowi przeciwieństwo ukochanej żony: chowa głęboko emocje. Jego kostiumy są więc monochromatyczne FOT. AGATA GRZYBOWSKA / © 2025 FOCUS FEATURES LLC (2)

W polskich mediach większość wywiadów z tobą anonsowana jest tytułem: „Polka, która ubiera hollywoodzkie gwiazdy”. Bardziej jakbyś była projektantką mody. Nie oddaje to charakteru twojej pracy.

– Ani jej twórczego aspektu, jakim jest współtworzenie emocjonalnej warstwy filmów, ani brudu i potu, który tej pracy towarzyszy. W moim zawodzie jest naprawdę niewiele glamouru. Czasem mamy okazję przejść się po czerwonym dywanie. Na co dzień wygląda to zupełnie inaczej.

Jestem na planie za każdym razem, gdy jakiś kostium pojawia się po raz pierwszy albo aktor wymaga szczególnego wsparcia. A tak biegam między studiem, gdzie mamy przymiarki i trwa szycie, a zakupami.

Prześledźmy ten proces od początku. Na co zwracasz uwagę, czytając scenariusz?

– Pierwsze czytanie określam jako „raw”. Szukam dobrego polskiego słowa, chyba najbliższej znaczenia, o które mi chodzi, będzie „bez filtra”. Wtedy nie zwracam jeszcze uwagi na epokę ani pogodę. Skupiam się wyłącznie na emocjach. Staram się zrozumieć, co bohaterowie przeżywają. Szukam pierwszych skojarzeń w postaci zdjęć, obrazów, kolorów czy faktur, choć na tym etapie jeszcze nie do końca wiem, co znaczą. W ten sposób powstaje czysto emocjonalny lookbook.

Drugie czytanie jest na zimno. To chyba najgorszy etap pracy, ale nie da się go uniknąć. Scena po scenie dokonuję dokładnej analizy stricte fizycznej: czy pada deszcz albo jest zimno, czy na kostiumie pojawi się krew itp. Potem rusza pogłębiony research, przygotowuję pierwsze szkice. Ale nawet na późniejszych etapach wracam do tego pierwszego lo-

okbooka, żeby przypomnieć sobie, co czułam na samym początku.

Pamiętasz pierwsze wrażenia z lektury „Hamneta”?

– Zaczęłam od książki Maggie O’Farrel, na podstawie której powstawał wtedy scenariusz. Zobaczyłam Agnes jako bijące serce: postać, w której widać płynącą krew. Stąd krwiste kostiumy.

W pierwszej scenie filmu Agnes wylania się z korzeni wielkiego drzewa. Nie poszłaś w oczywiste skojarzenia z naturą: zielenie ani brązy.

– Z praktycznego punktu widzenia nie dostrzeglibyśmy jej wtedy na tle natury. Matka Agnes jest kolorystycznie związana z lasem, Agnes dla mnie to bardziej owoc: soczysta jagoda, która może wyleczyć albo zatruć. Kluczowa była moc życia, jaką niesie.

Natomiast Will stanowi przeciwieństwo ukochanej żony: chowa głęboko emocje. Ona czuje bliską więź z naturą, przez dotyk potrafi zobaczyć wszystko. On pochodzi z rodziny rękawiczników, bardzo poukładanej, rygorystycznej. Trumna na ręce – takie miałam skojarzenie, myśląc o nich. Monochromatyczne kostiumy Willa najpierw są drapane, potem rozcinane – to bardzo elżbietański element. Rozcięcia robią się z czasem coraz większe. Wyrażają niemy krzyk, emocje po śmierci syna, dla których bohater nie może znaleźć ujęcia. Aż do samego końca, kiedy powie wszystko „Hamletem”.

W spektaklu, który wystawia ze swoją trupą, Will wciela się w postać ducha, twarz i ubranie ma pokryte białą, spękaną substancją – jakby to była

zewnątrzna powłoka, którą z siebie zrzuca. Czego użyliście?

– Gliny. Pokryliśmy nią ubranie i twarz Paula Mescala. To był mój ostatni kostium. Najbardziej się go bałam. Scena spektaklu musiała zrobić na widzach odpowiednie wrażenie. Nie mogłam przesadzić ani dać za mało. Cieszę się, że to działa.

Publiczność w tej scenie nosi kostiumy odpowiadające strojom z epoki, ale nasz Globe Theatre jest mniejszy niż w rzeczywistości. Chloé powiedziała scenografce Fionie Crombie, że chce, żebyśmy czuli się jak w pniu drzewa. Prospekt, czyli tło sceniczne z namalowanym lasem, też jest ahistoryczny, bo w tamtym czasie pierwsze takie elementy scenografii pojawiały się dopiero we Włoszech.

Skoro już o tym wspominasz. Co jakiś czas wybucha dyskusja dotycząca historycznej wierności kostiumów. Na twórców „Wichrowych wzgórz” właśnie posypały się gromy po pierwszym zwiastunie, w przypadku „Odysei” wytykano hełm hoplitów na głowie Matta Damona.

– Nie robiliśmy muzealnej biografii, tylko opowieść o tym, co wydarzyło się pomiędzy Willem i Agnes. To oni byli tutaj najważniejsi. Musiałam mieć świetnie rozpoznaną epokę, zanim zabrałam się do pracy. Inspirowałam się elżbietańskimi kostiumami. Ale Jessie Buckley i Paul Mescal noszą je w bardzo żywy sposób: mają podwinięte rękawy, rozpięte koszule – nie są zamknięci w historycyzmie.

Nasze decyzje wynikają z różnych powodów. Weźmy trupę teatralną Willa. W tamtych czasach aktorzy nosili na scenie kostiumy darowane przez wyższe klasy społeczne, w ten sposób widzowie mogli się z nimi identyfikować.

W kinie taki zabieg nie zadziała. Więc zachowaliśmy jedynie elżbietańskie kształty. Kostiumy aktorów występujących na scenie zrobione są z lnu, pomalowaliśmy je lateksową farbą. Pokazujemy proces tworzenia sztuki, przez którą Szekspir przepracowuje stratę dziecka, widzimy ślady pędzla, farba jeszcze nie okrzepła.

Paul miał pomysł, że zamiast sztyletu przy pasku Will będzie nosił pojemnik na pióro – bo to jego właściwe oręż.

Z researchu biorą się fajne odkrycia. Tak było przy filmie „Zielony Rycerz. Green Knight”. Sir Gawain przed wyruszeniem na wyprawę dostaje dzwoneczek, który ukochana odpina ze swojego szala. Wyczytałam gdzieś, że w ten sposób naznaczano prostytutki, szaleńców i inne osoby na marginesie społeczeństwa. Reżyser Dawid Lowery z entuzjazmem podjął ten wątek. Zresztą Stańczyk u Matejki też miał dzwoneczki na swojej czapce.

A jak wygląda praca przy kostiumach współczesnych? Rządziej masz okazję ubierać bohaterów w jeansy i T-shirt.

– Proces jest bardzo podobny, ale w pewnym sensie trudniejszy. Przy filmach kostiumowych godzimy się na pewną umowność, jeśli chodzi o współczesność, słysząc więcej uwag. Każdy ma dziś swoje zdanie, bo każdy codziennie się ubiera, więc więcej osób czuje się uprawnionych do komentarza. Wyzwanie polega na tym, żeby przez bardzo subtelne decyzje – krój, kolor, rodzaj materiału – zbudować coś, co zapada w pamięć, ale nie odciąga uwagi od historii.

Uważam, że genialnie robi to Jennifer Johnson w filmach Yorgosa Lanthimosa – teraz w „Bugonii”, wcześniej w „Rodzajach życzliwości”. To samo mogę powiedzieć o kostiumach z „Jednej bitwy po drugiej”. To jest najwyższa szkoła jazdy, dlatego cieszę się, że nasza gildia zawodowa nagradza kostiumy współczesne w osobnej kategorii.

Aktorzy przyznają, jak ważny jest dla nich kostium. Czasem dopiero dzięki niemu znajdują pomysł na swojego bohatera czy bohaterkę. Zdarzyło ci się spotkać kogoś, kto byłby szczególnie zaangażowany w ten proces?

– Miałam dotąd ogromne szczęście pracować z aktorami, którzy podporządkowują wszystko bohaterom i historii. Chcą, żeby ich postać czuła się w kostiumie prawdziwie. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś się zastanawiał, czy wygląda dobrze, czy aby nie za grubo, czy ten kolor mu służy.

Jessie Buckley przyszła do nas prosto z planu „Panny młodej!” Maggie Gyllenhaal. Włosy blond, czarne paznokcie, zupełnie inna energia niż to, czego potrzebowała w „Hamnecie”. Razem szukałyśmy Agnes. Jessie wysyłała mi wcześniej muzykę, obrazy. Od dłuższego czasu myślała o tej postaci. Ja wysyłałam jej ten pierwszy lookbook i szkice, żeby mogła prześledzić mój tok myślenia.

Potem przychodzi czas przymiarek, kiedy niektóre z pomysłów trzeba zweryfikować, żeby ten kostium na aktorce stał się skórą postaci i pasował jak ulał.

Jak trafiłaś do pierwszych amerykańskich filmów?

– W Pradze poznałam reżyserów Benha Zeitlina [późniejszy twórca „Bestii z południowych krain”] i Raya Tintoriego, którzy byli tam na kursie animacji. Spotkaliśmy się potem w Nowym Jorku, kiedy przeniosłam się na Tisch School of the Arts. Z Benhem zrobiłam krótkie metraże, z Rayem teledysk MGMT. Powoli budowałam portfolio. Miałam ogromne szczęście. Dostałam częściowe stypendium. Bardzo pomagali mi rodzice, którzy śmiali się, że wspierają biedną artystkę, oraz mój pierwszy mąż [operator i reżyser filmowy Ben Richardson].

Wiedziałam, że potrzebuję znajomości w branży. Koledzy i koleżanki z roku zajmowali się głównie teatrem, ja chciałam robić filmy. Mieliśmy zajęcia na trzecim piętrze, a filmowcy na dziesiątym, więc zaglądałam do nich. Po godzinach szyłam kostiumy, farbowałam materiały do pierwszych etiid studenckich. Ktoś polecił mnie komuś, moje nazwisko krążyło po uczelni.

Tak się jakoś złożyło, że z Chloé Zhao mijaliśmy się w szkole. Kiedy w końcu poznałyśmy się na festiwalu Sundance, kojarzyła mnie. Miałam robić kostiumy do jej debiutu „Pieśni braci moich”. Ostatecznie terminy się nam rozjechały, ale, jak widać, co się odwlecze, to nie uciecze. Zrobiliśmy razem „Hamneta”.

Tematy relacji z naturą i przeżywania załoby tak silnie wybrzmiewające w „Hamnecie” pojawiają się również w innym filmie, do którego niedawno robiłaś kostiumy. Mam na myśli „Sny o pociągach” Clinta Bentleya według prozy Denisa Johnsa.

– Jeden i drugi film – o czym nie myślałam wcześniej, bo ze Spokane właściwie od razu polecałam do Londynu – stanowi również

Gdybym miała wybrać jedną produkcję, która najbardziej wpłynęła na moją karierę, byłoby to „Stranger Things”. Popularność tego serialu pozwoliła mi zaistnieć, wskoczyłam na wyższą półkę

metaforę filmowego życia. Nasza praca składa się przecież z ciągłych wyjazdów, ktoś zawsze zostaje na miejscu. Życie w domu toczy się dalej, nie da się go zastopować do momentu, aż wrócisz. Agnes mówi z wyrzutem Willovi: „Nie było cię tutaj”. W scenariuszu „Snów o pociągach” bardzo spodobała mi się scena, która finalnie nie trafiła chyba do filmu. Bohater grany przez Joela Edgertona wraca do domu po tygodniach spędzonych na wyrębie lasu pod budowę kolei. Chce coś naprawić i pyta żony: „Gdzie są moje narzędzia?”. „To moje narzędzia” – obrusza się ona, bo przecież więcej z nich korzysta.

Widzowie zdążyli już chyba ochłonąć po finale „Stranger Things”, ty byłaś przy narodzinach tych bohaterów. Jak wspominasz czas spędzony przy pracy nad pierwszym sezonem z braćmi Dufferami?

– To serial, który zmienił moje życie.

Mówisz serio?

– Gdybym miała wybrać jedną produkcję, która najbardziej wpłynęła na moją karierę, byłoby to z pewnością „Stranger Things”. Popularność tego serialu pozwoliła mi zaistnieć, wskoczyłam na wyższą półkę. Moje nazwisko do kapelusza braci Dufferów wrzucił scenograf Chris Trujillo. Miałam mocny lookbook, czułam tę historię, gadalo się nam super. I powiem ci, że byłam przekonana, że dostanę tę robotę.

Dufferowie postavili jednak na Kimberly Adams, która miała znacznie większe doświadczenie ode mnie. Podjęli dobrą decyzję, bo nie wiem, czy na tamtym etapie zdołałabym urządzić departament kostiumów tak dużej produkcji.

Jednak po paru tygodniach zadzwoniła do mnie przyjaciółka, która była odpowiedzialna za fryzury. I zaczęła mnie pytać o plany zawo-

dowe na najbliższe tygodnie, a przede wszystkim chciała wiedzieć, czy mam jakiś żal, że mnie nie zatrudnili do „Stranger Things”. Odpowiedziałam, że nie. „No dobra, to zaraz będziesz miała telefon” – powiedziała tajemniczo. I rzeczywiście, zadzwonili z zaproszeniem.

Ile ze świata serialu na tym etapie było już gotowe?

– Kiedy leciałam do Atlanty, modliłam się, żeby sukienka Nastki nie była jeszcze wymyślona. Niestety, okazało się, że jest. Ale jeszcze dużo zbudowania dla mnie zostało.

W pierwszym sezonie jest dużo moich pomysłów np. podwodny strój Nastki, który pojawiał się też w kolejnych sezonach. To była ogromna produkcja. Dziesiątki dubli, setki statystów, praca z dziećmi, które rosną co dwie godziny. Zaczęłam od trzeciego odcinka. Scenariusz powstawał na bieżąco. Pamiętam, że jeszcze w Święto Dziękczynienia rozmawiano przy obiedzie, który z bohaterów trafi na Drogą Stronę.

Urodziłaś się i dorastałaś w Polsce, a dziś tworzysz kostiumy zanurzone w amerykańskiej kulturze. Czujesz, że to już twój świat, czy wciąż patrzysz na niego z perspektywy kogoś z zewnątrz?

– Wschodnioeuropejska perspektywa bardzo mi pomaga. Ale poza swoim ojczystym kontekstem funkcjonuję już dłużej, niż żyłam w Polsce. Po drodze adaptowałam się do różnych miejsc: mieszkalam w Emiratach, kilka lat w Pradze, od dwóch dekad żyję w Nowym Jorku. Jestem po etnologii, więc do każdej kultury podchodzę trochę jak antropolog – ktoś z zewnątrz, kto obserwuje, analizuje i próbuje zrozumieć ten świat. ●

„Hamnet”

• dramat historyczny, Wielka Brytania 2025, reż. Chloé Zhao. W rolach głównych: Jessie Buckley i Paul Mescal. Film już w polskich kinach.

• „Hamnet” dostał w sumie 8 nominacji do Oscarów. Za najlepszy film, za reżyserię dla Chloé Zhao, dla najlepszej aktorki dla Jessie Buckley, za kostiumy dla Małgosi Turzańskiej, scenariusz adaptowany, najlepszą obsadę, muzykę i scenografię. **Laureatów Oscarów poznamy w nocy z 15 na 16 marca.**

REKLAMA

Kraj/34416284

HISTORIA YOKO ONO

I THE BEATLES, JAKIEJ DOTĄD NIE ZNALIŚMY



Kiedy w 1980 roku przeprowadzałam wywiad z **Johnem Lennonem**, mówił mi: „Ona jest nauczycielką, a ja uczniem.

Ja jestem tym znanym, kto powinien wszystko wiedzieć, ale to ona mnie prowadzi. Nauczyła mnie wszystkiego, co wiem”.

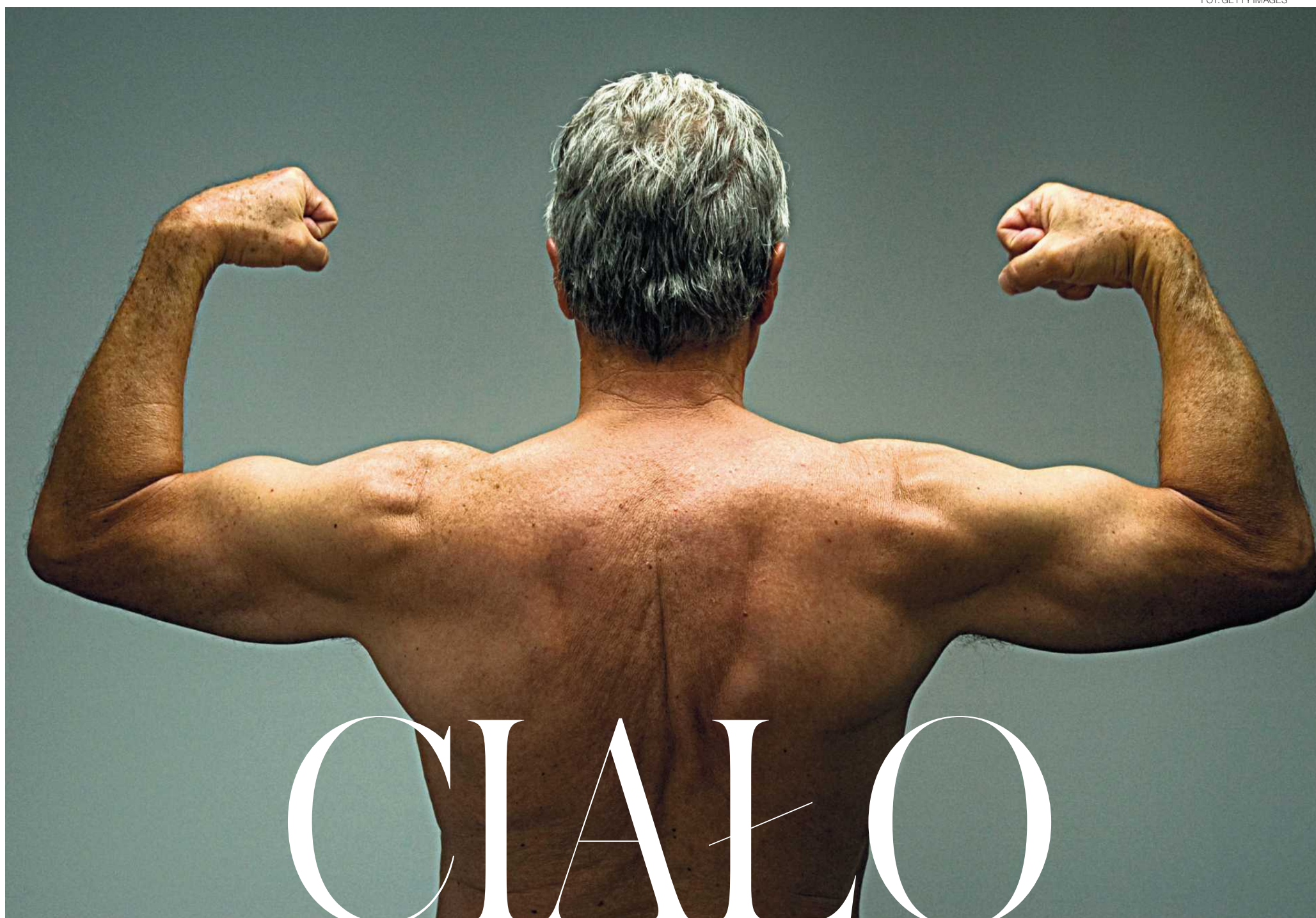
David Sheff



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA **KULTURALNY SKLEP.PL**
www.wydawnictwoagora.pl

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

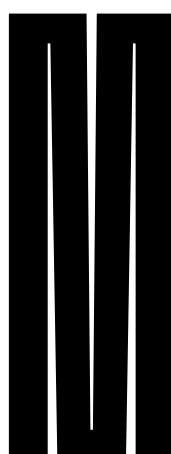


CIAŁO

MEZCZYZNY

Po pięćdziesiątce poranki przestały być startem, a stały się rozruchem.
Jakbyś odpalał maszynę, która lubi ciepło i nie znosi pośpiechu.

Artur Nowak



lodość to kraj tranzytowy.

Kolega pojechał z córką w góry i pierwszy raz nie dał rady. Niby nic wielkiego: szlak jak szlak, pogoda jak pogoda, oddech jak oddech – do pewnego momentu. A potem nagle zaczęło mu się robić ciemno, serce weszło na jakieś obce obroty.

Córka już chciała wzywać karetkę. On jeszcze próbował żartować, że to pewnie „taki dzień”, że za mało snu. Wierzył w tę wersję do końca trasy – jak człowiek wierzy w kłamstwo, które ratuje honor.

Tylko że następnego dnia „taki dzień” był znowu: zadyszka przy rzeczach, które kiedyś były rozgrzewką. Zszedł z trasy – powiedział – i to zdanie brzmiało, jakby zszedł nie z gór, tylko z jakiejś sceny, na której dotąd grał rolę nie do zdarcia. „Idź sama” – rzucił córce, a potem siedział na kamieniu i patrzył w dół.

I jakoś mu było smutno, bo pierwszy raz wypowiedział to nie z lenistwa, tylko z konieczności.

Poszedł niżej, bez wzniesień i bez zmian tempa. Taki spacer „dla zdrowia” dla panów po pięćdziesiątce.

Zapach PESEL-u

Jest taki wstydlivy moment wadzenia się z wiekiem: mężczyźni kpią z diw schodzących ze sceny, z kobiet, którym „już nie wypada”, z twarzy, które przestały być gładkie. Ale ta kpina jest o nas. O strachu, że też zejdziemy – tylko bez reflektorów, bez braw, bez pretekstu, że „to rola”. Śmiech działa jak gips: ma przykryć pęknięcie. Boli bardziej, więc trzeba udawać, że wcale nie boli – i że mniej to widać. A widać. Zawsze widać: w tej przesadnej pewności siebie, w szyderstwie, w oślim uporze.

„Człowiek leciwy – przedmiot wzmianki niewart” – pisał w „Żeglując do Bizancjum” William Butler Yeats. Myślę, że ten wiersz jest o tym, że starość jest nieznośna tylko wtedy, gdy próbujemy ją udawać po młodemu.

Kiedy byłem małym chłopcem, bałem się starych ludzi. Mieli chropowate, pomarszczone twarze, jakby ktoś narysował ich ry-

sy nożem. Przerazały mnie dłonie, na których zwisała skóra, jakby samo życie utknęło w jej fałdach. I ten zapach.

Dzisiaj myślę, że to zapach walki ciała o prostą godność. Do każdego przychodzi moment, kiedy zaczyna pachnieć „swoim wiekiem” – nie brudem, tylko PESEL-em.

Niby nic, a jednak: kiedyś jeden prysznic załatwiał sprawę na dobę i można było iść w świat jak w legendę. Teraz, jak jest ciepło, to czasem kilka razy. Koszule „na raz”, spodnie rotują częściej, bo ciało pracuje głębiej.

Coraz trudniej zgubić brzuch

Najpierw zdradza cię twarz. Nie w dramatyczny sposób, tylko w tych małych, upartych szczegółach: skóra, która już nie wybacza nocy; spojrzenie, które bywa bardziej zmęczone niż smutne; bruzda między brwiami, jakbyś przez lata marszczył ją od samego myślenia.

I nagle łapiesz się na tym, że robisz miny kontrolne, jak kierowca, który zjeżdża na stację i obchodzi auto dookoła: tu zmarszczka, tu obwisłość, tu siwizna w nowym miejscu.

Kiedyś pisałem trochę do szuflady wiersze. Jeden z nich, ten o matce, zaczynał się od

słów: lata poszły ci w biodra, jak czas zabity czekoladą. Dziś, już od siebie, skarżyłbym się, że coraz trudniej zgubić brzuch albo choć sprawić, by przestał rosnąć.

Staje przede mną tamten starzec z dzieciństwa i to on teraz ze mnie szydzi: był przecież niedawno czas, kiedy w ogóle nie myślałeś o ciele.

Niosło cię tam, gdzie chciałeś; wstawalo karnie i padało bez negocjacji, przeczołgane i zaorane po imprezach.

Od imprezy do imprezy. Przerwa na pracę. Drzemki w antraktach: tramwaje, taksówki. Potem znowu. Szewski dzień – poniedziałek – żeby poskładać rozwalone życie na tyle, by dało się w nim chodzić. A dalej już rozbieg: literatki, proszek na szkle. Finał zawsze z soboty na niedzielę.

Potem kilka lat naprawy. Mityngi, lęki, nartretwa, pracoholizm. Niedziele bez laptopa, ale z permanentnym czuwaniem na maile i wiadomości. A potem apiąć to samo – na pełnym wkurwie: od poniedziałku, od pierwszej fajki na czczo, do pastylki, bez której nie zaśniesz.

Wredny staruch chichocze: no pokaż, co tam ci rośnie w nosie i w uszach.

Testosteron spada powoli

Ciało wreszcie się odezwalo. Zabolalo, zdrętwiało, spuchło. Skóra gdzieniegdzie żółkła, stwardniała. Wstawanie stało się trudne – a to dopiero początek dnia – choć nie spałeś byle jak, tylko zgodnie z poradnikami zasypiania: po medytacji, za fosą ścian oddzielających łóżko od elektroniki.

Poranki przestały być startem, a stały się rozruchem. Jakbyś odpalał maszynę, która lubi ciepło i nie znosi pośpiechu.

Najgorsze nie jest to, że boli. Najgorsze, że boli „w inteligentny sposób” – jakby ciało w końcu dostało głos i zaczęło cię wychowywać. Kiedyś mogłeś je przeforsować: noga bolała, to się zaciskało zęby; nie spałeś, to się pilo kawę; serce pukalo w skroniach, to się wchodziło jeszcze na jedną imprezę, jeszcze na jedną rozmowę, jeszcze na jedną ambicję.

Dzisiaj ten numer nie przechodzi. Regeneracja nie jest już przyciskiem „reset”, tylko długim negocjowaniem pokoju.

Przy łóżku mam pod ręką pastylkę na tarczę, ale muszę jeszcze poleżeć bez kawy, bo się słabo wchłonie.

Kumpel, z którym prawie czterdzieści lat temu testowaliśmy jabolę i hodowaliśmy zioło z nasion po siódmym kisielu, właśnie podesłał mi namiar na dobre materace na bóle pleców. Inny pisze o jakimś kompleksowym ubezpieczeniu, które pokrywa koszty leczenia raka za granicą.

No więc zaczęliśmy się skarżyć na bóle, wymieniać numerami lekarzy.

Kobieta w tym samym wieku idzie do lekarza, bo ciało robi rewolucję jak wulkan: cykl się kończy, zaczynają się uderzenia gorąca, nerwy, bezsenność, płacz bez powodu i złość z powodu wszystkiego. Ona to nazywa, mierzy, sprawdza. Wchodzi w gabinet jak w serwis: „Poproszę przegląd. Co mi się sypie, co można uregulować, co trzeba odpuścić?”.

Facet tymczasem siedzi okopany na fotelu z komórką i broni się z pasją jak pod własnym Waterloo, kiedy słyszy: „Idź chociaż na rower”. Testosteron spada powoli, więc nie ma jednego gongu, tylko długa, cicha erozja: mniej ognia, więcej irytacji; mniej ruchu, więcej „zaraz”; mniej ciekawości, więcej uporu.

A nawet jak ten najmądrzejszy w tym domu człowiek dojdzie do wniosku, że to może być depresja, to nigdy się tym odkryciem nie podzieli – bo po co komu świadek, że twierdza ma pęknięcie.

Wredny staruch chichocze: no dawaj, bohaterze. Jeszcze trochę posiedzisz, a za chwilę będziesz siedział sam. Z tą swoją mądrością i świętym „odpieprz się”.

Bo w jego świecie przyznanie „nie wiem” brzmi jak dymisja z męskości: jak utrata rangi, jak zdjęcie pagonów, jak podpis pod własną słabością. Lepiej więc milczeć i zaciskać zęby, lepiej udawać „taki dzień”, przeciążenie pracą, pogodę, wiek – wszystko, byle nie powiedzieć na głos, że coś w środku siada i że trzeba pomocy.

A że po pięćdziesiątce tracisz nie tylko kondycję czy wygląd, ale też wersję siebie, która była obietnicą: „jeszcze wszystko przede mną”, to ta żaloba – bez rytuału i bez świadków – wraca potem w gorszej formie: jako drażliwość, szydera, upór.

I wtedy zaczyna się walka o godność

Duża część facetów jest trenowana w kontroli: zadanie – wynik – sprawczość. Tak ich się chwali, tak się ich ocenia, tak się ich uczy przeżywać. A starzenie wymaga czegoś odwrotnego: kontaktu. Sygnały – granice – prośba o pomoc. I tu zaczyna się męska panika, bo kontakt jest miękki, niewymierny, „niemęski”.

Kpina z diw schodzących ze sceny bywa wtedy klasycznym odruchem obronnym: jeśli ośmieszę cudzą utratę, moja będzie mniej straszna. To działa chwilę, ale potem zostawia człowieka samego z bólem, który już nie jest śmieszny, tylko cichy i codzienny.

I wtedy naprawdę zaczyna się prawdziwa walka o godność: nie o to, żeby nadal „dawać

radę”, tylko żeby wreszcie powiedzieć prawdę – i sobie, i komuś obok.

„No – mruczy staruch, kładąc rękę na ramieniu – wreszcie. Teraz możesz zacząć być człowiekiem, a nie legendą o człowieku”.

Samuel Ullman pisał, że lata mogą pomarszczyć skórę, ale rezygnacja z entuzjizmu pomarszczy duszę.

To jest jakiś klucz – nie po to, by otwierać na oścież komnaty jesieni, raczej żeby ich nie zatrząskiwać. Już nie tylko współczujesz starym psom. Zaczynasz je rozumieć. Jakiś plus, staruszek – myślę, patrząc w zaropiałe oczy, bez dawnego błysku. Kiedyś wielki leb spadał na kolana, prosząc o pieczyoty. Teraz idzie psinie druga dekada.

Umiera pierwszy kolega z klasy i po raz pierwszy to nie są żarty, odkąd wybiegliśmy ze szkoły.

Ja – rozkalibrowana tarczyca. Ty – serce do naprawy. Licytujesz się już nie na osiągnięcia, tylko na awarie.

Masz wreszcie powody do zmartwień, których kiedyś nie mogłeś zdzierżyć: lekarze, profilaktyka, diety na zaparcie. Przepoczwarzasz się. Tylko że to nie motyl. Odważne kolory nie pasują, bo nie masz już dynamiki korridy ani oddechu tancerza. Sięgasz po kłasykę: czerń, brąz, subtelna ekstrawagancja – cicha jak butonierka schowana pod kurtką jak szalik.

Kumpel, z którym testowaliśmy jabolę i hodowaliśmy zioło, właśnie podesłał mi namiar na dobre materace na bóle pleców

Profilaktyka jest jak lustro bez filtra: nie pyta, czy jesteś gotowy. I tu facet potrafi odpalić cały repertuar bohaterskich uników. Nie dlatego, że jest głupi. Tylko dlatego, że jest wychowany na micie, że „prawdziwy chłop” nie chodzi, tylko wytrzymuje. A badania są jak przyznanie: jednak nie wytrzymujesz. Że trzeba się położyć, pokazać, powiedzieć, oddać kontrolę komuś obcemu.

Wredny staruch spluwa w bok: tyle lat wojen i awantur, a najtrudniejsze jest zadzwonić i umówić termin.

W starych filmach zakłeta uroda sprzed dekad patrzy na nas, jakby zapraszała na plan: „Choć się pobawimy, młody wilku – jak w „Psach” albo w „Kilerze”. Ale to nie jest aktualny dokument. To tylko stary dowód.

Pamiętam, jak kiedyś wpadłem na backstage’u – w miejscu dla uczestników talk-show – na tego aktora, który w mojej głowie wciąż był młody. I usłyszałem od pani od make-upu, że nie dość, że wszystko ma porobione, to i tak każe się dopudrować na maksa.

Ciało staje się mapą

Przy okazji przeprowadzki sprzątałem ostatnio szafę. Brałem do ręki rzeczy, których nie widziałem od bardzo dawna. Mam, niestety, skłonność do chomikowania, że może kiedyś jeszcze się przyda.

Leżą więc podkoszulki, koszule, spodnie w kolorach, w których już nigdy nie wystąpię. Buraczkowe sztruksy, pstrokate koszule, czerwień – kolor ruchu, ale też emocji. Pamiątki. Materiałowe archiwum dawnych wersji siebie. Zresztą to nie tylko estetyka, to praktyka. Kiedyś ubierałeś się, żeby wyglądać. Teraz ubierasz się też, żeby przetrwać dzień: żeby nie uwierało, nie grzało, nie ciągnęło w barku, nie drażniło skóry.

Wredny staruch uśmiecha się pod nosem: dojrzewanie to moment, kiedy wygrywa bawelna.

Znajduję stary flakon perfum w szafce w łazience. Wącham i odkładam do oddania. Te, których używam dziś, nie są już tak rozbrykane. Dojrzałość nosi się dostojnie. Nie chodzi o wyższość jednych czy drugich kolorów i zapachów – ani o to, że człowiek zaczyna się „stroić do trumny” – tylko o to, co przychodzi w drugim uderzeniu bukietu. O sens i charakter zamiast fajerwerków.

U Yeatsa to jest powiedziane bez czułości, prawie okrutnie, ale uczciwie: „Nie kłaśnie dusza i w głos nie zaśpiewa” – dopóki nie zrozumiesz, że nie chodzi o to, by udawać młodość, tylko by ocalić śpiew. Że ciało może już nie klaskać jak dawniej, ale dusza może jeszcze zaśpiewać, jeśli przestaniesz ją trzymać w klatce ambicji, wstydu i tej wiecznej maski: „ja wciąż daję radę”. Trzeba odpuścić zwierzęciu, żeby człowiek wreszcie mógł mówić własnym głosem.

Ciało staje się mapą. Nie geograficzną, lecz pamięci. Każde miejsce coś przechowuje: przeciążenie, upadek, noc bez snu, czyjś ciężar, czyjeś odejście.

Jesteś mądrzejszy, może odważniejszy, na pewno uważniejszy w relacjach. Wiesz, co można jeszcze wziąć w ręce, a co lepiej zostawić tam, gdzie było. Zostało to, co nie udaje

– ciche trwanie, zgoda na kruchość i umiejętność odejścia, zanim zrobi się głośno.

Mniej „patrz na mnie”, więcej „bądź przy mnie”

Cory Quirino, wnuczka prezydenta Filipin, niesie rodzinę jak ranę. Jej dziadek urodził się w więzieniu – jego ojciec był tam naczelnikiem. Potem przyszło to, czego nie opowiada się gładko. Pierwsza żona i trójka ich dzieci zginęły podczas bombardowania Manili. Ocalało dwoje: ojciec Cory i jego siostra. Trauma nie kończy się po wojnie. Ona tylko zmienia formę: w charakter, w gesty, w sposób patrzenia na świat.

Zaprzyjaźniliśmy się, kiedy pisałem książkę o Filipinach. Siedzieliśmy w hotelu Manila – tym od legend: Jackson, generał MacArthur, historia w dywanach – i gadaliśmy o życiu.

Korin dopiero jako dojrzała kobieta zrozumiała słowa matki: „Żaden mężczyzna nie zrobi na twoje lzy”.

Jest elegancka, wyprostowana, trochę jak filipińska Ewa Woydyłło. Dla wielu Filipińczyków to przewodniczka: radio, gazety, proste odpowiedzi na trudne pytania. Nie obiecuje cudów. Mówi o elementarnym szacunku: do ciała, do czasu, do siebie.

Robimy się ideowi. Zakładamy stowarzyszenia, towarzystwa pamięci, kluby małych spraw, które nagle okazują się wielkie. Siadamy do starych zdjęć, do herbów, do genealogii, do historii rodzin, jakbyśmy chcieli jeszcze raz nazwać swoje miejsce na ziemi.

Ze wstydem uczymy się po pięćdziesiątce czytać wiersze – bo wcześniej udawaliśmy, że nie mamy czasu na czułość, a teraz wychodzi, że po prostu nie mieliśmy odwagi. I w tej późnej edukacji serca jest coś pięknego: człowiek, który już wie, że nie będzie „wiecznie młody”, zaczyna być wreszcie prawdziwy.

Mniej „patrz na mnie”, więcej „bądź przy mnie i opowiedz o sobie”. I że da się wyglądać pięknie również wtedy, kiedy nie wygląda się młodo – bo piękno z czasem przechodzi z policzków do sposobu bycia.

I chyba o to chodzi też w męskim pięćdziesiątym roku życia: że relacja z ciałem przestaje być relacją pana z narzędziem. Kiedyś mogłeś mniej spać, więcej wypić, dłużej biec na ambicji i jeszcze udawać, że to charakter, a nie chemia. Dziś już nie możesz – i to jest upokarzające tylko przez chwilę, dopóki nie zrozumiesz, że to nie kara, tylko informacja. Oswajasz ją powoli: że regeneracja kosztuje, że nie wszystko warto udowadniać, że czasem największą siłą jest odpuszczyć, zanim pęknie coś w środku.

W zamian dostajesz inne paliwo. Mniej ci się chce błyszczeć, a bardziej – być. Mniej ci się chce walczyć o rację, a bardziej – dogadywać się ze światem i z sobą. I nawet ta powierzchowność, ta nowa twarz z bruzdami, ten „dziad, nie chłopak” zaczyna być nie wyrokiem, tylko zapisem: tego, co przeżyłeś, czego nie udawałeś, ile razy wracałeś z krąwędzi.

I może to jest puenta: po pięćdziesiątce nie chodzi o to, żeby wygrać z czasem. Chodzi o to, żeby przestać z nim walczyć cudzym kosztem. Żeby umieć być w swoim cieple jak w domu: nie idealnym, ale własnym – i wreszcie zamieszkanym.

Korin powiedziała mi też: przyjaźń jest pierwsza. Jeszcze przed miłością. I że dopiero dojrzały mężczyźni potrafią zobaczyć kobiety nie jako obiekt, tylko jako człowieka – kogoś, kogo chce się słuchać. Z kim chce się być, nawet bez deklaracji.

Może z wiekiem otwierasz oczy jeszcze raz. Czujesz się bezpieczny. Widzisz drugiego człowieka i znów – a może dopiero teraz – się zakochujesz. Bez „bo”. Bez rachunków krzywd. Bez rywalizacji: kto ważniejszy, kto miał rację, kto więcej harował na spłatę kredytów; czyje ojcostwo było cięższe, czyje macierzyństwo ważniejsze.

Po latach darcia kotów nagle potrafimy zobaczyć siebie. I dobro tam, gdzie wcześniej był tylko ból.

Wojna skończona. Broń odłożona.

Nie odkładaj zgody na jutro

Moja mama, prosta kucharka, nauczyła mnie rzeczy najtrudniejszych: że nie jesteś z drugim człowiekiem po to, by go „naprawić”. Że sam masz co w sobie pozyszywać. Że nie ma idealnych egzemplarzy – są tylko złudzenia.

Żeby pozyszywać siebie, warto jeszcze raz przeczytać historię rodziców. Czytam ją w czasach, w których nie ma wiary w ludzi: w ludzi umierających w szpitalach zamiast w domach, na które zarobili; w ludzi ceniących wygodne życie bardziej niż czyjaś kruchość.

Pamiętam dializy ojczyma trzy razy w tygodniu. Wracał skonany. Matka ogarniała higienę, stała na straży jego spokoju. Miał stomię do końca. Tyle przeszli i razem, jeden wsparty na drugim, jakoś doczłógali się do tego grobu.

Kiedy zmarł, przyjechałem od razu. Rozmineliśmy się z karawanem: on już jechał na cmentarz, my – pozałatwiać spraw przed pogrzebem. I wtedy matka po raz pierwszy się rozplakała. A z nią my – jak za dzieciaka. Stary koń, prawie czterdziestka, położyłem się z mamą w jednym łóżku, żeby było jej raźniej.

Pół roku później spałem już w tym łóżku sam. A matka pożegnała się z każdym osobno. Nawet z moją córką, która nie miała jeszcze dwóch lat.

Mama nie odkładała zgody na jutro. Szła spać w zgodzie. Umiała obrócić w żart to, co ich poróżniło – taki, z którego oboje się śmiali.

Ojczym – chłopak, który stracił matkę podczas bombardowania – po śmiechu puszczał łzę i mówił: – A teraz chodź, Krzysia, się przytul. ●

Są dyskusje, którym politykiem jest Jan Paweł, czy Aniela jest bardziej lewicowa, a Bogdan bardziej prawicowy, ale na dobrą sprawę to każdy z nas jest trochę taki i trochę taki.



BOGDAN SIĘ ROZRASTA I ROZK

Z AKTOREM
DOBROMIREM DYMECKIM
ROZMAWIA **MAJA STANISZEWSKA**

Dzielisz swoją karierę na przed i po...

...Bogdanie? Nie, bo ona rozwija się dość organicznie. Choć przy okazji drugiego sezonu „1670” mam poczucie, że Bogdan się rozrasta, rozkwita, dostaje kolorów i też publiczność się dużo bardziej w niego zaangażowała. Zmienił tyle, że jest większe zainteresowanie mną.

Spodziewałeś się, że jako „bogaty i umyty” zostaniesz memem?

– Chyba nikt z nas się tego nie spodziewał. Jako aktor raczej kontrolujesz swój wizerunek.

Wiesz, gdzie się pojawisz i z kim, udzielasz wywiadów, są fotosy z seriali i filmów, a tutaj nagle mój wizerunek jako Bogdana zaczął żyć własnym życiem i od masy znajomych dostaję właśnie memy. Ludzie malują portrety Bogdana, ktoś zrobił grafikę z figurkami Lego przypominającą Bogdana i resztę bohaterów serialu, powstają tiktoki, ludzie przebiegają się za Bogdana.

Bardzo mocno staram się rozdzielać siebie i Bogdana, żeby nie przykleić się do tego bohatera. I mimo że uwielbiam go grać i uwielbiam całe uniwersum „1670”, to mam nadzieję, że nie zostanie zapamiętany tylko z tej roli.

Miałeś jakieś niemiłe doświadczenie?

– Przy okazji pierwszego sezonu w dość nietypowym miejscu, bo na stronie o husarii, po-

dejrzewano, że robimy sobie bekę z husarza. Byłem wymieniony z imienia i nazwiska jako aktor w serialu „1670”, który naśmiewa się z naszych zasłużonych oddziałów bojowych.

Ale przeszło bez echa, bo ludzie rozumieją, że to jest zabawa. Że ten serial każdemu wbija jakąś szpilę. I że to nie jest przeciwko komuś, tylko jest to satyra z różnych postaw i tego, kim jesteśmy jako Polacy, a nie z konkretnych ludzi czy konkretnych wojsk. Nie jest to żartowanie z husarii, tylko z pozowania na husarza.

Po pierwszym sezonie odbyła się dyskusja właśnie o poczuciu humoru „1670”. Z jednej strony narzekano, że to taka gimbaza. Z drugiej, że świętości szargacie: Kościół, polską historię, dumę.

– Nie da się wszystkim dogodzić. Ten serial był obarczony dużym ryzykiem, twórcy przez długi czas odbijali się od drzwi kolejnych stacji, bo nikt nie chciał się podjąć takiego ryzyka i dopiero Kuba Razowski w Netfliksie podjął decyzję.

Korzystamy z różnego rodzaju poczucia humoru. Jest dużo gagów czy skeczy opartych na mocnych puentach, ale jest też dużo myśli społecznej. Jest wątek romantyczny i tematy dotyczące podziałów klasowych itd. Myślę, że ta różnorodność do ludzi przemówiła, każdy odnajduje coś dla siebie w tym serialu, a duża popularność oznacza, że te rzeczy rezonują z ludźmi, i to nie tylko na poziomie żartu.

Są dyskusje, którym politykiem jest Jan Paweł, czy Aniela jest bardziej lewicowa, a Bog-

• **Bogdan – brat dewotki Zofi i szwagier tupeciarza Jana Pawła Adamczewskiego. Szlachcic bez ziemi, który za wszelką cenę próbuje udowodnić swoją wartość i godność. Jednocześnie komiczny i tragiczny. Łatwo tę rolę przerysować, ale Dobromir Dymecki umiejętnie balansuje między groteską a dramatem tej postaci**

dan bardziej prawicowy, ale na dobrą sprawę to każdy z nas jest trochę taki i trochę taki. Bo to jest o mentalności i o tym, kim my jako naród czy społeczeństwo jesteśmy i z czego wyrastamy.

A okazuje się, że nie jesteśmy wcale daleko od tych klasowych, pańszczyźnianych uwikłań z tamtych lat. Pewne klasistowskie podziały, a raczej mechanizmy tych podziałów, wciąż mają się dobrze.

Bo Jan Paweł jest tak naprawdę szefem Januszexu?

– To jest typowy janusz, który kombinuje, bo Polacy kombinują. Nawet w małych rzeczach.

Robiłem ostatnio film w Finlandii, byliśmy w saunie. Mieliśmy ją wykupioną do godz. 22, ale od tej godziny już nikogo nie było w recepcji. I o godz. 22 Finka, która z nami była, powiedziała: „Wychodzimy”. Polacy zdziwieni, bo skoro zapłaciliśmy, a nikogo już nie ma, to można siedzieć i do północy, a ona: „No nie, takie są zasady”. Poczulem wtedy ten swój mental. Faktycznie zapłaciliśmy do godz. 22 i powinniśmy wyjść, a nie kombinować.

To kombinowanie jest głęboko w nas na wielu poziomach. Ta Finka powiedziała, że oni lubią przestrzegać zasad i jak się umawiają, tak robią. Czy Polacy lubią przestrzegać zasad? Raczej nie.

Pamiętam z dzieciństwa powiedzenie: zasady są po to, żeby je łamać.

– No właśnie. Coś w tym jest przekornego, zadziornego. Polacy lubią, żeby było „po naszemu”.

A jak na znaku jest ograniczenie do 50 km/h, to jedziemy 70. No bo przecież 50 jest bez sensu.

– Ja w ogóle się zastanawiam, po co są te znaki w Polsce. Nie znam nikogo, kto jeździ zgodnie ze znakami, to zawsze jest jakiś rodzaj wolnej amerykanki.

Masz prawo jazdy?

– Mam. I teraz muszę się przyznać, że łamię przepisy? Nie. To by było niewychowawcze. Ale też w klimacie „1670”, prawda?

Zawsze znajda się argumenty, że możemy się do wszystkiego dopieprzyć albo wszystko pochwalić. To zawsze zależy od indywidualnej perspektywy i intencji, a na to jako twórcy nie mamy wpływu.

Możę powiedzieć, jakie są nasze intencje. Na pewno nie powiększanie podziałów, które już są, tylko raczej ich zasypywanie. Chodzi o to, żeby się przyjrzeć naszym postawom, a nie żeby się naśmiewać z kogoś, upokarzać czy pouczać. To jest z przymrużeniem oka.

A propos przymrużenia oka: ktoś wypróbował już na tobie podryw na Bogdana? Widziałam mnóstwo tiktoków z nim, choć jak każdy dorosły oglądam je z opóźnieniem, już jako rolki na Instagramie...

– Znam to doskonale, niedawno skończyłem 40 lat i już troszkę to czuję. I rozumiem.

Jak się czujesz jako 40-latek? Mnie na to haśło przypomina się inżynier Karwowski.

– Karwowski wydawał mi się jakimś, za prze-proszeniem, strasznym dziadem, a ja się tak nie czuję.

Już troszkę się zestarzałem. Ale nie jestem zafiksowany na przykład na to, jak wyglądam, na to, czy jestem superatrakcyjny. Nie jest to moje wielkie zmartwienie.

Jeszcze przed czterdziestką zacząłeś grać ojców, i to ojców nastolatków. Miałeś taki moment, że spojrzaleś w lustro i stwierdziłeś: „Jak to?!”?

– Oczywiście. Miałem nawet: „Dlaczego ja?”.

Ale nie w tym sensie, że za młodo wyglądałem, tylko czy to wiarygodnie oddam? Czy będę potrafił z tymi dziećkami grać? Co to znaczy w ogóle: ojcostwo?

Sam nie mam dzieci, a przecież jest to bardzo konkretne doświadczenie. Moje lęki oka-

zały się bezpodstawne, zrozumiałem też szybko, że nie ma jednego modelu rodzicielstwa, że każda relacja była zupełnie inna, czasami nawet skrajnie.

40 lat zmienia perspektywę. Wchodzę w podsumowanie, czy mi się udało zrobić to, co chciałem, czy zrealizowałem swoje marzenia. Ale też pewne rzeczy dużo łatwiej mi odpuścić, znaleźć lepszy balans między pracą a odpoczynkiem. Odkrywam, że podróże dają mi ogromną radość i przyjemność, że to eks-cytacja porównywalna z udanym projektem, a może i większa.

Praca przestała być w centrum uwagi. Oczywiście mój zawód uprawiam z dużą intensywnością, ale mam poczucie, że nie muszę aż tak się nim przejmować. Wiem, że życie jest też gdzieś indziej. To bardzo uwalniające.

Ale kiedy próbowałam się z tobą umówić, pierwszy wolny termin miałeś po kilku tygodniach.

– Jak w marcu wszedłem na plan, tak zszedłem w połowie października. Zrobiłem trzy filmy i serial, do tego granie spektakli na wyjazdach i w TR Warszawa, więc to faktycznie był zawodowo bardzo intensywny czas. Dlatego teraz mam potrzebę oddechu.

Łatwo mi się przebudźcować. A jestem raczej spokojny, potrzebuję czasu i rozbiegu. Lubię się delektować momentami, nie potrzebuję cały czas adrenaliny.



Nie jesteśmy wcale daleko od tych klasowych, pańszczyźnianych uwikłań. Pewne klasistowskie podziały, a może raczej ich mechanizmy – wciąż mają się dobrze

Policzyłam, że przez ostatnią dekadę zagrałeś na ekranie ponad 70 ról. Potrzeba wewnętrzna czy jednak pracholizm?

– Myślę, że jedno i drugie.

Zauważyłem, i to jest ciekawe w kontekście serialu „1670”, że moje podejście do pracy było takie, jakbym sam z siebie robił chłopą pańszczyźnianego. Rzucanie się w pracę i rezygnowanie z własnych potrzeb.

Chyba wiele osób ma problemy z niezdrowym stosunkiem do pracy. Dużym zainteresowaniem cieszy się spektakl, który zrobiliśmy w TR Warszawa „Za dużo wszystkiego” o tym, jak wchodzimy w kulturę zapierdolu.

I to nawet nie jest przymus, ale mamy w głowach, że Polacy lubią pracować, lubią spędzać czas w pracy. Pójść do pracy – to jest najważniejsze.

Mam nadzieję, że dla mnie to już przeszłość. Staram się dbać o siebie, żeby się nie zajechać i nie wypalić.

Może to coś w nas, dorastających w okresie transformacji, zostało. Lata 90. i prawie 20-procentowe bezrobocie, zamykane zakłady, upadające pegeery. Myślenie, że praca jest bardzo ważna, miało uzasadnienie. Potem kapitalizm nam się rozwinął, mamy korporacje, jesteśmy w Unii. Ale były tego koszty.

– Przez ostatnie 20 lat rzeczywistość tak przyspieszyła, że świat, w którym żyliśmy, nie istnieje, a do nowego nie jesteśmy przygotowani. Dlatego tak dużo osób się gubi i ma poczucie samotności.

Faktycznie, w latach 90. doświadczyłem zmiany ustrojowej także w mojej rodzinie. Produkująca dzianiny firma mojego ojca upadła przez napływ materiałów z Chin. Łódź w ogóle doświadczyła mocnej przemiany. Temat pracy w moim domu rodzinnym za-

wsze był: że jest najważniejsza i trzeba ją szanować. W całym bloku się o tym gadało: kto gdzie pracuje, ile ma pieniędzy. Nie chodziło o to, że ktoś był bogaty czy że miał luksusy, tylko że po prostu próbował przeżyć.

Co zrobił twój ojciec?

– Przebranzowił się. Zawsze miał pasję do koni, więc został hipoterapeutą. Mój wujek prowadził ośrodek dla osób z niepełnosprawnościami i ojciec tam pracował. Uczylem się tam jeździć od drugiej klasy podstawówki, jako nastolatek każde wakacje spędzałem z końmi.

Czyli gdyby powstawało nowe „Ogniem i mieczem”, Skrzetuskiego mamy obsadzonego?

– Cały czas namawiam twórców „1670”, żeby wsadzili Bogdana na konia, ale okazuje się, że koń jest w polskim show-biznesie dosyć drogą imprezą. Na razie nikt nie wykorzystał moich umiejętności.

Też jestem z Łodzi i pamiętam, jak miasto zaczęło umierać dookoła mnie.

– Jak już byłem w Filmówce, krążyły legendy o wielkiej filmowej Łodzi. O Łódzkiej Wytwórni Filmowej, jak to tam kiedyś było, jak się chodziło po pokojach, szukało pracy i tak dalej. Właściwie nic z niej nie zostało.

Koledzy z mojego roku, którzy przyjeżdżali z Krakowa, Poznania czy Warszawy, na miasto Łódź reagowali, jakby to było najgorsze miejsce na świecie. A ja byłem przyzwyczajony do tego, jak wygląda. Choć wychowywałem się w Konstancynie Łódzkim, który też oczywiście został dotknięty przez te wszystkie przemiany, ale nie aż tak drastycznie.

Jak się znalazłeś w Filmówce?

– Zaczęło się w kółkach teatralnych w szkole, później w domu kultury. Deklamowałem na akademiach, lubiłem to i czułem, że to działa, że ludziom się podoba. Robiliśmy teatr szkolny. Z drugiej strony byłem pewien, że się z tego Konstancyna, bez artysty w rodzinie, nie dostanę do szkoły aktorskiej, gdzie jest tysiąc chętnych na 20 miejsc.

Ale żałowałbym, gdybym nie spróbował. Ludzie w komisji egzaminacyjnej byli jakoś mną zainteresowani, dało mi to dużego kopa. Tyle że byłem fatalnie przygotowany, więc za pierwszym razem nie zdałem. Przez pół roku studiowałem medycynę, to był plan B. Gdy się już przygotowałem, zdałem do Filmówki bez problemu.

Czułem się, jakbym osiągnął coś nieosiągalnego. Kartkę z informacją, że się dostałem na pierwszy rok, powiesiłem sobie na ścianie. Nie wiedziałem jeszcze, co będzie dalej.

Co się stało?

– Przyszło pierwsze rozczarowanie. Fuksówka to było okropne doświadczenie, podcięło skrzydła. Czułem się upokorzony, musiałem się potem pozbierać.

Ale się okazało, że mam fantastyczny rok. Byliśmy zgrani i samodzielni. To mnie ukonstytuowało i przez wiele lat pracowałem w teatrze, bo mi się praca aktora kojarzyła z zespołowością, z tym, że się coś razem przeżywa, jest w jakiejś zażyłości. Szukałem później zawodowo podobnego doświadczenia grupy ludzi, którzy by się wspierali, a nie rywali zowali.

Na scenie zadebiutowałeś już na drugim roku. To się chyba często nie zdarza?

– U Małgosi Bogajewskiej zrobiliśmy spektakl „Osaczeni” o żołnierzach z PTSD na wojnie w Czeczeni. To był mocny spektakl, jeździliśmy z nim dużo, dostawaliśmy nagrody.

Czułem się wyróżniony i wdzięczny. Moi opiekunowie się super zachowali, bo mnie wsparli, gdy musiałem się zwalniać z zajęć.

Poczuleś, że jesteś we właściwym miejscu?

– Bardzo to przeżywałem. Recenzje były dobre, ale w jednej napisano, że spektakl zatrzymuje się na mojej roli, że odstaje. To zabol-

FOT. JAROSŁAW SOSNICKI/IFLUX

Dobromir Dymecki

• Urodził się w 1985 roku w Łodzi. Absolwent Wydziału Aktorskiego łódzkiej PWSFTviT (dyplom w 2009 r.). Aktor teatrów Jaracza i Nowego w Łodzi, Dramatycznego i Powszechnego w Warszawie, a od 2016 r. w TR Warszawa. Debiutował w teatrze Jaracza w 2007 r. jeszcze w trakcie studiów. Na koncie ma prawie sto ról w filmach, serialach i spektaklach Teatru Telewizji. Ostatnio popularność przyniosła mu rola szlachcica Bogdana, szwagra głównego bohatera Jana Pawła (Bartłomieja Topa), w serialu „1670” (Netflix).

ło, rozumiałem, że szkoła jest bańką, że już nie ma taryfy ulgowej i każdy może napisać na mój temat, co mu się podoba. Chwilę mi zajęło, żeby nie myśleć źle o sobie. Miałem też duże oparcie w reżyserce i obsadzie. Sambor Czarnota i Kamil Maćkowiak od początku super mnie przyjęli i traktowali.

Kolejnym spełnionym marzeniem była praca w łódzkim Teatrze Jaracza?

– Byłem w nim przez kilka sezonów. A później mój przyjaciel, z którym zrobiłem dyplom, Maciek Podstawny robił spektakl w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Aktor mu wypadł z obsady, więc ściągnął mnie z Łodzi. I tak zostałem w Warszawie, gdzie Paweł Miśkiewicz zaproponował mi etat w Teatrze Dramatycznym.

Nadal jesteś aktorem zespołowym?

– Absolutnie tak. Chyba nie potrafiłbym grać „na siebie”. I chcę grać z takimi osobami, co do których mam pewność, że będą ze mną grały. Mnie najbardziej interesuje to, co się wydarza między ludźmi, a nie tylko przyjęcie i odegranie roli. Lubię wchodzić w światy moich bohaterów, lubię czuć się inaczej. To jest trudne do opowiedzenia, transcendentne doświadczenie: możesz przez chwilę przyjąć na siebie czyjś życiorys i robić coś innego niż normalnie w życiu. Dziwne, ale tak to działa.

Brzmi ekscytująco, ale też może być męczące.

– Mam typ osobowości, który jest zarazem wielkim plusem i wielkim przekleństwem: idę za flow. Potrafię wejść w każde warunki i czuć się całkiem nieźle, potrafię naprawdę odnaleźć przyjemność i satysfakcję w bardzo różnych okolicznościach. Potrafię też się dogadywać z ludźmi. Mam mało wrogów, ludzie mnie zazwyczaj lubią. I to jest moją siłą.

A z drugiej strony czasami tak głęboko wchodzę w to, co ktoś mi proponuje, że trochę tracę siebie, gubię swoją sprawczość.

Nikt tego jeszcze nie wykorzystał do nienicznych celów?

– Szczęśliwie nie. Jestem postrzegany jako człowiek kontaktowy i spokojny, ale oczywiście mam swoje granice. Jak ktoś je przekroczy, potrafię się odwinąć.

A jak się znalazłeś na ekranie?

– Zaczęło się od offowego thrillera „Olek”, który zrobiłem jeszcze przed szkołą ze znajomym. To było dosyć szalone. Potem były etudy w szkole, dużo ich zrobiłem, co zaowocowało wieloma artystycznymi przyjaźniami.

A pierwszą profesjonalną produkcją było „U Pana Boga za miedzą” i potem „U Pana Boga w ogródku”. Rolę Witaszka dostałem od Jacka Bromskiego bez castingu, bo mnie gdzieś wcześniej wypatrzył. Zresztą to jeszcze były czasy, kiedy castingów nie było aż tak dużo. Witaszek to był drugi, trzeci plan, ale mocno się stresowałem, w końcu pierwsza profesjonalna produkcja. Okazało się, że niepotrzebnie, Podlasie było dla mnie bardzo łatwe.

Po raz pierwszy zobaczyłam cię 15 lat temu na planie „Feliksa, Neta i Niki oraz teoretycznie możliwej katastrofy”. Byłeś w hitlerowskim mundurze i w pierwszej chwili, przepraszam, wzięłam cię za Niemca.

– Na początku to było moje przekleństwo, bardzo często grałem Niemca, ubeka albo jakiegoś bandytę. Chyba nikt się nie zastanawiał nad moim talentem, tylko byłem obsadzany po warunkach.

„Felix, Net i Nika” był dla mnie dosyć trudnym doświadczeniem. Mówiłem po niemiecku, a że nie znam tego języka, nauczyłem się bardzo precyzyjnie swoich kwestii. Po czym na planie zmieniano mi zupełnie tekst, nawet nie wiedziałem do końca, jak go wymówić. Schodziłem z planu spocony, po prostu wykonany. Pewnie żaden widz tego nie wi-



• Anna Grycewicz i Dobromir Dymecki w spektaklu „Lód” autorstwa Władimira Sorokina w reżyserii Konstantina Bogomołowa w Teatrze Narodowym (16.01. 2014 r.)

dzi, ale ja widzę, że w moich oczach jest głównie panika.

Zacząłeś dużo grać w filmach i serialach...

– ...ale to były role drugoplanowe, nawet epizodyczne.

Moja kariera jest trochę dziwna, bo z jednej strony oczywiście zawsze miałem ochotę grać główne role w filmach, ale z drugiej bardzo byłem zaangażowany w teatr. Ten, mimo że byłem po szkole filmowej, wydawał mi się ciekawszy.

Zresztą za wiele się wtedy nie działo w kinie, powstawał dopiero Polski Instytut Sztuki Filmowej. A w teatrze były nazwiska: Warlikowski, Jarzyna, Lupa. Czuło się, że tam jest oddech i że tam jest życie, że te spektakle jeżdżą na wszystkie najważniejsze festiwale. Nie miałem więc czasu na filmy, nawet jak dostawałem dużą rolę, okazywało się, że nie da się jej pogodzić z próbami w teatrze.

Dopiero przed pandemią poczułem, że po 10 latach bycia w zawodzie potrzebuję poszerzyć medium. A też moje pokolenie reżyserów i reżysererek zaczęło robić swoje filmy, więc zacząłem dostawać propozycje. Miałem poczucie, że robię ważne dla mnie rzeczy z podobnymi sobie ludźmi, którzy chcą opowiadać o nas, o pokoleniu wtedy trzydziestoparolatków.

Choć oczywiście część rzeczy robiłem dla pieniędzy. Taki zawód. A część z sentymentu. Jak film z Władysławem Pasikowskim „Zamach na papieża”. Oprócz tego, że ciekawa rola, to chciałem zobaczyć, jak się pracuje z legendami.

I jak to jest?

– Fantastycznie. Pan Władysław jest osobą na początku dosyć, powiedziałbym, konkretną czy zdystansowaną. Ale w trakcie zdjęć zobaczyłem, że ma dużo poczucia humoru i jest bardzo oddany temu, co robi.

A Bogusław Linda jest jednym z tych aktorów, dzięki którym zostałem aktorem. W latach 90. kino należało do niego i Cezarego Pazury. Cytaty z „Psów” pamiętam do tej pory, „13. Posterunek” miałem nagrany na kasetach i też znalazłem odcinki na pamięć. Oglądałem filmy Pasikowskiego, Ślesickiego.

Bogusław też się okazał zupełnie nie taki, jak sobie wyobrażałem. Myślałem, że jest mu bliżej do granych przez niego postaci jak Franz, a okazał się wspaniałym, otwartym, przystępnym człowiekiem, który nie buduje dystansu, jest ciekawy ludzi. I lubi „1670”.

Widziałem też, że czasami się stresuje, że bardzo mu zależy, że dodaje coś od siebie do sceny. To było imponujące i inspirujące, że mimo tylu lat w zawodzie nie odcina

Miałem poczucie, że robię ważne dla mnie rzeczy z podobnymi sobie ludźmi. Choć oczywiście część rzeczy robiłem dla pieniędzy. Taki zawód.

kuponów, nie jedzie na tym, że jest Bogusławem Lindą.

A ten twój Władczezek...

– ...straszna menda (*śmiech*). Ale lubiłem grać tę postać. Wejście w takiego złola jest naprawdę przyjemne. Władczezek to bezwzględny, cyniczny karierowicz, który idzie po swoje i się z tym nie kryje. Nawet wartości tego systemu ma w dupie.

Przyjemne jest takiego dupka grać i mieć wywalone na to, czy będzie lubiany, czy nie. Chociaż, co ciekawe, część widowni go nawet polubiła. U niektórych Władczezek wywoływał śmiech politowania, choć dla mnie nie ma w nim nic do śmiechu.

W „Zamachu na papieża” też niby nie ma, a jednak kilka razy się zaśmiałam. Zastanawiałam się, czy Bogusław Linda w pewnym momencie nie powie: „Co ty wiesz o rozgrzeszaniu?”

– Film podzielił krytyków i publiczność, ale duet Pasikowski – Linda zawsze to robił.

Chciałbyś stworzyć duet z jakimś reżyserem?

– Mam grupę reżyserów, z którymi współpracuję, jak choćby: Rafał Skalski, Kalina Alabrudzińska, Maciek Buchwald czy Michał Grzybowski. To, że ta współpraca trwa, to dla mnie najlepsza recenzja i najlepsza sytuacja, bo też lubię pracować z ludźmi, do których mam zaufanie.

Ale nie mam jednego Pasikowskiego czy jednego Wajdy... No może Aga Woszczyńska, bo z nią zrobiłem wszystko, co nakręciła – ze trzy szkolne etudy i dwa filmy: „Cichą ziemię” i teraz w Finlandii „Czarną wodę”.

W „Cichej ziemi” grasz główną rolę.

– To była główna rola w międzynarodowym filmie w międzynarodowej obsadzie, z planem na Sardinii, z graniem w dwóch językach. Jak dotąd chyba największa przygoda mojego życia zawodowego. Później premie-

ra na festiwalu w Toronto i cała droga festiwalowa, dobre recenzje za granicą. Mieliśmy poczucie, że lał.

Po czym przyjechaliśmy z filmem do Polski i się okazało, że tu nie zarezonował. A to był film dla mnie ważny i na bardzo palący temat.

Coraz bardziej palący, bo kwestia imigrantów, zwłaszcza z globalnego Południa, jest już naszą codziennością.

– W Polsce zaktualizowany przez wojnę w Ukrainie i przez białoruską granicę. Rzeczywistość nas dogoniła. Jeszcze bardziej widać obojętność na ludzką krzywdę. Na przykład, jeśli chodzi o Palestynę, o Strefę Gazy, okazuje się, że można na mordowanie ludności cywilnej przymknąć oko czy je bagatelizować.

To było tematem „Cichej ziemi”. Z Agnieszką Żulewską graliśmy parę, która na wakacjach jest świadkiem wypadku. Ofiarą jest imigrant, oni nie reagują, uznając, że to ich nie dotyczy. Dlaczego? No właśnie nie wiadomo, skąd w ludziach ta obojętność. Dlaczego, choć widzisz, że ktoś potrzebuje pomocy, nie pomagasz? Oczywiście to była metafora, ale trwa to cały czas.

Żyjemy w czasach, gdy coraz trudniej weryfikować prawdę. Choćby sytuacja na granicy – mur był zły, a teraz się okazuje, że jest dobry. Imigranci byli biednymi imigrantami, a teraz są narzędziem prowokacji. Trudno się w tym rozeznaczyć.

Słowa przestają mieć znaczenie i przestajemy im wierzyć, przestajemy już nawet wierzyć obrazom.

Do tego jeszcze wchodzi sztuczna inteligencja i za moment naprawdę nie będziemy wiedzieli, na co patrzymy.

– To jest dla mnie szokujące. Twój zawód jest jednym z pierwszych do zastąpienia.

I twój. Choć może do teatru AI nie wkroczy szybko.

– Na razie w teatrze możemy się czuć bezpiecznie. Kto wie, może żywy kontakt z drugim człowiekiem będzie za chwilę wyjątkowo ważny i pożądany? Ale w internecie czy platformach streamingowych już powstają pierwsze produkcje wygenerowane przez AI.

Czujesz się aktorem Netfliksa?

– Rzeczywiście najwięcej ostatnio współpracowałem z Netflixem, ale praca z innymi platformami też się zdarza. Choćby w tym roku zagrałem w „Czarnych stokrotkach” Canal+ czy „Porządnym człowieku” HBO Max. Ale rzeczywiście dla Netfliksa gram od „1983”, czyli od ich pierwszego polskiego serialu tej platformy. Pamiętam jeszcze, jakie to robiło wrażenie w branży. Niesamowite, jak raptem przez te kilka lat rynek się rozrósł i jak bardzo zmieniło to polską branżę filmową. Jak wiele zainwestowano w polski rynek. I na razie końca nie widać, treści jest coraz więcej.

Ciekawe, czy widz wytrzyma.

– Sam nie nadążam z oglądaniem czy nawet orientowaniem się, co powstaje, a co dopiero widzowie.

Oczywiście dla nas, aktorów, to jest dobre, bo mamy więcej pracy. A i stawki z różnych powodów są większe.

Wróćmy na koniec do „1670”. Myślisz, że się przestaniemy się wstydzić, że dzięki chłopomanii po prostu uznamy, że jesteśmy tym, kim i skąd jesteśmy?

– Mam nadzieję, bo naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Lubię Polskę. Dużo podróżuję i doceniam to, gdzie jesteśmy w tej chwili. Że nie zmarnowaliśmy szansy po 1989 roku mimo tych wszystkich nawałek, klótni politycznych. Zresztą nawałanka może nawet jakoś dziwnie służyć temu państwu, bo cały czas jedni drugim patrzą na ręce i kraj się rozwija, idzie do przodu pomimo różnych turbulencji. Widzę też, jak obcokrajowcy reagują na nasz kraj i jak jesteśmy postrzegani za granicą. Jesteśmy teraz na fali. ●

WENUS i SKARBY MALTY

Na wapiennych skałach pozbawionych rzek i źródeł wyrósł kraj, który każdy chciał podbić.



Z **KAROLINĄ MILLER I PIOTREM ANDRUSZKO***,
AUTORAMI BLOGA PODRÓŻNICZEGO „RUDE I
CZARNE”, OD 2017 R. MIESZKAJĄCYMI NA MALCIE,
ROZMAWIA **ALICJA DĄBROWSKA**

Na słynnej wystawie „Caravaggio 2025” w rzymskim Palazzo Barberini, moją uwagę zwrócił „Portret kawalera maltańskiego”. Michelangelo Merisi, znany jako Caravaggio, stworzył go pod koniec życia, w latach 1608-09, na Malcie lub/i na Sycylii. Badacze wciąż mają wątpliwości, kogo przedstawia: czy to wielki mistrz zakonu maltańskiego Alof de Wignacourt, czy może raczej fra [brat] Marc’Antonio Martelli. Na jego ciemnym kaftanie naszyty wielki biały krzyż o równych ramionach... – To słynny krzyż maltański, w kolorze białym symbolizował zakon joannitów [w zielonym – lazarytów]. Charakterystyczny kształt odnosi się do tego, że jego członkowie pochodzili z różnych krajów europejskich i byli podzieleni na osiem grup narodowościowo-terytorialnych zwanych langues, językami lub mowami [Prowansja, Owernia, Francja, Anglia, Włochy, Niemcy, Aragonia i Kastylia].

Ale też odwołuje się do cnót rycerskich, takich jak wstrzemięźliwość, honor, wierność, przezorność... – I niemal w każdym zakątku Malty ujrzemy ten symbol i inne pamiątki po blisko trzech wiekach rządów joannitów. Zaś Vallettę, stolicę, zbudowali od zera.

Pamiętajmy, że Zakon Kawalerów Maltańskich wciąż istnieje, choć główną siedzibę ma dziś w Rzymie. Ale w 2001 r. władze Malty przyznały mu prawo do korzystania przez 99 lat z części fortu St. Angelo w Birgu, więc jest to miejsce zgromadzeń i różnych uroczystości. Wśród ok. 10 tys. członków Zakonu są i Polacy.

Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Św. Jana z Jerozolimy, z Rodos i z Malty – bo tak brzmi pełna nazwa (choć rzadko używana) – wywodzi się ze średniowiecznych bractw i zakonów rycerskich powstałych na Bliskim Wschodzie w dobie pierwszych wypraw krzyżowych. Jego początki sięgają XI wieku, kiedy chrześcijanie postanowili odbić Jerozolimę z rąk muzułmanów. Miał istotny potencjał militarny, w tym znakomitą flotę wojenną, jest też zaśluzony w organizacji pierwszych szpitali. – Na Malcie kawalerowie pojawili się w 1530 r. Dostali ją jako lenno Królestwa Sycylii [cesarz Karol V(I) Habsburg podarował im wyspy Maltę i Gozo oraz miasto Trypolis, dziś w Libii], po utracie przez nich Rodos, podbitego w 1523 r. przez Turków osmańskich. Znakomicie ją ufortyfikowali i skutecznie jej bronili, panowali na niej do 1798 r.

To opowiedzmy od razu o najsłynniejszym oblężeniu i heroicznej obronie. Trwało kilka miesięcy, od 19 maja do 8 września 1565 r. Jakim cudem zaledwie 3 tysiące rycerzy powstrzymało blisko 30-tysięczną armię wysłaną przeciwko nim przez sułtana Sulejmana Wspaniałego?

– Ostatecznie szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę za sprawą odsieczy, która nadeszła dwa razy (Piccolo Soccorso i Gran Soccorso), zorganizowanej m.in. przez wicekróla Sycylii. Ale ofiar było mnóstwo, po obydwu stronach, także wśród mieszkańców. Świat uznał, że powstrzymało to dalszą ekspansję imperium Turków osmańskich i proces islamizacji Europy.

Malta ma strategiczne położenie na środku Morza Śródziemnego, więc historia przewidziała dla niej rolę bastionu Europy. Było tak przez wieki. No i prawdziwych fortów, donżonów i murów obronnych jest tam rzeczywiście wiele, na ogół zachowały się w doskonałym stanie.

– Kto rządził na Malcie, ten mógł kontrolować żeglugę w tej części morza, a w jej zatokach dało się umieścić sporą flotę. Nic dziwnego, że stanowiła łakomy kąsek dla mocarstw i przechodziła z rąk do rąk.

*Karolina Miller i Piotr Andruszko

• Poza tym, że prowadzą blog podróżniczy „Rude i czarne”, są też autorami przewodników po Malcie, Rzymie i Podkarpaciu. Pochodzą z Krosna. W 2017 r. przenieśli się na Maltę i nadal tam mieszkają, równocześnie sporo podróżując.

• Nasi rozmówcy, w czasie spaceru uliczkami Valletty

Ślady zostawili tu Fenicjanie, Kartagińczycy, Grecy, Rzymianie. Potem także Bizantyjczycy, Arabowie, Hiszpanie i Francuzi, a na koniec Brytyjczycy. Jak ładnie to ktoś ujął: „Malta była poligonem wielkiej historii”.

– Odegrała też poważną rolę w II wojnie światowej, brytyjski premier Winston Churchill nazwał ją „niezatapialnym lotniskowcem”. Broniła jej Royal Air Force i Royal Navy, a atakowało lotnictwo oraz marynarka Włoch i Niemiec, należała do najintensywniej bombardowanych miejsc. Bitwa o Malte (1940-42) była częścią wielkiej kampanii śródziemnomorskiej.

Państwo Malta bywa utożsamiane tylko z jedną wyspą, ale w istocie to archipelag.

– Z jego siedmiu wysp (plus mikrowysepki oraz skały wystające z morza) największa jest właśnie Malta. Zamieszkane są też Gozo i Comino. Ale na Comino, trzeciej co do wielkości, przebywają na stałe tylko dwaj bracia, niestety już w podeszłym wieku, więc w perspektywie jakichś 20 lat Comino też będzie bezludne. Cała wyspa jest zresztą rezerwatem przyrody.

Archipelag to ok. 316 km kw., czyli mniej więcej tyle co Wrocław czy Łódź.

Niepodległą republiką Malta jest dopiero od 13 grudnia 1974 r.

– Ostatni brytyjski żołnierz opuścił ten kraj w 1979 r. Wcześniej, od 1813 do 1964 r., Malta była kolonią Korony Brytyjskiej. W 1963 r. proklamowano powstanie Państwa Maltańskiego, rok później uzyskało ono całkowitą niepodległość jako członek Wspólnoty Narodów. Jednak w 1967 r. układ ten został zerwany i dopiero po czterech latach wynegocjowano porozumienie prowadzące do ogłoszenia republiki.

To dlatego aż trzy razy świętujemy niepodległość – w marcu, wrześniu i grudniu, upamiętniając 1964, '74 i '79 r. Obchody należą do kalendarza świąt narodowych, których na Malcie mamy sporo [najwięcej spośród wszystkich krajów UE]. A ponieważ podpisany przez brytyjski rząd akt niepodległości przywiózł książę Filip, do dziś jest tu bardzo szanowany, bardziej niż jego żona królowa Elżbieta II.

Dodajmy, że Maltańczycy nie uznają Brytyjczyków za okupantów, bo bardzo dużo im zawdzięczają, zwłaszcza jeśli chodzi o lata II wojny światowej i czasy powojennej odbudowy.

Na przełomie XVIII i XIX w. Brytyjczycy pomogli im też się pozbyć wojsk Napoleona, które w 1798 r. – w drodze do Egiptu – wtargnęły na Malte i Gozo, niszcząc i plądrując, a zarazem wypierając kawalerów maltańskich. Co zostało po Brytyjczykach do dziś?

– Ruch lewostronny, budki telefoniczne, gniazdko elektryczne (co często dziwi turystów zaskoczonych, że muszą się zaopatrzyć w przejściówkę) i skrzynki pocztowe, niektóre nawet z herbem zmarłej w 2022 r. Elżbiety II. Kilkadziesiąt lat temu jeździły tu też piętrowe autobusy. Ale przede wszystkim angielski jako drugi język urzędowy oprócz maltańskiego.

Maltański brzmi niesamowicie i wydaje się trudny...

– Jest wyjątkowy pod wieloma względami i rzeczywiście stanowi spore wyzwanie, szczególnie dla osób, które nie mają z nim styczności na co dzień. Większość słów wywodzi się z arabskiego, a dokładniej z dialektu tunezyjskiego, sporo z włoskiego [głównie z dialektu sycylijskiego], a trochę z francuskiego, hiszpańskiego i angielskiego, co także jest dowodem burzliwych dziejów Malty. Przez stulecia był głównie językiem mówionym, wieki XIX i XX przyniosły jego sformalizowanie; w 1934 r. stał się jednym z oficjalnych języków narodowych. To jedyny semicki język zapisywany alfabetem łacińskim.

Ponieważ obecnie wszyscy biegle posługują się angielskim, starsi mieszkańcy narzekają, że za parę pokoleń maltański wyginie, bo młodzi już go niemal nie używają. Powoli odchodzi w zapomnienie, mimo iż w każdej szkole publicznej są lekcje maltańskiego.



• Charakterystyczne kolorowe łodzie rybackie luzzu (z oczami Ozyrysa) w porcie Marsaxlokk w południowo-wschodniej części wyspy Malta

FOT. ALLARD SCHAGER / GETTY IMAGES

Republika Malty



Wyspiarskie państwo na Morzu Śródziemnym, 81 km na południe od Sycylii i 286 km na północ od Tunezji. 1 maja 2004 r. (wraz z Polską i jeszcze ośmioma innymi krajami) weszła do Unii Europejskiej, a od 1 stycznia 2008 r. należy do strefy euro.

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA / WYBORCZA.PL

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



Ale mam nadzieję, że władze starają się go chronić i zachować.

– Pracownicy urzędów administracji publicznej mają obowiązek porozumiewać się po maltańsku. Dofinansowuje się też kursy dla obcokrajowców. Wielu z nich musi się go nauczyć, żeby np. móc pracować w danym miejscu. Jak choćby Filipińczycy, których jest bardzo dużo, przede wszystkim w służbie zdrowia.

Jest też nowy projekt rządowy, by kolejny przybysze przeprowadzający się na Malte, przede wszystkim spoza UE, zdawali egzamin z historii kraju oraz znajomości jego kultury, a także z podstaw języka maltańskiego.

Jak przeczytałam w dzienniku „Times of Malta”, cudzoziemcy mogą stanowić już 1/4 populacji wysp, która wynosi ok. 550 tys. Ich liczba wciąż rośnie, wy też zasililiście te statystyki. Oprócz ludzi, którzy przyjeżdżają w interesach, i tych, którzy kupili sobie kiedyś złote paszporty, są jeszcze rzesze uczestników kursów języka angielskiego i zwykli turyści. A jest nawet kilka razy więcej niż samych Maltańczyków. Według „Times of Malta” w 2025 r. padł absolutny rekord: blisko 3,8 mln. Jak mały archipelag radzi sobie z taką nawalą?

– Malta potrafi oczarować – świetna pogoda, boskie krajobrazy, wyborna kuchnia – więc turystów przybywa. Przez lata byli to głównie Brytyjczycy, Włosi i Francuzi. Ale w 2025 r. na trzecie miejsce wysforowali się Polacy, bo można tu przyjeżdżać przez cały rok. Latem spędza się czas nad morzem i na plażach, a zimą [mówi się, że na Malcie są tylko dwie pory roku], kiedy wszystko zaczyna kwitnąć, to idealny moment na trekkingi.

Poza tym, jak wspomnieliśmy, działa wiele szkół językowych. Na kursy przyjeżdża mnóstwo młodzieży i studentów, nastawionych także na rozrywkę, głośną, nocami...

Tak wielu przybyszów to rzeczywiście wyzwanie. Wciąż wyrastają nowe hotele i restauracje, przybywa usług turystycznych. Jednak w ostatnim roku po raz pierwszy zaczęły się pojawiać głosy, że trzeba ostawić tamę, zatrzymać się, zwolnić. Overtourism to zjawisko, z którym boryka się m.in. Barcelona, Lizbona czy Wyspy Kanaryjskie; ich mieszkańcy protestują, bo mają już dość tłumy przyjezdnych oraz rosnących kosztów i trudów utrzymania.

Rząd powinien się zastanowić, co dalej. Czy np. nie postawić na gości z zasobniejszym portfelem, proponując więcej usług luksusowych. Ale turystyka to koło napędowe całej gospodarki, więc...

Według różnych szacunków przychody z niej mogą stanowić 15-30 proc. PKB Malty, zaś ogólnie usługi – 57 proc.

– Maltańczycy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że potrzebni im są turyści. W ich obsłudze pracuje także wiele osób z naszego środowiska, znajomych i ich rodziców.

My zaś namawiamy przyjezdnych, żeby z Malty udawali się na Gozo, jej siostrzaną wyspę, którą uważamy za najpiękniejszą, o wiele spokojniejszą, wprost sielankową.

Jak kraj radzi sobie z transportem? Nie ma tramwajów ani kolei, zostają autobusy, samochody i zapewne rowery.

– Otóż Maltańczycy wcale nie są przyzwyczajeni do rowerów na ulicach. Latem panują bardzo wysokie temperatury, sieć ścieżek rowerowych jest zaś ograniczona. Tu liczy się posiadanie auta, a najlepiej kilku (to także kwestia prestiżu), więc jest ich sporo. My od lat poruszamy się skuterem. To najlepszy środek transportu, bo omijamy wszystkie korki, których w aglomeracji Valletty jest mnóstwo, no i nie mamy problemu z parkowaniem. Poza tym dla rezydentów autobusy są bezpłatne – to gest ze strony rządu, by zachęcić obywateli do korzystania z komunikacji publicznej. Jest też coraz więcej dopłat na zakup skuterów elektrycznych.

A co z wodą? Wyspy składają się głównie z wapienia globigerynowego, który powstał ze stworzeń morskich miliony lat temu. Nie ma cieków powierzchniowych, zbiorników wodnych, rzek ani źródeł. Drzew rośnie niewiele, opadów jak na lekarstwo.

– Rzeczywiście wody słodkiej nie ma, jest kilka odsalarni, a ostatecznie z kranów leci mieszanka tej odsalanej i głębinowej. Ale w kuchni, do gotowania, używa się butelkowanej – mimo iż oficjalnie kranówka jest pitna i przechodzi testy, to jednak czuć ją chemikaliami. Dlatego mamy dużo więcej plastiku, z którym trzeba sobie radzić, to również jest spore wyzwanie.

Pamiętajmy jednak, że nie zawsze tak było, co potwierdzają źródła historyczne. Bo jeszcze w czasach joannitów Malta była zalesiona, więc mieliśmy zupełnie inną przyrodę, klimat i krajobraz. Były też rzeki, no i więcej opadów. Ale wycinano drzewa na okręty wojenne, z których słynął zakon maltański. Drewno było głównym materiałem także w budownictwie.

Kiedy po odwróceniu Turków uruchomiono gigantyczny projekt budowy Valletty, już wtedy zastanawiano się, co będzie z wodą. Zatem każdy nowy obiekt czy dom musiał mieć w podziemiach cysterny do zbierania desz-

czówki (wówczas padało więcej niż dziś). Owe cysterny przetrwały i, co ciekawe, okazały się wielce pomocne podczas II wojny, kiedy trwały bombardowania: połączono je podziemnymi korytarzami, tworząc schrony, w których ludność mogła się ukrywać. Wielu mieszkańców spędziło w cysternach nawet i dwa lata.

Często mówimy więc, że istnieją dwie Valletty: ta na powierzchni i ta podziemna, która jest niemal jej lustrzanym odbiciem, z labiryntem uliczek i mieszkań.

Ale natury jeszcze troszkę zostało, bo są też rezerваты przyrody, dwa parki narodowe. No i, jak podaje ERA, Environment and Resources Authority, 35,5 proc. maltańskich wód to morskie obszary chronione. – Wyspiarski krajobraz jest niesamowity. Owszem, nie mamy wody słodkiej, ale są za to przepiękne, lazurowe wody słone oraz piaszczyste i skaliste plaże. Kąpieliska mają flagi niebieskie, co oznacza, że są bardzo czyste.

Doskonale się tu pływa i uprawia sporty wodne. W okolicznych wodach ujrzymy niebywale formacje skalne i grotty, jest też dużo wraków, wokół których kwitnie morskie życie. Raj dla nurków i miłośników snorkelingu.

No i klify – majestatyczne i piękne, idealne do podziwiania zachodu słońca, a czasem można ujrzeć tam pary podczas zaręczyn.

Nie ma gór, a najwyższe wzniesienie – Ta'Dmejrek – liczy 253 m, ale trasy trekkingowe są wspaniałe i najlepiej wędruje się właśnie teraz, zimą, która na wyspach jest niczym wiosna. Krajobraz przeobraża się ze spalonego słońcem w sielski, wszystko kwitnie, staje się zielone. To też najlepszy moment na zwiedzanie miast. Bo latem temperatury przekraczają 40 stopni, czemu towarzyszy jeszcze – za sprawą morza – wysoka wilgotność.

Podczas wędrówek można się natknąć na megalityczne świątynie wzniesione z potężnych kamiennych bloków ważących i po kilkanaście ton.

– Są starsze od egipskich piramid, i to o ponad tysiąc lat. Wzniesione zostały w IV/III tysiącleciu przed naszą erą i do dziś nie udało się wyjaśnić, w jaki sposób je zbudowano. Jak transportowano i przesuwno tak wielkie ciężary? Siedem obiektów jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Najbardziej spektakularne (i popularne) są świątynie: Ggantija na Gozo, a na Malcie Hagar Qim, Mnajdra i Tarxien. Co ciekawe, Hagar Qim jest tak ulokowana, by w pewne dni w roku promień słońca wpadał w konkretne miejsce. Prehistoryczni budowniczy musieli więc przeprowadzić obliczenia astronomiczne. To robi wrażenie.

Świątynie są otoczone późniejszymi budowlami, także współczesnymi. Znalaziono w nich wspaniałe rzeźby i figurki, które można podziwiać w Muzeum Archeologicznym w Valletcie.

To głównie postacie kobiet o bardzo obfitych kształtach, niekiedy leżące czy śpiące, mają po kilkanaście centymetrów. Niektóre są nagie, inne otulają szaty. A ta najpiękniejsza zyskała miano Wenus z Malty, powstała z gliny ok. 3000-2500 lat p.n.e.

– W dodatku przez setki, a nawet tysiące lat świątynie były ukryte przed światem, bo na niektóre natknęli się jacyś rolnicy czy pastuszkowie dopiero w XIX i na początku XX wieku.

W 1902 r. w miejscowości Paola odkryto pod budynkami mieszkalnymi inny niesamowity obiekt, może jedyny taki na świecie: Hal Saffieni Hypogeum [z greckiego „hypo” – pod i „gaia” – ziemia], datowany na czwarte tysiąclecie przed naszą erą. Jego przeznaczenie pozostaje nieznane. Może było to sanktuarium, a potem nekropolis. – Od 1980 r. również jest na liście UNESCO. Trzeba to koniecznie zobaczyć! Podziemne grobowce wykuto w miękkim wapieniu na kilku poziomach. Są tam nisze, korytarze, schody, pochylnie, komnaty i potężny ołtarz, a na ścianach – malowidła. Wędruje się z przewodnikiem w małej grupie, maksymalnie 15 osób,



FOT. CHIARA SALVADORI / GETTY IMAGES

• **Zatoka Anchor (Anchor Bay) zachwyca szmaragdową wodą i malowniczą wioską Popeye, którą wybudowano w 1979 r. na potrzeby musicalu "Popeye" z Robinem Williamsem**

warto kupić bilety z dużym wyprzedzeniem, bo są zaledwie cztery wejścia dziennie.

Ale jeśli chodzi o największe atrakcje, to pierwsze miejsce należy do Valletty zwanej muzeum pod gołym niebem, z ponad 300 zabytkami, także na liście UNESCO.

– Jak już mówiliśmy, stworzyli ją kawalerowie maltańscy, ale np. piękne, kolorowe balkoniki i galerijki, znane choćby z Turcji, to wpływ Arabów czy szerzej – muzułmanów. Są zabudowane tak, by dało się obserwować ulicę, samemu nie będąc widzianym (chodziło głównie o kobiety). Jednak w pewnym momencie te balkoniki zaczęły świadczyć o wyższym statusie społecznym, więc wyrastały jak grzyby po deszczu. A jeśli dodamy do nich kolorowe okiennice i drzwi z ozdobnymi kołatkami, to widzimy od razu, na czym polega urok nie tylko samej Valletty, ale i mniej znanych miejscowości, jak choćby Birgu, Lija i Attard, w których w dodatku prawie nie ma turystów.

Malta jest gotową scenografią, więc bywa wykorzystywana jako plan filmowy: „Gladiator”, „Troja”, „Hrabia Monte Christo”, „Gra o tron”... Także jeden z moich ulubionych filmów, „Midnight Express” z 1978 r., którego bohater trafia do lochów więzienia w Turcji, nakręcono właśnie tam.

– Malta doskonale wypada na ekranie, zwłaszcza gdy akcja dzieje się na morzu, albo gdy potrzebne są klimaty bliskowschodnie czy arabskie. Obiektów gotowych zagrać jest mnóstwo, inne zaś powstają na zamówienie. My mogliśmy np. obejrzeć Koloseum, Forum Romanum i gmach senatu wybudowane na czas realizacji „Gladiatora”. A jeden z fortów (widoczny z Valletty) przeznaczono na otwarte studio filmowe.

Dlatego coraz więcej turystów przyjeżdża nie po to, by plażować czy zwiedzać zabytki, ale by podążyć szlakami filmowymi znanymi z głośnych superprodukcji.

A jacy są Maltańczycy?

– To naród bardzo ciepły, życzliwy, hojny i rodzinny. Rodzina wciąż jest prawdziwą ostoją. Zresztą młodzi ludzie bardzo długo mieszkają z rodzicami; wynika to trochę z rozmiaru kraju, tu nie wyjeżdża się przecież na studia do innego miasta.

Poza tym Maltańczycy wprost zarażają innych pozytywną energią, są pod tym względem wyjątkowi. To również dlatego mieszkamy tu już parę lat.

Są też przesądni i religijni. Zresztą codziennie mogliby się pomodlić w innym kościele, bo jest ich ponoć 365 (plus 241 kaplic). – Co do religijności, to oczywiście dziś wszystko się zmienia wraz ze zmianą pokoleń...

Ale rozwody są dozwolone od niedawna. 28 maja 2011 r. odbyło się referendum,

w którym poparło je blisko 53 proc. głosujących; w efekcie po kilku miesiącach parlament przyjął stosowną ustawę.

– Tak, istotnie. No i jest tu też bardzo restrykcyjne prawo aborcyjne. Ale jeśli chodzi o tolerancję i respektowanie praw społeczności LGBT, Malta jest w czołówce.

Poza tym to naród, który bardzo lubi świętować nie tylko odzyskanie niepodległości. Stąd liczne fiesty, parady, korowody, procesje.

– Każda okazja do zabawy jest dobra. Skoro jest tyle kościołów i ich patronów, mamy mnóstwo świąt parafialnych i odpustów. Co więcej, organizatorzy konkurują między sobą: która impreza wypadnie najlepiej, będzie najgłośniejsza, z najpiękniejszymi fajerwerkami.

W parafialnych uroczystościach uczestniczą wszyscy, także ci, którzy do kościoła zazwyczaj nie chodzą. Wielu zjawia się z domowymi zwierzętami, psem czy kotem. Mam wrażenie, że tutejszy Kościół jest o wiele bardziej otwarty na ludzi, na to, jak społeczeństwo się zmienia i jakie ma potrzeby.

Poza tym dzieje się przez okrągły rok: festiwal jazzowy i barokowy, festiwale sztuki i kina. Kalendarz jest zawsze wypełniony.

No i jeszcze karnawał...

– Wprost spektakularny! Najpierw przez wiele miesięcy budowane są kolorowe platformy, które potem przejeżdżają ulicami miast podświetlone, na nich tancerze i muzycy. Te niesamowicie radosne parady odbywają się przez ponad tydzień, a Maltańczycy chętnie biorą w nich udział.

Wedle legend i biblijnych przekazów, w roku 60 naszej ery u wybrzeży Malty rozbił się statek ze Świętym Pawłem udającym się do Rzymu na swój proces. Miał spędzić na wyspie kilka miesięcy i wywarł znaczny wpływ na jej historię.

Podcast Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Alicja Dąbrowska rozmowa z Karoliną Miller i Piotrem Andruszko,**

o urokach Malty, o lokalnej kuchni i przyrodzie, charakterze Maltańczyków, a także o tym, dlaczego jest to kraj, który każdy chciał podbić.



– Mamy więc wyspę i zatokę Świętego Pawła, ponadto katedrę jego imienia w Mdinie, a w Rabacie również katakumby. Jest tam piękna grotta z figurą świętego, w której rzekomo miał się spotykać z wiernymi i nauczać. Działy się cuda, jak choćby ukąszenie przez węża, po którym nic mu się nie stało, czy uzdrowienie ojca Publiusza, namiestnika rzymskiego, wedle tradycji późniejszego pierwszego biskupa Malty.

„Dzieje Apostolskie” podają, że Paweł „przyszł do niego i, pomodliwszy się, położył na nim ręce i uzdrowił go”. – Historie te zna i kultuwuje każdy Maltańczyk. 10 lutego zaś, w rocznicę rozbitcia się statku, hucznie obchodzone jest jego święto. Ma charakter państwowy!

Na Malcie czas jakiś spędził też Caravaggio. Przybył tu w lipcu 1607 r. jako uciekinier, ponieważ popełnił zbrodnie w Rzymie, ścigano go za morderstwo. A w 1608 r. namalował jedno ze swoich najslawniejszych dzieł – zarazem największych rozmiarem, 361 x 520 cm – „Ścięcie Świętego Jana Chrzciciela”.

– Znajduje się w Valletcie, w oratorium Konkatedry św. Jana, przepięknie wyeksponowane. Całe pomieszczenie jest dość ciemne, a na środku wisi ten potężny obraz. Nawiasem mówiąc jedyny, na którym widnieje podpis Caravaggia.

Nigdy nie byłam na Malcie, ale miałam szczęście znaleźć się w 1996 r. we Florencji, a tam akurat pokazywano „Ścięcie...” przy okazji jego konserwacji.

– W konkatedrze jest jeszcze jeden Caravaggio...

To „Święty Hieronim piszący”. Druga wersja. Pierwsza znajduje się w Rzymie, w Gallerii Borghese.

– Niedawno miał premierę arcyciekawy film dokumentalny na jego temat [Sky Arte: „Caravaggio a Malta. Il furto del »San Girolamo«”]. Otóż w 1984 r. „Hieronima” skradziono, zaginęła na kilka lat. Aż wreszcie został odnaleziony – zawinięty w dywan leżał pod łóżkiem w domu jednego z mieszkańców Birkirkary. Niestety, płótno doznało wtedy poważnych uszkodzeń. Obecnie zaś jest ponownie w konserwacji. Caravaggio był niesamowitym artystą, wizjonerem, który zrewolucjonizował malarstwo, ale z prawem miał często na piniku...

By uniknąć najsurowszej kary, szukał wsparcia wpływowych protektorów i mecenasów. Jak doczytałam się w katalogach włoskich wystaw Caravaggia, zachował się listy wielkiego mistrza Alofa de Wignacourt do Stolicy Apostolskiej w jego sprawie. Ostatecznie wyrażono zgodę, by został przyjęty w szeregi kawalerów maltańskich. – Złożył śluby ubóstwa i wierności. Wielki mistrz chciał też wykorzystać obecność bardzo już słynnego malarza, by i Malta zyskała jego dzieła.

Caravaggio namalował portret Alofa z giermkim u boku, obecnie w paryskim Luwrze. Ale łamał reguły zakonu i wyładował w więzieniu, w forcie Sant’Angelo, po bójce, w której połała się krew. Uciekł stamtąd mniej więcej po miesiącu, 6 października 1608 r. – na Sycylię, a później do Neapolu, gdzie przeżył zamach na swoje życie (być może byli to sicario, mordercy emisariusze naślani przez wielkiego mistrza). Chciał wyjednać sobie papieską łaskę, by móc wrócić do Rzymu, ale zmarł 18 lipca 1610 r. w nadmorskim Porto Ercole w Toskanii.

Przebywając na Malcie, namalował jeszcze „Śpiącego Kupidyna”, obecnie w zbiorach Palazzo Pitti we Florencji. Także w tym mieście, ale w galerii Uffizi, znajduje się na co dzień wspomniany na początku naszej rozmowy „Portret kawalera maltańskiego”. – Na Malcie nie da się uciec od historii. ●

Rok Jerzego Giedroycia

CZŁOWIEK, KTÓRY REDAGOWAŁ POLSKĘ

Po II wojnie nikt na świecie nie upominał się o rzeczywistą niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi.
Jedynie ekipa paryskiej „Kultury”



• Jerzy Giedroyc i maszynistka
Agnieszka Szypulska
w redakcji paryskiej „Kultury”
w Maisons-Laffitte,
październik 1998 roku

Andrzej Mencwel*

Autobiografia na cztery ręce” Jerzego Giedroycia jest książką dziwną. Sam jej tytuł zaskakuje zwrotem znanym raczej z występów muzycznych. Na cztery ręce grywa się na fortepianie, ale raczej podrzędnie niż mistrzowsko.

Do Redaktora Giedroycia niczego podrzednego odnieść nie można, głównym zaś i codziennym gatunkiem jego wypowiedzi pisarskiej były listy, napisał ich ze sto tysięcy (szacuje się nawet 150 tys.). Ta samowładna „rzeczpospolita epistolarna”, jak przed laty określił ją Andrzej Stanisław Kowalczyk, nie ma zapewne sobie równej w całym świecie.

Ale nie jest to jedyne dzieło Giedroycia, które pozostaje niezwykle. Redagowany przez niego miesięcznik „Kultura” ukazywał się regularnie od grudnia 1947 do września 2000 roku, czyli ponad pół wieku. Na emigracjach światowych niczego jednakowego w kulturze dotąd nie wskazano.

Podobnie z konstelacją pisarzy skupionych wokół „Kultury” oraz wydawanych przez Instytut Literacki: Józef Czapski, Witold Gombrowicz, Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty Jeleński, Czesław Miłosz, Jerzy Stem-

powski otwierają tę listę. Bez nich nie da się myśleć o nowoczesnej literaturze polskiej. Z dodatkiem Juliusza Mieroszewskiego, najwybitniejszego powojennego publicysty politycznego.

XIX-wieczny rosyjski „Kołołol” Aleksandra Hercena, również wydawany na emigracji (w Londynie) i skupiający grono pisarzy, przetrwał niecałe dziesięć lat (1857-67), choć jego redaktor miał na to pieniądze ze swoich ziemiańskich dóbr. W odróżnieniu od niego Giedroyc był polskim „inteligentnym proletariuszem” i o każdy grosz musiał zabiegać sam, z niezawodnym zespołem, który potrafił stworzyć. Chociaż sądzono, nie całkiem żartobliwie, że on sam starczał za cały zespół.

Trzecia przesłanka jego światowej wyjątkowości jest najważniejsza, najbardziej przeto dyskusyjna. Uznawano bowiem, głównie na przełomie stuleci, czyli tyśiącleci, że idee wytworzone przez emigracyjną „Kulturę” zostały następnie, po przełomie ustrojowym, przyjęte w ojczystym kraju, co może nigdy przedtem i nigdzie się nie zdarzyło.

To, że emigracje polityczne cierpią przeważnie na przypadłość, którą sam Giedroyc lubił nazywać z rosyjską „bielogwardiejszczyzną”, jest prawdą dość banalną. Pragną one bowiem zazwyczaj „odwrócenia biegu historii” i powrotu do status quo ante, zatem przywrócenia dawnego reżimu, własności i przywilejów. Zapatrzeni

w urojoną krainę minionego szczęścia, emigranci są ślepi na nową rzeczywistość i niczego jej dać nie mogą. Rzeczywistość ta bowiem wymaga wizji przyszłości, a nie pograżenia w przeszłość.

Wizję przyszłej, wolnej i demokratycznej Polski, opartej o swych najbliższych sąsiadów, Ukrainę, Litwę i Białoruś, wytworzyła „Kultura” i na nią się powoływano w latach dziejowego przełomu. Historyczne symbole londyńskie, wraz z emigracyjnym rządem, pozostały w Londynie, a ich przekazanie miało pewien walor teatralny, odbyło się bowiem na Zamku Królewskim.

Listy Jerzego Giedroycia nie są ulotne ani ujmujące, lecz dotkliwie rzeczowe i przeważnie zawierają rejestr pomysłów, czynności i poleceń. Szczegółowość tych ostatnich przechodzi nasze oczekiwania i jesteśmy skłonni sądzić, że Redaktor Jerzy Giedroyc dysponował wszechwiedzą nie tylko polską, ale również globalną, kosmiczną nie wykluczając.

Na przykład 26 czerwca 1948 roku pisał do Józefa Czapskiego, że krytyka Tity w „l'Humanité”, organie komunistów francuskich, „powinna zimnym dreszczem przejąć wszystkie rolnicze kraje za żelazną kurtyną, a przede wszystkim Polskę. Jest to stwierdzenie, że kolektywizacja jest nie do przekroczenia”.

I to się sprawdziło, bo we wrześniu tegoż roku władze PZPR podjęły decyzję o przyspieszonej kolektywizacji rolnictwa, która okazała się przymusową, choć w Polsce, wyjątkowo, po kilku latach masowego oporu chłopów skończyła się klęską.

20 prawie lat później, 20 lutego 1968 roku, Giedroyc powiadamia Mieroszewskiego, że sytuacja w kraju grozi „możliwością ślepego wybuchu”, a „okres poprawiania ustroju czy komunizmu jest skończonym i na to nie ma co liczyć”. Myli się, ponieważ zarówno polski Marzec, jak i praska Wiosna, właśnie nadchodzące, „poprawianie ustroju” miały na uwadze, lecz ich zduszenie rozwiąło wiarę w ten rodzaj melioracji. Giedroyc więc nie myląc się - mylił, ale nic gorszego, jak uznać kogoś za nieomylnego! Za dziwnego - lepiej, ciekawiej bowiem, bezpiecznie i z pewnym dreszczem.

Nadzwyczaj rzadko i tylko do przyjaciół pozwalał sobie Redaktor na jakieś zwierzenia, przeważnie szczątkowe, tak, jakby nie miał życia osobistego, albo je oddalił. Jerzy Giedroyc był żonaty, bez większych jednak wrażeń, rozwiódł się bezboleśnie, o byłą żonę troszczył, gdy było trzeba. Później, w sile wieku, trafiły mu się jeszcze dwa poważne uniesienia uczuciowe, ale z obu świadomie zrezygnował, co znaczy, że ich sobie zabronił - dla dobra Sprawy.

Jaka to sprawa, wiemy prawie wszyscy, bo mamy przecież „Rok Jerzego Giedroycia”: „Kultura”, Instytut Literacki, niepodległość Polski, Ukraina-Litwa-Białoruś, Europa zjednoczona, wolny świat demokratyczny (uchwała Senatu RP z 14 maja 2025 roku).

Trąci to trochę „żeromsczyną”, którą edukacja szkolna od paru pokoleń skutecznie ośmiesza, nawet samo słowo brzmi ujemnie. „Rozdarta sosna duszy” nie jest metaforą, którą z ucha do ucha szepcą sobie teraz licealiści. Pół wieku temu może jeszcze tak było.

A przecież Redaktor Giedroyc patronat autora „Ludzi bezdomnych” i „Przedwiośnia” otwarcie przywoływał i był z niego dumny. Trudno jednak wyobrazić go sobie jako „Silaczkę”, czyli Stasię Bozowską, choć „oczy miał przedziwne, posępne i tajemnicze”, albo doktora Judy, wołającego przecież: „Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mnie nie trzymał!”.

Rafała Olbromskiego z „Popiołów”, zwłaszcza w kreacji Daniela Olbrychskiego, chętnie bym mu przypisał, ponieważ był zabójczo przystojny, nie gustował jednak w awanturach miłosnych ani w potyczkach wojennych. Gdy włożył mundur, nosił go na swój sposób - z fularkiem - i na swój sposób pełnił też wojskową służbę.

Najbliżej mu do Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”, który podobnie jak Jerzy Giedroyc był państwowcem, co znaczy, że racje państwa przedkładał nad wszystkie inne: osobiste, grupowe, partyjne. Gajowiec jednak miał swoje państwo, była nim „Niepodległa” i jej bronił przed młodzieńczymi, trochę bolszewickimi atakami Cezarego Baryki. Rzeczpospolita Jerzego Giedroycia natomiast nie była realnością polityczną, gdyż klęska wrześniowa i jej wielorakie skutki przekreśliły państwo, do którego „naprawiaczy” należał redaktor przedwojennych czasopism „Bunt Młodych” i „Polityka”.

W odróżnieniu od emigracyjnych rządów londyńskich oraz ich zwolenników uważał po wojnie, że nie ma do czego wracać, chociaż Piłsudski pozostawał jego idolem. Dokumentować należy wszystko, co się da, dlatego wydawał „Zeszyty Historyczne”, ale idealizować - w żadnym razie.

Polska Ludowa, z którą Redaktor „Kultury” borykał się prawie pół wieku, nie mogła być jego Rzeczpospolitą, ponieważ nie była suwerenna, co uważał za sprzeczne z samą istotą państwa. Społecznie natomiast stanowiła problem i ten gotów był rozpoznawać zaraz po wojnie i lata po niej. Każde znamieć uniezależnienia od Moskwy starał się wzmacniać, dlatego w roku 1956 poparł Władysława Gomułkę, ale tylko przez rok, do zamknięcia „Po prostu”.

Trzeciej Rzeczypospolitej jednak, do której powstania niewątpliwie się przyczynił, nigdy w pełni nie uznał, ciągle miał coś za złe rządzącym, Kościołowi, narodowi i nawet do Polski nie przyjechał. Uniwersyteckie doktoraty honorowe przyjmował, zresztą na miejscu, czyli w Paryżu, orderu Orła Białego natomiast odmówił. Musiałby stanąć w Pałacu Prezydenckim, publicznie się pokłonić i przemówić.

Czy taki już on był - „Książę niezłomny” zawsze wierny swej niezawisłej postawie? A może słabszy już na ciele lękał się publicznych wystąpień, których zawsze unikał? Jego „Autobiografia” musi być książką dziwną, ponieważ on sam był dziwny.

W istnieniu Giedroycia, w sposobie jego bycia, działania i tworzenia jest coś nieodłącznie dziwnego, bynajmniej nie potocznie, lecz jak? Odświętnie, uroczystie, podniosłe? Nie, nic z tego, na pewno nadzwyczajnie, ale żeby zaraz podniosłe? Jakkolwiek go nazwiemy: politykiem, ideowcem, inspiratorem - coś pozostanie nie-dookreślone, wymknie się słownej kwalifikacji i będzie nas niepokoić.

Przed laty, idąc w tym za Krzysztofem Pomianem, odczuwającym ciasnotę takich etykiet, zaczęliśmy pisać o nim „Redaktor” z dużej litery, bo Giedroyc „redagował Polskę”, a nie tylko swoje wydawnictwa. Może nie tylko Polskę, ale i świat dookolny?

Józef Czapski, który znał go tak dobrze, jak chyba nikt inny, nazwał go kiedyś dość cierpko „Marszałkiem Świata” i może nie było to całkiem niedorzeczne? Zmienić ówczesną Polskę naprawdę, zdaniem Jerzego Giedroycia, można było tylko razem z najbliższymi sąsiadami, a to oznaczało zmianę ówczesnego układu globalnego.

Kluczem do niej była realizacja „idei ULB”, czyli niepodległych i zaprzyjaźnionych Ukrainy, Litwy i Białorusi. Jej zawiązek pojawił się na łamach „Kultury” w roku 1951, a spełnienie, jak widać, pozostaje ciągle niedokona-

ne. Nie chodzi o testament Giedroycia, lecz o lepszy cały ten świat.

W jakimkolwiek weźmiemy wydaniu „Autobiografię”, a jest ich kilka, zapis tytułu i autorów powtarza się słowo w słowo: „Jerzy Giedroyc. »Autobiografia na cztery ręce«. Opracował Krzysztof Pomian”. Jeśli taki dopis pojawia się na stronie tytułowej lub okładce poważnej edycji, oznacza to, że uczony filolog opracował, niewykończony przez autora lub wielowariantowy utwór i przedstawia jego wersję obowiązującą.

Z różnych powodów, których nie wyliczam, żeby nie popaść w filologię, trwa to czasem dziesiątki, jeśli nie setki lat. Filologicznie opracowane „Poezje” Daniela Naborskiego, wybitnego twórcy barokowego, ukazały się drukiem po 320 latach od śmierci autora (w roku 1961). „Pism ostatnich” Stanisława Brzozowskiego, drugiego obok Żeromskiego, patrona Jerzego Giedroycia, nie wydano dotąd w obowiązującej wersji, ponieważ edytor nie znalazł na to środków. A od śmierci autora „Głosów wśród nocy” upłynęło już sto lat z okładem.

Państwo polskie nie ma programu subwencjonowania obowiązujących wydań polskich pisarzy kanonicznych. Ostatnią edycję „Dziel” Adama Mickiewicza, „pod wysokim patronatem Prezydenta RP”, rozpoczęto za Lecha Wałęsy, a ukończono za Aleksandra Kwaśniewskiego (1993-2005). Potem już nic, chociaż coraz bardziej „narodowo” - po co się trudzić filologicznie, łatwiej wznosić uliczne mowy i okrzyki! Nowa klasa średnia zaś, z przesądu nazywana czasem „inteligencją”, już nie potrzebuje „Dziel” na regałach. Wystarcza jej AI w iPhone.

W Maisons-Laffitte, czyli w Instytucie Literackim, na szczęście inaczej, jakby odwrotnie. Pierwszy autor tego utworu, czyli Jerzy Giedroyc, brał czynny udział w kształtowaniu swej „Autobiografii”, nawet napisał do niej „Słowo wstępne”, w którym podkreślił, że bez Krzysztofa Pomiana ta „Autobiografia na cztery ręce by nigdy nie powstała”.

Domyślamy się zatem, że powstawała ona w sposób szczególny, chociaż nagrywanie, spisywanie i redagowanie wypowiedzi ustnej przed drukiem jest teraz powszednie. Wieść niesie, że współautorzy nagrali ponad 40 godzin tych rozmów, przyjmują 44, żeby było symbolicznie. Podług przeliczników czasu nagrania na przestrzeń druku byłoby to ponad 58 arkuszy wydawniczych, czyli prawie 1200 stron, jeden tom tego nie udźwignie.

Drugie, pełniejsze wydanie „Autobiografii” miało tych arkuszy prawie 20 (dokładnie 19,7). Jakby nie liczyć, dużo większa połowa nie ujrzała światła druku. Zawsze coś zostaje, każdy praktyk to wie, żeby aż tyle jednak?

Autorzy tego utworu, choć słyną z rozległej twórczości, znani są też z oszczędnych słów. Może tym razem, z troski o przyszłych filologów, popadli w skąpstwo? Na pewno mieli dobre wzajemne zrozumienie oraz niepotoczne doświadczenie czasu.

Krzysztof Pomian, który rzecz tę opracował, co zapisuje się na okładkach i stronach tytułowych czcionką niewiele mniejszą od przeznaczonej Giedroyciowi, jest wybitnym uczonym, właściwie światowym. Od 1973 roku pracuje we Francji, ponieważ go tam zaproszono, a zostając uczonym francuskim, pozostał polskim i u nas czynnym. To polihistor obecny swymi pracami w wielu dziedzinach humanistycznych, których samo wyliczenie jest kłopotliwe.

Zaczynał jako filozof, a będąc też historykiem filozofii napisał w naukowej młodości podstawowe dzieła o wyobrażeniach przeszłości tworzonych przez dawne europejskie elity intelektualne („Respublica litteraria”), z których wyłonił się później syntetyczny esej „Europa i jej narody” (1990), tłumaczony na wiele języków.

Filozofem bywa nadal, chociaż się tego odrzeka, w roku 2004 wydał jednak pokąźny tom „Filozofowie w świe-

cie polityki”, zawierający eseje z lat 1957-74, więc i te, z mojej młodości - o Sartrze, Bergsonie, Witkacym.

Końcowa data tej edycji sugeruje zwodniczo, jakoby autor tego tomu po roku 1974 przestał uprawiać twórczość filozoficzną, a skupił się na historycznej. Prawdą jest, co sam Pomian wyznawał, że od swych naukowych początków był rozpięty między filozofią a historią. Ale w roku 1984 wydał po francusku fundamentalne dzieło „L'ordre du temps” (przekład polski „Porządek czasu”, 2014) którego, począwszy od tytułu, nie mogą uznać za niefilozoficzne.

Rozważania o „architekturze czasowej cywilizacji ludzkich” i to takie, w których pojawiają się Platon, Arystoteles, św. Augustyn i św. Tomasz z Akwinu, z dodatkiem Woltera, Hegla i Marksa, miałyby być niefilozoficzne? U Pomiana nie ma takiej możliwości, ale na tym orzeczeniu poprzestaje i wracam do „Autobiografii”.

Powstawała ona w dwóch podejściach, w latach 1991 i 1994, a jej pierwsze wydanie ukazało się za życia Giedroycia, który znacząco uzupełnił wydanie drugie, oba w zainicjowanej przez siebie serii „Archiwum Kultury”.

Nie tylko jako twórca „Rzeczypospolitej epistolarnej” był niezrównany, stworzył również przepastną „Rzeczpospolitą dokumentacyjną”, o czym dobrze wiedzą ci, którym udało się zapoznać z pieczołowicie prowadzonymi archiwami Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte.

Współtworzył swoją działalnością własny rozdział nowoczesnych dziejów Polski, przeto Europy i świata, zakładając równocześnie podwaliny historiograficznego ich zapisu. Było coś prometejskiego w tej pedantycznej zapobiegliwości - każdy list pisał na maszynie przez kalkę, kopię od razu archiwizując - jakby sam siebie przykuwał ciągle do skały, która została mu dana wyrokiem dziejów.

„Autobiografia” jest koronnym świadectwem tej pasji dokumentacyjnej, a kiedy się po raz pierwszy ukazała, Redaktor dobiegał już dziewięćdziesiątki i był świadomy, że „nieublaganie zbliża się kres mojej aktywności, toteż - pisał - uważam za swój obowiązek złożenie w sposób możliwie szczegółowy i udokumentowany sprawozdania z tego, co robiłem od moich pierwszych kroków w życiu publicznym. Jest to sucha relacja, a nie próba tłumaczenia się czy usprawiedliwiania”.

Pisał równie ogłędnie i rzeczowo, jak tysiące swoich listów, ale gdy przypomnimy, że „Kulturę” miał wydawać jeszcze przez sześć lat, a jej ostatni numer (9/2000), przez niego redagowany, ukazał się w miesiącu jego śmierci, to zaraz pomyślimy o „dziwności istnienia”.

Sztuka obcowania z tym dziełem polega właściwie na tym, żeby czytając je z empatią, nie ulegać mu i nie pod-

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



***prof.
Andrzej
Mencwel**

• Ur. w 1940 r., krytyk i historyk literatury i kultury polskiej, eseista, prozaik. Wydał ostatnio m.in. „Powieść z życia I. Strona ojca”; wkrótce ukaże się część II - „Wszystko o mojej babci”.

dawać się jego wyrokowi. Czytelniczko mi się podoba cała ta przedwojenna konstelacja, z braćmi Pruszyńskimi i Bocheńskimi na czele, krążąca wokół redaktora „Buntu młodych” i „Polityki”, i od niego uzależniona, nawet gdy się ktoś oddala albo przejściowo z nim zrywa. Byli oni błyskotliwi i utalentowani, bardzo też pewni swojej społecznej i kulturalnej pozycji, choć Bocheńscy przez niemiecką orientację dramatycznie pomyleni.

Wiekowy już Redaktor Giedroyc poświęca się przedwojennym wspomnieniom, ociepla je i sentymentalizuje, tłumacząc się tym, że miał wówczas realny wpływ na politykę realnie istniejącego państwa, co potem już nigdy mu się nie trafiło. Praktycznie jednak był „uczynnym ministerialnym radcą”, jak zapamiętał go Miłosz, o wpływach większych niż ranga urzędnika, gdyż był szarą eminencją.

Przeszarżował, gdy zaproponował gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu zastąpienie Śmigłego-Rydza w funkcji Naczelnego Wodza, ale zasadniczo miał poczucie proporcji i nie wypadł z obiegu. Po klęsce wrześniowej, już w Rumunii, przyczynił się do rezygnacji Ignacego Mościckiego z prezydentury i przekazania jej osobie wskazanej przez premiera Władysława Sikorskiego, co zapewniło ciągłość reprezentacji państwowej.

Funkcyjnie Giedroyc był wtedy sekretarzem osobistym ambasadora Rogera Raczynskiego, z którym był zaprzyjaźniony, stanowiska takiego nie było w nomenklaturze dyplomatycznej. Udział osoby prywatnej w wymianie prezydentów, podczas egzystencjalnej zapaści państwa, był zapewne najwyższym i bezcennym wyczynem historycznym tej szarej eminencji przedwojennej elity politycznej. Przy tej okazji jej kruchość i małość odsłaniała się sama.

Cała ta dość rzewnie wspomniana w „Autobiografii” socjeta była personalnie nieliczna, społecznie wąska, kulturalnie ekskluzywna. „Myśl mocarstwowa”, której Giedroyc przewodniczył, oraz „Polska idea imperialna”, jaką później zredagował, w korporanckich kręgach, z których się wywodził, miały znaczną nośność, ale szerzej nie działały.

W „Autobiografii” Redaktor się z nich tłumaczy, przyjmujemy, że w tamtym kontekście „imperialna” i „mocarstwowa” to synonimy „niepodległej”, pozostają one jednak podobnie dęte, jak ówczesna propaganda militarna.

Krzysztof Pomian wywodził się ze środowiska biegunowo przeciwnego elitom sanacyjnym, nawet tak odnowicielskim, jak skupione wokół Giedroycia. Jego ojciec bowiem był działaczem nielegalnej Komunistycznej Partii Polski, podobnie jak dwaj stryjowie. Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, Krzysztof miał pięć lat, z przedwojnia niewiele pamiętał, ale lata syberyjskiej wywózki, śmierć ojca oraz powrót z mamą do Polski Ludowej nie zmieniły jego rodowodu i otoczenia.

W październiku 1956 roku był jednym z liderów młodzieżowej rewolty, a potem coraz wybitniejszym uczonym i coraz wyraźniejszym rewizjonistą. Za wspólne z Leszkiem Kołakowskim krytyczne wystąpienie w dziesięciolecie „polskiego Października” wyrzucono go z partii, a po Marcu '68 usunięto z Uniwersytetu Warszawskiego. Przed wyjazdem do Francji prowadził filozoficzne seminaria prywatne, a także pracował w dziale rękopisów Biblioteki Narodowej. Więc poniekąd jako filolog, a w tym rzemiośle jego sztuką mistrzowską jest niewątpliwie „Autobiografia na cztery ręce”.

Jerzy Giedroyc za najważniejsze swoje przedwojenne osiągnięcie polityczne uznawał przygotowanie rządowego programu autonomii Małopolski Wschodniej. Realizację przekreśliła wojna, ale i tak wolno wątpić w jej sukces. Czy zrównoważyłaby ona skutki wojskowych pacyfikacji, przymusowych polonizacji i burzenia cerkwi, jakich dokonywano tam w latach 30., za życia Piłsudskiego, po jego śmierci tym bardziej?

Sama nazwa „Małopolska Wschodnia” była zresztą polonizacyjna, odrzucana przez Ukraińców, będących większością w tamtych regionach. Toteż nie obiecywałbym sobie wiele po realizacji tego programu, nawet gdyby do niej doszło. Jednak bez uwrażliwienia Giedroycia na Ukrainę i Ukraińców nie powstałaby najważniejsza i najtrwalsza idea „Kultury” i jej środowiska, oznaczana później wskazanym już skrótem ULB.

Ale zanim do niej dojdziemy, trzeba zapytać, kiedy Jerzy Giedroyc zostaje tym Jerzym Giedroyciem, którego czcimy i czcić będziemy tak długo, mam nadzieję, „jak długo na Wawelu Zygmunt bije dzwon”? Dość niezwykle jest to, że sama klęska wrześniowa nie była dla niego formacyjnym wstrząsem i kwituje ją jednostronnicową relacją w swej książce. Co się z nim dzieje we wrześniu 1939 roku?

Prawdopodobnie 5 września wraz z instancjami rządowymi opuszcza Warszawę, w Równem na zlecenie ministra próbuje wydawać

mi od poglądów politycznych – dotyczy to Marii Dąbrowskiej, Zofii Nalkowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, nawet chroniącego się w Maisons-Laffitte Czesława Miłosza. Wspominam też młodych po wojnie radykałów: Tadeusza Borowskiego, Tadeusza Różewicza czy Jana Józefa Szczepańskiego, nie mogąc rozwijać tego wątku.

„Pytanie jest jedno. Jak to się mogło stać?” (spacja autora) – pytał bez ogródek w pisanym jesienią i zimą 1939/40 „Pamiętniku po klęsce” Kazimierz Wyka. Było to pytanie wówczas powszechne, w całym jego historycznym i metafizycznym zdumieniu.

Jerzy Giedroyc wydaje się od niego wolny, za to, po bukareszteńskim doświadczeniu, przyrzeka sobie zapewne: n i g d y w i e c e j! (spacja moja). I kiedy wreszcie, przez Stambuł, dociera do Palestyny, to wstępuje do Brygady Karpackiej, w stopniu strzelca, czyli szeregowego. A w irackim Mosulu umyka z armii do biblioteki klasztoru dominikanów, z widokiem na ruiny prastarej Niniwy. Bycie samego, z książkami i wobec pamiątek tysięcy, zdaje się być jego zadomowieniem.

Środowisko Maisons-Laffitte, które przewrotnie chciałoby się nazywać „komuną paryską”, u podstaw swej działalności miało inne doświadczenie czasu niż partyjno-rządowa emigracja londyńska. Różnica ta, podczas wojny niewidoczna, bo jej czas jest nieuchronnie zdarzeniowy, zarysowała się zaraz po wojnie, jesz-

Idee wytworzone przez emigracyjną „Kulturę” zostały w Polsce po przełomie ustrojowym przyjęte w ojczywym kraju. Co może nigdy przedtem i nigdzie się nie zdarzyło

gazetę, w Śniatynie zakładać radiostację, ale po wiadomości o inwazji sowieckiej przekracza granicę rumuńską i lokuje się w ambasadzie, u Rogera Raczynskiego.

Jego wrześniowe wspomnienia zostały przytłoczone przez doświadczenia bukareszteńskie, które trwały znacznie dłużej, bo prawie półtora roku, a miały też szczególną gęstość. Pobudzało ją międzynarodowe piekło, którym był wtedy rozdygotany politycznie i wywiadowczo Bukareszt oraz emigracyjne polskie piekielko – skłębionych ambicji, zażartych interesów, powszednich pomówień i fałszywych oskarżeń. Wszystko to w cieniu prawdziwej walki o życie, jaką toczyli polscy uciekinierzy, szczególnie pochodzenia żydowskiego.

Jestem zdania, że były to miesiące dla Giedroycia formacyjne, bo postanowił potem żądać przy-rządowych funkcji już nie pełnić, a od emigranckości, ze wszystkimi jej przywarami, trzymać się jak najdalej. Opiekował się była żoną i młodszym bratem Henrykiem, był to jasny punkt w tamtej ciemności.

Wydaje mi się, że rozumiem jego osobną osobiście, ale muszę przypomnieć, że doświadczenie klęski wrześniowej i następujących po niej dwóch okupacji było formacyjne dla tych, którzy w kraju je przeżywali i przeżyć im się udało. Różnice tych doświadczeń stawały się różnicami postaw, głębszymi i szerszy-

cze w Rzymie, gdzie przygotowano pierwszy numer „Kultury”, zredagowany przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Jerzego Giedroycia.

Przeszłość i przyszłość kultury europejskiej, stosunek do romantycznej Wielkiej Emigracji i współczesnej rzeczywistości krajowej, konieczna przemiana zastanej „psychiki polskiej” – były to wszystkie problemy dalekie od akcji bezpośrednio odwracającej „wyroki historii”.

Wierzyć w słabość stalinowskiego imperium, interwencyjną wolę mocarstw zachodnich, bliski powrót „polskich kresów”, z białym koniem w bramach stolicy, musieli poniekać zawodowi politycy, aby strzec swych rozszczeń i nie tracić funkcji. Giedroyc, jak sam mawiał o sobie, był „zwierzęciem politycznym”, nie był jednak politykiem w tamtym rozumieniu, a choć nieustannie właściwie dokonywał ocen taktycznych, również błędnych, to osiągał je myśli, figurą wyobraźni była historia długotrwała.

Odległy widnokrąg czasowy umyka zwykle działającym doraźnie politykom, zwłaszcza tym, którzy żyją akcjami i w nich się spalają. Redaktor Giedroyc w akcji był ciągle, głównie pośredniej, przez redakcję i wydawnictwa, spełniał się jednak naprawdę ponad doraźnością. Jego czas był przyszły i celowy.

Krzysztof Pomian w „Porządku czasu” odróżnia na samym wstępie chronografię od chronozofii. Chronografia jest kalendarzowym zapisem zdarzeń, chronozofia odczytuje ich przewodni, wyższy sens, przyjmując perspektywiczną wizję czasu.

Otóż Redaktor wizję tę miał zawsze przed sobą, choć dyskursywnie jej nie wykladał, zawierając w tym zupełnie Juliuszowi Miroszewskiemu. Ich współbrzmienie było prawie doskonałe, co w muzyce się zdarza, w polityce zakrawa na cud. Wizję czasu wypracowali progresywną, a nie konserwatywną, jak po tych szlacheckich inteligentach można się było spodziewać.

Polska, ich zdaniem, nie miała żadnej takiej przeszłości, o której powinna śnić jak o raj utraconym, aby do niego wracać. Miała przed sobą wyłącznie przyszłość i to dalekosięzną, będącą jednocześnie kreacją lepszego niż dotąd świata. Od siebie dodam, że to się nadal nie zmieniło, choć muzyka przyszłości cichnie z dnia na dzień. Zagłusza ją odwieczny lament nad kurhanami polskich mąk i krzywd.

Idea ULB była i jest zwornikiem tej wizji. Zawiązki tej idei na łamach „Kultury” i w jej środowisku pojawiają się na początku lat 50. XX wieku, a krystalizację osiągają w artykułach Juliusza Miroszewskiego z początku lat 70. Dzieje się to najpierw za życia Józefa Stalina i jego wszechwładzy, a dokonuje wtedy, kiedy nie widać jeszcze tego rozkładu ZSRS, jaki nastąpi 20 lat później.

Podkreślam to, ponieważ rozwój tej idei, z istoty swej politycznej, nie jest aktualizujący reaktywny, lecz względnie autonomiczny, co poświadcza jej głębokie źródła duchowe. Ona nie formuje się w odpowiedzi na krytycznie obserwowane wydarzenia, lecz w niezależnym dialogu swych twórców, dociekających głębszych racji historycznych.

Jej dojrzewanie, urabianie i wypowiedzanie śledzić można w korespondencji Jerzego Giedroycia z Juliuszem Miroszewskim, a jest to szczytowy pasjans polityczny w tej literaturze polskiej, którą inicjował Jan Ostroróg (1436-1501), pisząc o naprawie Rzeczypospolitej.

Pierwszym ogniwem tej idei było wezwanie do niezależnego i własnowolnego przyję-

cia narzuconych Polsce granic powojennych. Z czym wiązało się uznanie praw Ukrainy, Litwy i Białorusi do niepodległości państwowej w ich współczesnych terytoriach. Symbole bywają najbardziej wymowne, toteż wystarczy je przywołać: Wilno jest litewskie, Grodno – białoruskie, Lwów – ukraiński.

Dziś, na szczęście, jest to dla nas oczywiste, ale w roku 1951, kiedy oznajmienie to się pojawia, oznacza trzęsienie pojęć w skali lokalnej oraz globalnej. Lokalnie, wewnątrz emigracji polskiej, powoduje zerwanie ze stanowiskiem rządu londyńskiego i znacznej części emigracyjnej opinii.

„Kultura” przeważnie utrzymywała się z prenumerat, a płynąc po prąd – ryzykowała zatopienie. Redaktorowi, gdy racje swoje uznał za konieczne i wystarczające, determinacji nigdy nie zabrakło. Rządy londyńskie natomiast, niezależnie od zmiennych swoich składów, nie akceptowały układów narzuconych i podkreślały swój legalizm.

Mocarstwa zachodnie uznały zaraz powołany w Moskwie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej (5 lipca 1945 roku), odmawiając tym samym uznania władzom emigracyjnym, czego władze te nie przyjęły. Musiały one legalizmu swego strzec, bo stanowił rację ich istnienia. Uznanie narzuconych przez „dyktat jałtański” zmian terytorialnych i politycznych było bowiem równoznaczne z samolikwidacją tych władz, do czego nie mogły one dopuścić. Legalistyczne negacje pozostawały jednak czysto słowne i politycznie bezsilne.

Idea ULB była jedynym wyjściem z tej pozornie bezywjiściowej sytuacji, tym bardziej, że nie ograniczała się do przyjęcia zmian terytorialnych, lecz wiązała z uznaniem praw Ukrainy, Litwy i Białorusi do niepodległego bytu państwowego. Przeciwstawiało się to woli i władzy stalinowskiego ZSRS, w skład którego

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCA: Bartosz T. Wielirski;
MAGAZYN I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZY: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kula-sek, Grażyna Zabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie
redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy
jest zabronione.



wchodziły trzy te tzw. republiki radzieckie. Na dodatek, rzekomo niezależne Ukraina i Białoruś, były oficjalnie współzałożycielami Organizacji Narodów Zjednoczonych, co USA i Wielka Brytania przelknęły bez zgrzytów.

Nawiasem wspomnę, że zarówno Polska „londyńska”, jak i Polska „lubelska” nie zostały zaproszone do tej inauguracji. Decyzje Redaktora Giedroycia i kilkuosobowej ekipy „Kultury” były szczególnie wymowne i spójne razem: litewskie Wilno w wolnej Litwie, białoruskie Grodno w niepodległej Białorusi, ukraiński Lwów w suwerennej Ukrainie.

Miały się one okazać szczególnie owocne po kilkudziesięciu latach, gdy niepodległa Rzeczpospolita uznawała niepodległość tych bliskich sobie sąsiadów. Wtedy, kiedy decyzje te się krystalizowały, były zwrócone przeciw zaborom sowieckim, w istocie wielkoruskim, co dziś osłepiająco jasne w putinowskiej mitologii „ruszko-gogo mira” i toczonej przez Moskwę zbrodniczej wojnie w Ukrainie. Jednocześnie były tożsame z polską racją stanu ujętą w celowej perspektywie historycznej, czyli w chronozoficznym czasie przyszłym, ciągle niedokonanym.

Ale idea ULB zakładała również pewien dystans, jeśli nie sprzeciw, wobec współczesnej polityki amerykańskiej i to wzmacniało jej wymiar globalny. Podstawą polityki USA wobec ZSRS, a później także Chin Ludowych, była doktryna „containment”, czyli „powstrzymanie”, sformułowana w roku 1947. Stany Zjednoczone postanowiły czynnie przeciwstawiać się komunistycznej ekspansji we współczesnym świecie.

Było to jednak związane z akceptacją tych zmian, które zostały już dokonane i potwierdzone układami powojennymi – co oddane, to już ich i nienaruszalne. Efektownym potwierdzeniem containment było lotnicze przełamanie sowieckiej blokady Berlina zachodniego (czerwiec 1948 - maj 1949), które przyczyniło się do powstania NATO (kwiecień-sierpień 1949). Ale jest też pewne, że gdyby chodziło o Pragę, Budapeszt czy Warszawę, amerykańskie samoloty nie zagrzałyby wtedy silników. Zaś Wilno, Grodno czy Lwów nie mieściły się w ich lokalizatorach.

Slowem – nikt na całym świecie nie upominał się wtedy o rzeczywistą niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi, dokonała tego ekipa „Kultury”, z Jerzym Giedroyciem i Juliuszem Mieroszewskim na czele. Zwracając się jednocześnie przeciw swemu rządowi i supermocarstwu sowieckiemu oraz wyłamując z amerykańskiej doktryny polityki globalnej.

Kiedy sobie to uzmyslamiam, zaraz przypominam mi się frazes Stanisława Brzozowskiego o „garstce oddartych od ziemi ojczystej szlachciców, którzy duchowo ocalili Polskę”, gdy zabrakło jej „oczywistości fizycznej”, czyli bytu politycznego.

Brzozowski pisał o romantycznych wieszczach XIX-wiecznych, natomiast Wacław Żbyszewski, publicysta wytrawny, lecz kapryśny, „zagubionymi romantykami” nazwał ekipę „Kultury”. Mylił się dotkliwie, ponieważ nie byli oni zagubieni, lecz wytrwale zmierzali do dalekosiężnego celu. Co więcej – cel ten, choć odległy, był całkowicie realny, jak mieliśmy się przekonać już za naszych czasów. Jego pełne osiągnięcie pozostaje ciągle naszym zadaniem.

Krystalizacji ideowej towarzyszą i ją stymulują dzieła literackie powstające w kręgu „Kultury” – „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego, „Rodzinna Europa” Czesława Miłosza, antologia poezji ukraińskiej „Rozstrzelane odrodzenie”, eseistyka Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza i innych pisarzy oraz historyków.

To są tylko przykłady, wskazuję je, aby podkreślić, że Redaktor rozumiał, iż nie wystarczy słusznymi racjami działać na umysły, trzeba też wpływać na uczucia i zmysły, a tego dokonuje się sztuką i poezją, a nie uczonymi teoriami.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Barbara Gruszka-Zych*

*tak mi chodziło o piękno
wyływające z wysoka
wprost na nasze twarze
jeśli nawet mrok pozacierał
co się dało na tej ziemi
ile niewypatrzonych gwiazd
z zamkniętego okna
ile słów ocalałych za późno
żeby mogły coś znaczyć
na tej wydartej zwątpieniu wyspie
ułamku obiecanego łądu
do którego dopłynąć zdołali tylko
wytrwali wędrowcy
wierni nadziei bo ona prowadzi
przez wąskie gardło nieprzelkniętej śliny
kiedy nie wiesz czy płakać
czy wrócić do siebie inną drogą
zawsze inną drogą
na horyzoncie świecącą
tajemniczym światłem
ponad urwiskiem chmur
zebranych by ocalić słoneczny promień
twój uśmiech tylko dla mnie*

***Barbara Gruszka-Zych** - ur. w 1960 r., poetka, krytyczka, reporterka, wieloletnia dziennikarka „Gościa Niedzielnego”. Wiersz za jej zbiorem poezji „Całuj ten świat”, Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, Katowice 2025.

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK



Jak na „zwierzę polityczne”, miał niebawem wyczucie indywidualności twórczych i potrafił respektować je oraz inspirować. O tym, jak sobie radził z najwybitniejszymi swymi pisarzami, świadczy znowuż jego korespondencja z Czapskim, Gombrowiczem, Miłoszem i innymi mistrzami słowa, odsyłając do niej, powracam do idei ULB. W istocie swojej bowiem, choć wybrzmiewała głównie jako polityczna, była ona kulturowa lub antropologiczna.

Bo wspólna z Polską niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi zostanie osiągnięta wtedy, gdy wzajemne stosunki między obywatelami tych państw staną się równoprawne, wzajemne i przyjazne. Nie wystarczą na to same traktaty czy umowy polityczne, nieodzowne są bowiem przemiany „psychiczne” czy też „mentalne”, jak pisywał Giedroyc w swoim języku. To na nie właśnie działa się sztuką słowa i stąd ta troska Redaktora o jej miejsce w każdym numerze „Kultury”. Sztukę obrazu uprawiał Czapski, muzyka może nie wybrzmiała, chociaż fundusz „Kultury” wspomógł wydatnie Witold Małcużyński.

Jeśli chodziło o autentyczną przyjaźń naszych sąsiadów, to trzeba zapytać, dlaczego mieli to być najpierw Ukraińcy, Litwini i Białorusini, a nie Czesi, Słowacy i Węgrzy? U początków „Kultury” jakiś odzew rozmów, zawiązywanych z Czechami podczas wojny w Londynie jeszcze się słyszy, potem zanika.

Solidarność wobec sowieckich interwencji na Węgrzech (1956) i w Czechosłowacji (1968) jest mocna i niezawodna, nie narusza jednak trwałego prymatu idei ULB. Odpowiedź na pytanie o racje tego prymatu wydaje się prosta. Bezpośrednim następstwem realizacji tej idei byłby bowiem rozkład Związku Sowieckiego. I nic lepiej tego nie potwierdziło niż białowieńska umowa o likwidacji ZSRS (1991), podpisana przez prezydentów Rosji, Ukrainy i Białorusi. Putin tę likwidację uważa za największą kata-

strofę XX wieku i do jej odwrócenia dąży wszelkimi środkami.

Czy wyłamanie się Polski, Czechosłowacji i Węgier spod sowieckiej dominacji byłoby tak dotkliwe dla dawnego Związku i skończyło jego upadkiem? Trudno gdybać, ale można przyjąć, że nie – gdyż nie zmieniłoby granic państwowych ZSRS, chociaż „obóz” by skruszyło.

Jakkolwiek jednak odpowiemy na tę kwestię, możemy spokojnie przyjąć, że dla ekipy „Kultury” byłaby to wieść radosna, lecz nie rozstrzygająca. Istotą idei ULB nie jest bowiem jej strona negatywna, czyli pożądany rozkład ZSRS, lecz pozytywna, zatem stworzenie tutaj nowej, wolnej, bezpiecznej, zaprzyjaźnionej części Europy i świata.

Żeby istotę tę lepiej ująć, trzeba najpierw oddalić koncepcję starszą, identyfikowaną z polityką Józefa Piłsudskiego, a nazywaną „ideą jagiellońską”. We wrześniu 1939 roku napadło nas dwóch zmówionych mocarstwowych bandytów, ale prawdą jest też, że nie mieliśmy innych przyjaznych sąsiadów: Czechów, Słowaków, Litwinów oraz współmieszkańców: Ukraińców, Żydów i Białorusinów.

Na tę nieprzyjaźń zasłużyliśmy sobie sami, a polityka zagraniczna zaczyna się w kraju, od stosunku do własnych mniejszości, podkreślał zawsze Redaktor. Przemyślał doświadczenia przedwojenne, które były więcej niż złe.

Żadnej więc rekonstrukcji „Rzeczypospolitej Obojga Narodów”, żadnej „unii”, „federacji” ani „międzymorza”. Giedroyc reagował alergicznie na samo wspomnienie takich terminów i tępił je, gdzie tylko mógł.

Mieroszewski pisał, że „idea jagiellońska stanowi najczystsza formę polskiego tradycyjnego imperializmu”. Rzeczpospolita szlachecka nigdy nie stała się naprawdę ojczyzną dwóch, tym bardziej trzech czy czterech narodów, jak sprawiedliwie się należało. By-

ła ona głównie – zdaniem Giedroycia i Mieroszewskiego – instrumentem polonizacji tamtejszych szlacheckich elit, więc ich wynarodowienia, oraz pogrążenia w sarmackiej mitomanii. Pociągała za sobą kolonizację litewskich, ruskich i ukraińskich chłopów, zatem ich pańszczyźniane zniewolenie, które trwało przez wieki.

Magnaci polscy służyli lojalnie caratowi, aby zachować swoje folwarczne przywileje, łącznie z chłostaniem poddanych, co upamiętnił wybitny historyk francuski Daniel Beauvois. Odpowiedzialność za tamto historyczne zło ponosimy ciągle i trzeba nam o tym pamiętać, jeśli chcemy naprawdę zbudować lepszy tutaj świat. Polski nowoczesny paternalizm polityczny lub kulturalny jest tylko ludzłym kostiumem dawnych mocarstwowych dążeń. Musimy o tym pamiętać zarówno wtedy, gdy chodzi o podstawowe akty polityczne, jak i okazjonalne gesty kulturalne.

Giedroyc: Polska niech pierwsza w świecie uzna niepodległość Ukrainy, Miłosz niech w Sejnach przemówi po litewsku.

Nasza masowa i osobista, wspaniała i powszednia pomoc ukraińskim uchodźcom na początku wojny w Ukrainie wydawała się spełnieniem tamtych zaleceń oraz wznowieniem najlepszych dni „Solidarności”. Teraz popadamy coraz częściej w popolity antyukrainizm, także w mowie prominentnych polityków. Nie jest on wznowieniem żadnej idei, ani piastowskiej, ani jagiellońskiej, jest upadkiem na bruk uliczny, na poziom kibolskiej ustawki.

„Przede wszystkim musimy zmienić mentalność narodu” – pisze Jerzy Giedroyc w autorskim „Przesłaniu” do tej dziwnej książki. I ma rację, która pozostaje niedokonana.

Więc może obaj autorzy „Autobiografii na cztery ręce” te 1200 stron swych zapisów potraktowali zbyt surowo, skoro do druku skierowali tylko około 400?

W „Porządku czasu” Krzysztof Pomian rozważa opozycję „widzialne / niewidzialne”, kluczową dla wszelkiej wiedzy historycznej, a konstytutywną dla jego przyszłych prac. Przeszłości, będącej prymarnym przedmiotem dziejopisarstwa, przecież nie widzimy, tak jak widzimy współczesnych sobie ludzi i to, co się między nimi wydarza, w skali elementarnej i globalnej.

Nie widzimy i widzieć nie będziemy Tutenchamona, Priama, Agamemnona oraz bliższych nam przecież, prawie współczesnych Giedroycia, Mieroszewskiego, Czapskiego i innych gwiazd konstelacji „Kultury”. Wierzmy jednak, iż oni rzeczywiście istnieli, odróżniamy postacie mityczne od historycznych i konstruujemy, europocentryczny na przykład, porządek czasu ludzkiego, który uprawomocniamy różnymi narzędziami nauki, nazywanej historią.

Nie wiem, czy Pomian, pisząc „Porządek czasu”, był świadomy, że kwestia środków widzenia tego, co niewidzialne, zajmie mu następne kilkadziesiąt lat, ale jest pewne, że lata te twórczo wypełnił. Poprzez dzieła o relikwiach i osobliwościach, zbieraczach i kolekcjach doszedł do monumentalnej trylogii zatytułowanej „Muzeum. Historia światowa”, właśnie wydanej po polsku, wcześniej nagradzanej we Francji, a tłumaczonej w Japonii.

Widzialne utrwalanie tego, co niewidzialne, nie jest tylko kwestią fizyczną, jak nam się może wydawać w muzeach. Podobnie jak spotkanie dwóch tak niezwykłych osób, których wspólnym dziełem jest ta „dziwna książka”. To, że oni ten utwór nie tylko przegadali, ale i zgodnie, z wzajemnym uznaniem, opublikowali, pozwala nam sądzić, że Witkacy przesadził z tym „zanikiem uczuć metafizycznych”, którym się tak trapił.

Jeśli we współczesnym świecie one zanikają, to w ludziach wybranych, tych, którzy wybierają siebie nawzajem, nadal trwają, a nawet bywają zapisane i opublikowane. „Mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki!”. ●

Tytuł - „Wyborcza”. Tytuł autorski - „Czas przyszły niedokonany (z powodu Roku Jerzego Giedroycia)”.



Bomba

W LODACH GRENLANDII

Amerykańska potęga na Grenlandii jest i promieniuje.
Tylko nie wiadomo, co promieniuje: zaginiony rdzeń uranowy,
czy większa część bomby wodorowej.

Radosław Leniarski



◄ **Amerykańska baza wojskowa Thule na Grenlandii** FOT. WIKIMEDIA COMMONS

21 stycznia 1968 roku, baza Plattsburg w stanie Nowy Jork, niedaleko granicy z Kanadą. B-52, ośmiosilnikowy bombowiec strategiczny szykuje się do startu. Tuż przed wyczeniem się na pas trzeci pilot mjr Alfred Demario wciska trzy poduszki z pianką na nagrzewnicę, bo mogą się potem przydać. Samolot rozpędza się, startuje i wkrótce osiąga wysokość, na której rozpoczyna zadanie – krążenie nad Thule, amerykańską bazą wojskową na Grenlandii, która działa tam od 1951 roku (dziś Pituffik Space Base).

Po pewnym czasie stratoforteca, jak nazywano potężny B-52, tankuje w powietrzu. Manewr jest trudny, trzeba go wykonać ręcznie, bo wysiadła automatyka.

Strasznie zimno, załoga szuka ciepła. Po godzinie od tankowania, a zarazem w szóstej godzinie lotu, Demario zastępuje drugiego pilota Leonarda Svitenkę i, ratując się przed mrozem, otwiera zawór wpuszczający do kabiny rozgrzane powietrze z okolic silnika. Szybko robi się upiornie gorąco – Demario zapominał, że zatkał wylot nagrzewnicy poduchami. Za chwilę robi się też ciemno. Pojawia się dym i smród palącej się gumy albo plastiku. Załoga w panice szuka źródła dymu. Nie może znaleźć. Wreszcie nawigator odnajduje palące się poduchy.

Niestety, nie dają się ugasić, choć lotnik używa aż dwóch gaśnic. Pożar się rozprzestrzenia. Kapitan samolotu John Haug łączy się z Thule i prosi o możliwość awaryjnego lądowania. Ale dym gęstnieje tak, że załoga nie widzi instrumentów i ich wskazań. Siada elektronika. Kapitan uświadamia sobie, że nie będzie w stanie wylądować i uprzedza o tym załogę. – Przygotować się do opuszczenia samolotu – mówi przez interkom.

B-52 KOD HOB028

Czekają, aż Demario poinformuje ich, że lecą nad lądem, że widać światła bazy Thule, i skaczą z samolotu. Najpierw czterech członków załogi, nawigator major Frank Hopkins, operator elektroniki kapitan Richard Marx, rezerwowi nawigator, kapitan Curt Curtiss, strzelec sierżant Calvin Snapp, następnie kapitan samolotu John Haug, na koniec Demario. Drugi pilot Leonard Svitenko, który oddał swój fotel pilota Demario, używa dolnego luku do ewakuacji. Uderza głową w stalową ramę luku, ginie na miejscu.

Samolot leci jeszcze przez chwilę na północ, obniżając pułap coraz bardziej, skręca na zachód i uderza w lód zatoczki North Star, Gwiazdy Północnej, części Morza Baffina, 15 km na zachód od bazy Thule. Kąt uderzenia jest łagodny, a jednak jest ono na tyle mocne, że eksploduje konwencjonalny ładunek wybuchowy, część bomb wodorowych. Na szczęście żadna nie wybucha – załoga ich nie uzbroiła.

O katastrofie wie w Thule kilka osób, w tym kontrolerzy lotu w bazie. Ktoś – to ogromna baza, w 1968 przebywało tam 3000 żołnierzy i specjalistów – widzi ogień na kierunku wyspy Saundersa. Dyżurni powiadamiają najwyższe dowództwo o katastrofie.

Mniej więcej wtedy przy wartownikach olbrzymiego czarnego hangaru pojawia się obcy żołnierz w skórzanej kurtce z futrzanym kołnierzem i poprosi o połączenie z dowódcą bazy. – Nazywam się major Alfred Demario. Przed chwilą rozbił się nasz B-52 kod HOB028, co najmniej sześciu członków załogi ewakuowało się. Mielismy cztery nieuzbrojone bomby wodorowe – raportuje obcy pełniącemu obowiązki dowódcy bazy, pułkownikowi Paulowi D. Copherowi.

GDYBY WYBUCHŁY...

Bomba wodorowa jest bombą jądrową drugiej generacji w porównaniu do zrzuconych przez Amerykanów na Hiroszimę i Nagasaki w 1945 r. Tamte były bombami atomowymi, a B-52 leciał z termojądrowymi.

Pierwsze amerykańskie bomby były rozszczepieniowe, to znaczy bazowały na rozszczepieniu ciężkich atomów. Termojądrowe opierały się na syntezie lekkich atomów. Wiem, że zabrzmi to okropnie, ale trudno: gdyby bomba rozszczepieniowa o mocy takiej, jak w Hiroszynie, wybuchła na Stadionie Narodowym w Warszawie, Pałac Kultury prawdopodobnie by przetrwał, a Dworzec Centralny prawie na pewno. Gdyby wybuchła tam bomba Mark28F1, taka, jaka była na pokładzie B-52, nie byłoby Pałacu i niczego w promieniu ok. 10 km. Zniknęłaby z powierzchni praktycznie cała współczesna Warszawa. A w B-52 były cztery takie bomby.

Kapitan Haug też wylądował na terenie bazy, zadzwonił do płk Cophera z innego hangaru. Obu pośpiesznie zgarnięto ambulansem do środka. W końcu stycznia w północnej Grenlandii słońca nie było wcale, wiał porywisty wiatr, temperatura spadła do -30,5 st C, a odczuwalna wynosiła około -40 st C.

Słowa Demaria potwierdziły się dzięki telefonowi kpt Hauga. Dowódca bazy nakazał poszukiwania pozostałych członków załogi. Dwudziestu jeden ludzi, rozstawionych w tyralierę wyruszyło z latarkami. Przez radio powiadomiono też innych żołnierzy w jednostkach wokół głównej instalacji – było ich kilka w promieniu 30 km.

W tym samym czasie dowództwo powietrzne ściągało do Thule specjalistów. W kilka godzin w drodze byli już eksperci od badania katastrof, od materiałów wybuchowych, od promieniowania, naukowcy, śledczy.

Ostatniego żywego członka załogi, sierżanta Snapa, odnaleziono 20 godzin po katastrofie z objawami wychłodzenia, poważnymi odmrożeniami, osłabionego. Przeżył, bo zawiął się w spadochron.

Dwa dni po katastrofie w Thule było już 700 nowych osób. Cała ta grupa miała wyruszyć w niegościnnie teren, żeby zebrać wszystko, co zostało po katastrofie. Ale jak dotrzeć do zmarzniętego fiordu, w którym rozbił się bombowiec?

Wtedy pojawili się Grenlandczycy i Duńczycy.

ROZTERKI PREMIERA HANSENA

Skąd w ogóle nad Grenlandią wziął się B-52 z bombami wodorowymi na pokładzie? Wyspa – lub jak chce Donald Trump, piękny wielki kawał lodu – należała wtedy do Danii (autonomię uzyskała dopiero w 1979 r.). Tymczasem Dania ogłosiła swoje terytorium jako strefę wolną od broni atomowej.

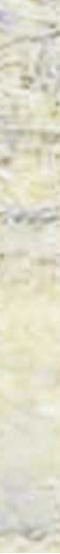
Dopiero niemal trzy dekady po katastrofie okazało się, że w 1957 r. Amerykanie niejako wymusili na premierze Danii Hansie Christianie Hansenie składowanie atomówek w bazie w Thule. Sytuacja była kuriozalna: ambasador USA w Kopenhadze zadał Hansenowi pytanie o podwójnej naturze: Czy Dania chce być informowana, jeśli USA podejmą decyzję o umieszczeniu broni jądrowej na Grenlandii? Hansen podobno odpowiedział wymijająco, a potem poprosił tylko o dyskrecję, żeby broń Boże nic nie wyszło na jaw, bo gniew Duńczyków zmiecie jego rząd.

Ujawnienie dokumentów mówiących o kulisach politycznych decyzji doprowadziło w 1995 r. do wybuchu Thulegate, a w konsekwencji do podważenia wiarygodności duńskich polityków, którzy stosowali podwójne standardy dla amerykańskich większych braci. W kulminacyjnym momencie Thulegate doszło do skandalu – minister spraw zagranicznych Danii, po spotkaniu z sekretarzem obrony USA ogłosił, że na Grenlandii nigdy nie było bomb atomowych, żeby po kilku dniach zdementować tę informację.

Musiał ją zdementować, bo Amerykanie w sumie magazynowali na Grenlandii dziesiątki ogromnych bomb, w tym termojądrowe. Prawdopodobnie około 50. Magazynowali również pociski raketowe mogące przenosić głowice jądrowe. W liczbie nieznaną.

Ale znacznie bardziej niebezpieczne od składowania bomb było latanie z nimi nad Grenlandią. A dlaczego latały?

Żeby to zrozumieć, trzeba mentalnie przenieść się w okres zimnej wojny. Obie strony tak bardzo bały się, że wróg uderzy pełną mocą jako pierwszy i unicestwi arsenał jądrowy tak, że odpowiedź będzie niemożliwa, że zdecydował się na niezwykle krok. Przez wiele lat w powietrzu latały bombowce, w tym B-52. Na początku procedura wymagała, żeby w ramach programu „Chrome Dome”,

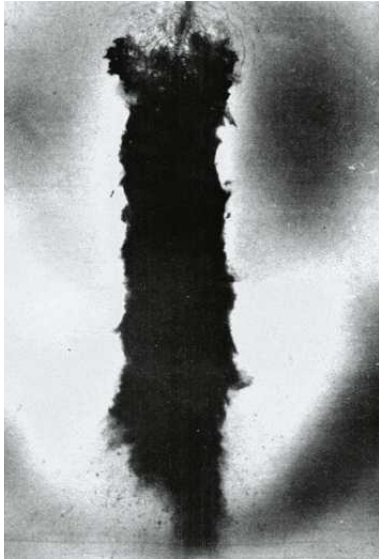


▲ **Amerykański bombowiec B-52, który rozbił się 21 stycznia 1968 roku w zatoce North Star na Morzu Baffina, 15 km od bazy Thule**

FOT. KEYSTONE PRESS / ALAMY STOCK PHOTO



▲ **Kapitan John Haug, uratowany pilot samolotu** FOT. KEYSTONE PRESS / ALAMY STOCK PHOTO



▲ **Zdjęcie lotnicze poczerńiałego obszaru lodu, miejsca, w którym rozbił się bombowiec przewożący głowice nuklearne** FOT. UNITED STATES AIR FORCE / WIKIMEDIA COMMONS

czyli „Lśniaca Kopuła”, w powietrzu w każdej sekundzie dnia i nocy było osiem bombowców gotowych do ataku na Moskwę. Później, z powodu oszczędności tylko cztery. Fruwały na wysokości 10 tys. m nad Thule, wykonując ósemki i obserwując bazę. Gdyby wróg ją zniszczył – Amerykanie uważali, że Rosjanie muszą najpierw unicestwić Thule, jeśli chcieli, żeby ich atak był skuteczny – miały odlecieć w kierunku Rosji i wykonać uderzenie odwetowe.

I tak było praktycznie przez całe lata 60. Właśnie stąd wziął się nad Thule B-52 kapitana Hauga.

JENS ZINGLERSEN RUSZA NA POMOC

W 1968 r. Jens Zinglersen pracował w Thule jako spedytor zatrudniony przez Królewskie Grenlandzkie Towarzystwo Handlowe (Kongelige Groenlandske Handel). Miał własny psi zaprzęg. Dostarczał nim towary do bazy Thule. Miał biuro w pobliżu.

21 stycznia po pracy – była godz. 15.30, ale wielkiego znaczenia to nie miało, bo noc ciągnęła się przez większą część roku – wyszedł ze swojego domku i wtedy zobaczył w ciemności lunę ognia, która, jak się domyślał, miała coś wspólnego z hukami silników odrzutowych, jakie słyszał przed chwilą. Zaloczył na siebie, co miał najcieplejszego na ciężkie mrozy, przystawiał psy i zaprzęg i ruszył na ratunek.

Oczywiście, nie wiedział nic o bombach, ani o tym, że grozi mu skażenie promieniotwórcze. Miał 33 lata, uwielbiał Arktykę. I chciał pomóc tym, którzy tego potrzebowali. Ruszył w drogę. Po godzinach przebijania się przez lodowe królestwo dotarł do miejsca katastrofy. Widok był straszny: czarna smuga na lodzie, cygaro samolotu i tysiące odłamków po drodze. Wciąż tłil się ogień.

Zobaczył też spadochrony. Wówczas nie wiedział, że bomby Mk28 są wyposażone w spadochrony, sprzęt konieczny, gdyby zaplanowano ich zrzut z niewielkiej wysokości. Myślał, że są to spadochrony osobiste, i że cała załoga zginęła. W reportażu BBC zatytułowanym „Świadek” opowiadał, jak straszne było to przeżycie. Wyobraźmy sobie: stał sam w 40-stopniowym mrozie, tylko z psami, nad nieludzkim, zamrożonym Morzem Baffina, pod polarnymi gwiazdami dającymi magiczne światło i patrzył na rozbity samolot ze świadomością, że splonęli tam ludzie. Łód trzeszczał wraz z podnoszeniem się wody w łagodnym falowaniu fiordu. – Czulem się jak na obcej planecie – wspominał Zinglersen.

Wrócił do bazy. Potem wraz z okolicznymi Grenlandczykami zbudowali kilkanaście igloo, baraki, heliport i psimi zaprzęgami wozili zaopatrzenie dla ludzi zbierających odpady radioaktywne. Potem dostał za to order.

ODPADY POPŁYNĘŁY DO AMERYKI

13 września, a więc blisko dziewięć miesięcy od katastrofy, za pomocą wielkiego żurawia podniesiono z wybrzeża ostatnie z 600 olbrzymich kontenerów (100 m sześć. każdy) z tysiącami resztek samolotu, ze skażonym radioaktywnie śniegiem i lodem, i zapakowano na USS Marine Fiddler. Wywieziono ich w sumie około 2 mln m sześć. Operacji przyglądali się wysłannicy duńskiego rządu.

Wszystko co popłynęło w kierunku USA – do Pantex, czyli składu odpadów w Teksasie oraz Savannah River Site, miejsca, w którym Amerykanie produkowali wtedy uran i pluton na bomby, a dziś również składa się odpady.

Tylko czy aby wszystko popłynęło okrętem US Navy?

Niestety nie. Pytanie, czego brakuje.

ANI SŁOWA DUŃCZYKOM

Uderzenie samolotu o lód wzbudziło eksplozję ładunku konwencjonalnego, który jednak nie

uruchomił bomb, ponieważ załoga ich nie uzbroiła. Pentagon utrzymywał, że siła eksplozji zniszczyła bomby. I faktycznie, nie odnaleziono kompletu. To znaczy, znaleziono niemal cały materiał z trzech bomb, a z jednej w ogóle.

W dokumentach, ujawnionych dzięki ustawie o dostępie do informacji, BBC odnalazła fragment, który opisywał poczerwienia, ponownie zamrożony lód, na którym pozostały resztki linek spadochronu bomby. „Można spekulować, że coś przetopilo się przez warstwę lodu – napisano w dokumencie – na przykład rozgrzany ładunek pierwotny lub wtórny”.

Zwrot „ładunek pierwotny lub wtórny” odnosi się do kluczowych elementów bomby wodorowej.

Składa się ona z części rozszczepieniowej, czyli ładunku pierwotnego, oraz fuzyjnej, czyli ładunku wtórnego. W skrócie: mała bomba atomowa, która jak już powiedzieliśmy bazuje na rozpadzie ciężkich jąder, powoduje odpalenie bomby wodorowej, bazującej na syntezie lekkich jąder. Ta druga reakcja wymaga po prostu skrajnych warunków – m.in. bardzo wysokiej temperatury do rozpędzenia jąder atomowych – podgrzewa się je poprzez ładunek pierwotny.

Prawdopodobnie właśnie ten fragment dokumentu spowodował, że w kwietniu zdecydowano, żeby do poszukiwania czwartej bomby wysłać łódź podwodną Star III, dość nowoczesny model, bo skonstruowaną przez General Dynamics zaledwie kilka miesięcy wcześniej. To siedmiometrowej długości batyskaf z manipulatorami sterowanymi z wnętrza. O poszukiwaniach podwodnych Duńczycy nic nie wiedzieli.

Z czasem te poszukiwania stały się panicznie, bo czas naglił. Po krótkim arktycznym lecie, lód znów szybko zamarza. W końcu – w lipcu lub sierpniu 1968 r. – poszukiwania zarzucono. Amerykanie uznali, że skoro oni nie byli w stanie znaleźć zaginionej bomby lub jej elementów, to nikt jej nie znajdzie.

„NIE MA ŻADNEJ BOMBY”

Wiele lat później w Danii – jako pokłosie Thulegate oraz plotek, że Amerykanie zgubili bombę – na wniosek MSZ dochodzenie przeprowadziła specjalna komisja duńskiego instytutu spraw zagranicznych DIIS. Raportowi sporządzonemu przez komisję autor dał raczej publicystyczny tytuł: „Nie ma żadnej bomby, nie było żadnej bomby, nie szukali żadnej bomby”. To tak jakby Antonii Macierewicz zatytułował swój sekretny nieopublikowany raport „Nie ma żadnej brzozy, nie było żadnej brzozy i w ogóle brzozy nie istnieją”.

W raporcie podano, że wszystkie cztery ładunki pierwotne zostały zniszczone w uderzeniu samolotu o lód. Napisano też, że również cztery ładunki wtórne zostały zniszczone. Że pluton wyzbywany przez poszukiwaczy odpowiada ilości w bombach. Żadna bomba nie została na dnie, ani żaden ładunek wtórny.

Czyli czysto.

Jednocześnie w dokumentach pojawia się informacja, że zebrana masa fragmentów części wtórnych odpowiadała ok. 94 proc. trzech z nich. Duński raport sugeruje, że jedynym brakującym elementem był rdzeń uranowy – rozszczepieniowy komponent ładunku wtórnego czwartej bomby. To próbując odnaleźć rdzeń Amerykanie poprosili w sierpniu specjalistyczną firmę zajmującą się naukowymi badaniami oraz technologiami nuklearnymi, państwowo-prywatną Sandia Corporation, o ustalenie dokładnych trajektorii promieniotwórczych cząstek w wodach cieśniny Bylot, między Thule a wyspą Saundersa.

Chcieli znaleźć tylko rdzeń – dowodzi duński autor – ale nie znaleźli i w końcu zarzucili poszukiwania. Stąd tytuł o tym, że żadnej bomby Amerykanie nie zgubili, a więc również nie szukali.

Czy rzeczywiście tylko to chcieli znaleźć?

Na koniec: Duńczycy opierali się wyłącznie na dokumentach dostarczonych przez Amerykanów. Ich ostatnie badanie aktywności radiologicznej tamtych okolic dowodzi, że zaginione „coś” wciąż promieniuje. ●

Jasne strony dziejów

Tysol

To wszystko trwało tylko kilka miesięcy, a przecież ziarno zasiane przez pierwszą redakcję „Tygodnika Solidarność” wydaje owoce do dziś.

Brzeziecki



Od powstania „Solidarności” latem 1980 roku wiadomo było, że bez własnych środków przekazu ten ruch będzie miał bardzo ograniczone możliwości działania. Bez internetu, telewizji satelitarnej, ludzie mogli się dowiedzieć tyle, co z państwowych mediów lub co usłyszeli w kolejce. Drugi obieg miał ograniczone zasięgi.

Nawet jeśli telewizja dawała czasem możliwość wypowiedzi ludziom „Solidarności”, zawsze było ryzyko, że coś zostanie przycięte, zmanipulowane. Wyjątkami były takie pisma jak „Gazeta Krakowska”, którą kierował Maciej Szumowski i choć ogólnie wolno było tam pisać ciut więcej – o nadużyciach, o problemach Polaków. Ale wciąż nie był to głos „Solidarności”.

Władza dała zgodę na tygodnik. Lech Wałęsa miał zdecydować, kto zostanie naczelnym. Biskupi podpowiadali Andrzeja Micewskiego, działacza KOR, którzy znali się na redakcyjnej robocie, też mieli nadzieję. Wałęsa jednak w styczniu 1981 roku postawił na Tadeusza Mazowieckiego. Miał do niego zaufanie i od chwili strajku w stoczni wiedział, że dotychczasowy redaktor tygodnika „Więź” będzie lojalny wobec idei „Solidarności”. Jako człowiek dialogu nie będzie używał pisma niczym pałki, a raczej jako tarczy. Przy czym Wałęsa miał okazję, by lepiej wykorzystać potencjał Mazowieckiego. Inteligencji bowiem, którzy włączyli się w ruch „Solidarności”, często nie mogli nałożyć do samego związku – bo nie pracowali w państwowych zakładach pracy. Mogli być doradcami, trybunami, negocjatorami.

Mazowiecki, już wtedy znany z niespiesznego stylu, zaskoczył swe otoczenie i szybko przystąpił do budowy redakcji. Począwszy od mroźnych styczniowych dni 1981 roku, zaczął wstawać wcześniej do pracy. Okazało się, że dotychczasowemu redaktorowi miesięcznika niestraszne jest tempo wydawania tygodnika.

Zebrał znakomitą ekipę. Brał pod uwagę zdanie różne środowiska w „Solidarności”, ale skład redakcji był jego dziełem autorskim. Do współpracy, jako swych zastęp-

ców namówił Bohdana Cywińskiego, byłego redaktora miesięcznika „Znak” i Kazimierza Dziewanowskiego – dziennikarza i podróżnika. W redakcji znalazły się też postaci, które właśnie dzięki pracy w „TS” stały się znane: Waldemar Kuczyński, Wiesława Grochola, Jolanta Strzelecka, Józef Ruszar, Andrzej Friszke, Małgorzata Łukasiewicz, Ryszard Holzer, Krzysztof Gottesman, Jarosław Szczepański, Małgorzata Niezabitowska, Artur Hajnicz, Ernest Skalski, Jan Dworak, Józef Duriasz, Jacek Ambroziak, Krzysztof Wyszkowski, Andrzej Kaczyński.

Wgląd w narodziny redakcji dają, chyba wciąż nieopublikowane, dzienniki Kazimierza Dziewanowskiego. Miałem okazję je kiedyś przejrzeć dzięki uprzejmości rodziny. Do moich ulubionych historii należy ta, gdy redakcja, po kilku nieprzespanych nocach wysłała pierwszy numer – zamykany w gorących i dramatycznych dniach kryzysu bydgoskiego – specjalnie samolotem do Gdańska, gdzie akurat był naczelnny. Gdy zadzwonili, spodziewali się pochwał – w zamian usłyszeli markotny głos i naganę, że na pierwszej stronie jest literówka...

37 numerów „TS” (numer na Boże Narodzenie 1981 roku już nie trafił do kiosków) to wspaniałe świadectwo polskiego dziennikarstwa, odpowiedzialności za słowo i polskich starań o demokrację. Mazowiecki pismo prowadził pewną rękę. Wymuszona przez „Solidarność” ustawa o cenzurze dawała pewne pole manewru, w którym „TS” poruszał się zgrabnie. Mazowiecki wyczuwał, o co warto walczyć i się szarpać z cenzorami, a co można odpuścić. Osiem lat później ludzie „TS”, tak jak ci z „Więzi” i „Tygodnika Powszechnego” stali się zapleczem kadrowym dla pierwszego niekomunistycznego rządu w Polsce.

W pierwszym numerze Mazowiecki pisał, że źródłem nadziei jest m.in. „dojrzałość polskiego sposobu rozwiązywania konfliktów w drodze porozumienia – bez rozlewu krwi”. Przestrzegał też, że „zasada: wszystko albo nic, łatwo może prowadzić do stawiania losu narodowego na jedną kartę”.

Tak sobie myślę, że wtedy, 45 lat temu, podziały w Polsce były ostrzejsze niż dziś. A jednak udało się je przezwyciężyć. Z drugiej strony dziś Polacy mają w ręku najlepsze karty od stuleci – by jednak ich nam nie wytrącono, warto posłuchać ostrzeżeń Tadeusza Mazowieckiego. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

JAK UMIERAŁA DEMOKRACJA

**Na pożar Reichstagu Hans von Lehn-
dorff patrzył obojętnie: „Niech ta plot-
karska buda spłonie. Nikt nie będzie za
nią płakał”.**

Robert Traba

Historia się nie powtarza. Z mechanizmami polityczno-społecznymi, podobnie jak z ludzkimi zachowaniami, jest zgoła inaczej. Do każdego zdarzenia dochodzi wprawdzie w konkretnym miejscu i czasie, ale może być ono inspiracją dla zrozumienia sytuacji nam bliższych. Współczesnemu kryzysowi demokracji można się przyjrzeć, na przykład w zwierciadle antycznych Aten przełomu V i IV wieku przed naszą erą. Peryklesowa konstrukcja ustrojowa sypała się pod naporem ochłokracji, czyli rządów tłumu lekceważącego normy i prawo. Platon poszukiwał antidotum w rządach filozofów. Orator i polityk Isokrates zamiast wzmacniania pozornej suwerenności rozbitych poleis odnajdował siłę w panhelleńskiej jedności wobec zagrożenia przez Persję – tyrana ze Wschodu.

„Wspomnienia z Prus Wschodnich” arystokraty hrabiego Hansa von Lehdorffa (1910-87) wprowadzają nas w inną rzeczywistość, czyli czas upadku demokracji weimarskich Niemiec w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Nie był on ani Isokratesem, ani Platonem swojego czasu. Piszząc pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku, nie analizuje zdarzeń, lecz przedstawia świat jakby zahibernowany, zamknięty w formie z minionej epoki. Nostalgia wypiera krytycyzm. To niezbyt dobrze świadczy o autorze. To dobry materiał dla historyka.

PLOTKARSKA BUDA

Od schyłku lat dwudziestych demokracja weimarska przechodziła z fazy parlamentarnej w coraz bardziej autorytarny system prezydencki. Nieformalnie wpływy przejmowała kamaryla skupiona wokół starzejącego się zwycięzcę spod Tannenbergu (1914), od 1925 roku prezydenta Paula von Hindenburga (1847-1934). Socjaldemokraci (SPD) i chadecy (Centrum) tracili wpływy, umacniali się komuniści (KPD). W tle czaił się

nienasycony, żądny władzy „głos ludu pracującego”, czyli młody ruch narodowych socjalistów skupionych wokół Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP) i ich wodza – Adolfa Hitlera. Strasząc komunizmem i żydowskim spiskiem, skutecznie odbierał on głosy głównie narodowym konserwatystom i socjaldemokratom.

Ale jeszcze nie wszystko było przesądzone, bowiem NSDAP dysponowała przed wyborami w 1930 roku jedynie 12 (2,6 procent wyborców) mandatami w Reichstagu, co było niczym w porównaniu z pozycją socjaldemokratów, chadeckiej partii Centrum czy narodowych konserwatystów, głównie Niemieckonarodowej Partii Ludowej (DNVP). Rozwój wypadków w ciągu najbliższych trzech lat miał zdecydować o losach demokracji w Niemczech.

Reichstagu nie lubił prawie nikt, od prawicy do lewicy. Młody Lehdorff nie był wyjątkiem. Patrząc z obojętnością na pożar parlamentu, komentował bez żalu: „W Berlinie nie ma budynku, który można by zostawić w płomieniach z takim spokojem jak Reichstag. [...] Niech ta plotkarska buda spłonie. Nikt nie będzie za nią płakał”.

Niemожność uzyskania stabilnej większości powodowała ciągłe zmiany władzy. Ostatnie w miarę silne rządy tworzyli w drugiej połowie lat dwudziestych chadecy z Centrum i Gustav Stresemann (1878-1929), „wieczny” minister spraw zagranicznych (1923-29). Później zaczął się zjazd wątpliwej demokracji parlamentarnej w kierunku systemu prezydenckiego, z silnym ideologicznym akcentem na powrót do monarchii. Tak w każdym razie zakładały kręgi konserwatywno-narodowe skupione głównie w DNVP reprezentowanej w dużej części przez szlachtę z prowincji położonych na wschód od Łaby. Sporo młodych wschodniopolańskich szlachciców mieszkało wówczas w Berlinie i okolicy.

Wśród nich był Hans Lehdorff, który właśnie wchodził w dorosłe życie. W 1928 roku zdał maturę i rozpoczął studia medyczne. Po trzech latach sprowadził się w celu kontynuacji edukacji do Berlina. Spędził tam ponad sześć lat, będąc świadkiem i uczestnikiem klu-



• Hans von Lehdorff FOT. DOMENA PUBLICZNA

czowych wydarzeń: w 1933 roku podpalenia Reichstagu, w 1934 roku „nocy długich noży”, czyli likwidacji nie tylko tak zwanych oddziałów szturmowych (SA) Ernsta Röhma w Monachium, lecz de facto namiatki istniejącej jeszcze w Berlinie opozycji. W 1936 roku przeżywał berlińskie igrzyska olimpijskie.

Dla dwudziestokilkuletniego arystokraty z Prus Wschodnich był to świat nowy i fascynujący. Patrząc na niego z określonej perspektywy politycznej, której bazą było konserwatywno-religijne (protestanckie) wychowanie. W tym czasie wschodniopruska szlachta i arystokraci stali się ważną siłą polityczną, tym bardziej że właśnie na południowym zachodzie prowincji w Ogrodzieńcu (Neudeck), koło Susza, od 1927 roku rezydował prezydent Hindenburg, przyjaciel dziadka Hansa-Elarda hrabiego Oldenburga, właściciela sąsiadującego prawie z Ogrodzieńcem, majątku Januszewo. Był jednym z najbardziej antydemokratycznych i sprawczych zarazem w działaniu antyrepublikkańskich konserwatystów.

KORUPCJA

Paul von Hindenburg na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych

był w kleszczach między lojalnością wobec własnego środowiska a presją coraz bardziej rosnących w siłę narodowych socjalistów. Dodatkowo dzięki głosom nie swojego narodowego elektoratu, lecz socjaldemokratom i chadekom z Centrum wybrany został w roku 1932 po raz drugi na prezydenta. Niestety, konserwatywny rząd Heinricha Brüninga (1885-1970) chciał wprowadzić zmiany w wielomilionowym programie „Pomocy dla Wschodu” idące w kierunku samouzdrawienia skorumpowanego systemu rozdawnictwa pieniędzy i wspierania wielkich latyfundiów magnackich.

Środowisko junkrów pruskich poczuło się na tyle zagrożone, że wykorzystało wówczas – ze względu na zagrożenie sowieckie – argument o atomowym rażeniu, mianowicie propagandowo oskarżono kanclerza Brüninga o „bolszewizm agrarny”. Ponieważ do przeprowadzenia ustawy agrarnej Brüning nie miał odpowiedniej większości, zwrócił się do Hindenburga, by ten, korzystając ze swoich konstytucyjnych prerogatyw, wydał stosowny dekret. Był to sygnał do ataku dla środowiska właścicieli ziemskich, co dobitnie sformułował Elard Oldenburg, mówiąc, że trzeba „wypalić narodowi niemieckiemu na skórze taką konstytucję, że straci

przytomność”. Chodziło o to, by dać prezydentowi takie kompetencje, które pozwoliłyby rządzić z pominięciem parlamentu. Czołowe rody arystokratyczne Prus Wschodnich, jak Eulenburgowie, Dönhoffowie czy Dohnowie, spotkały się w czasie Zielonych Świątek 1930 roku w pałacu Hindenburga, żądając usunięcia Brüninga. Prezydent i jednocześnie reprezentant pruskiej arystokracji nie mógł mieć dylematu. Nie dopuścił do żadnych reform.

30 maja 1932 roku Brüning musiał podać do dymisji swój rząd, czym doprowadził do politycznego trzęsienia ziemi – po raz pierwszy partie tak zwanej koalicji republikańskiej stały się mniejszością w Reichstagu. W ten sposób zakończyła się umiarkowana faza autorytarnego systemu prezydenckiego. Rozpoczęła się – zdaniem niemieckiego historyka Heinricha Augusta Winklera („Długa droga na Zachód”, 2007) – faza druga otwarcie antyparlamentarna i autorytarna, którą starali się sterować Hindenburg i jego otoczenie.

W wyborach lipcowych 1932 roku hitlerowcy zdobyli rekordowe poparcie, czyli 37 procent, co dało im 230 mandatów i kluczową pozycję w Reichstagu. Okazało się, że w bieżącej polityce starają się grać konserwatyści i Hindenburg z kamarylą, ale zsa bocznej linii ogrywają ich narodowi socjaliści i Hitler, którzy po prostu byli bardziej cwani politycznie i umieli być skuteczni jako opozycja.

Największy skandal, który wpłynął na utratę głosów partii konserwatywno-narodowych, spowodowały niejasności wokół majątku prezydenta von Hindenburga w Ogrodzieńcu. Otrzymał go na swoje osiemdziesiąte urodziny w 1927 roku „w darze od społeczeństwa”. Zrzutkę głównie w kręgu przemysłowców zorganizował hrabia Oldenburg. Nic nie byłoby w tym nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że własność majątku została zapisana na jego najbliższego współpracownika, czyli syna Oskara, żeby oszczędzić na podatku. Ta wątpliwa etycznie postawa prezydenta nie miała być może wielkich reperkusji, gdyby nie to, że nałożyły się na nią gigantyczne malwersacje fundusza „Pomocy dla Wschodu”. Machlojki wokół funduszu stały się po przejściu władzy przez NSDAP tajną bronią Hitlera trzymającą w szachu obóz konserwatywno-prezydencki.

KAMARYLA

Nowym kanclerzem został 1 czerwca 1932 tak bliski Hansowi Lehdorffowi, w rzeczywistości słaby

i zakochany w sobie polityk z prawego skrzydła chadeckiej partii Centrum Franz von Papen (1879-1969), którym tak naprawdę rządził jego minister obrony generał Kurt von Schleicher (1882-1934). Młody Lehdorff spotykał się z Papenen we wzorowanym na brytyjskim Gentlemen's Club berlińskim Herrenklubie założonym przez przedstawicieli kół przemysłowych wielkich posiadaczy ziemskich. Obaj należeli też do dość wpływowego kręgu młodej elity konserwatywnej skupionej wokół Carla Jordansa (1884-1950). W sumie Herrenklub i krąg Jordansa tworzyły ważne polityczne środowisko. Jego uczestnicy czuli się skutecznymi politycznymi rozgrywkami do ostatniej chwili, czyli pełnego przejścia rządów przez NSDAP po „nocy długich noży” w lipcu 1934 roku. Jednocześnie sami pozbawiali się sprawczości, wkładając się w układy i rządzenie z tylnego siedzenia.

Hans von Lehdorff był jednym z młodych konserwatystów politycznie ukształtowanych przez ideologię i praktyczne oddziaływanie kręgu Jordansa. Carl Jordans, formalnie postać drugiego rzędu, w praktyce szara eminencja w polityce, był blisko związany z późniejszym kanclerzem von Papenem. Z początkiem lat trzydziestych zaczęli się konsolidować wokół niego młodzi ludzie z elitarnych środowisk, tworząc alternatywny program polityczny wobec coraz bardziej dominujących wpływów narodowych socjalistów.

W Herrenklubie 30 maja 1932 roku, w przededniu objęcia urzędu kanclerza, Franz von Papen wygłosił wykład na temat konserwatywnej idei państwa. Paradoks polegał na tym, że przyszły kanclerz nie miał prawie żadnego zaplecza politycznego. Jego własna partia Centrum odwróciła się od niego, Narodowoniemiecka Partia Ludowa i Niemiecka Partia Ludowa były podzielone, a socjaldemokraci i komuniści programowo go odrzucali. W efekcie zdany został na poparcie NSDAP, tyle że za cenę poważnych ustępstw. W tym momencie nawet przeciwny narodowym socjalistom Hindenburg stanął po ich stronie i rozwiązał parlament, co było już wyraźnym odejściem od zasady rządów parlamentarnych. Swoje programowe tezy zawarł von Papen w exposé nowego rządu 4 czerwca 1932 roku. Powiedział wówczas między innymi, że rząd jest zdecydowany prowadzić „walkę o duchowe i gospodarcze uzdrowienie narodu, dla odrodzenia Niemiec”.

DEKRETY

Naród i Rzesza stały się kluczowymi kategoriami politycznej rozgrywki. Naród musiał być wielki i silny. Zjawiskiem charakterystycznym była przemiana języka debaty, który ulegał coraz większej radykalizacji i podatności na teorie spiskowe, głównie z obawy przed wzrostem wpływów komunistycznych. W wyścigu brali udział wszyscy polityczni aktorzy, od prawa do lewa, włącznie z samymi komunistami. Młode pokolenie we wspólnocie narodowej widziało zabezpieczenie przed materialną biedą i niepewnością na rynku pracy. Socjaldemokraci zrzeszeni w wolnych związkach zawodowych wzywali do „obudzenia wspólnoty narodowej” i „rozwoju poczucia narodowego”. Komuniści z kolei oskarżali socjaldemokratów o współpracę agenturalną z „francuskim i polskim imperializmem” na rzecz „niemieckiej burżuazji”.

Zwycięzcami tego wyścigu byli narodowi socjaliści, którzy sprytnie pozycjo-



nowali się jako prawdziwi i – w związku z kryzysem partii głównonurtowych – jedyni obrońcy „ludu niemieckiego” i niemieckiego interesu w Europie.

Istotnym krokiem, który otwierał drogę narodowym socjalistom do władzy, było przejście największego państwa związkowego, jakim były ciągle demokratycznie rządzone Prusy. Rząd, na którego czele stał pochodzący z Prus Wschodnich socjaldemokrata Otto Braun (trzykrotny i jednocześnie ostatni premier Prus w latach 1925-32), próbował przeprowadzić reformy. W efekcie napięć i nacisków kręgów konserwatywnych obawiających się utraty wpływów 20 lipca 1932 roku rząd Brauna został obalony sprytną intrygą, która przeszła do historii jako *Preußenschlag*, czyli zamach pruski.

Najpierw duet kanclerz von Papen i jego minister obrony von Schleicher cofnęli wydaną niespełna dwa lata wcześniej delegalizację SA (Sturmabteilungen, czyli oddziały szturmowe) i SS (Schutzstaffel, czyli eskadra obronna), a następnie dopuścili do prowokacyjnej parady nazistów w pruskiej Altonie pod Hamburgiem, co skutkowało zamieszkami, w których zginęło 18 osób, a ponad tysiąc zostało rannych. Za wszystko obwiniono Brauna, a to pozwoliło kanclerzowi von Papenowi dekretem podpisanym przez Hindenburga „zastąpić” ministrów rządu pruskiego tak zwanymi komisarzami rządu Niemiec. De facto republikańskie, najsilniejsze w ramach Rzeszy, państwo pruskie straciło przysługującą mu samodzielność.

Ostatnie dwa miesiące agonii demokratycznych Niemiec na przełomie 1932 i 1933 roku przebiegały pod rządami byłego ministra obrony w rządzie von Papena, kanclerza Kurta von Schleichera. Konserwatyści ciągle wierzyli w swoją moc sprawczą i siłę prezydenta Hindenburga. Niestety 30 stycznia prezydent przekazał władzę kanclerza i misję utworzenia rządu Hitlerowi, inscenizując pojednanie i zgodę narodową. Przez najbliższe półtora roku, by nie drażnić opinii publicznej, Hitler grał na popularności prezydenta, jednocześnie szantażując go ujawnieniem kolejnych faktów związanych z „Pomocą dla Wschodu”. Wykorzystując konstytucję i prerogatywy nadane

• **Januschau (Januszewo), 2 października 1927. Prezydent Paul von Hindenburg (w środku z dokumentem) na 70. urodziny otrzymuje akt własności dóbr Neudeck (Ogrodzieniec koło Susza). Inicjatorem był Elard von Oldenburg (drugi od lewej), dzia-**

FOT. ZE ZBIORÓW
CHRISTY MÜHLEISEN /
WESTPREUSSEN-ARCHIV

przez Hindenburga, Hitler rozwiązał parlament, by w atmosferze terroru wygrać ostatnie półwolne wybory, gdzie NSDAP zdobyła 44 procent głosów. W Poczdamie 15 marca 1933 roku ogłosił „z woli narodu” powstanie Trzeciej Rzeszy, sukcesorki potęgi fryderycjańskich Prus i tysiuletniego niemieckiego *Sacrum Imperium*.

30 czerwca 1934 roku w „nocy długich noży” zamordowany został ostatni konkurent Hitlera do władzy: Kurt von Schleicher. Natomiast 7 sierpnia Führer zorganizował na wielką skalę uroczystości pogrzebowe prezydenta, tworząc w jednej z wież pomnikowego oktagonu Tannenberskiego Pomnika Narodowego Mauzoleum Hindenburga.

Paul von Hindenburg odchodził w glorii wielkiego wodza i męża opatrnościowego Niemiec. W rzeczywistości – jak pisze znawca historii Prus Christopher Clark – „jako dowódca wojskowy, a później głowa niemieckiego państwa, Hindenburg złamał niemal wszystkie związki, jakie zawarł. Nie był człowiekiem upartej, wiernej służby, ale pozy, manipulacji i zdrady”.

Jego syn Oskar przeżył wojnę i nie musiał być poddany procesowi denazyfikacji. W procesie norymberskim zeznał nawet w sprawie przeciw byłemu kanclerzowi Franzowi von Papenowi, który w latach rządów nazistowskich pełnił funkcję ambasadora w Austrii, potem w Turcji. W Norymberdze von Papen został uniewinniony, chociaż później komisja denazyfikacyjna uznała go za winnego, ale bez większych konsekwencji prawnych. W 1959 roku od papieża Jana XXIII uzyskał honorowy tytuł szambelana papieskiego. Ani von Papen, ani Brüning w swoich wspomnieniach nie poczuli się do żadnego sprawstwa w dojściu nazistów do władzy.

ZWROT POKOLENIOWY

Niemiecko-brytyjski historyk Stephan Malinowski twierdzi („Vom König zum Führer”, 2003), że konsekwentna wrogość szlachty wschodniopolańskiej wobec narodowego socjalizmu, poczawszy od republiki weimarskiej po martyrologię zamachowców na Hitlera

w Wilczym Szańcu, „była przypadkiem nadzwyczaj rzadkim. Większość spiskowców z 20 lipca 1944 należała w 1933 roku do zwolenników »rewolucji narodowej«, a przed 1933 rokiem występowała mniej lub bardziej aktywnie przeciw republice”.

Dodajmy: z przekonania lub politycznej kalkulacji wstępowała również do NSDAP. Tylko w teorii taka postawa była sprzecznością. Życie nie pisze historii czarno-białych, choć my, historycy, nadajemy im z czasem taki uproszczony, ale z gruntu nieprawdziwy sens.

W ciągu trzech lat 1934-37 z życiem pożegnali się trzej najważniejsi aktorzy wschodniopruskiej i niemieckiej sceny polityczno-towarzyskiej. Najpierw w 1934 roku umarł w swoim majątku Ogrodzieniec prezydent Niemiec, marszałek Paul von Beneckendorff und von Hindenburg. W 1936 roku odszedł dziadzio Sztynortu Carl hrabia von Lehdorff – jedna z najbarwniejszych towarzysko postaci arystokratycznego świata nie tylko w Prusach Wschodnich. Rok później zmarł Elard hrabia von Oldenburg z Januszewa leżącego 20 kilometrów od posiadłości Hindenburga. Wszyscy byli ostatnią generacją belle époque. Konserwatyzm łączyli z klasową wyższością, wręcz pogardą dla „gefrefjtra z Austrii” i jego NSDAP, a także z dużą dozą politycznej naiwności rodem z minionej epoki kajzerowskich Niemiec.

Ich miejsce zajęli trzydziestokilkulatkowie: w Ogrodzieńcu Oskar von Hindenburg, syn prezydenta; w Sztynorcie Heinrich hrabia von Lehdorff, bratanek Carla, a w Januszewie Heinfried hrabia von Lehdorff, wnuk hrabiego Oldenburga: arystokratyczne dzieci kulawej weimarskiej republiki.

Oskar, wysokiej rangi oficer, ze względów taktyczno-koniunkturalnych wspierał Hitlera i w tym duchu ustawiał, szczególnie w latach 1932-34, postawę ojca. Heinrich prawdopodobnie już w 1933 roku zgłosił deklarację do NSDAP, ale oficjalnie członkiem został w 1937. Heinfried wstąpił do NSDAP w 1933 roku. Heinrich, po śmierci swojego 25-letniego brata na froncie wschodnim i odkryciu zbrodni na Żydach w Borysowie nad Berezyną, dołączył do spiskowców przeciw Hitlerowi. Za udział w zamachu 20 lipca

1944 roku skazany został na śmierć. Heinfried, uciekając w roku 1945 wraz z matką wypuszczoną z nazistowskiego więzienia, został zastrzelony przez Sowietów.

Co się stało na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych? Jak doszło do tego, że elita wychowana na niemieckim rycerskim etosie narodowym dała się uwieść złudzeniu tak zwanego mniejszego zła i w gruncie rzeczy na tacy oddała władzę narodowym socjalistom?

„W Kwitajnach mieszkał – pisze biografka Marion Dönhoff, Alice Schwarzer w „Życiu pod prąd” (1999) – wuj opływający w dostatki, nazista i serdeczny przyjaciel osławionego, potężnego gauleitera [Prus Wschodnich Ericha] Kocha. Już w 1943 roku wuj polecił obserwować siostrzenicę, a miejscowy urząd pocztowy zobowiązał do notowania nazwisk adresatów wszystkich listów”.

To przykład ekstremalny, ale prawda jest taka, że członków NSDAP wśród rodów arystokratycznych nie brakowało. Problem uczestnictwa w ruchu narodowosocjalistycznym przedstawiciele arystokracji był powszechny i może jeszcze bardziej newralgiczny niż przeciętnie, ponieważ ich postawa decydowała nie tylko o losie własnym, ale stawała się też latarnią wskazującą drogę innym. Ten koniunkturalizm jest też dysonansem wobec generacji dziadków Hansa, którzy uważali nazistów za „parweniusz”, a ich ideologię za polityczny belkot.

W CIENIU MONARCHII

Sytuacja wcale nie była prosta. Politycznych i moralnych kreatur w stylu wuja hrabiny była zdecydowana mniejszość. Fascynatów ideologii hitlerowskiej rodem z „Mein Kampf”, w stylu Alexandra zu Dohna, było niewiele. Mieli największe wpływy w ostatnich rządach republiki weimarskiej i wśród kamaryli Hindenburga. Stanowili też większość wśród zamachowców na Hitlera 20 lipca 1944 roku. Te sprzeczności to kwintesencja schyłku niemieckiej demokracji.

Jakie więc motywacje mieli inni, młodzi, zdolni, wykształceni i – przede wszystkim – wychowywani w duchu patriotycznym, by wstępować do NSDAP? Cyniczny oportunizm? Czym bronili się ci, którzy dystansowali się, najpierw wobec ideologii, a potem wobec reżimu? I to w czasach, gdy jedynie za witanie się bez nazistowskiego Hitlergruß (tak zwanego salutu rzymskiego) groziło więzienie albo przynajmniej donos do odpowiednich służb.

Niebezpieczeństwo nazistowskiej ideologizacji społeczeństwa i zniszczenia z takim trudem świeżo budowanej demokracji niektórzy arystokraci zauważyli już w połowie lat dwudziestych. Była ich zdecydowana mniejszość, bo reszta z wielkimi obawami przyjęła utratę uprzywilejowanej pozycji z czasów wilhelmińskiego cesarstwa. Z sentymentem patrzyli na Niderlandy czy Anglię, gdzie zachowana została monarchia konstytucyjna. Dlatego sensacją w roku 1926 stał się apel dawnego sekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych kierowanym przez Gustava Stresemanna, Rochusa von Rheinabena (1893-1937), zatytułowany „Do szlachty niemieckiej. Rozważania polityczne o historii niemieckiej”. Wraz z piętnastoma przedstawicielami arystokracji wzywał do zdecydowanego wsparcia demokracji. Rezonans manifestu był słaby. Spośród wschodniopruskiej arystokracji jego sygnatariuszem był jedynie Manfred hrabia Lehnendorff z Preyl, wuj Hansa

Lehnendorffa, ojciec Heinricha, jednego z uczestników spisku na Hitlera.

POSTROMANTYCZNY MIT

Interesująco i trafnie problem opisała biografka Heinricha von Lehnendorffa, autorka licznych publikacji, polityczka i posłanka niemieckich Zielonych – Antje Vollmer w książce „Podwójne życie” (2010). Zauważyła dwa katalizatory postaw młodego pokolenia szlachty.

Po pierwsze, motyw ich działania był naturalny w tym sensie, że byli dziećmi nowej epoki. Nie doświadczyli tragizmu wojny, wychowanie i wykształcenie zdobyli w zupełnie nowej konstelacji polityczno-kulturowej Niemiec lat dwudziestych. Czasami zapominamy, że tragizm pierwszej wojny światowej zerwał stare więzy pokoleniowe. Kultura lat międzywojnia swoim radykalizmem przypominała w pewnym sensie rewolucję '68. Jak słusznie pisze Vollmer:

„Pokolenie swych rodziców i dziadków uznawali za nazbyt reakcyjne, starali się wykorzystać możliwości, jakie oferowało nowe życie [...] Wielu z nich dosłownie brało wczesne narodowe i socjalistyczne obietnice nazistów i dawało się uwieść, mniemając, że jest to nowy rewolucyjny ruch młodzieżowy, który

poświęcił się dla ratowania Żydów. Zmarł w 1952 roku w sowieckim łagrze.

Po drugie, pokolenie dwudziesto- czy trzydziestolatków bardziej niż ich przodkowie bało się bolszewizmu. Sowiecka Rosja była prawie sąsiadem Prus Wschodnich oddzielonym skrawkiem państwa litewskiego. Jej bezpośredni wpływ i zagrożenie odczuwało się tu bardziej niż gdzie indziej w Niemczech, także poprzez wewnętrzną propagandę, Targi Wschodnie w Królewcu i ciągle żywe echa zagrożenia bolszewickiego jako następstwa wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Wojujący antybolszewizm w Prusach Wschodnich był powszechny. Łączył pokolenie młodych junkrów z ideologią narodowych socjalistów opartą właśnie między innymi na genetycznym rasizmie i politycznym antybolszewizmie. Wnikliwe badania Stephana Malinowskiego pokazują, że przychylność protestanckich arystokratów dla narodowego socjalizmu na terenach na wschód od Łaby była dużo większa niż na przykład szlachty w katolickiej Bawarii czy innych południowo-zachodnich prowincjach.

Innym powodem wstępowania do NSDAP była – jak pisze Vollmer – „kalculacja gospodarcza”, czyli nadrzędny interes majątku. Tak zrobił szwagier Heinricha – Dieter Dönhoff, właściciel Friedrichsteinu pod Królewcem, który

pracujących w Prusach Wschodnich. Niezależnie od formalnych związków z Kościołem Wyznającym faktem nie do pominięcia jest ślub Heinricha Lehnendorffa i Gottliebe z domu Kalnein. Otóż ślubu młodej parze w 1937 roku udzielił pastor Martin Niemöller, obok Dietera Bonhoeffera najwybitniejsza postać Kościoła Wyznającego. Jak przypuszcza Antje Vollmer, wynikało to z faktu, że już rodzice Heinricha byli zaangażowanymi członkami Kościoła. Nisza Kościoła Wyznającego stała się jedną z nielicznych form ochrony przed narodowosocjalistyczną ideologizacją.

BILANS

Hans hrabia von Lehnendorff, pisząc swoje wspomnienia, nie wyszedł z bańki własnej arystokratycznej kasty tak, jak próbowała z powodzeniem przez lata robić Marion hrabina Dönhoff, doczekując się nawet określenia „czerwonej hrabiny”. W większości potomków szlachty pruskiej pobrzmiwał wyraźnie apologetyczny stosunek do dziejów własnej grupy i tak zwanego etosu pruskich cnót.

Hans swoje wspomnienia kończy opowieścią o wielkim dębie w Sztynorcie, który z niewiadomych powodów musiał zostać ścięty. Mimo że akt cięcia został dokonany, drzewo jeszcze stało i dopiero

Hitler proponował „demokratyzację” pojęcia arystokracji, obejmując nim cały naród, rasę aryjską, którą tym samym „uszlachetnił”, czyniąc z niej elitę w stosunku do pozostałych ras

wreszcie zrywa z dawnymi przeżytkami, łącząc w sobie socjalistyczne i narodowe cele. [...]

Szczególnie że Hitler proponował »demokratyzację« pojęcia arystokracji, obejmując nim cały naród, rasę aryjską, którą tym samym »uszlachetnił«, czyniąc z niej elitę w stosunku do pozostałych ras”.

Dodajmy do tego popularność młodzieżowego, postromantycznego „Ruchu wędrownych ptaków”. Nie miał on związków formalnych z arystokracją, ale łączył młodzieńczy idealizm i chęć działania. Było to pokolenie zachwycone naturą, wegetarianizmem, wspólnotowością i głębokim poczuciem przywiązania do ojczyzny. Jego epilog przypomina obraz jak z antycznej tragedii. Część z młodych, zaangażowanych ludzi już jako dorośli odnalazła spełnienie w ruchu narodowosocjalistycznym, by potem ginąć „za ojczyznę” na frontach drugiej wojny światowej.

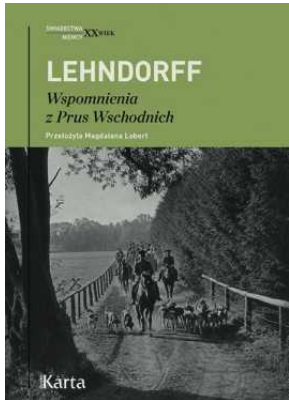
Najbardziej transparentnym, a jednocześnie paradoksalnym przykładem jest Wilm Hosenfeld (1895-1952), który uratował polskiego Żyda, pianistę Władysława Szpilmana. Głęboko wierzący katolik, należący do „Wędrownych Ptaków”, sportowiec, wstąpił najpierw do SA, a potem do NSDAP, gdzie był aktywnym, zaangażowanym członkiem. Po roku 1939 jako kapitan Wehrmachtu pełnił służbę w okupowanej przez Niemców Polsce. Obserwacja tragedii warszawskich Żydów spowodowała przemianę. Zamiast dla ojczyzny, motywowany romantycznymi ideałami „Wędrownych ptaków”,

z powodu kryzysu gospodarczego popadł w duże kłopoty finansowe. Polityczne otrzeźwienie następowało, dopiero gdy rozpoczęła się wojna, która już nie była tylko abstrakcyjną fanaberią Führera, lecz pociągała za sobą realne ofiary, i to wśród najbliższej rodziny. Taki był przypadek kuzyna Hansa – Heinricha von Lehnendorffa i jego brata. A sam autor?

Postawa Hansa von Lehnendorffa wobec narodowego socjalizmu odkrywa jeszcze inną warstwę rzeczywistości lat trzydziestych i czterdziestych – mianowicie religijność. W środowisku wschodniopruskich arystokratów dominowali protestanci różnych wyznań. Na początku lat trzydziestych na skutek nacisków ze strony zwolenników nazizmu nastąpiło pęknięcie w strukturach Kościoła ewangelickiego. Duża część pastorów w Niemczech, głównie luteran, poparła oficjalnie NSDAP, tworząc w 1932 roku własny Kościół pod nazwą Niemieccy Chryścijanie (Deutsche Christen). Dwa lata później ukształtował się antynazistowski Kościół Wyznający.

Najszybciej z rodziny Lehnendorffów związał się z nim młodszy brat Heinricha, Ahasverus, który też od początku był zdeklarowanym antynazistą. Hans włączył się do wspólnoty powołał, od 1937 roku po sprowadzeniu się do Insterburga. Coraz głębiej wchodził w życie gminy Kościoła Wyznającego, który od 1936 roku funkcjonował jako Kościół Wyznający Prus Wschodnich. W 1939 roku z ruchem opozycyjnym miała utożsamiać się ponad połowa wszystkich pastorów

dotatkowa siła musiała je powalić. Dla Hansa był to akt symboliczny, jak upadek Niemiec, „tak pięknego państwa, które wszystkim zapewniało przestrzeń i przewyciężyło wiele kryzysów”. Sprawstwo upadku widział poza sobą i oddziaływaniem arystokratycznej grupy, do której należał. Niewiele różnił się w tej ocenie od Franza von Papena czy Heinricha Brüninga. Jednak historiografia współczesna nie pozostawia złudzeń: kręgi arystokratyczno-konserwatywne przez swój koniunkturalizm i zaufanie były współodpowiedzialne za utworzenie NSDAP drogi do władzy. ●



Cytaty Hansa von Lehnendorffa pochodzą z książki: „Hans von Lehnendorff, Wspomnienia z Prus Wschodnich”, tłum. M. Lobert, postowie R. Traba, Warszawa, która ukazała się właśnie nakładem Fundacji Ośrodka KARTA 2025.

BO ŻONA JEDYNNIE DO MĘŻA NALEŻY...

Światłe porady księdza katolickiego
Józefa Wilczka dla małżonków.

Wojciech Szot

Był rok 1879 gdy ksiądz Józef Wilczek poczuł, że jego ziemską drogą dobiega końca. Zdjęty ciężką chorobą 74-letni były dziekan wydziału teologicznego na Uniwersytecie Jagiellońskim miał tylko jedno marzenie: by przyszłe pokolenia zapamiętały go jako wybitnego i oryginalnego mówcę.

W tym celu niemal na łożu śmierci, przygotował wybór swoich „mów, przemów ślubnych, pogrzebowych i instalacyjnych”. Ich lektura to fascynujący zapis ówczesnych poglądów na małżeństwo i rolę kobiet. Ksiądz Wilczek nie uznawał bowiem konwenansów. A i epoka była taka, że ksiądz mógł mówić to, co myśli.

OBROTNY CHŁOPSKI SYN

Zanim zagłębimy się w meandry ślubnych przemów księdza Wilczka, poznamy ich autora. Na świat przyszedł w 1804 roku w chłopskiej rodzinie w Czarnym Dunajcu. Nie była to najbiedniejsza rodzina we wsi. Wujek młodego Józefa – Andrzej Szczurek – był wziętym prawnikiem, a kolejny wujek – również Józef – księdzem i proboszczem w jednym z pobliskich miasteczek. Nie było więc zaskoczeniem, że młody poszedł w jego ślady. Ukończył seminarium duchowne w pobliskim Tarnowie i przyjął święcenia kapłańskie.

Zapewne nie bez pomocy wujka 25-letni Wilczek został wikarym w katedrze tarnowskiej, w której to świątyni pracował piętnaście lat. Powołano go też na stanowisko wykładowcy teologii pastoralnej w tamtejszym seminarium duchownym.

Powodziło mu się dobrze, ale uwikłał się w jeden z największych na tamtych terenach konfliktów o ziemię.

NIEUCZCIWI SZCZURKOWSCY

Za czasów Rzeczypospolitej lasy wokół Czarnego Dunajca należały do króla. Po pierwszym rozbiórze austriacki rząd utworzył w Nowym Targu tzw. Prefekturę Kameralną, która zarządzała lasami. Wojny napoleońskie sprawiły jednak, że potrzebujące gotówki państwo postanowiło je sprzedać. Dobra – w 1819 roku – kupił hrabia Pajączkowski. Nabył jednak „kota w worku” – nigdy nie był w Czarnym Dunajcu i dopiero kiedy dokonał transakcji, odkrył, że nie ma tam ani jednego folwarku, rolnictwo jest prymitywne, a lasy... A lasy są, ale w trudno dostępnych górach. Szybko postanowił odsprzedać dobra.

Gdy dowiedzieli się o tym miejscowi chłopci, zrzucili się, by wykupić to, co od lat stanowiło o ich dobrobycie. Jednak nastąpiły komplikacje. Okazało się, że zgodnie z prawem chłopci nie mogli być właścicielami ziemi. Żeby ominąć prawo, jako kupującego podstawili księdza Józefa Szczurkowskiego. Ksiądz miał gwarantować chłopom, że będzie tylko tytularnym dziedzicem, a „dochody tego Państwa i wolność osobista” należeć będą do chłopów. Za swoją usługę miał otrzymać „przyzwoitą nagrodę”.

Ksiądz Szczurkowski chłopów oszukał dwukrotnie. Po raz pierwszy przy zakupie – umowa z Pajączkovskim opiewała na dwukrotnie wyższą sumę, niż umówiona i chłopci musieli dopłacić. Walka o tzw. Państwo Czarnodunajackie w sądach trwała przez 43 lata, a tymczasem lasy zmieniały „właścicieli” – po Józefie prawa do nich nabył Andrzej Szczurkowski, a potem hrabia Kajetan Borowski.

JAK WILCZEK WYROŁOWAŁ CHŁOPÓW

Jest rok 1835, gdy Andrzej i Józef Szczurkowsky zostają skazani na pięć lat więzienia za oszukiwanie chłopów. Borowski wciąż rości sobie do nich prawa, choć już wiadomo, że kupił coś, co nigdy nie powinno być na sprzedaż. I teraz na scenę wkracza



• Chłopka i chłop w strojach ludowych z Galicji i Bukowiny, ilustracja datowana na początek XX wieku. FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

nasz Józef Wilczek. Na mocy prawa dziedziczy ziemię po Szczurkowskich i przystępuje do sądowej walki z Borowskim. Chłopom znowu obiecuje, że jak wygra – odda im lasy. Proces z hrabią trwał do 1862 roku. Wtedy to zwyciężył Wilczek... zakazał chłopom korzystania z nich. „Lasy niszczył, sprzedawał drzewo do kuźnic w Zakopanem lub żydom na Orawę za pośrednictwem swych krewnych”, pisał historyk w początku XX wieku.

Górale wytoczyli księdzu sprawę, którą wygrali, a w 1865 roku ziemię przejęło austriackie państwo i oddało gminom.

Mimo kłopotów w Czarnym Dunajcu kariera księdza rozwijała się niezwykle dynamicznie. W 1857 roku został radcą sądu biskupiego w Tarnowie. W 1860 roku wykładowcą teologii pastoralnej i prawa kanonicznego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kilkakrotnie był wybierany dziekanem wydziału teologicznego. Był też radcą konsystorza biskupiego. W 1871 r. został proboszczem parafii św. Floriana w Krakowie. To jeden z najbardziej prestiżowych kościołów w mieście.

I choć przez lata spotykał się z kościelnymi hierarchiami, największą pasją księdza Wilczka było przemawianie do „zwykłych” ludzi.

KOBIETO, SŁUCHAJ I SIĘ STOSUJ

„Nie ujrzy w nich czytelnik wielkich ludzi, bo ci zazwyczaj z nekrologów, felietonów i toastów wyskakują”, pisze ksiądz Wilczek

w „Przedmowie” do wydanego w 1879 roku zbioru swoich przemów. Niemal połowę tomu zajmują najbardziej pasjonujące wystąpienia podczas ślubów.

Tyradę do młodej pary zaczyna zawsze od konwencjonalnych passusów o błogosławieństwie, „by potomstwo wasze w bojaźni bożej i wierze świętej było wychowane”*, ale szybko przechodzi do pouczeń. Skierowane są niemal wyłącznie w stronę kobiet.

To zadaniem kobiety jest „by duszę męża i dzieci swoich zbawiła, bo mąż choć najgorszy, jak uczy Paweł św., przez dobrą żonę bywa oszczęśliwiony”, słyszą Florian Kunz i Emilia Paulina Julianna Płońska, którzy w związku małżeńskim wchodzą w krakowski kościół Mariacki w lutym 1861 roku. Imię i nazwisko przyszłej małżonki pana Kunza nie trafiło do książki księdza. Znalazłem je w wypisach z ksiąg parafialnych.

„Mąż powinien kierować domem, a żona mu dopomagać i do męża się stosować. Będzie mąż wesóły i żona weselić się powinna. Będzie mąż smutny i żona się cieszyć nie powinna. Będzie mąż rozrzutny, ona powinna być wstrzemięźliwa. Będzie mąż zazdrosny, żona powinna unikać wszystkiego, coby do zazdrości pobudza. Bo żona jedynie do męża należy”, zapisał w jednej z mów. Zdaniem księdza Wilczka, jeśli żony dostosują się do męża na zasadzie mimikry, czeka je nagroda. To szczęście doczesne i życie wieczne.

Czasem ksiądz szedł jeszcze dalej i ogłaszał na przykład, że „mąż w rodzinie ma być

słońcem, bo jego światło powinno ogrzewać i oświecać całą rodzinę”.

MAŁŻEŃSTWO TAK! ALE JAKIE?

Ksiądz zwracał uwagę na to, by małżonkowie byli dobrze do siebie dobrani. Gdy małżeństwo jest niedobre, małżonkowie „mają piekło na ziemi”. Jak się ono objawia? „Żona zamiast męża ma szataną w domu, a mąż, mając złą żonę, zamiast żony w domu jędzę, furie”. Dlatego też nie wolno – mówi ksiądz Wilczek – nikogo, nawet niewiast przymuszać do małżeństwa.

Zadania w małżeństwie ksiądz Wilczek rozdzielał w prosty sposób. On miał być dobrym mężem, wyręczać ją w pracy, pielęgnować w chorobie i „starać się o jej potrzeby i dzieci”. Jej zaś zalecał uczyć dzieci pacierzy, nakazywał pobożność oraz pracowitość. I przyprowadzanie dzieci do kościoła. Ewa została stworzona z żebra Adama, a nie z głowy – zauważał ksiądz Wilczek – po to „by nie myślała, że jest panią męża”. Ale też – na szczęście dla kobiety – „nie z nogi”, bo wtedy mąż miałby ją za sługę. Stworzenie Ewy z żebra sprawia, że może być ona „towarzyszką i pomocą”.

Jedną z najważniejszych funkcji małżeństwa dla księdza Wilczka było zatrzymanie mężczyzny przy jednej kobiecie. Gdyby wolno było brać rozwody („z małżeństwa się rozłączać”), mężczyźni zmieniliby żony, gdyby trafiło im się „coś bogatszego, ładniejszego”, uważał.

Przestrzegał też ksiądz Wilczek przed kobietami próżnymi, które biegają „za strojami, przepychem, zabawami”. Taka to i długi robi i do upadku „familii” doprowadzi.

Inny jednak standard wyznaczał mężczyznom. Przecież „kto przewidzi wszystko”, wrzeszał ramionami i zamyślał się: „Mąż może być skąpym, upartym, gwałtownym, porywczym i innym wadom podległym”, dlatego żona powinna przygotować się, by „to wszystko znieść mogła, bo gdzież męża może znaleźć bez ale”.

Zaradność i cnotliwość żony może pokonać problemy, ale ważne by – nawet jeśli ma „większy talent od męża” – nie dawała mu tego odczuć, „by męża powagi nie nadwyręzać”. Jeśli się takowa dla męża poświęci, „życia nie będzie żałować”. Ciekawe, co myślała panna Drozdowska, wychodząca za pana Karczmarczyka słysząc te słowa.

Czy jest jednak coś, czego nie powinni robić mężczyźni? Zdecydowanie nie powinni żenić się z brzydkimi kobietami. „Kto się zaś ze szpetną kojarzy, ten przy końcu w domu nie wysiedzi, ale się na bezdroża puści”.

Najwyraźniej kobietom, które wyszły za szpetnych mężczyzn, bezdroża nie były pisane.

Szczególnym przestrachem napawał księdza Wilczka los nieślubnych dzieci. „O jakże dziecko nieszczęśliwe, bez małżeństwa spłodzone!”. Tu jednak nastąpiła nieco zaskakująca wolta. Otóż zdaniem księdza „rodzice nieślubni wstydzą się go, opuszczają go, nie przyznają się do niego”. Dziecko takie skazane jest nie powiewierkę, a „gdyby nie opieka dobrych ludzi, przed czasem by zmarło!”.

Rzeczywiście wielkim problemem – nie tylko – XIX wieku było to, że z powodu braku środków do życia, kobiety musiały oddawać nieślubne dzieci do przytułków, a nierzadko je po prostu mordowały. Jednak ksiądz Wilczek pokazuje nam coś, co przetrwało do dzisiaj – odium społeczne ciążyące nie na rodzicach, a na nieślubnym dziecku.

BIEDA TO WASZ WYBÓR

Bywało, że ksiądz był pod takim wrażeniem pana młodego, że pozwalał sobie na popisy oratorskie i pochwały godne barokowej poezji. Szczególny popis dał podczas ślubu niejakiego kapitana Wagnera z Marią Sołtyśkówną.

„Czcigodny Kapitanie! Przebyłeś burze walcząc za monarchę swego, jakich Europa prawie nie pamięta. A która kula? Który granat? Która bomba dosięgła głowy, ręki lub piersi twoich? Dzięki Najwyższemu ocalałeś!”, zachwycił się ksiądz kanonik.

Za to nie miał ksiądz Wilczek wyrozumiałości dla biednych.

W mowie „na ślub ubogich nowożeńców” wzdycha: „samiście się wybrali, samiście sobie ten stan obrali”. Bieda zdecydowanie jest dla krakowskiego kanonika wyborem.

Przestrzega jednak, by nie wzbogacać się za nadto, zwłaszcza kosztem Kościoła i pamiętać, że jeśli ubodzy nowożeńcy „uskładają sobie na potrzebne rzeczy”, a w sobotę lub niedzielę nie będą odpoczywać, to nawet przy najlepszym zdrowiu „zawsze będzie cierpieć będą”.

Nie mógł liczyć na hojną orację również ubogi wdowiec. „Mowa na ślub służącego wdowca” nie wspomina nawet o nazwisku Piotra jak i jego ukochanej Małgorzaty.

MIŁOŚĆ TO GORĄCZKA

Trudno powiedzieć ilu ślubów i ile mów ślubnych wygłosił ksiądz Wilczek, ale ten jeden na pewno zapadł mu w pamięć.

Był 12 listopada 1865 roku, gdy na ślubnym kobiercu stanęli pan Jędrzej Hordyński (31 l) i panna Matylda Hermann (24 l). „Ciemna”, o czym informuje ksiądz Wilczek już w tytule swoje mowy.

Niewidoma oblubienica była sporym zaskoczeniem dla księdza. Z mowy wynika, że nie był zwolennikiem tego małżeństwa i gdyby nie wiedział, że małżonkowie naprawdę się kochają, odmówiłby udzielenia im ślubu. „Ale miłość to gorączka”, zauważa ksiądz Wilczek. To nie jedyna przeszkoda – panna Matylda, córka kupca Karola i Zuzanny z Buchwitzów dopiero przed ślubem „przeszła na łono kościoła katolickiego”. Cieszy księdza fakt, że Bóg, choć zamknął Matyldzie „oczy ciała”, otworzył „oczy duszy”. Karolowi ksiądz Wilczek przykazuje, by był „ojcem i mężem”. „Bo widzisz, iż cię okiem cielesnem śledzić nie może”, zauważa.

Co ciekawe z tej konstatacji wyprowadza kolejną, która już ociera się o herezję. Otóż zdaniem wykładowcy teologii nawet na Sądzie Ostatecznym, gdy Bóg przywróci Matyldzie oczy, nie rozpozna ona swojego męża. Na szczęście pozostają jej „oczy duszy”, które pomogą odnaleźć ukochanego w zaświatach. Przyznać trzeba, że oryginalna to wizja.

Ciekawe jak odnalazłby się ksiądz Wilczek w 2026 roku. Może okazałoby się, że 160 lat po tym, jak „ciemna” Matylda wychodziła za Jędrzeja, dla wielu osób jego poglądy wcale nie wydawałyby się archaiczne? Pewne jest zaś, że w kwestii stosunku do lasów znalazłby sobie bardzo wielu popleczników.

Kanonik Wilczek doczekał swoich dni na plebanii przy kościele świętego Floriana, gdzie dzisiaj urzęduje były arcybiskup krakowski, Marek Jędraszewski. ●

* Ortografię i interpunkcję unowocześniłem, niekiedy też zastąpiłem archaiczne słowa współcześnie zrozumiałymi.

Źródło cytatów: ks. Józef Wilczek, „Mowy, przemowy ślubne, pogrzebowe, instalacyjne itp.”, wyd. drugie, Warszawa 1899. Historia sporu o „państwo czarnodunajskie” za: J. Górka, „Ks. Wojciech Blaszyński”, „Ks. Wojciech Blaszyński proboszcz w Sidzinie. Rys historyczny z dziejów dyecezyi tarnowskiej”, Tarnów 1914.

Antypolityka historyczna

Społeczeństwo spolaryzowane

Agresja słowna i mentalne wykluczenie przeciwników ze wspólnoty nie musi doprowadzić do przemocy. Ale może.

Janowski



Ciągle czytamy o polaryzacji społeczeństwa, doświadczamy jej zresztą na każdym kroku. Nie chodzi tylko o agresywność publicznych polemik, lecz o postawę, zatruwającą nie tylko politykę, lecz i życie codzienne. Nie ja jeden się zastanawiam – co strasznego stało się w Polsce, że społeczeństwo tak się podzieliło? A może właśnie – nic strasznego się nie stało?

Magdalena Micińska w swej świetnej książce o zdradzie narodowej w świadomości Polaków czasów zaborów („Zdrada, córka nocy”, Warszawa 1998), pokazała, jak zdradę taką zarzucali wszyscy wszystkim: „wzajemnie oskarżali się o nią ugodowcy i konspiratorzy, konserwatyści i demokraci, socjaliści i endecy” (s. 243). Jeśli zaś przejrzymy polemiki prasowe z czasów Drugiej Rzeczypospolitej: czy to nagonkę przed morderstwem prezydenta Narutowicza, czy coraz gwałtowniejsze polemiki z lat 30., to łatwo zauważymy, że emocjonalna temperatura jest – jeśli to możliwe – jeszcze wyższa niż przed odzyskaniem niepodległości. U wybitnego przedwojennego historyka Władysława Konopczyńskiego (w tomie jego publicystyki: „O wartość naszej spuścizny dziejowej”, Kraków 2009, s. 397) znalazłem zastanawiającą myśl: „Za to, że redaktor X wymownie broni polityki, którą ja uważam za dobrą, szanuję go, ale nie kocham; ale za to, że redaktor Y tę politykę zwalcza, czuję doń żywą niechęć”.

Przyznam, choć może to źle o mnie świadczy, że ze mną jest tak samo: bardziej mnie irytują teksty, z którymi się nie zgadzam, niż cieszą teksty, z którymi się zgadzam. Może to ponadczasowy mechanizm psychologiczny: negatywne emocje są silniejsze od pozytywnych? Może po prostu musimy się przyzwyczaić, że w każdym momencie dziejów Polski od czasów rozbiorów ktoś o kimś pisze: „Nie może być przebaczenia za to gdy ktoś w decydującej chwili nie myśli i nie czuje jak Polak”. To akurat słowa z 1904 roku, skierowane przeciw ugodowcom (zacytowane przez Micińską, s. 89), ale w zasadzie mógłby tak się wypowiedzieć każdy prze-

ciw każdemu, od początku XIX wieku do dziś (przy czym oczywiście autor podobnych słów zawsze czuje się uprawniony do wyrokowania, jak Polak powinien myśleć i czuć).

Ale rzecz jest, jak zwykle, bardziej skomplikowana. Widziałem kiedyś graficzny schemat wzrostu polaryzacji w Stanach Zjednoczonych. Były dwa kółka, przedstawiające Republikanów i Demokratów. Między jednym a drugim biegły strzałki w obie strony, ukazujące, ilu ludzi głosujących na jedną partię czyta gazety i książki, czy ogląda programy telewizyjne, przedstawiające stanowisko drugiej partii. Na diagramie ukazującym lata 90. XX wieku tych strzałek było jeszcze dość dużo, na pokazującym drugą dekadę naszego stulecia – niewiele, a dziś byłoby ich jeszcze mniej. Ludzie zamykają się w „bańkach”.

Kiedyś „The Economist” pisał o przemianie brytyjskiego systemu politycznego: w XIX i XX wieku system dwupartyjny wycinał skrajności, a premiował umiar. W polityce liczyły się dwie duże partie, centroprawicowa (Torysi) i centrolewicowa (w XIX wieku liberałowie, w XX – labourzyści); każdy, kto miał ambicję kariery politycznej, musiał więc działać w ramach jednej z nich, a co za tym idzie – musiał miarkować swój radykalizm i przystosować się do dominujących postaw centrowych. Ten system z jakichś powodów załamał się w początku XXI wieku i teraz działa odwrotnie: każdy musi być jak najbardziej radykalny, aby pobić swym radykalizmem innych. Tak więc polaryzacja, choć istniała zawsze, nie jest constans. Pulsuje: wzmacnia się lub słabnie. Nie sądzę, aby obecnie w Polsce była w swej pozycji szczytowej; w latach 30. stopień wzajemnej agresji i zerwania kontaktów między zwolennikami różnych poglądów politycznych był chyba wyższy niż dziś. Inna sprawa, że teraz jesteśmy ewidentnie na linii wznoszącej: wszystko jeszcze przed nami.

Z tego, że rytm polaryzacji w ciągu dziejów pulsuje, nie płynie niestety żadna nauka na przyszłość – a jeśli, to bardzo luźna. Polaryzacja, agresja słowna i mentalne wykluczenie przeciwników ze wspólnoty nie musi koniecznie doprowadzić do przemocy, indywidualnej lub masowej – ale może. Jakie czynniki sprawiają, że przemoc werbalna zmienia się w fizyczną, a jakie sprzyjają załagodzeniu sporów – nie wiem. Na szczęście, jestem tylko felietonistą; nie muszę nikomu dawać rad. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

weekendówka
190

ZEBRASTYCZNIE!

„Nic dwa razy się nie zdarza (...)
Żaden dzień się nie powtórzy
Nie ma dwóch tych podobnych nocy
Dwóch tych samych pocałunków
Dwóch jednakich spojrzeń w oczy”

– przekonywały dwie niezwykle kobiety; Wisława Szymborska, która napisała wiersz najpewniej około roku 1955 oraz Kora, autorka najslawniejszej bodaj muzycznej interpretacji tego tekstu, dokonanej w latach 90.

Wiele jeszcze rzeczy jest niepowtarzalnych. Wiadomo, nie znajdziecie dwóch identycznych płatków śniegu, nie powtarzają się linie papierne, absolutnie unikatowy jest też wzór na tęczę oka. Słaje drzew, liście (nawet na tym samym drzewie!), układ naczyń krwionośnych, układ fałdów kory mózgowej i rzecz jasna DNA (dotyczy to nawet bliźniąt jednojajowych).

Niepowtarzalny jest też układ pasków u zebra. Innymi słowy, parafrazując piękny poemat: nie ma dwóch jednakich zebra. Te paski zresztą, które zebry wszak rozslawiają na świecie, mają bardzo konkretne zadania. Po pierwsze odstraszać muchy tse-tse i inne nefajne latające insekty, które mogłyby pasiastym ssakom zaszkodzić – bo przenoszą rozmaite choroby, nie mówiąc już o tym, że ukąszenia są bolesne – na takich paskowanych powierzchniach siadają mniej chętnie.

Czarno-białe paski służą też jako kamuflaż, ale w tym przypadku specyficzny. Otóż ze zbitego w gromadę stada zebra, które tworzy istną plataninę czarno-białych pasków trudno jest wyselekcjonować jednego osobnika, na którego można by zapolować. Drapieżnik, który akurat ma ochotę na zebra, lew czy inszy lampart, widzi tylko mamiące wzrok pasiaste wzory, dostaje oczopląsu i cóż – ochota na zebra skutecznego mu przechodzi.

Jako że układ pasków na zebrawach nigdy się nie powtarza, ułatwia to rozpoznanie osobników – matka szybciej odnajdzie w stadzie swoje młode wiedząc, w co się tamto „ubrało”.

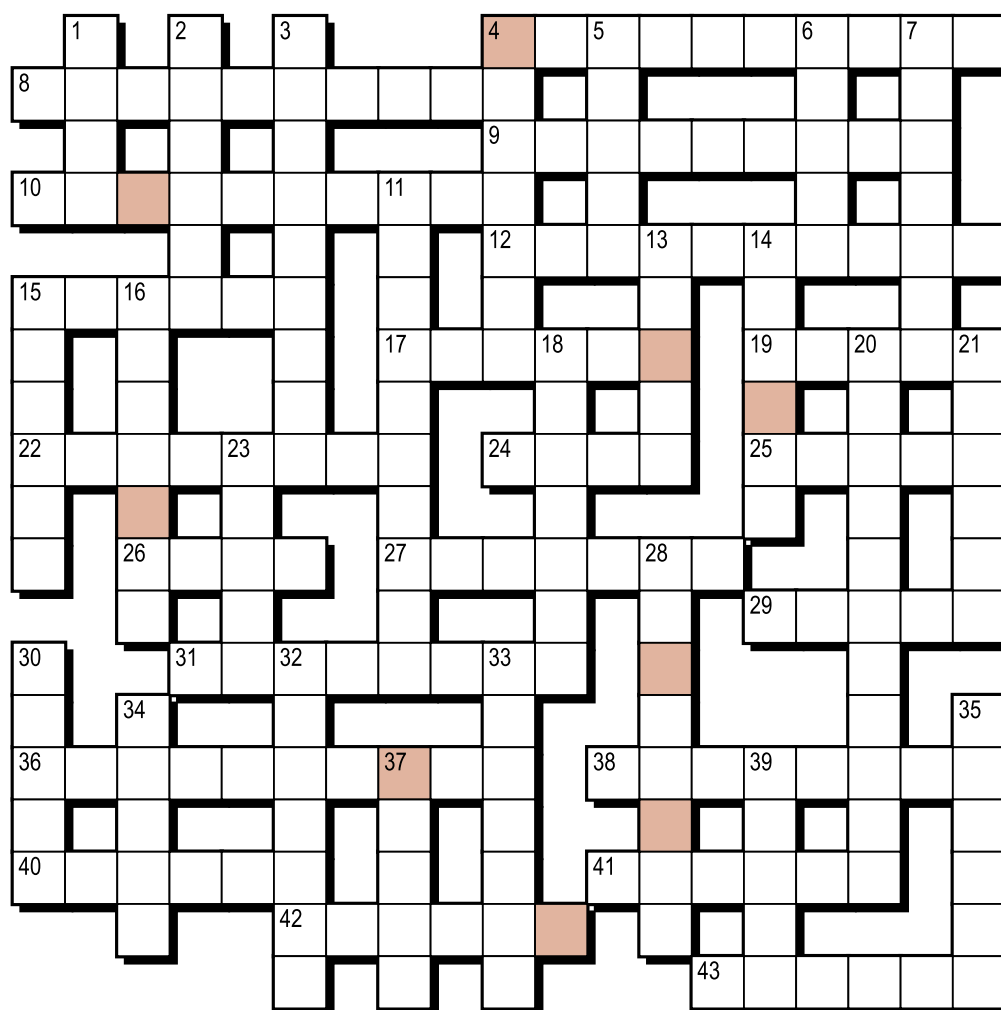
Kolor czarny pochłania ciepło, zaś biały – odbija. Unikatowe umaszczenie zebra pomaga im więc regulować temperaturę ciała.

Niezwykle rzadko bywa też, że zebra nie ma pasków czarno-białych, a kremowo-beżowe, czy nawet złotawe. To efekt zmniejszonej produkcji pigmentu zwanego melanim.

Zebry – uwaga – większość życia spędzają na... jedzeniu. Są roślinożerne, trawy, które jedzą, zwykle nie mają wielkiej wartości odżywczej, dlatego muszą jeść sporo. Zatem czynności jezdniowe zabierają im nawet do 18 godzin dziennie! Przez niemal cały dzień zebra skubie więc trawę.

Rozprawiamy tak o tych fascynujących zwierzętach, bo dziś właśnie, 31 stycznia przypada Międzynarodowy Dzień Zebra. I z tej okazji dzisiejsza „Weekendówka” będzie cała w paski. A wszystkim zebrom – najlepszości! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



PASY I PASKI
Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** pisane przez Jana Chryzostoma Paskę
8) mieszkanka miasta kojarzącego się z pasiastymi strojami ludowymi
9) metalowy element paska
10) jeden z serwisów informacyjnych
12) flaga ich kraju to potocznie Stars and
15) czarny pas ..., symbol mistrzostwa
17) marka obuwia i strojów sportowych (trzy paski)
19) przypasany do boku wojownika
22) długie wąskie pasy łądu odcinające zatoki od morza

- 24)** ... za pasem (idą mrozy, śniegi)
25) z pasami do przypinania i transportu rannych
26) ich wygląd poprawią paski wybielające
27) duże drapieżne ssaki z czarnymi pręgami
29) barwa górnego pasa niemieckiej flagi
31) kobieta zajmująca się spekulacjami
36) pataki na skórzanych pasach po obu stronach siodła
38) krótkonogie ropuchy występujące w Europie
40) z naszytym bantem (wąskim pasem płótna)
41) „Chłopiec w pasiastej ...”, film Marka Hermana (wpisujemy w mianownik)
42) „pas ruchu” planety
43) rzemieślnik wyrabiający skórzane paski, uprząże, siodła

Pionowo:

- 1)** wziąć ... za pas, czyli czmychnąć
2) na wysokości pasa
3) pasy wykonane z grubej skóry
4) ubrania więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych
5) Bałtyckie –
6) ... własna, np. hasło będące rozwiązaniem tej krzyżówki
7) skróci patkę
11) z czerwonym paskiem – dla najlepszych uczniów
13) pęknięcie, szczelina w skale, murze
14) szata gejszy przepasywana szarfą
15) metalowy element paska
18) pasowani
19) niejedna w pasku
20) droga z pasami szybkiego ruchu
21) jej pas może oddzielać

Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 189 z 24.01:

Poziomo:

- 7) Rozmowy kontrolowane
10) domofon 11) koperta
12) data 14) hasło 16) Borys
19) zlepek 20) ekrany
21) cyberatak 23) radio
25) złodziej 28) obroty
30) abrakadabra 33) naukowiec
36) wywiad 37) Enigma
39) zamek 40) czarna magia
41) matematyk.

Pionowo:

- 1) Kod da Vinci 2) logowanie
3) znaki 4) kryptografia
5) alarmy 6) zwiad 8) konto
9) escape-roomy 13) abecadło
15) łamacz 17) szyfr
18) dekoder 22) Batman
24) włamywacz 26) jolka
27) zagadka 29) równania
31) Abwera 32) anagram
34) cykl 35) świat 38) atut.

Hasło: ZAGMATWANE DANE

jezdnie w mieście
23) pasy na jezdni
28) walizki – rzemykiem, sznurkiem lub paskiem
30) kryte przejście między budynkami
32) kotuje na pas startowy
33) ozdobne paski materiału
34) czarne – na sierści żbika
35) „Śmierć pułkownika” Adama Mickiewicza („Kazał przynieść swój mundur strzelecki, swój kordelas i pas, i ładunki”)
37) pierwsza ... liczby pojedynczej czasownika „pasać” – pasam
39) barwią paski lakmusowe na czerwono

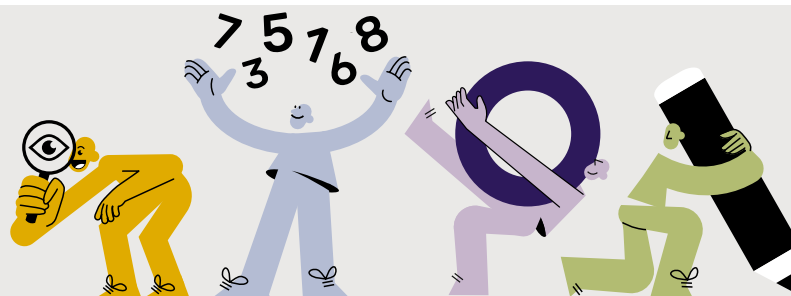
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414082

Literówka • Quizy
Sudoku • Krzyżówki

Szukaj  w  APLIKACJI
WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację



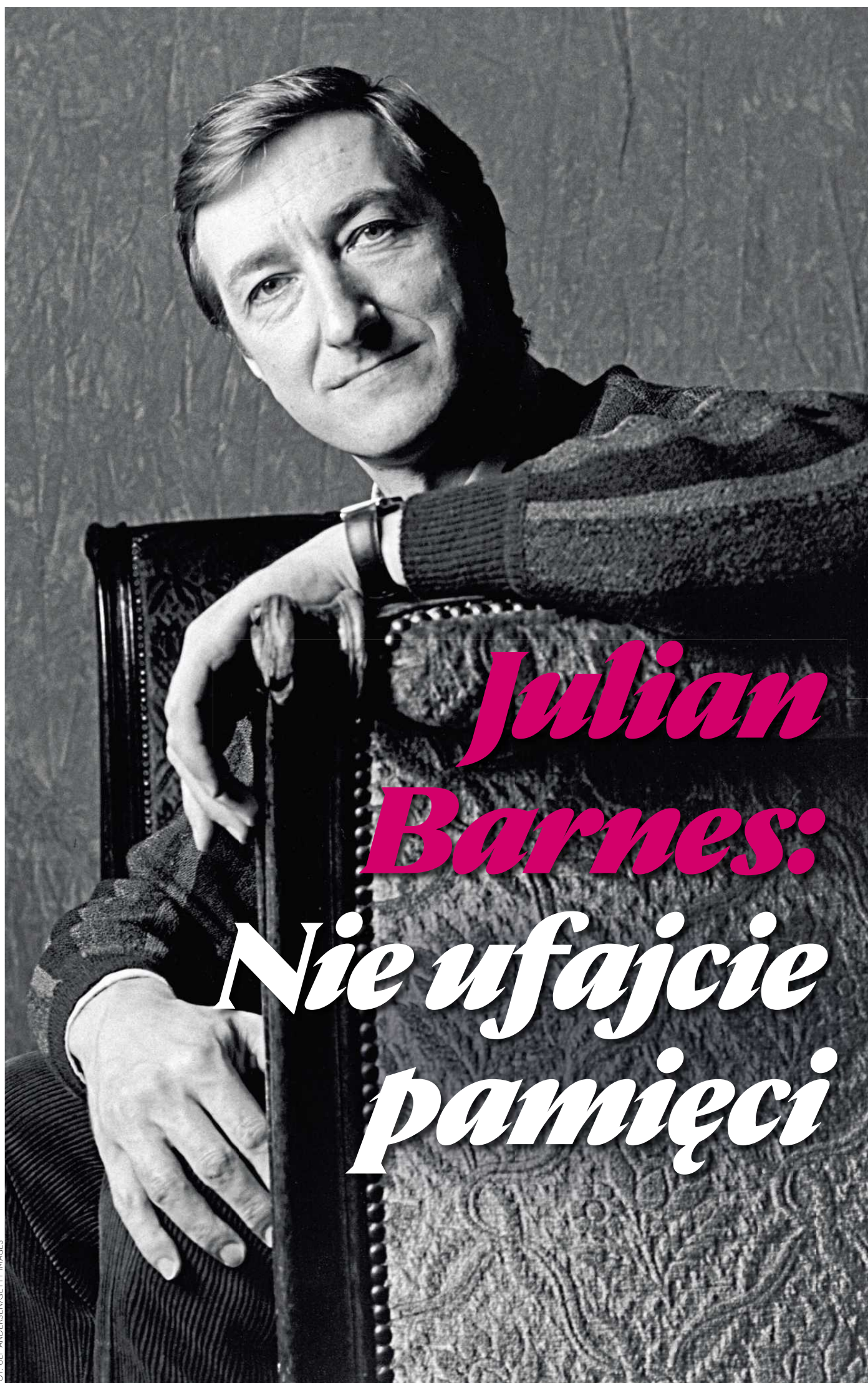
książki

Redaktorzy prowadzący: Łukasz Grzymisławski, Juliusz Kurkiewicz



**NOWY NUMER
KSIĄŻEK
W SPRZEDAŻY:**

- LE GUIN I SZTUKA
TWORZENIA ŚWIATÓW
- MISTRZ DENIS
JOHNSON
- ANDRZEJ DRAGANO O AI:
ZMIENI WSZYSTKO



Julian Barnes: Nie ufajcie pamięci

Te historie z naszego życia, które opowiadamy najczęściej, są prawdopodobnie najmniej wiarygodne, ponieważ za każdym razem nieznacznie je modyfikujemy.

Oczywiście w każdej nowej wersji prezentujemy się w nich lepiej.

Z JULIANEM BARNESEM
ROZMAWIAJĄ
RAFA DE MIGUEL (EL PAIS),
RAFFAELLA DE SANTIS
(LA REPUBBLICA)

Swoje 80. urodziny Julian Barnes uczcił premierą nowej książki. Ale zapowiedział, że jest to zarazem jego ostatnia. Zgodnie z tytułem, „Departure(s)”, to właściwie wiele pożegnań, nie tylko z pisarstwem. Można by oczekiwać smutnego tonu – ale nic z tych rzeczy. W końcu Barnes, najbardziej francuski spośród angielskich pisarzy, jest obdarzony humorem oświeceniowego pamfletysty, dla którego nic nie jest straszne. Zachowuje elegancki dystans nawet gdy rozmowa dotyczy jego śmiertelnej choroby.

Jego czternaście powieści przetłumaczono na 50 języków. Jedną z nich, „Poczucie kresu”, przyniosła mu Nagrodę Bookera. W najnowszej powraca do hybrydowego stylu, z którego zasłynął m.in. w słynnej „Papudze Flauberta”, łącząc fikcję z literaturą faktu, wyobrażenie z erudycją. Ponownie bawi się też pułapkami pamięci. Bohaterami „Departure(s)” są Stephen i Jean, ludzie próbujący po upływie pół wieku odzyskać swoją wyidealizowaną miłość z czasów studenckich.

Ściany gabinetu w jego domu pokryte są fotografiami ludzi, którzy mieli wpływ na jego twórczość: Flaubert, Czechow, Larkin, Szostakowicz. Pośrodku stoi piękny stół bilardowy z lat 30. Barnes już nie gra, przez kontuzję barku. Dlatego na zielonym suknie piętrzą się książki. Jest jeszcze stara elektryczna maszyna do pisania IBM 196c (Barnes z figlarnym uśmiechem uderza w klawisze: „Proszę posłuchać, jaki piękny dźwięk, działa idealnie”).

pożegnanie z bronią

Czy ogłoszenie, że to ostatnia powieść, to błąd?

– Nie, więcej nie będzie. Nie przestanę jednak pisać. Będą teksty dla gazet, eseje i tym podobne rzeczy. Pomysł „powieści ostatniej” zaczął kielkować, gdy przekroczyłem siedemdziesiątkę. Pomyślałem sobie: będę czytelował tę swoją ostatnią artystyczną wypowiedź, ale pewnego dnia nagle umrę i guzik z tego będzie. Postanowiłem więc napisać ją od razu i schować do szuflady, mieć to z głowy. Ale w trakcie pisania doszedłem do wniosku, że to naprawdę musi być moja ostatnia książka. Zacząłem przeglądać wszystkie moje notatniki z pomysłami na przyszłe powieści. Były to propozycje aktualne z pięć lub dziesięć lat temu. Żadna z nich nie musiała być napisana właśnie teraz, nie mówiąc o tym, że nie musi być napisana w ogóle. I nagle zdałem sobie sprawę, że już nie ma dla mnie znaczenia, czy opublikuję jeszcze coś więcej.

Gabriel García Márquez mawiał pod koniec życia, że ma nadal wystarczająco dużo pomysłów, aby publikować jedną powieść rocznie, ale czytelnicy już czują, że to nie pochodzi z głębi serca.

– Dobrze rozumiem tę obawę. W miarę jak się starzejemy, coraz bardziej boimy się powtarzalności i utraty doniosłości własnych działań. I słusznie: niby robimy to samo, ale już nie tak dobrze, jak kiedyś. Kiedy zacząłem pracować jako krytyk literacki, widziałem tych starszych facetów, którzy pisali swoje autobiografie i rozciągali je na cztery, pięć, sześć tomów. Myślałem wtedy: „Nie chcę nigdy znaleźć się w tym miejscu”. W tym miesiącu skończyłem 80 lat, czy znamy kogoś, kto napisał dobrą książkę w tym wieku? Może Tolstoj, ale były to raczej pamflety, publicystyka.

Zresztą, zdiagnozowano u mnie rzadki wariant białaczki. W Wielkiej Brytanii jest około pięciuset takich przypadków rocznie. Nie da się tego wyleczyć, ale można utrzymywać pod kontrolą. Co trzy miesiące pobierają mi krew, nawet pół litra. Któregoś razu zapytałem, co z nią potem robią. Odparli, że wylewają. Może powinienem ją sprzedawać – a nuż jakiś czytelnik byłby szczęśliwy, mogąc umieścić parę kropeł mojej krwi na kominku...

Nadal odrzuca pan jakąkolwiek pociechę religijną?

– Przychodzimy znikąd i wracamy donikąd. Kosmos w ogóle się nami nie interesuje. Jasne, temu, kto nie wierzy w Boga, trudniej jest mierzyć się ze starością i chorobą, bo nie może się oprzeć na nadziei, że po śmierci czeka nowe życie.

Choroba, entropia to po prostu sposób, w jaki działa kosmos. Kiedy chorujemy, lubimy myśleć, że jest w tym jakiś sens, jakaś logika. Czasem tak jest, jeśli palisz sto papierosów dziennie, całkiem prawdopodobne, że twój rak gardła jest logiczną konsekwencją palenia. Ale często nie ma żadnej przyczyny. Traktujemy chorobę jako osobisty afront, a tymczasem to się dzieje bez planu. Ludzie postrzegają raka jak wroga, nadają mu nawet imiona – Trump czy Putin – żeby walczyć z nim z większą determinacją. Ale w większości przypadków nastawienie pacjenta nie ma wpływu na efekt terapii. Wiele badań pokazało, że nie ma znaczenia, czy jesteśmy optymistami czy pesymistami.

Prawie 50 lat temu Susan Sontag ostrzegała przed używaniem choroby jako metafory. Ale my i tak cały czas odwołujemy się do porównań wojennych.

– Często w nekrologach pisze się: „Zmarł po długiej walce z rakiem”. Powinno się raczej pisać: „Zmarł po tym, jak przez długi czas walczył z nim rak”.

W powieści powraca pan do swojej obsesji: pamięci, „słabego przewodnika po przeszłości”, jak pan to ujmie. Nie ufa pan wspomnieniom.

– Kiedy pracowałem nad „Nie ma się czego bać”, książką o rodzinie i śmierci, napisałem do mojego brata. Jest filozofem i jest trzy lata starszy ode mnie. Poinformowałem go, że zamierzam pisać o naszej rodzinie, w tym i o nim, i zapytałem, czy ma coś przeciwko. Odpowiedział, że absolutnie nie. I że nawet jeśli moje wspomnienia nie pokrywają się z jego, to jednak niech użyję swoich, bo prawdopodobnie są lepsze. Uznałem to za niezwykle hojny gest, zwłaszcza jak na mojego brata. Jednak od tego czasu coraz bardziej interesuję się mechanizmami pamięci, może faktycznie jest to wręcz obsesja. Nawet jeśli uważamy wspomnienia za nasz nietykalny skarb,



FOT. WIKIMEDIA COMMONS



Zacząłem przeglądać moje notatniki z pomysłami na powieści. Były to propozycje aktualne z pięć lub dziesięć lat temu. Żadna z nich nie musiała być napisana właśnie teraz, nie mówiąc o tym, że nie musi być napisana w ogóle. I nagle zdałem sobie sprawę, że już nie ma dla mnie znaczenia, czy opublikuję jeszcze coś więcej

czas je nadkrusza, deformuje. Ponadto pamięć jest czymś bliższym wyobraźni niż precyzyjnemu intelektualnemu odtworzeniu przeszłości. Na tym polega paradoks: te historie z naszego życia, które opowiadamy najczęściej, są prawdopodobnie najmniej wiarygodne, ponieważ za każdym razem nieznacznie je modyfikujemy. Oczywiście w każdej nowej wersji prezentujemy się w nich coraz lepiej.

Z tym że alternatywa byłaby nie do zniesienia. Gdyby mózg przechowywał i „oddawał” nam wszystko, co się nam przydarzyło, w skali jeden do jednego, oszałelibyśmy.

W książce podaje pan przykład człowieka z tragikomiczną przypadłością: pamięta wszystkie ciasta, które zjadł w ciągu swojego życia.

– Przydarzyło się tu pewnemu 45-latkowi z powikłaniami po udarze. Przeczytałem o nim w czasopiśmie poświęconym neurologii klinicznej. Ale nie spodzianki czekają nie tylko ludzi po udarze. Z upływem czasu zapomina się różne rzeczy i odbywa się to

w sposób niemający wiele wspólnego z logiką. Zapomina się nie tylko to, co nieistotne, ale też imiona bliskich, słowa codziennego użytku. Niedawno podczas rozmowy z neurologiem uświadomiłem sobie, że nie pamiętam słowa „neurolog”. Na szczęście uczymy się drobnych sztuczek, żeby dokopać się do wspomnień za pośrednictwem innych myśli.

Jedna z postaci w książce, Jean, zarzuca narratorowi, niejakiemu Julianowi Barnesowi, że jego literatura bezwstydnie miesza prawdę z fikcją. Odpowiedź brzmi „Nie obchodzi mnie, że nie lubisz moich książek, ale mylisz się, jeśli uważasz, że nie wiem dokładnie, co robię, kiedy je piszę”.

– Pierwszą hybrydową książką, jaką napisałem, była „Papuga Flauberta”. Jeszcze dalej posunąłem się w „Historii świata w dziesięciu i pół rozdziałach”, która zawiera wszystko: oczywiście „prawdziwą” historię, w tym zawłaszcza sztuki, fikcję, literaturę faktu, autobiografię... Niektóre z moich książek są bardziej konwencjonalne, inne mniej. A Jean jest takim typem, po którym należy się spodziewać najgorszego.

Podąża pan za zasadą swojego mistrza Flauberta, który twierdził, że styl powinien wynikać z tematu.

– Nie potrafię pisać inaczej, wyjść poza swój rozpoznany rejestr. I prawdopodobnie mój ton jest bardzo podobny we wszystkich książkach. Stałe proporcje humoru i powagi, i tego typu rzeczy. Ale to prawda, że w sensie, w jakim mówi Flaubert, temat, który się podejmuje, kontroluje styl. Weźmy „Jeżozwierza”, w którym opisałem schyłek pewnego państwa w bloku sowieckim – to jest ujęte celowo w bardzo rzeczowy sposób. Prosty zapis wydarzeń, zero fajerwerków. Do opowiedzenia tragicznej historii nie są potrzebne żadne sztuczki. Ale nie jest to odkrycie, które przychodzi podczas pisania, to raczej wynika z jakiegoś poziomu podświadomości.

Martin Amis, Christopher Hitchens, Salman Rushdie, Ian McEwan, pan – dlaczego pojawiło się to wspaniałe pokolenie, które odnowiło brytyjską literaturę?

– Mieliśmy szczęście, że całe społeczeństwo się szybko zmieniało. W poprzednim świecie, aby zostać znanym pisarzem, trzeba było być nie tylko mężczyzną, ale spodziewać się sukcesu dopiero w wieku 40, 50 lub 60 lat. W naszym przypadku pojawiło się nas



Moja ulubiona powieściowa scena
rozgrywa się w drugiej części „Don
Kichota”. Bohater przebywa z Sancho
Pansą w gospodzie i słyszy, jak przy innym
stole grupa ludzi dyskutuje o... pierwszej
części „Don Kichota”. Co to było? Zwiastun
postmodernizmu? Autoreferencja?
Przecież to zostało napisane w 1615 roku!

Polski przekład no-
wej powieści Ju-
liana Barnesa uka-
że się w czerwcu
nakładem Świata
Książki

mier Keir Starmer jest porządnym człowiekiem, ale nie jest charyzmatycznym politykiem. Ogranicza się do proponowania niewielkich korekt w regulach handlu z UE. Nie chce robić nic, co mogłoby wyglądać na radykalną zmianę. Wielka Brytania długo lubiła myśleć o sobie jako o pomoście między Europą a Stanami Zjednoczonymi. Wszystko to uległo całkowitemu załamaniu. Trump i jego ludzie mają nas gdzieś. W rzeczywistości pogardzają Europą. Już samo to powinno zachęcić wszystkich w Europie do zbliżenia się do siebie i działania razem.

Ale jeszcze nie tak dawno, po ataku na WTC, pana przyjaciel Christopher Hitchens dał się uwieść urokowi amerykańskich neokonserwatystów.

Hitchens w młodości był lewakiem. Wiem, bo pracowaliśmy razem w magazynie „The New Statesman”. Ale przede wszystkim zawsze uważał, że Wielka Brytania to dla niego zbyt mała scena. Uwielbiał liberalny nurt myślenia w Stanach Zjednoczonych (jak tam nazywają postępowość). Uwielbiali go studenci. Był najlepszym polemistą, jakiego znałem. Miał niesamowitą pamięć, na którą, co ciekawe, nie miało wpływu ogromne spożycie alkoholu. Nie chodzi o to, że koniunkturalnie przeskoczył z lewicy na prawicę, jak wielu innych. Jego zauroczyła potęga i sprawczość Stanów Zjednoczonych. Ale kiedy wybuchła wojna w Iraku, doszło do kulminacyjnego punktu: chociaż wiedział tak wiele o tych wszystkich miejscach, o których Amerykanie nie mieli prawie żadnej wiedzy, ostatecznie gorąco poparł tę wojnę, która moim zdaniem była strasznym błędem.

Pan natomiast, o raczej umiarkowanych poglądach i bez zacięcia politycznego, z wiekiem stał się bardziej lewicowy.

Nie, to centrum przesunęło się znacznie w prawo. Propozycje, które dla mnie są bardzo skromne i powściągliwe – takie jak to, że linie kolejowe powinny być własnością publiczną, podobnie jak dostawcy wody lub prądu – stały się nagle ideami bardzo zbliżonymi do radykalnej lewicy.

Jest pan nazywany najbardziej francuskim pisarzem angielskim, w samej Francji jest pan zresztą uwielbiany...

Mieszkam w tym domu w Londynie od 43 lat, czuję się przede wszystkim Anglikiem, potem Europejczykiem, a Brytyjczykiem na końcu. Bycie Brytyjczykiem wiąże się z imperium, koroną, z tym megalomańsko zniekształconym obrazem naszej historii. Bycie Anglikiem jest mniej aroganckie, spokojniejsze, bardziej przyzwoite. Obawiam się jednak, że nawet tą część mojej tożsamości odbierają mi teraz tacy ludzie jak Farage. Zasadniczo, według nich, bycie Anglikiem polega na pozbyciu się z kraju wszystkich nie-Anglików. Często bywam teraz w szpitalach, a biała angielska kadra stanowi tam niewielką część personelu. I co zrobimy, gdy wyrzucimy wszystkich nie dość angielskich?

W „Departure(s)” pisze pan ciepło o Martinie Amisie, mimo że wasza przyjaźń zakończyła się gwałtownie z powodu zerwania przez niego współpracy z agentką literacką Pat Kavanagh, która była pana żoną.

Mieliśmy bardzo poważną kłótnię. Kiedy ktoś cię krzywdzi, z czasem możesz mu wybaczyć. Ale jeśli krzywdzi osobę, którą kochasz, i zachowuje się wobec

wielu jednocześnie, byliśmy interesujący i znacznie młodszy. Pomogła również kampania pod hasłem „Best of Young British Novelists”, w ramach której w magazynie „Granta” opublikowano zbiorowy portret aż osiemnastu z nas. Od tego momentu literatura piękna zaczęła nagle schodzić z koturnu i stawać się czymś seksownym, odpowiadającym duchowi czasu. Na tej liście znaleźli się Salman Rushdie, Buchi Emecheta, Shiva Naipaul i Kazuo Ishiguro – nie była to stara dobra szkoła białych absolwentów Eton. Ponadto wydawcy zareagowali na to zjawisko, płacąc nam nagle więcej pieniędzy.

Nie pochodzi pan, jak na przykład Amis, z rodziny o literackich tradycjach. Od zawsze wiedział pan, czym chce się zajmować?

Moje aspiracje w oczach mojej rodziny były dziwactwem. Jedynym opublikowanym dziełem w jej historii był list mojej matki wysłany do gazety. Gdy go wydrukowali, matka go wycięła, oprawiła i umieściła nad kominkiem.

Ja chciałem być najpierw dobrym, ważnym czytelnikiem. Nie dzieliłem jednak powszechnej w moim pokoleniu pewności siebie, przekonania, że świat należy do nas. Dopiero dziennikarstwo mi ją dało, ta świadomość, że nazajutrz tysiące ludzi czyta to, co napisałem poprzedniego dnia. Dlatego zresztą nadal zajmuję się pisaniem dla prasy. W przypadku powieści trzeba czasem czekać rok, aby uzyskać pierwsze reakcje. A przecież do tego czasu już prawie można zapamiętać, co się w niej właściwie napisało.

Swoją pierwszą powieść pisałem prawie siedem lat. Może dlatego, że do trzydziestki jest czas, żeby przeczytać wszystkie arcydzieła z przeszłości, człowiek wtedy zastanawia się, co jeszcze może wnieść nowego do tego ogromnego korpusu wielkiej literatury. Żeby w ogóle zacząć, trzeba nieco oderwać się od świadomości, że przed tobą było tak wielu geniuszy.

V.S. Naipaul najpierw stwierdził, że powieść jako gatunek literacki to temat wyczerpany. Po czym całkowicie poświęcił się jej uprawianiu – i zdobył Nobla. Dziś powieść nadal ma się dobrze?

Tak sądzę. Literatura ma przewagę nad innymi sztukami, które rozwijają się zazwyczaj linearnie, to znaczy jeden nurt następuje po poprzednim w sposób bardzo progresywny. Literacka fikcja nie działa w ten sposób. Jest jakby poza czasem i historią. Jedną z moich ulubionych powieściowych scen rozgrywa się w drugiej części „Don Kichota”. Bohater przebywa z Sancho Pansą w gospodzie i słyszy, jak przy innym stole grupa ludzi dyskutuje o... pierwszej części „Don Kichota”. Co to było? Zwiastun postmodernizmu? Autoreferencja? To są nowoczesne terminy, których namiętnie używa się dziś na uczelniach – a to przecież zostało napisane w 1615 roku! Nigdy nie myślę o pisarzach z przeszłości jako o postaciach z muzeum. Wyobrażam sobie raczej ogromny stół, przy którym wszyscy siedzimy, niektórzy na mniejszych krzesłach niż inni. Nad tym stołem rozlega się wielki zgielk, krzyżowa dyskusja, nieskończony dialog. Dzięki temu powieść jako gatunek jest żywa, a karmi ją nasza relacja z pisarzami z przeszłości.

Niektórzy, jak Irlandczyk John Banville, ubolewają, że obecnie białemu autorowi coraz trudniej jest opublikować książkę lub zdobyć ważną nagrodę.

Nonsens. Dywersyfikacja pomaga literaturze białych mężczyzn nie stać się autokratycznym skansenem. Nawiasem mówiąc, moje ulubione powieści XIX-wiecznej Anglii zostały napisane przez kobiety, to „Miasteczko Middlemarch” George Eliot czy „Perswazje” Jane Austen. A z powojennych brytyjskich pisarzy najbardziej lubię Penelope Fitzgerald.

Ma pan na koncie kilka esejów, np. „Mężczyzna w czerwonym płaszczu”, które można uznać za wzorcowy wyraz nostalgii za taką kulturą Europy, której nieodzowną częścią była Anglia. Co czeka Wielką Brytanię dekadę po referendum, które przesądziło o brexicie?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Wszystkie sondaże opinii publicznej odzwierciedlają ogólne przekonanie, że brexit to katastrofa. Z pewnością jest nią pod względem gospodarczym. Ale katastrofą jest również to, że żadna partia nie ma odwagi otwarcie postulować konieczności powrotu do UE. Wszyscy się boją. Boją się Nigela Farage’a i jego skrajnie populistycznej partii, wcześniej bali się przeprowadzenia kolejnego referendum i ponownej porażki. Brakuje energii, nie ma nawet bezpośredniego dialogu w tej sprawie. Pre-

niej w sposób nieuczciwy, jest to niewybaczalne. Pat mu wybaczyła. Bardzo szybko, ponieważ będąc w tej branży była przyzwyczajona do tego, że pisarze są samolubni. Ale ja nie mogłem. Martin nie potrafił tego zrozumieć, co jeszcze bardziej mnie irytowało. Próbował mi wyjaśnić, że to sytuacja jak z Kościołem i państwem – funkcjonują oddzielnie. I że fakt, iż publicznie wyrządził mojej żonie zawodową krzywdę, był po prostu częścią biznesu. Otóż nie był.

Jednak w ostatnich latach jego życia spotkaliśmy się kilka razy. Bardzo mi było przykro z powodu jego choroby, która była straszna. Napisałem o nim w mojej ostatniej książce, ale nie opisałem całej historii. Chciałem dać znać, że umierając wysłał mi serdeczną wiadomość. A ja ostatnio straciłem tak wielu przyjaciół.

W książce zabawia się pan wymyślaniem ostatnich zdań, które mógłby zostawić potomnym.

Bez wątpienia najlepszym byłoby: „Jestem w pociągu”. Wyznam, że wyobrażam sobie, iż tuż przed odejściem wypowiem właśnie to zdanie z Prospera Mérimée’go: „Jestem w pociągu”. Mérimée twierdził, że myśl, iż jest się na torze prowadzącym w przepaść, jest bolesna, ale jednocześnie pocieszająca, ponieważ uwalnia od wszelkiej odpowiedzialności. Wyobrażam sobie jednak, że wszyscy pomyśleliby: Barnes oszalał – umiera, a gada o pociągach.

Nie wiemy, jak bardzo źle zostaniemy zrozumiani w naszych chwilach ostatnich. Więc może spróbujmy zorganizować wywiad na zoomie, gdy już będę na łożu śmierci?

Pisze pan, że nigdy nie wierzył w spokojną starość.

Stwierdziłem to już dawno, gdy miałem 60 lat i pisałem „Cytrynowy stolik”. Uważam, że „pogodny starzec” to fałszywy konstrukt społeczny. Oczekuje się od osób starszych, że będą się zachowywać godnie i skromnie, a przecież tak naprawdę perspektywa śmierci wzbudza w nich wściekłość.

Pan jest wściekły?

Na pewno moje emocje nie są ani odrobinę słabsze niż wcześniej, a mój gniew jest wręcz intensywniejszy. Ludzie sądzą, że kiedy wędnie ciało, wygaszają się też emocje, ale tak nie jest. Nie rozumiem, dlaczego starsi ludzie mieliby być spokojni. Stają przecież w obliczu perspektywy rychłego końca. Jeśli nie są szczerze religijni, z pewnością nie ma w tym nic krzepiącego.

Pisarstwo żywi się wspomnieniami. W „Wymiarach życia” opowiedział pan historię miłości do żony, Pat Kavanagh, która zmarła w 2008 r.

Żaloba trwa wiecznie, musimy to zaakceptować. Kiedy się kocha, wszystko się widzi wyraźniej. Ale kochać kogoś oznacza również decydować się na ryzyko, że stracimy go na zawsze i będziemy cierpieć. Chwytały się opowieści o osobie, która odeszła, wspomnień, które nas z nią wiążą, ale na koniec musimy zdać sobie sprawę, że już nie będzie żadnej nowej opowieści. To boli.

Kiedy Pat była chora, codziennie po powrocie ze szpitala pisałem. Była to metoda, żeby nie oszaleć. Pisanie pozwalało mi się kontrolować. Uważam jednak, że powinniśmy więcej rozmawiać o zapominaaniu, a mniej o pamięci. Częściej zapominamy niż pamiętamy.

W pańskich książkach historie miłosne rzadko kończą się dobrze.

To tak jak w życiu.

Czy napisał pan książkę „w poszukiwaniu straconego czasu”?

Mówię to cicho, żeby nas nie usłyszeli, ale muszę wyznać, że nie jestem ze szkoły Prousta. Moje francuskie punktu odniesienia są bardziej racjonalne: Flaubert, Wolter, Montaigne. Z Prousta czytałem tylko fragmenty. Mój przyjaciel, Terence Kilmartin, który go ponownie przetłumaczył, mawiał, że lekturę „W poszukiwaniu straconego czasu” można zacząć od dowolnego tomu. I sam stworzył rewelacyjny indeks, taki przewodnik dla czytającego, biorący pod uwagę tematy, postaci, miejsca. A propos, sceny w pociągach u Prousta są cudowne. A ja właśnie jestem w pociągu. **TLUM. ŁUKASZ GRZYMISŁAWSKI I BARTOSZ HLEBOWICZ**



Rzeczy nieproste

Niełatwo było być Marcinem Wichą: widział za ostro. To był wirtuoz zdań ostatnich. Po których nie może już nastąpić żadne inne.

Pewien świetny rysunek Marcina Wicha przedstawia Układ Słoneczny. Planety zaciekle wirują. Z trzeciej od środka dochodzi głos: „Dlaczego nic nie jest proste?!...”.

Wizja dubeltowo perfidna, bo Wicha (24 stycznia minął rok od jego śmierci) jawił się do cna prostolinijny. W pisaniu i kontaktach. Stąd – być może – zbiór jego felietonów z „Gazety Wyborczej” (publikowanych w latach 2015-18) zwie się właśnie „Proste rzeczy”. Ale pisał o rzeczach nieprostych.

To się nazywa pewna ręka

Prostota jest trudna. Wymaga konsekwencji, dystansu, otwartości. I jeszcze, właśnie jak u Wicha, humoru abstrakcyjnego. Bardzo niewielu pisarzy umiało sporządzić taki atrament. Może czasem Prus, Boy-Zeleński, Słonimski. A z zagranicznych Twain, Czechow, Zoszczenko (nawiasem mówiąc, literaturę rosyjską znał Wicha na wrywyki).

Widzicie tu prawidłowość? Naprawdę dobre jest to, co stwarza wrażenie niewymuszonego. W czym nie znać walki (trzeba założyć, że najpewniej zaistniałej) z materią słowa. Miał Wicha tę łatwość w prowadzeniu myśli, której można tylko zazdrościć. W czystości zdania, konstrukcji wywodu, dobitności wniosków. To się nazywa pewna ręka. Nie wiem, czy on się tego kiedyś uczył, czy też przyszło samo. Urodzony inżynier mechaniki tekstu. Z czasów, kiedy do dłoni inżyniera przylegał suwak logarytmiczny.

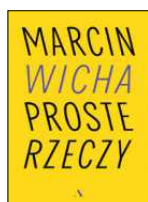
Pisanie o designie otwarło przed nim ten świat ścisłości. Ktoś, kto przeżywa design, odcina cały świat. Może w ten sposób pisać o wszystkim, bo design obejmuje niemal wszystko. Od wzoru chłodnicy Rolls-Royce’a, jak utrzymywał historyk sztuki Erwin Panofsky, po spustoszone polski krajobraz, od musztardówek w domach naszych babć po klapki Kubota. Jest na przecięciu natury i kultury, tradycji i nowatorstwa, kiczu i mistrzostwa.

Tu mi się przypomina (w przeciwieństwie do Wicha lubię dygresje), jak satyrycy Ilf i Pietrow jechali przez Góry Skaliste i dojrżeli wbite w prastarą sekwoję auto: „i nie było wiadomo – czytamy – gdzie kończy się dzieło General Motors, a zaczyna się dzieło natury”. Szkoda, że nie zdążyłam tego Marcinowi Wisze opowiedzieć.

Rozczarowani demokraci

Wymieniłam wyżej sześć nazwisk wielkich pisarzy: co ich łączy? Także i to, że każdy był autentycznym demokratą. To właśnie należałoby rzec o Wisze: był demokratą do szpiku kości, również w tym, co gorzkie. Humor i delikatna gorycz: to kolejny składnik jego pisarskiego atramentu (o ciepłe oraz ironii pisałam z innej okazji).

Posłuchajmy: „W szkole podstawowej zrozumiałem istotę egalitaryzmu: wszyscy piją to samo świnstwo, ale niektórzy trzymają w ustach kawałek czekolady”. Wicha należał



FELIETONY
Proste rzeczy
MARCIN WICHA
Agora, Warszawa

do generacji schyłkowego PRL-u, którą raczono w szkołach mlekiem tak rozcieńczonym wodą, że się robiło niebieskie. Na zdrowko! Takich nauk udzielonych przez życie się nie zapomina. Z tego to wyrastają demokraci. A ściślej: wyrastać mogą. Rozczarowani oczywiście, bo w Polsce wszyscy są rozczarowani. Ale demokraci najbardziej.

Pisarz stanowczy. „Jak tak, to tak, a jak nie, to też tak!” – wedle formuły, jaką żydowskie dziecko przed wojną ujmowało charakter króla Władysława Łokietka. W świecie idei niewydarzonych, słabych charakterów, walse-hesitation: wartość pierwszorzędna.

Obiekty kultu

W „Prostych rzeczach” najbardziej emblematyczny tekst to „Wycinka”. I nie chodzi tu o powieść Thomasa Bernharda, lecz o wycinanie wielkiego starego drzewa za oknem. O rzeźnię na raty. Gałęzie urznęły już wcześniej, przyszła pora na pień. Jak wiadomo, drzewa to największy wróg Polaków. Śmiecią, zajmują miejsce, a co najgorsze, jakaś gałąź spaść może na



**W „Prostych rzeczach”
widać bezbłędną
logikę stojącą na
antypodach miłych
skądinąd, a uprawianych
powszechnie
felietonowych gawęd.
Śledzenie tego wprawia
w podziw: umysł
w działaniu bywa jednym
z najbardziej fascynujących
widowisk w przyrodzie**

obiekt obłąkanego kultu, czyli św. Samochód (cięty był Wicha na te kultury).

Ale nie o tym tu mowa, tylko o tym, jak mieszkańcy błyskawicznie (i nie za darmo) rozdrapali olbrzymi pień: zlecieli się jak rekiny znęcone zapachem krwi, jakby wiedzeni na pasku animalnej chytrłości. A to na opał na daczce, a to na stolik, i tak dalej. Wicha kreśli ten dość straszny obraz, godny pióra Żeromskiego, z zimną, bezlitosną pasją. Nie jest wcale dobroduszny, jak przywykliśmy go widzieć, lecz wręcz przeciwnie. „Chcieliście Polski, no to ją macie!”. Skądinąd, potrafił autor tych felietonów tak usłyszeć, wybrać, skonfigurować głosy społeczne, że układały się w mimowolną parabolę. Przypowieść na nasz temat. Bywa, że niewesołą.

Pisarz dla dorosłych

Niełatwo było być Wichą: widział za ostro. Krótkie, pozornie bezosobowe zdania tną jak japoński nóż kuchenny z promocji. Każde popycha naprzód akcję, która zmierza do mniejszej czy większej katastrofy. Jak Jerzy Pilch był (we własnym mniemaniu) wirtuozem pierwszych zdań, tak Marcin Wicha to wirtuoz zdań ostatnich. Po których nie może już nastąpić żadne inne.

Wszystko to przywodzi na myśl zapomniane słowo „charakter”. Pisma, owszem, lecz i autora. Autora, który nigdy chyba nie napisał słów mających „wypchać” zamówiony tekst do stosownego rozmiaru; nigdy nie zawodziła go intuicja konstruktora. W „Prostych rzeczach”, nie mniej niż w poprzednich zbiorach, widzi się – jeśli ktoś umie patrzeć – bezbłędną logikę stojącą na antypodach miłych skądinąd, a uprawianych powszechnie felietonowych gawęd. Śledzenie tego wprawia w podziw: umysł w działaniu bywa jednym z najbardziej fascynujących widowisk w przyrodzie.

To pisarz dla dorosłych. Także ze względów pokoleniowych. „Chwilę wcześniej czytaliśmy (to »my« obejmuje pewnie ze trzy pokolenia) książki o łowcach mikrobów i stuleciu chirurgów. Mieliśmy na półkach księgi wynalazców. Pytanie o zyski wydawało się bluźnierstwem. Wynalazcy pracowali dla dobra ludzkości”. Wicha należał do ostatniej generacji, którą ukształtowały takie lektury. Aż przypomina się powiedzenie, nie wiem czyje, ale aktualne: „Postęp był kiedyś dobry, ale go już za wiele”.

W jego „Gościnnych wystęпах. Kawalkach o projektowaniu”, w tekście o szklanych domach znalazłam: „(...) postęp już chyba wyrzucili z programu”. Ano. ●

*Eliza Kącka – laureatka nagrody Nike za autobiograficzną książkę „Wczoraj byłaś zła na zielono” (2024). Pisarka, literaturoznawczyni, krytyczka. Autorka książek prozatorskich: „Elizje” (2017), „po drugiej stronie siebie” (2019), „Strefa zgniotu” (2022), książki eseistycznej „Idiomy. Eseje” (2023) oraz książek akademickich: „Stanisław Brzozowski wobec Cypriana Norwida” (2012), „Lektura jako spotkanie. Brzozowski – tekst – metoda” (2017). Sporządziła kilka wyborów poezji (nie tylko najnowszej). Felietonistka i współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego”.



kącki, potocka i my

Cyfrowe czyny mają supercielesne *skutki*

Zostali napiętnowani,
ale zamiast siedzieć
cicho, odwinęli się, pisząc
rozhadunkowe książki

JOANNA TOKARSKA-BAKIR



C o oznacza szczerość w życiu społecznym? Czy jest synonimem prawdy, czy *savoir-vivre*’u? Czy szczerość jest usprawiedliwiona tylko wtedy, gdy człowiek pokazuje własne miękkie podbrzusze, a cudze zostawia w spokoju? Kiedy mamy prawo rzucić światło na bliźnich, a kiedy zostaniemy oskarżeni o zdradę? Czym jest szczerość na temat ludzi u władzy, a czym szczerość bezsilnych?

Czy na szczerość może się zdobyć ktoś, kogo postawiono pod ścianą, złamano, zapędzono w kozi róg?

Myślowy kontekst tych pytań ukazuje doskonała książka Agaty Sikory „Szczerość. O wyłanianiu się porządku komunikacyjnego”. A jednak w życiu wszystkie uporządkowane przez nią sprzeczności atakują nas bezładnie i znienacka. Tak się stało w przypadku dwóch postaci, które niedawno zostały scancelowane, ale zamiast siedzieć cicho, odwinęły się, publikując „szcere”, rozrachunkowe książki.

Pierwszą jest Marcin Kącki, wieloletni redaktor „Dużego Formatu” i „Wolnej Soboty”, autor „Bez znieczulenia” – rozliczenia ze środowiskiem „Wyborczej”, które wykluczyło go za niedowiedzione przed sądem molestowanie. Prokuratora nie dopatrzyła się przestępstwa w czynach, o które Kąckiego oskarżono (na tę decyzję złożono zażalenie).

Drugą – autobiografia Maszy Potockiej „Ja” – egocentryczny manifest zasłużonej twórczyni krakowskiego MOCAK-u i trzykrotnej dyrektorki Bunkra Sztuki, osoby, która wokół podarowanej społeczeństwu prywatnej kolekcji sztuki stworzyła i przez kilka dekad prowadziła jedną z ważnych instytucji kultury w Polsce.

W rozrachunkowym monologu, wykraczającym poza kwestie skandalu instytucjonalnego, oskarżona o mobbing Potocka przystawia lustro elitarnemu Krakowowi, niejako „wypowiadając mu swoje życie” (formuła Zuzanny Ginczanki).

Jej sprawa w sensie prawnym też pozostaje nierozstrzygnięta. Potocka, przedstawiona przez cykl artykułów Angeliki Pitoń w „Wyborczej” w bardzo nieprzychylnym świetle, nie miała szansy dowodzić swojej niewinności w sądzie, bo w sprawie przed sądem pracy mogła zgodzić się z prawem wystąpić tylko jako świadek. W roli oskarżonego występował jej pracodawca, czyli znajdujące się w okresie zmiany po wyborach prezydenckich miasto Kraków, które zagadkowo szybko pogodziło się z niekorzystnym dla siebie wyrokiem.

Wskutek zarzutów o molestowanie i mobbing Kącki oraz Potocka, porzuceni przez instytucje, które współtworzyli, ponieśli śmierć cywilną. Dlatego ich książki są przede wszystkim – piszę to bez ironii – krzepiącym znakiem życia: autorzy awanturują się, a więc przetrwali.

Oczekiwanie przez czytelnika, że z tych książek dowie się, jak było naprawdę, byłoby dziecinne, natomiast poznawczo wartościowe jest poszukiwanie w nich ukrytych na ogół przed naszymi oczami perspektyw ludzi skreślonych i napiętnowanych. Poczynając od czegoś najbardziej oczywistego: że wykluczenie osób niegdyś tak wpływowych, które straciły pracę i pozycję, stanowi dowód na istnienie skutecznej władzy wykluczania, z którą rzadko utożsamiają się obrońcy ofiar.

Kącki o dyskursie wykluczania

Książka Kąckiego jest wartko napisanym studium takiego przypadku. Wynika z niej, że w sprawach o molestowanie i mobbing kwestia obiektywizacji winy potencjalnych sprawców stanowi dziś rzecz drugorzędną w porównaniu z opinią instytucji, która wskutek oskarżeń mogłaby ucierzeć wizerunkowo (brand safety). Nieznana wcześniej dbałość o eliminowanie przemocy w pracy, przerzucona na barki pracodawcy, jest podyktowana nie tylko troską o sprawiedliwość, ale i dbałością o własny interes.

Pociąga to za sobą skutki, o których dowiedziałam się podczas szkolenia antydyskryminacyjnego w mojej własnej instytucji. Zgodnie z prawem pracy tylko podwładny, a nie przeło-



ESEJ

Bez znieczulenia

MARCIN KĄCKI

Dom Wydawniczy Plum, Warszawa



WSPOMNIENIA

Ja

MASZA POTOCKA

Czytelnik, Warszawa

żony, otrzymuje wsparcie instytucjonalne w sytuacji, gdy składa skargę. Automatycznie zakłada się, że władza jest na tyle silna, że wsparcia od instytucji nie potrzebuje. Zostańcie przełożonymi, a sprawdzicie, czy tak jest naprawdę. Wyobraźmy sobie sytuację, w której pracownik jest przez wiele lat publicznie ośmieszany przez kolegę z pracy (a przez czysty przypadek również ze szkolnej ławy), który w niby żartobliwej, poufalej konwencji komentuje jego wygląd, ubiór, wypowiedzi. Pracownik nie potrafi sobie w tej sytuacji poradzić i nie reaguje nawet wtedy, gdy zostaje przełożonym dopuszczającego się mobbingu kolegi.

Przemoc, której możemy się dopuszczać wobec siebie w pracy, w szkołach, na uczelniach, w placówkach badawczych, jest w różnym stopniu „zmapowana” przez polskie prawo. Głośne drastyczne przypadki przemocy uczniów wobec nauczycieli (sprawa nauczyciela z Torunia, któremu uczniowie zakładali kosz na głowę i brudną gąbką przemywali twarz, po czym umieścili w sieci nagranie) potwierdzają, że ci, którzy władzy mają znacznie mniej, mogą się stać oprawcami. I na razie prawo nie daje sensownej odpowiedzi na podobne sytuacje.

Co się dzieje z kulturą, w której władza prze staje być kojarzona z twardą ręką i prestiżem, a następnie z góry postawiona w cieniu podejrzeń jako potencjalne źródło różnych odmian przemocy? Czy niosąc pomoc ofiarom „dawnego typu”, nie przeoczyliśmy przypadkiem nowych, nieznanych wcześniej wcieleń sprawców?

Niektórzy uczestnicy debaty publicznej, niepomni bolszewickich porzekadeł o wioarach towarzyszących rąbaniu drzew, z góry usprawiedliwiają wynikającą z cancelowania systemową niesprawiedliwość. Kącki przytacza jedną z takich wypowiedzi:

„Jak chcemy dać głos wykluczanim dotąd kulturom, jednostkom i podmiotom, to dajmy im też prawo i wolność, żeby zrobić czasem coś głupiego. Jeśli jednemu czy drugiemu facetowi stanie się krzywda po pięciu tysiącach lat patriarchy chatu, bo został źle potraktowany przez #MeToo, to nie jest to żaden problem. Albo jak jednemu czy drugiemu białemu będzie przykro, bo został scancelowany. To jest nic w porównaniu do Holocaustu rdzennych Amerykanów czy niewolnictwa”.

Buńczuczność przytoczonej tu argumentacji Sławomira Sierakowskiego (obstawianą przez niego odmianę „holokaustu” pomijam) można chyba porównać tylko ze swadą Agnieszki Holland, która jako autorka „Zielonej granicy” skonfrontowana z pytaniem, co się stanie, gdy do Europy wpuści się wszystkich, którzy ją szturmują, odpowiedziała:

„Co będzie potem? Myślę, że upadek naszej cywilizacji, porównywalny z upadkiem Rzymu. »Barbarzyńcy« i tak napłyną w końcu do Europy z Południa i przemienią państwa, które dziś znamy, w coś innego. Może piękniejszego i lepszego, kto wie. Więc jeśli szuka pan nadziei, to mogę powiedzieć panu tyle: po wymarcu dinozaurów ostatecznie przecież zaistniały zwierzęta równie fajne albo nawet fajniejsze od nich”.

Obie wypowiedzi, bez wątpliwości motywowane szlachetnym pragnieniem naprawy świata, są zarazem dowodem na niedostatek wyobraźni. Czy widziałem/widziałam z bliska lejące wióry i czy mogę być pewny/pewna, że nigdy nie wystąpię w ich charakterze?

Schematyczność wściekłości

Z jeremiady Kąckiego wynotowałam wiele przydatnych określeń dotyczących hejtu, takich jak „schematyczność wściekłości”, autorstwa dziennikarki szwedzkiej popołudniówki „Aftonbladet” Åsy Linderborg. Ostrzega nim przed spustowym mechanizmem samonakręcającej się nagonki, w której sama uczestniczyła. Jest to niestety mądrość po szkodzie – w tym wypadku po samobójstwie Benny’ego Fredrikssona, dyrektora Teatru Miejskiego w Sztokholmie, fałszywie oskarżonego o mobbing i molestowanie.

Z książki Kąckiego zapamiętałam też opinię amerykańskiej filozofki Heidi Lockwood, że zważywszy różnicę dochodów i pozycji, miłość właściwie nigdy nie jest konsensualna – zawsze ktoś znajduje się w pozycji władzy, a ktoś inny podporządkowania. Przyswoiłam też superciekawą filipikę amerykańskiej feministki Laury Kipnis na temat tzw. artykułu IX (z amerykańskiego prawa o edukacji z 1972 roku, zakazującego dyskryminacji ze względu na płeć w programach i działaniach otrzymujących fundusze federalne), który w środowisku akademickim USA bywa regularnie wykorzystywany do zemsty jednego z partnerów na drugim po rozstaniu się dwojga dorosłych ludzi.

Za najważniejszą publiczną wypowiedź Kąckiego na ten temat uważam opublikowany w „Wyborczej”, a po chwili zdjęty, samooskarżycielski tekst „Moje dziennikarstwo”. To portret pokolenia chłopaków takich jak on, którzy wolą się dziesięć razy pomylić, niż sprawić wrażeń, że są słabi. Nauczeni walki o byt w pierwszych dekadach wolnej Polski najpierw niszczą sobie życie, a potem nad nim rozpaczają. To, że niszczą je też innym, pozostaje zawsze na drugim planie, bo dla wyczynów, za które się kają, inni ludzie stanowią jedynie efektowne tło.

Ocenzurowanie artykułu Kąckiego, którego próżno szukać nawet w archiwum „Wyborczej”, uważam za wywołany paniką moralną błąd. Wciąż można go naprawić. Tekst jest ważny nie dlatego, że jest słuszny, ale dlatego, że ma wartość źródłową – w przetwarzaniu polskiego heroizmu alkoholowego, sięgającego co najmniej czasów Marka Hłaski i Zbigniewa Cybulskiego, jeśli nie Stanisława Wyspiańskiego („Chopin jakby żył, toby pił”).

Nie do wszystkich rewelacji Kąckiego trafię się odnieść. W książce natknęłam się na przykład na taki opis: „To było pewnie na basenie firmowym. Byliśmy wszyscy na golasa, był też Adam, potem przyszedł Urban z prosty... z seksworkerkami, i jak chłupnęli do basenu to woda przelała się do stolówek”.

Czy ten opis jest prawdziwy? Pojęłam z niego tyle, że odchodząc z „Wyborczej”, Kącki postanowił wypisać się z klubu, w którym, jak to ujął, siostra Ratched z „Lotu nad kukułczym gniazdem” sprawdza nasze pozwolenie na zabawę w rewolucję.



Hipokryzja jest nie tylko, jak chciał La Rochefoucauld, hołdem składanym przez występki cnoty, ale też kołem ratunkowym, które, przyłapani na gorącym uczynku, rzucamy sobie nawzajem

Co to jest „bambizacja”

Jak na książkę, która miała być bezkompromisowa, „Bez znieczulenia” jest też miejscami zaskakująco defensywne. Pełno tu retorycznego patosu, tego samego, który autor wytyka swoim przeciwnikom, pozbawionym jego zdaniem „etosu i logosu”. Choć tamtym zaleca umiar, obiektywizm i wysłuchiwanie drugiej strony, jego samego co chwilę ponosi upodobanie do „zgrywy”, symetryzmu i ostrej puenty.

Tak jest na przykład w wywodzie o nekrologach zwierząt: zdaniem autora wynoszenie zwierząt ponad ludzi (nazywa to „bambizacją”) kończy się tym, że Poczta Polska zwalnia dziś ludzi, wstawiając w zamian miski dla psów. Żart! Zamiast analizy racji w sporze z niezrażonym Jerzym Bralczykiem, którego zdaniem pies po prostu „zdycha”, otrzymujemy od Kąckiego ucieśniony wic.

Tak samo nieprzemyślana jest krytyka rewolucji obyczajowej, z której korzystał, a potem od niej ucierpiał. Zamiast potępiać poszczególne praktyki, autor „Bez znieczulenia” celuje w osobę, a przecież został „odstrzelony” na socialach właśnie wskutek personalnego uogólnienia.

Scancelowano go, uznając, że mimo niezaprzechalnych zasług dziennikarskich (tekst o Wojciechu Kroloppie molestującym dzieci w chórze Polskie Słowiki czy o „pracy za seks” w Samoobronie, a to tylko dwie pozycje z naprawdę długiej listy) zła jest sama esencja Kąckiego.

Kącki załatwia w książce różne zaległe sprawy, nie rozumiejąc chyba do końca, od czego po legl. Weźmy perorę o wspomnianym Sierakowskim. Idąc za ciosem, wszystkie praktyki byłego szefa „Krytyki Politycznej” piętnuje jako rewolucyjne, w tym ogłoszoną przez Sierakowskiego solidarnościową zbiórkę na bayraktara dla walczącej Ukrainy.

Ktoś rzuca bombę na twoją matkę

Zaniepokojonym, czy to rzeczywiście nieliczący z dziennikarstwem aktywizm, sugerowałabym lekturę George’a Orwella, który jako korespondent w bombardowanym w czasie wojny hiszpańskiej Madrycie napisał, że nie można pozostać obiektywnym w sprawie nalotów bombowych, którym się właśnie podlega („Hold dla Katalonii”).

Swoją tezę Orwell jeszcze wyostrzył: „Jeśli ktoś rzuci bombę na twoją matkę, rzuć dwie bomby na jego matkę. Alternatywa najwyraźniej jest następująca: albo ścierać zamieszkałe domy w piach, wyrzywać ludzkie wnętrzości i wypalać dzieciom rany termitem, albo dostać się w niewolę ludzi, którzy chętniej zrobią takie rzeczy niż my. Jak dotąd nikt nie zaproponował lepszego rozwiązania”. Być może proponuje je Kącki.

Sposób, w jaki Kącki relacjonuje eksperymenty z zakresu psychologii społecznej dotyczące dysonansu poznawczego i konformizmu (przytacza tylko te, które potwierdzają słuszność jego tezy), też pozostawia sporo do życzenia. Czy Kącki również podlega opisywanym w nich regułom dewastującym wolną wolę, czy jako jedyny na świecie stanowi od nich wyjątek?

Uzasadniając wyręczanie naukowców w omawianiu wniosków płynących z eksperymentów, autor przytacza cytaty z „Buntu mas” Ortegi y Gasseta, że eksperci są tak wytresowani („wąsko wyspecjalizowani”), że nikt nie wie, o czym mówią. Zagadkowe, że w innym miejscu zwalcza ten pogląd za pomocą myśli Nietzschego: „Straszną konsekwencją równości jest to, że każdy uważa, że ma prawo do wypowiedzania się na każdy temat”.

Praktyki i esencja

Problem polega na tym, że w książce „Bez znieczulenia” Kącki usiłuje zbudować kapliczkę swojej słusznej racji, nie podając innych niż personalne kryteriów słuszności, którym ta racja podlega.

Analizę praktyk, a nie esencji, polecałabym tym, którzy na przypomnienie niewątpliwych zasług Kąckiego reagują pytaniem: „czyli jak jest zasłużony/zasłużona, to wolno mu/jej więcej?”. Nie, nie wolno, odpowiadam, ale czy moralne potępienie, w dodatku niepotwierdzone

kącki, potocka i my

wyrokiem, niweluje zasługi? Gorliwość w ich skreślaniu przez dołączających do linczu wyznika z czegoś innego niż uczucia wyższe. Bo co na przykład zrobić z frustracją ludzi z zasługami czy bez, którzy powołując się na słuszne oburzenie, kompensują sobie poczucie niższości? Pewien rodzaj agresji pozwala człowiekowi nawiązać kontakt z czymś, co go przerasta, stwarzając iluzję, że się to niszczy.

W zbliżonym kontekście Michail Bachtin pisał o strąceniu króla karnawału („Twórczość Franciszka Rabelais’a a kultura ludowa średniowiecza i renesansu”). Elias Canetti, autor studium o zachowaniu tłumów „Masa i władza” (1978), powiązałby ją raczej z momentem triumfu nad kimś, kto był nietykalny, a teraz znajduje się w naszej mocy:

„Tak jak zabiło się zwierzę, którym się żywimy, i leży ono bezbronnie przed nami, można je pokroić na kawałki i pokroić jako łup, który się spożywa wraz z bliskimi, tak pragnie się zabić człowieka, który nam przeszkadza, który nam stawia opór, stoi przez nami wyprostowany jako wróg. Chcemy go powalić, aby poczuć, że żyjemy, a on nie. Ale wróg nie powinien całkiem zniknąć, jego cielesna obecność w postaci zwłok jest niezbędna dla tryumfu zwycięzcy. Można z nim teraz czynić, co się chce, a on nie może już nam nic zrobić. Wróg leży i będzie leżał już zawsze, nigdy się nie podniesie. Można mu zabrać broń; można odcinać kawałki jego ciała i zachować je sobie jako trofea. Ten moment konfrontacji z zabitym wypełnia tego, kto przeżył, szczególnym poczuciem mocy, nie dającej się porównać z żadną inną”.

Wszystko to zapewniają nam internetowe nagonki: cyfrowe czyny mające supercielesne skutki.

Świat nieprzedstawiony

Książka Maszy Potockiej dotyczy spraw filozoficznie ciekawszych: szczerości biograficznej i autentyczności. Szczerość to prawdomówność, zgodność słów i czynów, autentyczność – wierność samej sobie. Gdy rozpadł się jej obraz publiczny, publikując wspomnienia, Potocka postanowiła przesunąć granice w obrębie obu tych obszarów.

Podobnie jak Kącki autorka narusza zmywy milczenia i płaci za to określoną cenę. Trudno się dziwić, że w Krakowie wzbudziła popłoch, skoro w książce roi się od wzmianek w rodzaju: „nabył go za żydowskie złoto”, „bracia z klasztoru Kamedułów strzelają do wiewiórek” albo „dość szybko znalazł pocieszenie w małżeństwie z bratanicą kardynała [...], która oczywiście wcześniej unieważniła ślub kościelny z aktorem Cricotą”.

W pewnym sensie Potocka wysuwa postulat: podobne do tych sprzed półwiecza, a pochodzących z głośniejszej książki Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego „Świat nieprzedstawiony” (1974). Obwiniając ezoteryczne piarstwo Le-ma, Herberta i Konwickiego, które zdaniem zawiodło „jako wyraz rozeznania w świecie”, młodzi wówczas poeci pytali, „dlaczego tak niewiele wiemy o nas samych i o naszym świecie, podczas gdy tak wiele od tej świadomości zależy”. Wina za to obarczali zanik powieści realistycznej. Nie mogli wprost napisać, że winią kłamstwo wymuszone przez komunizm.

Potok świadomości Potockiej, uczestniczki krakowskiego życia zbiorowego, w jakiejś mierze wychodzi naprzeciw tamtym postulatam i ujawnia rzeczy „nieuskrzydlające”. Mówiąc Kąckim: należy do gatunku „szczerze, czyli nie do zniesienia”.

Choć początek jest ciekawy (dzieciństwo jak ze „Wspomnień niebieskiego mundurka”), a środek sensacyjny (długa lista kochanków, z nazwiskami), całość udowadnia, jakie piekło zgotowujemy nieustannie jedni drugim. I jaką torturą jest świadome życie.

Testowanie granic

W żadnym razie nie jest to jednak skarga na innych ani unikanie odpowiedzialności. „Popelniałam wiele błędów, lecz cały czas miałam

pod ręką siebie, czyli osobę, która za nie odpowiadała”, ewentualnie: „Jak myślę o »tamtej mnie«, nie mogę wyjść z osłupienia własną debilną bezmyślnością”.

Autorka nie ukrywa przymusu zapisywania. Kształcić się w nim, jak dawni twórcy kształcili się w rzemiośle przedstawiania. Nie jest jednak jasne, jakimi kryteriami reprezentacji rządzi się selekcja faktów, z którymi obcujemy.

Potocka nie zapisuje przecież wszystkiego („jest to prawda, ale nie cała prawda”, mówi wymijająco). Nie dziwnego, skoro nie udało się to ani znacznie bardziej kompulsywnemu Perecowi, ani Wallace’owi, ani Knausgårdowi. O co więc chodzi w tym zapisie, z czym autorka się właściwie ściga?

Czy, posłuszna pytaniu Marii Janion „Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś?”, dzieli się tylko tym, czego sama doświadczyła, a może ujawnia też cudze sekrety? Jeśli tak, nie jest jasne, jakie ma do tego prawo.

Z rozważań Carole Angier o biografii Sebalda wiemy, jak upokarzające i bolesne dla pierwowzorów jego bohaterów było wplatanie przez pisarza w fikcyjne utwory wstydliwych szczegółów z ich życia, w których się rozpoznawali. W takiej sytuacji człowiek czuje się skrajnie uprzedmiotowiony. Może chciałby się odzwajemnić, że też to i owo pamięta?

W jakim stopniu nasza pamięć jest naszą własnością? Kącki ujawnia nie tylko swoje romanse, ale też Ewy Wanat, której skądinąd wystawia w swojej książce w kapliczkę. Wanat nie żyje, nie może się Kąckiemu odwinąć. W podobny sposób postrzegam zakneblowanie niektórych interlokutorów Maszy Potockiej. Musieliby się głośno o siebie upomnieć, czego przecież nie robią.

Chwilami miałam wrażenie, że autorka robi to, co nagminnie robią dzieci: sprawdza, jak daleko można się posunąć w mówieniu prawdy. Ile tej forsownej szczerości da się wytrzymać bez odrzucenia przez rodziców? Czy naprawdę chcemy powiedzieć sobie wszystko, czy nam się tylko tak wydaje? Potocka boleśnie przesuwając dopuszczalne granice. Pisze o swoim samopoczuciu rano, wieczorem i w południe, o swoich chorobach i lękach. O swoich kochankach i ich żonach.

Ale zapomina, że hipokryzja jest nie tylko, jak chciał La Rochefoucauld, hołdem składanym przez występki cnoty, ale też kołem ratunkowym, które, przyłapani na gorącym uczynku, rzucamy sobie nawzajem. Kto nie został kiedyś przyłapany, niech pierwszy rzuci kamień.

Ujmuję mnie w tej książce swoista bezbronność autorki, której jedyną wymówkę stanowią jej „słuszne poglądy na wszystko”. Poszukiwanie uzasadnień w cudzych słowach ktoś nazwał kiedyś „defensywnością cytatu”. Tu się jej nie uświadczy. Nawet motto stanowi autocytat. Wszystko podawane jest apodyktycznie, tonem ignorującym kilometry napisanych wcześniej książek.

Ekscentryzm, egocentryzm, skłonność do prowokacji i przekraczanie granic, wolnomyślicielstwo, pogarda dla samokontroli i dotychczasowych form nawet za cenę opinii, że to wszystko trochę pachnie grafomanią. Każda z tych cech sama w sobie może być uznana za nieprzyjemną i godną napiętowania. Ale gdy zestawimy je razem, od razu kusi, by zapytać, czy nie składają się aby na siłą, a zarazem romantyczną kobiecą osobowość. Z pewnością jest od kogo oberwać. Ale jest i komu zazdrościć.

Klasowość skandali

Jeśli by wyznania Kąckiego i Potockiej ustawiać klasowo, obraz byłby następujący: ludowy Kącki gorąckowo się usprawiedliwia; elitarna Potocka nie dba, co o niej pomyślą. Właśnie to mam jej za złe: ta książka jest miejscami zbyt mało elitarna. Wspomnień, podobnie jak ludzi, jest za dużo, a ich hierarchia – niejasna.

Następujące dwa zdania organizują ten bałagan: „Nasze społeczeństwo wydaje się zatrute i przesiąknięte potrzebą spuszczenia negatywnej energii” oraz: „Dobrze rozegrana prowokacja polega na wpuszczeniu w namysł społeczny enzymu głębszego zastanowienia”.



Marcin Kącki



Masza Potocka

Jeden z najciekawszych fragmentów dotyczy okoliczności wtajemniczenia Potockiej w kobiecość. Choć role główne grają kobiety z jej rodziny, to temat stanowią wyłącznie mężczyźni. Najpierw Masza dowiaduje się od babki, że nigdy, ale to nigdy nie wolno być starym, potem zaś, jako szesnastolatka, że powinna już zawczasu liczyć się z młodszymi konkurentkami. Aby dać im radę, mężczyzn powinna słuchać z pokorą i cierpliwością. „Nie należało im wypominać niespójności czy nieprawdopodobieństw. Dzięki temu nabierali pewności siebie, stawali się swobodni i ujawniali słabości”. Kiedy zaś matka wyraża obawę, że Masza nigdy nie wyjdzie za mąż, bo ma zdecydowanie „za małe oczy”, daje asumpt do jednego z najważniejszych akapitów:

„Dzięki temu zrozumiałam, że nie jestem na tyle ładna – o ile w ogóle – aby grać urodą. (...) Musiałam znaleźć sobie inny argument, więc zamiast liczyć na widoczną stronę głowy, postawiłam na tę niewidoczną i postanowiłam zmądrzeć, na ile się da. W dwunastym roku życia byłam już nieźle odcytana i miałam dość sprawnym umysł. Wprawdzie nauka nie spadała na mnie w formie olśnienia, ale wysiłek mi nie przeszkadzał. To była druga rzecz, której się nauczyłam. Podstawowym narzędziem rozwoju jest przymus”.

Poleciłabym to zdanie naganiaczom nagonki na Potocką.

Czy nienawiść, jaka na nią spadła, nie robiła dobrze komuś w „Wyborczej” (Potocką wziął w końcu w obronę sam naczelny)? Jaka jest dziś zależność między popularnością artykułu, prestiżem autora i rozmiarami internetowej nagonki? Kącki zwraca uwagę, jak nieprzyjaznym gestem było pozostawienie obrzydliwych komentarzy czytelników o Potockiej, zwykle zamykanych, gdy robi się już naprawdę brzydko i gorąco. Pochodziły od kobiet i mężczyzn, zjednoczonych, jak to w Polsce, egalitarną nieznajomością sprawy. Ilu z dwu tysięcy komentatorów i komentatorek demonicznej Potockiej faktycznie sprawę poznało?

Książka nie jest przesiąknięta duchem odwetu, ale nieustanne prowokowanie publiczności wyraźnie sprawia autorce przyjemność. Pewnie wyobraża sobie miny czytelników zszokowanych egocentryzmem, na który wszyscy cierpimy, ale prawie wszyscy się go wstydzimy. Weźmy na przykład taki fragment:

„Z gry »gest – zysk« zrobiłam urządzenie do manipulowania mężczyznami. Nie miałam li-tości w doskonaleniu tego narzędzia, bo kiedy posiadamy broń, mamy w rękach niesprawiedliwość. Zabawną nagrodą w tej rozgrywce był wzrost szczęśliwości ofiary. Im bardziej tłumilałam uczucia, tym lepsze osiągałam efekty. Grając obojętność, skłaniałam mężczyznę

do wysiłku – równocześnie drażniąc jego ambicję – aby tę obojętność przełamał. Przy okazji ujawniała się ciekawa prawidłowość. Mężczyźni w głębi serca nie wierzą, że kobieta może uprawiać seks wyłącznie dla przyjemności. Zawsze węższą jakiś podstęp i zakładają, że najskromniej chodzi o prezent, dalej o bycie razem, a na końcu o małżeństwo. Jeżeli westchnienie orgazmowe jest pierwszym i ostatnim interesem, czują się zdezorientowani i, co zabawne, niedocenieni”.

Nasuwa się pytanie: wyznanie o manipulowaniu własną dostępnością seksualną jest pro- czy antifeministyczne? Potocka dogadaby się bez trudu z feministką Laurą Kipnis, która w polemice „Against Love” (2003) zwracała uwagę na to, że feministyczny purytyzm umacnia szowinistyczną subordynację kobiet do wzoru przepisanej przez kulturę. I reagując na kampusową świętoszkowość, żartobliwie zachęcała: cudzołóżnicy, ręka w górę!

Zasada dyskrecji

Lewicowy komentarz piętnujący na socialach „mobberkę” przedstawiał Potocką jako pieszczocha, którego popierają rozkapryszone elity. Publikując książkę, autorka potwierdza swój ekscentryczny subkonformizm, bo w znacznym stopniu naraża się również własnemu środowisku, które jej wcześniej broniło. Wypowiada mu zasadę dyskrecji. I właśnie to jest w tej książce najciekawsze.

O zasadzie dyskrecji dowiedziałam się od pewnego niemieckiego filozofa uwikłanego w nazizm, który sugestią „o nas samych raczej zamilczmy” ucinał próby skonfrontowania go z przeszłością. Jak wszystkie umowy społeczne zasada dyskrecji nie jest wykuta w kamieniu. Zmienia się historycznie i podlega negocjacjom (dwadzieścia lat temu opisałam to w artykule „Historia jako fetysz”).

W „Departure(s)” Julian Barnes pyta samego siebie: „Jak zmierzyłbyś się z zapisem – chronologicznym zapisem – wszystkich swoich kłamstw, hipokryzji, okrucieństw?”. Do podobnej konfrontacji dąży Potocka. Powstaje z tego Bildungsroman dewastujący dla cukierkowych wyobrażeń o życiu krakowskich elit, które zanim stały się prawicowe, często hippisowały, a teraz się tego wstydzą.

I autorkę, i całe jej otoczenie ta formacyjna opowieść pokazuje od nieprzyjemnej strony w trakcie stawiania się tymi, jakich znamy dzisiaj. I o to jest dziś wrzawa w Krakowie, i darcie szat, i biadanie o podłości.

Przysłuchując się wyrzykowi skargom na niedyskrecję tej książki, trudno nie zauważyć, że za każdym razem, gdy padnie słowo „penis”, krakowska socjeta wydaje okrzyk bólu, bo, jak się okazuje, na eros wciąż reagujemy mocniej niż na thanatos (pogrom krakowski nie wzbudza tu specjalnych emocji).

Miasto Kraków jest symbolem Polski, nadal zatopionej w egzystencji, którą Wacław Berent tak opisywał w „Żywych kamieniach”:

„Tedy każdego nazajutrz po odpustach narodowych i świątkach chorągwianych, troska sumień i bezjutrze doli zalegały ulice i przytynki dobrego miasta. Wlekli ludzie swe kroki jak te muchy po kleju, żuli cierpliwie święty chlebuś ubóstwa i wsłuchiwali się, zali nie pluskają konie jakowych przybyszów po odwiecznej kałuży u wrót miasta sennego...”.

Pięćdziesiąt lat temu w „Świecie nieprzedstawionym” Zagajewski i Kornhauser domagali się prawdy i szczerości. Zachęcając do polemik i piętnując cenzurę, dodawali, że introspekcja jest możliwa tylko w społeczeństwie, które „ośmiela swoich artystów i uczonych”, bo „samowiedza społeczeństwa jest niezbędna dla jego zdrowia”. Tyle wody w Wiśle upłynęło, ale hasła tamtych poetów wciąż przerażają. ●

***Joanna Tokarska-Bakir** – antropolożka kultury i religioznawczyni, profesor w Instytucie Sławistyki PAN. Autorka m.in. książek: „Legendy o krwi. Antropologia przysądu”, „Społeczny portret pogromu kieleckiego”, „Kocia muzyka. Chóralna historia pogromu krakowskiego”.

wysokieobcasy

wyborcza

10 / Bogna Wiltowska

Mój azyl
dla zwierząt

20 / Reportaż

Podziały i powroty
po rozwodzie

DOOMSCROLLING

Internetowy smog

– rozmowa
Magdaleny Sucheckiej



Smartfon z wirusem

KATARZYNA
SEILER



Dokładnie pamiętam moment, kiedy telefon komórkowy pojawił się w moim życiu. Miał nieproporcjonalnie duże klawisze w stosunku do wąskiego ekranu, ale jak na późne lata 90. wyglądał całkiem zgrabnie. Jego zaawansowane – jak na tamte czasy – funkcje znacząco usprawniły moją codzienność. Dzięki temu, że potrafił dzwonić i wysyłać SMS-y, mogłam kontaktować się z rodzicami z ferii zimowych, kiedy tylko chciałam. Wysyłałam im dwuzdaniowe wiadomości, w których każde słowo oddzielałam znakiem „+”, bo nie potrafiłam znaleźć spacji.

Od tamtej zimy minęło 28 lat. W tym czasie komórki przestały być telefonami, a stały się smartfonami. Najpierw długo zachwycaliśmy się tą rewolucją: noszeniem całego świata w kieszeni, tym, że nie potrzebujemy już profesjonalnych aparatów ani osobnych odtwarzaczy muzyki. Z czasem dzwonienie i pisanie SMS-ów przestało mieć znaczenie. Wszystkie te usprawnienia rzeczywiście zmieniły nasze życie, to nie ulega dyskusji. Ale czy wyłącznie na lepsze?

Dziś wszystko, co związane ze smartfonami, brzmi tak, jakbyśmy rozmawiali nie o przydatnym gadżecie, lecz o pandemii szkodliwego wirusa. Gdy spotykam się ze znajomymi, temat cyfrowych detoksów powraca jak bumerang. „Jak odpocząć od telefonu i powiadomień na urlopie? Masz jakąś apkę, która pomaga ci odłożyć telefon?” – pyta koleżan-

ka. Czasami śmiejemy się jak zwolennicy teorii spiskowych: „Czy on naprawdę nas podsłuchuje?”. Wczoraj rozmawialiśmy o zakupie posłania dla psa, a dziś reklamy wyskakują nam wszędzie.

Z Hollywood spływają doniesienia, że twórcy filmowi i serialowi rzekomo dostają wytyczne, by fabuły były nieskomplikowane i powtarzane na głos przez aktorów w trakcie filmu – tak, aby widzowie mogli nadążyć, bo wiadomo już, że większość z nich nie potrafi skupić się tylko na ekranie telewizora. Muszą w międzyczasie doomscrollować.

Doomscrollowanie to stan, w którym bezwiednie przewijamy zawartość portali społecznościowych i serwisów internetowych, kompletnie się w tym zatracając. Przeskakujemy od jednej rolki na Instagramie do kolejnej, obiecując sobie: „Zaraz odłożę telefon i pójdę spać”, a tymczasem to „zaraz” trwa godzinę albo dwie. Na wirusa doomscrollowania nie ma szczepionki. Ulegają mu młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, rolnicy i filozofowie. Ostatnio przyznała się do tego nawet Margaret Atwood. Katie Drummond z „Wired” opowiadała pisarce, że jej mąż nie śpi do drugiej w nocy, bo przegląda internet. „Powiedz mu, że kiedy wstanie rano, to wszystko nadal tam będzie” – radziła Atwood. „A ty kiedy doomscrollujesz?” – dopytywała dziennikarka. „Nocami” – padła błyskawiczna odpowiedź. ▲

| Katarzyna Seiler – redaktorka „Wysokich Obcasów”



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

■ **NA OKŁADCE:** Monica Bellucci i jej włoskie widzenie świata ■ **TEMAT NUMERU:** Miłość po latach • Jak utrzymać wieloletni związek? • Co zrobić, by uczucie nie słabło? • Czy odrobina łagodnego samooszukiwania może nam wyjść na korzyść? • O swoich związkach opowiadają nam: Joanna Przetakiewicz, Paulina i Maciej Orłowski, Alžbeta Lenska i Robert Biedroń ■ **Psychologia:** Toksyczne matki też kochają ■ **Twarze:** Olga Bołądź, Margot Robbie i Barbara Walters ■ „Wysokie Obcasy Extra” już w sprzedaży z prezentem – Boliq BHL Barierowy krem ochronny do twarzy lub dwiema wybielającymi pastami do zębów Himalaya

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Katarzyna Seiler

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Łubarska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFIKI:
Katarzyna Trzuszczkowska
Marta Rozenbajger
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Anna Woźniakowska
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska
INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Katarzyna Seiler
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEFOWA PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CIA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stozek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronach 3, 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 5 (1376)

NA OKŁADCE:
RYSUNEK BASIA POSPISCHIL



pori de



 wyborcza.pl



Zeskanuj mnie

**Jak
było
naprawdę**



DOOMSCROLLING

Zniewoleni przez *algorytm*

Nie wchodzimy głębiej, nie czytamy. Niczym kury do dziobania informacji, przechodzimy od ziarenka do ziarenka. Tymczasem te ziarenka w nas zostają i budują obraz świata.

Z MEDIOZNAWCZYNIĄ **MAGDALENĄ BIGĄ**
ROZMAWIA **MAGDALENA SUCHECKA**
RYSUNEK **BASIA POSPISCHIL**



Czytałam ostatnio tekst na telefonie i w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że już nie czytam, już scrolluję. I widzę: liczbę dronów, które zaatakowały Ukrainę, polityczne wymiany uprzejmości i polecajki muzyczne. Straciłam kontrolę, nie wiedząc nawet kiedy. Pochłone-
**ło mnie nieświadome scrollowanie w poszukiwaniu... ni-
czego. Doomscrollowałam?**

– Pewnie tak. Doomscrollowanie [od ang. doom – zagłada i scroll – przewijanie treści na ekranie telefonu lub komputera] to właśnie kompulsywne i bezcelowe przeglądanie internetu przy utracie kontroli nad tym, co robimy.

Niestety żyjemy w czasach informacyjnego smogu. On nas otacza z każdej strony i przepełniony jest nie wiedzą, lecz danymi, które są różnej jakości. Są oczywiście informacje wartościowe – w postaci rzetelnych tekstów, materiałów wideo, które mogą pogłębiać naszą wiedzę, ale jest też masa dezinformacji, fake newsów oraz takich „infośmieci”. To krótkie, niezwiązane ze sobą kontekstowo materiały, jak rolki i wszelkie krótkie formy wideo na TikTok-u, YouTube, Instagramie i Facebooku. To coś, co bardzo krótko zaprzęta naszą uwagę, bo potem przerzucamy koncentrację na następną rzecz.

Tu pojawia się ważne pytanie: czy sam dostęp do informacji oznacza bycie dobrze poinformowanym? W dzisiejszych czasach już nie. Można całą dobę pochłaniać wiadomości spływające z internetu – właśnie w formie takiego doomscrollingu – i jednocześnie być źle poinformowanym. Na dodatek nie zdawać sobie z tego sprawy i nie pogłębiać swojej wiedzy. Bo wiedza – i to warto sobie powiedzieć – nie jest zbiorem przypadkowych informacji.

Jeśli na co dzień po prostu oddajemy się scrollowaniu, pochłaniając treści, które serwuje nam algorytm – nie budujemy tak naprawdę naszej wiedzy o świecie, tylko własne przeciążenie informacyjne.

Jakich treści dotyczy doomscrolling?

– Każdy doomscrolluje nieco inne treści, w zależności od tego, co na niego działa najbardziej angażująco. Te materiały podsuwa nam algorytm – najczęściej z portali społecznościowych. Przy czym nie mamy już do czynienia z takimi serwisami społecznościowymi, jakie znaliśmy 20 lat temu. Bardziej odpowiednim określeniem byłoby mówienie o platformach atencyjnych, czyli takich, których celem jest pozyskiwanie naszej uwagi. Trafnie określa to prof. Michał Krzykawski, fi-

lozof technologii z Uniwersytetu Śląskiego, mówiąc o cyfrowym przemyśle wydobywczym, którego celem jest doprowadzenie do utraty naszej kontroli nad uwagą. Bo kiedy ją tracimy, jesteśmy idealną biomasą i można wtedy prezentować nam takie treści, które się opłacają. A opłacają się, bo dzięki nim klikamy w reklamy, kupujemy odpowiednie produkty, nabieramy określonych przekonań.

Max Fisher w swojej książce „W trybach chaosu” opisuje, że algorytmy platform społecznościowych, także w przypadku doomscrollingu, obejmują wiele treści katastroficznych – dotyczących głównie wojen, klęsk żywiołowych, skutków kryzysu klimatycznego i różnego rodzaju innych zagrożeń, z którymi się spotykamy.

– Mówi się wręcz o takim zjawisku jak algorytmy traumy. Badaly je m.in. polska Fundacja Panoptykon i Amnesty International. Jednak jeśli człowiek nie jest w ogóle zainteresowany tego typu zagadnieniami, to algorytm może podjąć próby skuszenia go takimi treściami, ale nie będzie tego powtarzał. System będzie szukał innych tematów, które skutecznie przytrzymają go na dłużej. Natomiast faktem jest, że te negatywne materiały są jednymi z najbardziej angażujących.

Można całą dobę pochłaniać wiadomości spływające z internetu i jednocześnie *być źle poinformowanym*

Jakie treści podsuwają algorytmy traumy?

– Te mechanizmy mają karmić nasze lęki. Kiedy się czegoś boimy, w rzeczywistości tego unikamy. Natomiast w przestrzeni cyfrowej mamy tendencję do pozostawiania przy treściach, które nas niepokoją. Badania pokazują, że np. dziewczynkom i nastolatkom, które mają problemy z samoakceptacją, algorytmy pokazują materiały wpędzające je w kompleksy, zachęcające do szkodliwych zachowań zdrowotnych i np. kierują ich uwagę w stronę anoreksji.

Algorytmy traumy są na YouTube, na TikTok-u, na Instagramie. Kiedy pisałam o tym w jednym ze swoich tekstów, odezwalo się do mnie sporo osób. Była wśród nich kobieta chorująca na nowotwór, która powiedziała, że kiedy zaczęła czytać o raku w serwisach społecznościowych, została zalana materiałami innych użytkowników, ale głównie takimi, które pogłębiały jej kryzys psychiczny. Bo te materiały nie były o zdrowieniu, tylko o żegnaniu się z życiem i o wszelkich bardzo trudnych kwestiach związanych z chorobami na raka. Ja mam pewien lęk przed zwierzętami atakującymi ludzi i permanentnie widzę ten motyw w treściach, które są mi polecane.

Badanie Panoptikonu pokazało, że nawet klikanie w opcję „nie chcę tego widzieć” niczego nie zmienia. Bo dla właściciela platformy społecznościowej to komunikat: „OK, ona nie chce tego widzieć, więc będę jej pokazywał tego więcej, bo to zatrzymuje jej uwagę”.

W przypadku doomscrollingu skupiamy się bardziej na samej treści, którą znajdujemy, niż na jej weryfikacji?

– Zdecydowanie. Zjawisko doomscrollingu polega na tym, że beczymy przechodzić od informacji do informacji. Nie wchodzimy głębiej, nie czytamy. Niczym kury do dziobania informacji – przechodzimy od ziarenka do ziarenka. Tymczasem te ziarenka w nas zostają i budują obraz świata. Mogą dawać poczucie chaosu czy braku wpływu na otaczającą nas rzeczywistość. Trudno nam wtedy zorientować się, co jest prawdą, co nie. Właściwie, to nie mamy czasu nawet się nad tym zastanowić. Doomscrolling wywołany negatywnymi uczuciami raczej będzie pogłębiał nasz niepokój, niż nam pomagał. Paradoksalnie scrollowanie internetu, które kojarzy nam się z czynnością pozornie odprężającą, może być jedną z pierwszych strategii, która odruchowo przyjdzie nam do głowy w sytuacji napięcia.

I do jakiego momentu tak scrollujemy? Do momentu, gdy znajdziemy informację, która nas uspokoi, ukoi?

– Scrollujemy do momentu, kiedy coś nas z tego wyrwie. To znaczy: doomscrolling nie odbywa się w poszukiwaniu czegoś. Bo nie byłby wówczas beznadziejnym zatraceniem się w otchłani serwisów społecznościowych, tylko scrollingiem w konkretnym celu.

Czyli nie szukamy prawdy, lecz szukamy po prostu czynności?

– Tak, czynności, która daje nam pozorne obniżenie napięcia, bo w nic konkretnego nie wchodzimy uwagą głębiej. Doomscrolling to taki rodzaj hipnozy nad ekranem, z której trudno się wyrwać.

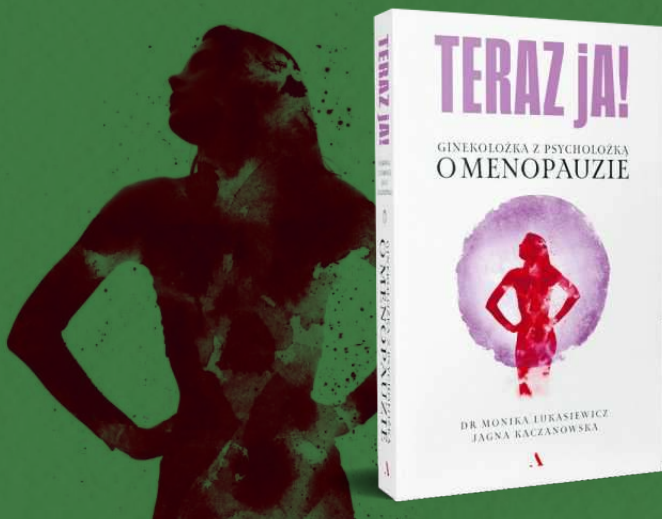
A w tej hipnozie występuje jakiś moment nasycenia informacją?

– Myślę, że to jest bardzo indywidualne. I jednak bardzo chciałabym, żeby to wybrzmiało: to zjawisko nie jest związane tylko z poczuciem zagrożenia i z negatywnymi informacjami. Doomscrollowanie występuje również wtedy, kiedy po prostu jesteśmy przemęczeni i szukamy sposobu, żeby zabić nudę, nie mamy pomysłu, jak spędzić czas, chcemy odsapnąć.

Bardzo ciekawą książkę na ten temat napisała profesor Anna Lembke: „Niewolnicy dopaminy”, w której tłumaczy, jak wygląda pętla dopaminowa, czyli te procesy chemiczne, które zachodzą w naszym organizmie wtedy, kiedy np. mamy do czynienia z sięganiem po coś, co sprawia nam przyjemność. Mówiąc w dużym uproszczeniu: z czasem potrzebujemy więcej tego, co sprawia nam przyjemność, żeby osiągnąć ten sam poziom satysfakcji. Kiedy sięgamy po telefon i zaczynamy scrollować, pobudzamy wiele naszych atawistycznych potrzeb. Na przykład: człowiek ze swojej natury lubi niespodzianki, a Internet jest takim światem niespodzianek. Każda wiadomość jest mikro-nagrodą, która powoduje, że czujemy mikroprzyjemność. Bardzo trudno jest wyjść z tego błędnego koła. Natomiast w pewnym momencie następuje nasycenie i to nasycenie jest bardzo indywidualne.

Dla osób, które sięgają po telefon kompulsywnie – on stał im towarzyszy, przenoszą go z pokoju do pokoju, z pokoju do łazienki itd. – ta granica może być bardzo daleko. Z doomscrollingu wyrwają je np. dopiero ktoś, kto do nich mówi, albo senność – telefon spadnie im np. na głowę w łóżku – lub fakt, że autobus dojechał na miejsce i musimy wysiąść. W tym stanie raczej trudno jest samemu się po prostu wyrwać. Musi nastąpić coś, co nas otrzeźwi. Natomiast w przypadku osób, które dbają o higienę cyfrową, zwykle jednak ten moment otrzeźwienia przychodzi samoistnie, znacznie wcześniej. Mogą chwilę poscrollować, nawet nie wpadną w doomscrolling, tylko sobie poprzesuwać palcem po ekranie i zaczynają zajmować się czym innym.

OGŁOSZENIE



POZNAJ INSTRUKCJĘ OBSŁUGI KOBIECĘJ DOJRZAŁOŚCI

W KSIĄŻCE ZNAJDZIESZ SOLIDNĄ
WIEDZĘ I PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI,
KTÓRE POMOGĄ CI PRZYGOTOWAĆ SIĘ
DO MENOPAUZY
I DOBRZE PRZEZ NIĄ PRZEJŚĆ.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP PL
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**
www.wydawnictwoagora.pl

PARTNERSTWO:
 KULCZY FOUNDATION
 epras.pl 08e0d6b7eb

**MENOPAUZA
BEZ TABU**

 **Wydawnictwo
Agora**

Na czym polega higiena cyfrowa?

– Przede wszystkim trzeba zdać sobie sprawę z tego, że higiena cyfrowa to nie jest jakiś konstrukt marketingowy, tylko nowy rodzaj zachowań prozdrowotnych. Za taki jest uważana przez środowiska medyczne, jest elementem przedmiotu edukacja zdrowotna, jest także jednym z głównych kierunków realizacji polityki oświatowej państwa. Mówię o tym dlatego, że czasami spotykam się z takim podejściem: „Nie jestem zwolennikiem pojęcia higieny cyfrowej”. Pojęcia nie są po to, żebyśmy my je lubili lub nie. Możesz nie być zwolennikiem pojęcia „higiena jamy ustnej”, ale dobrze by było, żebyś jednak dbał o zęby. Pierwszym krokiem jest więc świadomość. I piszę o tym w książce „Twój telefon, twoje zasady”, która się niedawno ukazała. Napisałam ją dla młodzieży, ale właściwie jest wskazana również dla wszystkich dorosłych, bo nikt nas tego nie uczył.

Pierwszym krokiem higieny cyfrowej jest to, żeby w ogóle zrozumieć, że telefon to nie nóż, który sobie po prostu leży i ode mnie zależy, czy zrobię nim komuś krzywdę, czy coś dobrego, choćby kanapkę. Bo przez lata tak się mówiło: „Nowe technologie są neutralne, są jak nóż”. Nieprawda! Mamy dziś świat serwisów atencyjnych. One bardzo różnymi metodami kradną naszą uwagę. One nie są neutralne.

Mogłaby pani podać dwa sposoby na utrzymanie higieny cyfrowej?

– Po pierwsze trzeba zrozumieć, że serwisy społecznościowe nie są dla nas obojętne. Kiedy to rozumiemy, trzeba się sobie przyjrzeć – co u mnie nie działa. W „Twój telefon, twoje zasady” proponuję taką kartę obserwacji, żeby zobaczyć, kiedy się kładę spać, i o której wstaję. Bo może jest tak, że kładę się spać o 23, ale na dwie godziny jeszcze wjeżdżają gry mobilne lub przeglądanie TikToka. Jak zaczynam dzień? Czy przypadkiem nie jest tak, że rozbudzam się dzięki telefonowi? Że pierwsze, co widzę, to nie twarz śpiącej ze mną bliskiej osoby, tylko ekran smartfona? Czy mam zwyczaj rozbudzania się wciąganiem krótkich strumieni informacji? Test higieny cyfrowej, który pomaga znaleźć swoje słabe i mocne strony, nasza Fundacja „Instytut Cyfrowego Obywatelstwa” udostępnia bezpłatnie na stronie higienacyfrowa.pl.

Warto sobie też wybrać – tak na początek – jeden dobry nawyk, który chcielibyśmy wprowadzić. To może być np. wyciszenie wszystkich zbędnych powiadomień. Ta zasada naprawdę uwalnia mnóstwo czasu. Ja jestem osobą bardzo aktywną zawodowo, a mimo to od pięciu lat mam włączony tylko dźwięk telefonu i SMS-a. Cała reszta: Messenger, WhatsApp, serwisy społecznościowe, e-maile są wyciszone. Sprawdzam je tylko wtedy, kiedy chcę to zrobić, a nie dlatego, że tę chęć wzbudza dźwięk powiadomienia.

Druga – taka bardzo ogólna – zasada jest taka, żeby nie nosić telefonu cały czas przy sobie. Czyli mieć taki zwyczaj, że kiedy wchodzę do domu, to ten telefon odkładam w jedno miejsce. To zmniejsza liczbę kompulsywnych sięgnięć po urządzenie. Takich sztuczek jest więcej. Ja jestem fanką tradycyjnych zegarków, bo wielokrotnie sięgamy po telefon, żeby sprawdzić godzinę. A po 15 minutach dalej nie wiemy, która jest godzina. Ale już się nascrollowaliśmy, bo przeszliśmy od jednego powiadomienia do drugiego.



MAGDALENA BIGAJ

– twórczyni i prezeska Fundacji „Instytut Cyfrowego Obywatelstwa”. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Autorka książek „Wychowanie przy ekranie” i „Twój telefon, twoje zasady” wydanych przez Wydawnictwo W.A.B.

Najlepiej by było, żebyśmy w doomscrolling nie wpadali w ogóle.

– Oczywiście, czyli żebyśmy zawsze do Internetu wchodzili intencjonalnie – po coś. Ale nawet jeśli wchodzę po to, żeby zobaczyć, co ciekawego na Facebooku, to żebyśmy umiała z tego wyjść – żebyśmy miała takiego wewnętrznego strażnika, który mi mówi: „Dobra, wchodzisz teraz, bo np. chcesz sobie przy herbatce sprawdzić Facebooka, LinkedIna czy inny serwis społecznościowy, który się lubi. Ale wychodzisz, jak skończysz pić tę herbatę”. Nie zalegasz z telefonem na kanapie pół godziny czy godzinę. Osobiście uważam, że pół godziny doomscrollingu to naprawdę dużo. Zazwyczaj trzymamy wtedy głowę opuszczoną, a to powoduje silny nacisk na kark. Z tego nam rosną tzw. smartfonowe garby, to samo z siebie po prostu też jest niezdrowe np. dla naszych oczu, ponieważ utrzymujemy wtedy wzrok w trybie tzw. widzenia wąskokątowego. Długotrwałe patrzenie w takich sposób na ekran jest po prostu szkodliwe.

Idealnie byłoby świadomie robić krótkie, 10-15-minutowe sesje w Internecie, kiedy pozwalamy sobie na to, żeby coś poscrollować, poczytać. Nie ma w tym nic złego, jeśli to wszystko odbywa się w granicach normy. Natomiast to, gdzie ta granica normy jest, już musimy sami zobaczyć: czy w naszym życiu każdego dnia mieści się odpowiednia ilość snu, czas na tzw. spontaniczną aktywność fizyczną? I bardzo ważna rzecz, na którą zwraca uwagę Cal Newport w swojej książce „Cyfrowy minimalizm”: jakościowy odpoczynek. Wszyscy należymy do pokolenia zmęczenia. Jesteśmy zmęczeni pracą, która przekracza mury firmy, bo razem z telefonem, razem z Internetem weszła nam do domu. Do tego w przerwach od pracy męczymy się smogiem informacyjnym, po który sięgamy, bo myślimy, że nas szybko zrelaksuje. A on nas jeszcze bardziej przeciąża. Newport zwraca uwagę na jakościowe przerwy, np. wyjrzenie przez okno i wypicie spokojnie herbaty, pójście na spacer, albo czytanie jednego tekstu. Ja staram się przy sobie nosić czytnik i kiedy mam chwilę przerwy, czytam książki lub czasopisma.

Osoby, które wpadają w kompulsywne przeglądanie serwisów społecznościowych, często zwracają uwagę na utratę kontroli nad czasem, który spędzają w sieci. Doomscrollowanie wpisało się w ich codzienność kompletnie podświadomie. Sięgają po telefon bezwiednie w każdej wolnej chwili.

– Nie kontrolujemy tego, jeśli otwieramy się na ten strumień bez świadomej samokontroli. Kwestia doomscrollingu dlatego właśnie jest indywidualna, że zależy od wielu czynników, od różnych naszych deficytów, czyli tego, czego nam brakuje i co potrzebujemy szybko sobie zaspokajać. Ale również od naszego poziomu samokontroli, który jest bardzo indywidualną sprawą. I tutaj ważna jest też samoregulacja. Bo to są w zasadzie dwie związane ze sobą kwestie. Zresztą o tym też piszę w „Twój telefon, twoje zasady”, proponując młodzieży tzw. fiszki higieny cyfrowej, na których nazywamy wprost – co innego poza ekranem mogę zrobić, kiedy mi się nudzi, jestem zestresowana czy potrzebuję chwili rozrywki. Myślę, że uproszczenie codzienności, jakie przyniosły nam smartfony, spowodowało, że dla wielu z nas odpowiedzi na te pytania mogą okazać się trudne, bo każda alternatywa wyda się przyjemnością trudniejszą do zdobycia, a przez to mniej atrakcyjną dla osób przyzwyczajonych do natychmiastowej gratyfikacji.

Kiedy jestem zestresowana, idę mieszać w garnkach. Po prostu zakasuję rękawy i gotuję. Skupianie się na jednej czynności jest odprężające. Właśnie dlatego rękodzieło – szydełkowanie, heblowanie – czy sport jest dla wielu takim kojącym lekarstwem, może być alternatywą dla świata cyfrowego.

Czy cyfrowy detoks jest dobrym sposobem na radzenie sobie z doomscrollingiem?

– Nie, zdecydowanie nie. Zawsze powtarzam, że tzw. cyfrowe detoksy to chwytliwe hasło, a nie podparta naukowo metoda. Detoks rozumiany jako całkowite odcięcie od danej czynności może być punktem startowym albo elementem oczyszczania w trakcie, ale sam z siebie nie jest lekarstwem. To znaczy: nie wystarczy zrobić detoksu, żeby się uleczyć. Trzeba mieć strategię na to, co potem. Jeśli spędzamy przy ekranie dużo czasu, detoks będzie raczej stresującym doświadczeniem. Dlatego polecam go ewentualnie jako rodzaj autopoświadczającej zabawy i rekomenduję zaplanować go na taki czas, kiedy np. jesteśmy na urlopie. Warto wtedy się poobserwować pod kątem tego, w jakich sytuacjach sięgamy po telefon, jakie emocje czujemy, kiedy nie mamy go pod ręką?

Nagle odcinanie się od telefonu i serwisów społecznościowych nie jest dobrym pomysłem, jeśli ktoś nie ma do tego wystarczającej motywacji. Niemniej jednak uważam, że warto zadać sobie pytanie – czy platformy społecznościowe, atencyjne, są mi jeszcze potrzebne, ile one mi dają, a ile zabierają mi czasu wciąganiem w doomscrolling? Ale to jest już temat na inną zupełnie rozmowę – o tym, czy dla nas ten bilans jest ciągle na plus. ▲

OGŁOSZENIE

Przekład
Karolina Bikont

Reżyseria
Patryk Warchoł

**Mariusz
von Mayenburg**

ELLEN BABIĆ

JOANNA
AMBROZ

ZAWOALOWANA PRZEMOC

„Temat przemocy seksualnej jest tu na wierzchu, natomiast pod spodem tych oskarżeń, cała trójka postaci używa w stosunku do siebie chwytów, które są tej przemocy treścią. To jest trochę tak, jak kłóci się para w związku, w którym oboje są po terapii albo w terapii. Niby wszystko brzmi rozsądnie i dojrzałe, ale nadal robią sobie te same świństwa, tylko używają innego języka. Oczywiście jest też temat granicy poprawności politycznej i w ogóle tej granicy, gdzie coś jest już przemocą seksualną, a gdzie nie jest. I taka przemoc staje się o wiele bardziej zawoalowana i trudna do udowodnienia”.

Patryk Warchoł, reżyser przedstawienia

Premiera
8 lutego 2026
na scenie **Stara Apteka**



**TEATR
WYBRZEŻE**



Wracał do mnie ich wzrok

Nie wiedzieli, o co nam chodzi.
Umarzano wszystkie
nasze zawiadomienia
o możliwości popełnienia
przestępstwa przez
hodowców. Nawet
w sprawach, w których
lisy nie miały łap



Z **BOGNĄ WILTOWSKĄ**, DZIAŁACZKĄ
NA RZECZ PRAW ZWIERZĄT,
ROZMAWIA **ŁUKASZ PILIP**
ZDJĘCIA **ANDRZEJ SKOWRON**

BOGNA WILTOWSKA: Lubisz jenoty?

ŁUKASZ PILIP: Bardzo, ale takich jak u ciebie jeszcze nie widziałem.

– Pewnie, że nie, bo białe występują w Polsce tylko na fermach futrzarskich. Jenoty to przyjazne zwierzęta, aczkolwiek bardzo łapczywe. Potrafią capnąć, gdy dasz im jedzenie. Możesz pogłaskać, tylko nie nachylaj się.

Skąd wzięły się w twoim azylu?

– Azyl założyłam dla zwierząt uratowanych z ferm futrzarskich i przemysłowych. W poprzednim roku uratowałam sześć jenotów. Trzy pojechały do ośrodka rehabilitacji dla dzikich zwierząt prowadzonego przez moją przyjaciółkę. Pozostałe zostały u mnie. Na fermie trzymano je w osobnych klatkach, ale w „Psubratkach” żyją razem. A tam, na prawo, są dwa lisy, do których zaraz wejdziemy.

Wejdziemy?!

– Tak, tylko pamiętaj, że to nie psy. Aby zbudować z nimi relację, należy szanować ich granice. Pozwolić im wybrać, czy chcą się zbliżyć. Jeśli zrobisz ruch jako pierwszy, wystraszą się. Jesteś dla nich nową osobą. Ruda lisica, która chce ci wyrwać telefon, to Franka. Kiedyś nawet nie wychyliłaby się, żeby cię zobaczyć. Budowałam z nią relację przez kilka lat i tylko na jej zasadach. Bo ma, jak by to powiedzieć, swoje stany.

Czyli?

– Jednego dnia chodzi za tobą krok w krok jak pies. Drugiego chowa się i nie widzisz jej przez kilka dni. Wtedy przebywa w jednej ze swoich trzech wykopanych nor. Franka ma w sobie coś z królowej. Rządzi w wolierze i ustawia swoją współlokatorkę – lisczkę srebrną Furię. O, jest i ona. Furia dość mocno oswoiła się z nami.

A ten lis polarny, który za płotem właśnie ściga się z twoim psem?

– Filon. Nazwałam go tak, bo nie ma ogona, jak bohater bajki Filonek Bezogonek. Prawdopodobnie odgryzło mu je rodzeństwo na fermie futrzarskiej.

Dlaczego zaprosiłaś do swojego azylu prezydenta?

– Po tym jak Sejm przegłosował ustawę o zakazie hodowli na futro, wysłałam list do niego, jak wielu innych Polaków. Napisałam go z serca. Odwołałam się w nim do historycznego kontekstu ruchów społecznych. Od zawsze były dla mnie ważne, ponieważ moi rodzice angażowali się w podziemie antykomunistyczne. Nauczylili mnie, że trzeba walczyć o ważne dla siebie sprawy. Prezydenta zaprosiłam z całą jego rodziną. Chciałam okazać im otwartość. Umożliwić kontakt ze zwierzętami, z którymi większość z nas go nie ma. Wiem, trochę naiwne.

Przyjechał?

– Nie, ale podpisał ustawę.

Dlaczego tak uparłaś się na lisy?

– W Polsce najczęściej hodowanymi zwierzętami na futra są norki. Potem lisy. Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłam je na fermie. Chwycił mnie ich widok. Przypominały psy. A psy od zawsze towarzyszyły mi w życiu. Przebywanie z nimi jest dla mnie naturalne jak tlen. Gdyby jednak psy zamknięto na fermie w klatkach, w których mogłyby się ledwo obrócić, ludzie by się oburzyli. A lisy? To raczej nielubiane zwierzęta. Cięży nad nimi jakaś klątwa. Uważa się je za szkodniki. Mówi się, że przenoszą choroby, polują też na drób. Ale przecież to nie ich wina, że polują, tylko biologia. Trzymanie ich w azylu jest skomplikowaną logistyką. Lisy potrzebują dużo miejsca w wolierze i wydzielonych w niej segmentów, w których mogą odpocząć od siebie. Bo w naturze prowadzą samotniczy tryb na ogromnym terytorium mierzącym nawet do 160 hektarów. Są też dość głośne, wokalizują z niesamowitą ekspresją, a ich zapach jest intensywny.

Jak wyglądały początki twojej pracy?

– W 2013 roku wraz z innymi osobami dołączyłam do stowarzyszenia „Otwarte Klatki”. Zaczęliśmy przeprowadzać śledztwa i interwencje na fermach futrzarskich. Przypominaliśmy jednak bardziej grupę znajomych niż organizację. Byliśmy wolontariuszami bez pieniędzy i wiedzy, jak działać. Ale z czasem profesjonalizowaliśmy się coraz bardziej. I tak po trzech latach aktywizm stał się moją pracą. Z początku policja, prokuratura, sądy, a także inspekcje weterynaryjne nie wiedziały, o co nam chodzi. Umarzano wszystkie nasze zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez hodowców. Nawet w sprawach, w których lisy nie miały łap. Nawia-

BOGNA WILTOWSKA

– wieloletnia działaczka na rzecz praw zwierząt, inicjatorka i realizatorka głośnych śledztw ujawniających rzeczywistość ferm przemysłowych i futrzarskich w Polsce, krajach Europy Środkowej, Wschodniej i Południowej oraz Azji. Prowadzi swój azyl „Psubratki” dla zwierząt uratowanych z ferm futrzarskich i przemysłowych

zaliśmy więc współpracę z Angeliką Kimbort-Stępniać będącą wówczas w trakcie aplikacji radcowskiej. Dzięki połączeniu sił zaczęliśmy od 2017 r. kruszyć mur. Podczas interwencji odbieraliśmy pierwsze zwierzęta. Pojawiły się też pierwsze wyroki dla hodowców. Z początku były homeopatyczne: niewielka grzywna, a wyrok w zawieszeniu był świętem. To uświadomiło mi, że państwo jest słabe wobec silnych, a silne wobec słabych.

Na czym dokładnie polegała twoja praca?

– Na śledztwach, interwencjach i dokumentowaniu cierpienia zwierząt. Robiłam zdjęcia i filmy na fermach i w ubojniach. Warunki, w których były trzymane zwierzęta, ścinały mnie nieraz z nóg. Tak samo jak ich stan. Znajdowałam lisy bez kończyn. Chore lub w agonii. Zestresowane do tego stopnia, że się zagryzały. Widziałam przypadki kanibalizmu, gdzie matki zjadały swoje szczenięta. Potem z kolegami i koleżankami staraliśmy się opowiedzieć te historie ludziom, mediom, politykom. Choć nasze materiały mówiły same za siebie, dowiadywało się o nich społeczeństwo, pokazywali je dziennikarze, cały czas czułam się jak bierny obserwator.

Przecież uratowałaś łącznie około 150 lisów.

– Ale wychodziłam z ferm i miałam wyrzuty sumienia, że zostawiam inne zwierzęta, które przecież też cierpią. Czułam się z tym okropnie. Przed snem powracał do mnie ich wzrok. Bo z lisami, jenotami czy norkami jest jak z ludźmi – wszystko widzisz w ich spojrzeniu. Strach, ból, cierpienie. Ale też brak nadziei, takie złamanie psychiczne, które było dla mnie najgorsze. Im dłużej patrzyłam zwierzętom w oczy, tym bardziej je zapamiętywałam. Przystawały być anonimowe. W końcu ich spojrzenie stało się dla mnie tak trudne, że podczas robienia materiału zdjęciowego za wszelką cenę unikałam patrzenia im w oczy.

A miejsca uratowanych nie zajmowały kolejne?

– Zajmowały, bo zwierzęta rodzą się na fermach co roku. Lisy, które przychodziły tam na świat, nigdy potem nie dotykały ziemi. Nigdy.

Dlaczego?

– Spędzały całe życie w klatce. Aż do bolesnej śmierci, która wygląda tak, że hodowcy wkładają jedną elektrodę do pyska, dru-



Bogna Wiltowska
z podopiecznymi azylu
„Psubratki”

gą do odbytu. Zamykali w ten sposób obwód prądu, od którego ginęły zwierzęta. Mimo że lisy rodziły się w takich warunkach, nadal miały instynkt. Nie mogły kopać nor. Nie mogły się w nich schować. Frustrowały się więc z powodu niezaspokojonych potrzeb. Miały przez to problemy psychiczne. Na przykład w postaci stereotypii, czyli kompulsywnego powtarzania bezcelowych ruchów, jak kręcenie się w kółko. Kiedy coś je bolało albo chorowały – nie były nawet w stanie zmienić pozycji. Kończyny wpadały im przez szczeliny zakratowanej podłogi klatki. Przez to deformowały się. Ich łapy przypominały tzw. niedźwiedzią łapę. Były płaskie, rozwarłe i szerokie.

Ten powracający wzrok zwierząt – wiesz, jak to brzmi?

– Tak, jak syndrom stresu pourazowego, czyli PTSD. Miałam go z powodu doświadczeń w pracy. Zaczęłam się wtedy zmieniać. W pewnym sensie na niekorzyść. Wydało mi się, że nikt nie rozumiał ani mnie, ani tego, co robiłam zawodowo. Traciłam na wadze. Doszły problemy żołądkowe, wypadanie włosów i potężna bezsenność. Nigdy nie byłam przesadnie emocjonalna,

ale po tych wszystkich trudnych doświadczeniach czasem zdarzało mi się płakać na błahą reklamę w telewizji. Gromadzone miesiącami traumy i emocje potrzebowały ujścia. Mierzyłam się jeszcze z natrętnymi i uporczywymi myślami o mnie samej, mojej pracy i ludziach.

Co powodowały?

– Miałam przez nie problem, żeby zaufać innym. Na fermach widziałam przecież, do czego są zdolni ludzie. Zaczęłam kojarzyć ich z okrucieństwem. Ale niewynikającym z sadyzmu, tylko na przykład z chciwości czy lenistwa. Bo w tym, co robili hodowcy, była jakaś banalność zła. Bywałam na ich rozprawach. Często nie potrafili wytłumaczyć, co nimi kierowało. Szokowało mnie, że to zwykli ludzie. Nie żadne potwory, jak moglibyśmy sobie ich wyobrażać. Czasami nawet śniłam...

...że jesteś jednym z nich?

– Tak, odtwarzałam wówczas konkretne sytuacje z konkretnymi zwierzętami. Ale nie ratowałam ich, tylko krzywdziłam. To również typowe dla zespołu stresu pourazowego.

Do po co jeszcze ściągałaś sobie na głowę własny azył?

– W „Otwartych Klatkach” byliśmy coraz skuteczniejsi. Mieliśmy możliwość ratowania większej liczby zwierząt, ale nie przybywało miejsc dla nich. Zbiegło się to w czasie z moją wyprowadzką z Wrocławia na wieś. Skoro nadal czułam się jak bierny obserwator, chciałam dać coś od siebie więcej. Tak powstały „Psubratki”.

Kto zamieszkał w nich pierwszy?

– Maciek, szczenię lisa polarnego. Zobaczyłam go na fermie, którą monitorowaliśmy od lat. Interweniowaliśmy na niej wiele razy, ale wciąż odbijaliśmy się od ściany. Maćka zauważyłam przez plot. Miał okropną ranę, otwarte złamanie łapy. Wystawała z niej kość i sączyła się ropa. Maciek przebywał w jednej ze skrajnych klatek. Próbował znaleźć sobie taką pozycję, która nie sprawiała mu bólu. Jego klatka miała jednak 0,6 metra kwadratowego. Mógł więc tylko się obrócić. Mała powierzchnia powodowała, że ocierał kością o pręty ścian. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam go z zespołem śledczym, nie byliśmy przygotowani na interwencję. Czuliśmy determinację, ale też złość. Dlatego wróciliśmy drugiego dnia.

I co zrobiliście?

– Wezwaliśmy policję, po czym zabraliśmy Maćka. Od razu trafił do kliniki weterynaryjnej. Lekarz musiał najpierw walczyć o jego życie. Potem o nogę, którą niestety musiał amputować. Skoro leczenie kikutu trwało długie tygodnie, miałam czas postawić pierwszą wolierę w azylu.

Nie bałaś się?

– Czułam bardziej ekscytację niż lęk. W tym samym czasie adoptowałam psa, Klarę. Miała około trzech, czterech miesięcy. Była w podobnym wieku co lis. Miałam nadzieję, że może się dogadają. Wyleczonego Maćka przywiozłam do siebie w dużej klatce. Zapewniała mu bezpieczeństwo, dlatego pozwoliłam Klarze zbliżyć się do niego. Klara, choć była większa, wystraszyła się. Maciek za to wystawił do niej pyszczek. Po chwili zetknęli się nosami. Natychmiast kliknęło między nimi. A prawdziwe szaleństwo wybuchło, gdy wypuściłam Maćka w wolierze.

Bo?

– Nigdy wcześniej nie miał kontaktu z ziemią. Gdy dotknął jej, nie wiedział ze szczęścia, co ma ze sobą zrobić. Zaczął biegać

w tę i z powrotem. Nie przeszkadzał mu nawet nie do końca zagojony kikut. Choć mój partner nie popierał pomysłu wpuszczenia do niego Klary, zrobiłam to. I miałam dobrą intuicję – mimo początkowej niepewności zaczęła bawić się z Maćkiem i kłaść obok niego. Tak nawiązali więź.

Klara odchowala też inne lisy. Na przykład lisiczkę polarną Finkę. Miała przynajmniej dwa lata, gdy do mnie przyjechała. Była bardzo schorowana, bo na fermie służyła do rozrodu. Lis, powiedziałabym, wyjątkowy. Żyjący w swoim świecie, trochę wycofany. Finka miała szczęście, że zaprzyjaźniła się z inną moją lisiczką – Furią. Dzięki obserwowaniu jej nauczyła się bawić zabawkami i powoli otwierać przed innymi. Odeszła w poprzednim roku. Nie doczekała ustawy o zakazie hodowli futerkowej.

Nie oczekuję od zwierząt wdzięczności. Nie ratuję ich dla siebie ani nie chcę chępcić się tym, co robię

Dlaczego opowiadasz o tym tak niepewnie?

– Wiem, jak lisy żyją w naturze. Stąd zastanawiam się czasami, czy na pewno mają u mnie dobrze. Weźmy obecnego mieszkańca azyłu, którego już poznałeś – lisa polarnego Filona. Po uratowaniu z fermy dużo czasu spędził w moim domu. Przez ciągle przebywanie z psami zaczął się identyfikować jako jeden z nich. W dodatku chciał ciągle być przy mnie. Problem w tym, że w domu było mu zbyt gorąco. Cały czas dyszał.

A na zewnątrz?

– Też, choć mniej. Filon dyszy nawet przy tak mroźnej pogodzie jak dziś. Pomyłka jest już to, że w ogóle znalazł się w naszym klimacie. Dla niego to tortura i stres cieplny, bo przedstawiciele jego gatunku żyją na Grenlandii, Islandii czy w Kanadzie. Mam świadomość, że to zwierzę nigdy nie powinno urodzić się w Polsce. To mnie uwiiera. Czuję ogromną odpowiedzialność, żeby zapewnić mu jak najlepszy dobrostan.

Co daje ci kontakt z uratowanymi zwierzętami?

– Jestem zdania, że dostaję od nich więcej, niż im daję. A dostaję coś, co jest cenniejsze niż rzeczy materialne. Wiem, jak to brzmi, ale czuję wdzięczność wobec nich. Uratowałam je, ale one też uratowały mnie. Pomogły mi wyjść z tak ciemnego miejsca, jakim było PTSD. Nie zamierzam jednak robić na tej podstawie skrótów myślowych w postaci: „Chorujesz? Adoptuj psa”. To nie takie proste. Mnie w najtrudniejszych momentach pomogło to, że z powodu zwierząt musiałam wziąć się w garść. Miałam i mam bardzo duże poczucie odpowiedzialności za nie. Nie mogłam pospać dwunastu godzin, choć czasami bardzo chciałam. Musiałam zaspokoić ich podstawowe potrzeby. Ale też zagadać do nich, pobawić się z nimi. To moje sposoby na pielęgnowanie radości bycia z nimi i uważności na nie.

Wszystkim podopiecznym jesteś w stanie pomóc?

– Nie. Są takie zwierzęta, którym pomożesz fizycznie, ale nie psychicznie. Miałam lisy totalnie złamane. Do śmierci wykazywały bardzo silną agresję lękową. Z nimi nie było jak w bajce, w której liski biegają po azylu, kopią nory i bawią się piłeczkami. Obserwowanie ich napawało mnie smutkiem, bo nie potrafiłam im ulżyć.

Nie ze wszystkimi zwierzętami mogę też nawiązać relację. Mam gąsiora, który w „Psubratkach” jest od narodzin. Uratowałam go z wylegarni drobiu. Nie lubi mnie, ale dziś już się tolerujemy. Zwierzętom, podobnie jak ludziom, nie ze wszystkimi jest po drodze. Trzeba to uszanować. Może czasami odwzajemnia się, a może nie. Zresztą, nie oczekuję od nich wdzięczności. Nie ratuję ich dla siebie ani nie chcę chępcić się tym, co robię.

Ale mogłabyś.

– Ratowanie zwierząt jest rzeczywiście dużą rzeczą. Przecież gdy na fermie zobaczyłam Filona, był w stanie agonizacji. Teraz żyje w azylu, gdzie cieszy się życiem i zabawą z moimi psami. Niby super, prawda? Ale ja nadal czuję coś w rodzaju zadrzy pod paznokciem. Przez nią nie potrafię cieszyć się w stu procentach.

Dlaczego?

– Matka i rodzeństwo Filona zostali na fermie. Ucieszę się więc w pełni dopiero wtedy, gdy w Polsce zostanie zamknięta ostatnia z nich. ▲



Nasze ciała z przeszłości

Traumy kojarzą nam się zazwyczaj z wielkimi wydarzeniami historycznymi, takimi jak wojna. To dobre skojarzenie, ale nie można lekceważyć także tych mniej widocznych tragedii, które dzieją się wewnątrz nas.

Z **MASCHĄ SCHILINSKI**, REŻYSERKĄ
„WPATRUJĄC SIĘ W SŁOŃCE”,
ROZMAWIA **DARIA SIENKIEWICZ**

Wpatrując się w słońce” portretuje losy czterech pokoleń kobiet z XX i XXI wieku dorastających w wiejskim gospodarstwie w Altmarku. Dlaczego postanowiłaś osadzić akcję filmu akurat tam?

– Właśnie tam pięć lat temu wraz z moją przyjaciółką, Louise Peter, spędziłyśmy lato. Przyjechałyśmy do Altmarku, by trochę odciąć się od codzienności i popracować – każda nad swoimi projektami. Wtedy nie wiedziałyśmy jeszcze, że dom,

który został całkowicie przez człowieka zapomniany i od przeszło pięćdziesięciu lat stoi pusty, zamieni się później w nasz plan filmowy. W środku wszystkie meble i talerze znajdowały się na swoich miejscach – dokładnie tak, jak zostawił je poprzedni właściciel. Można było nawet zobaczyć, gdzie przed śmiercią zjadł swój ostatni posiłek. Na miejscu bardzo szybko zaczęłyśmy prokrastynować. Wieczorami popijałyśmy wino i zwiedzałyśmy posiadłość, zastanawiając się, kto tu kiedyś żył. Pewnego razu znalazłam fotografię z około 1920 roku, przedstawiającą trójkę kobiet stojących przed budynkiem, w którym wówczas mieszkaliśmy. To było nie-

zwykle zdjęcie jak na tamte czasy i stało się punktem wyjścia dla całego filmu. Wyglądało na dosyć spontaniczny kadr, niczym migawka z epoki. Nieznajome patrzyły prosto w obiektyw, a tym samym bezpośrednio na nas. Kim one były? Jak wyglądało ich życie? – wciąż zadawałyśmy sobie te pytania. Wpatrując się w czyjąś pamiątkę, poczułam jak teraźniejszość i przeszłość splatają się w jedno. Wróciła do mnie pewna myśl z dzieciństwa, mianowicie świadomość, że mogę robić w danym miejscu coś zupełnie prozaicznego, podczas gdy ktoś inny, dokładnie w tym samym punkcie przestrzeni, przeżył kiedyś jakieś głębokie doświadczenie egzy-



stencjalne. Ta korelacja przypadkowych wydarzeń fascynowała mnie od zawsze.

Udało wam się czegokolwiek o nich dowiedzieć? Jak wyglądało życie w tym gospodarstwie?

– Wraz z Louise zaczęliśmy intensywnie zbierać informacje o Altmarku, ale niestety niewiele udało nam się znaleźć, prócz może dwóch, trzech zakurzonych książek. Były to dzienniki, głównie wspomnienia z dzieciństwa, napisane przez kobiety opisujące coś na kształt utraconego raju. Jednak w tym idyllicznym obrazie co jakiś czas pojawiały się niewielkie skazy, które nas mocno uderzały – z pozoru marginalne uwagi, łatwo je było przeoczyć, np. że pokojówka musiała zostać tak „urządzona”, aby była nieszkodliwa dla mężczyzn. Inna pisała, że właściwie to „żyła całkiem na próżno”. To nas bardzo poruszyło. Zdałyśmy sobie sprawę, ile strasznych tajemnic kryje się w tym miejscu. Gwałty na wiejskich kobietach, kazirodztwo czy przymusowe sterylizowanie służących. Przez bardzo długi czas próbowałyśmy dowiedzieć się o tym czegoś więcej, ale niestety bez powodzenia.

Za pomocą fikcyjnych postaci zaczęłyśmy niemal halucynacyjnie badać, *co mogło się w tym gospodarstwie wydarzyć*

Wtedy, za pomocą fikcyjnych postaci, które stworzyłyśmy, zaczęłyśmy niemal halucynacyjnie badać, co mogło się w tym gospodarstwie wydarzyć.

Dla mnie „Wpatrując się w słońce” to portret walki z zapominaniem, jak i wymazywaniem pamięci o tym, co dla nas niewygodne, bolesne czy zawstydzające. Emblematyczna dla filmu jest scena, w której jedna z bohaterek ze współczesności podczas remontu domu skuwa stary, kaflowy piec. Ta kobieta nie zna przecież historii tego miejsca, a tak bezrefleksyjnie je niszczy.

– Zależało mi na stworzeniu poczucia, że wszystko w filmie dzieje się jednocześnie, a czas jest równoległy, pozbawiony określonej chronologii. Chciałam też przy-

rzeć się transgeneracyjnemu przepływowi traum oraz kobiecej cielesności. Co przekazujemy sobie z pokolenia na pokolenie? Co manifestuje się w naszych ciałach z przeszłości? W filmie próbowałyśmy odtworzyć to z pozoru niemożliwe

świadcstwo zbiorowej pamięci cielesnej i sprawdzić, co w realnym życiu pozostaje dla nas niedostępne. Postacie zyskują wspólną świadomość oraz pamięć. Tak, jakby mogły przewijać wspomnienia swoich przodków i babek niczym taśmę filmową. Jednocześnie spoglądać w przeszłość i przyszłość, cofać się i iść naprzód, szukając źródeł reakcji cielesnych, których nie potrafią sobie racjonalnie wytłumaczyć. Ciało czasem się buntuje, odbiera nam dostęp do pewnych rzeczy. Zdradza nas choćby wtedy, gdy się rumienimy, ujawniając to, co za wszelką cenę próbujemy ukryć przed resztą świata. I właśnie to uczucie było dla nas kluczowe: te drobne, na pozór niewidoczne sygnały, które stoją w sprzeczności z tym, kim próbujemy być na zewnątrz.



Film „Wpatrując się w słońce”
Maschy Schilinski, w kinach
od 30 stycznia

Dźwięk jest kolejnym protagonistą twojego filmu. Mam wrażenie, że najważniejszym, bo towarzyszącym kobietom w tych najgorszych momentach. Zgodzisz się ze mną?

– Zdecydowanie. Mam tak, że już na etapie pisania scenariusza myślę obrazami i dźwiękiem, ale uważam je raczej za równoważne. Pracowałam w ten sposób również przy moim poprzednim filmie. W tekście pojawiają się więc zapisy typu: „zbliża się pomruk”, „dźwięk zanika”, „widzimy obraz bez dźwięku” czy „nagle podnosi się wiatr”. Zależało nam na utrzymaniu w powietrzu pewnej mistyki oraz pokazaniu, że wszystkie postacie stanowią jedność. Niczym duchy swoich przodków unoszą się nad filmem i oglądają siebie poprzez różne czasy, podczas gdy dźwięk staje się nośnikiem ich doświadczeń. Prawdziwą trudnością było przełożenie tej koncepcji na rzeczywistość. Miałam jednak szczęście pracować z niezwyklej operatorką dźwiękową, Billie Mind, z którą wspólnie poszukiwałyśmy inspiracji. Później, wraz z Louise, pracowałyśmy także ze świetnymi artystami dźwiękowymi, takimi jak Michael Fiedler, który stworzył dla nas konkretne brzmienia. Dzięki kilku warstwom

Nas interesowało to, co niewypowiedziane – ciche wstrząsy, których kobiety doświadczały na przestrzeni epok

możliwe stało się swoiste „rozszczerzenie” obrazu i dźwięku, by to, co miało dopiero pojawić się na ekranie, najpierw zapowiadało się w sferze audialnej. Przykładem są sceny, w której dźwięk antycypuje nadchodzące nieszczęście.

Jest w nich pewna gotycka jakość oraz wizualna surowość. Ciekawi mnie, jakie były twoje inspiracje.

– Mój operator, Fabian Gamper, był zaangażowany w projekt od samego początku, jeszcze zanim w scenariuszu pojawiła się pierwsza linijka. Znał wszystkie nasze przemyślenia i pomysły. Wspólnie szukaliśmy estetyki, która potrafiłaby uchwycić zarówno przenikliwy, upiorny nastrój filmu, jak i utracony raj dzieciństwa. Największą inspiracją były dla nas

fotografie: archiwalne, found footage, a także twórczość amerykańskiej fotografi Franceski Woodman. Przeglądaliśmy ich setki, obserwując, jak na przestrzeni epok zmieniał się krajobraz wsi. Jednocześnie zależało nam, by nie różni-

cować wizualnie poszczególnych czasów – chcieliśmy, aby film był płynnym strumieniem wspomnień. Kluczowe stało się dla nas zrozumienie mechanizmów ludzkiej pamięci: tego, jak z biegiem lat nakładają się na nią kolejne warstwy, jak postacie tracą do niej dostęp, jak pewne obrazy zostają na długo zasypane lub wyparte. W filmie jest scena, w której mała Alma próbuje przypomnieć sobie twarz zmarłej babci, lecz nie potrafi już do niej dotrzeć. Fabian wyłożył na stół, co tylko mógł znaleźć: najróżniejsze obiektywy, narzędzia, soczewki – wszystko, by móc to wrażenie urzeczywistnić. Jest też znakomitym operatorem steadicamu. Właśnie w ten sposób próbowałyśmy wypracować język filmu, który można by nazwać językiem duchów. Kamera snuje się niczym zjawia na-

wiedząca dom, dając poczucie, że patrzymy na świat cudzymi oczami, choć nie potrafimy jednoznacznie określić, do kogo one należą. W pewnym sensie kamera stała się autonomiczną bohaterką.

Śledząc losy tych kobiet, widz współodczuwa ból, który w sobie noszą. Mimo że czasy się zmieniły, przemoc, jakiej doświadczały, wcale nie wydaje się tak obca i odległa.

– Chciałyśmy opowiedzieć tę historię na przestrzeni kilku dekad, by pokazać, jak zmieniały się potrzeby kobiet oraz presja społeczna, pod którą zmuszone były funkcjonować. Każda z czterech głównych bohaterek żyje więc w innych czasach i boryka się z innymi przeciwnościami losu. One w gruncie rzeczy nie kwestionują tego porządku, a jedynie z pragmatyzmem opisują to, czego doświadczały, ponieważ nie znają innej rzeczywistości. Z czasem zaczynają jednak ten ład podważać, uświadamiając sobie, że ramy, w których tkwią, są zbyt ciasne. Chcą się od nich uwolnić, ale mają poczucie, że śmierć to ich jedyna droga wyjścia.



MASCHA SCHILINSKI

(ur. 1984) – niemiecka reżyserka i scenarzystka, absolwentka Filmschule Hamburg Berlin oraz Filmakademie Baden-Württemberg. Autorka nagradzanego debiutu „Dark Blue Girl” (2017) oraz „Wpatrując się w słońce” (2025), które zdobyło Nagrodę Jury w Cannes i zostało niemieckim kandydatem do Oscara

W filmie przywiązujesz wagę właśnie do tych niepozornych mikrotragedii, które determinują przyszłość bohaterek, a także ich potomkiń. Wierzysz, że jest tak również w prawdziwym życiu?

– Ja i Louise miałyśmy poczucie, że często to właśnie te małe, ulotne momenty potrafią odcisnąć na człowieku ogromne piętno – momenty, o których nie mówi się głośno; urazy, które trzymają się głęboko w środku. Trauma kojarzą nam się zazwyczaj z jakimiś wielkimi wydarzeniami historycznymi, takimi jak wojna. To dobre skojarzenie, ale nie można lekceważyć także tych osobistych, mniej widocznych tragedii, które dzieją się przede wszystkim wewnątrz nas. Świadczenia wojenne opowiada się nawet na łożu śmierci, natomiast nas interesowało to, co niewypowiedziane – ciche wstrząsy, których kobiety doświadczały na przestrzeni epok, chwile, w których coś w nich pękło. Gdy wydarza się coś, na co nie sposób znaleźć odpowiednich słów, te przeżycia „zapisują się” w naszych ciałach, a my, niestety, nieświadomie przekazujemy je kolejnym generacjom. ▲

FOT. MICHAEL LOCCISANO/GETTY IMAGES

OGŁOSZENIE

28.01–
05.04.2026

Kurorka *Curator*:
Katarzyna Was

Fałszywe widoki

Łukasz

Stokłosa

Bunkier Sztuki
Galeria Sztuki Współczesnej
Gallery of Contemporary Art
Plac Szczepański 3a
bunkier.art.pl

Wystawy czynne:
wtorek – niedziela,
godz. 11:00–19:00

Opening hours:
Tuesday – Sunday,
11:00 AM – 7:00 PM

False Views

 **Kraków**

bunkier 
sztuki 

KSIĄŻKA

Drugie życie Jacqueline Harpman

Czasami zdarza się taki cud. Po śmierci autorki, po tym, jak jej książki zostały zapomniane, trafiło im się nowe życie. Jak doszło do tego, że dwie powieści – „Ja, która nie poznałam mężczyzn” z 1995 roku i „Orlanda” z 1996 roku – belgijskiej pisarki francuskojęzycznej i psychożki o żydowskich korzeniach, zmarłej w 2012 roku Jacqueline Harpman, nagle złapały nowy wiatr? W 2002 roku, na fali zainteresowania literaturą dystopijną po wyborze Trumpa na prezydenta, w Stanach Zjednoczonych wydano ponownie „Ja, która nie poznałam mężczyzn” i stała się ona sensacją na TikToku (sprzedała się w ponad stu tysiącach egzemplarzy). Również Europa wtedy przypomniała sobie o Harpman i wznowiono ją lub wydało po raz pierwszy, jak to ma miejsce w przypadku polskiego wydania, które wydawnictwo Art Rage opublikowało w serii Cymelia. Ma ona przybliżać kultowe dzieła literatury, zwłaszcza te niesłusznie zapomniane bądź niepublikowane w Polsce.

Harpman urodziła się w 1929 roku w Belgii w żydowskiej rodzinie. W maju 1940 roku, gdy Naziści podbili Belgię, rodzina uciekła do Maroka, zamieszkali w Casablance. Powrócili do Belgii po wojnie, a Jacqueline zrobiła karierę jako psychoanalityczka. W obu jej powieściach dostępnych w Polsce znajdziemy tego ślady. I choć obie powieści pełne są perypetii, to najważniejszy pozostaje rozwój świadomości i emancypacja bohaterek.

W „Ja, która nie poznałam mężczyzn” autorka buduje porażającą wizję. Kilkadziesiąt kobiet żyje zamkniętych w klatce w podziemnym bunkrze, pilnuje ich trzech strażników. Są w różnym wieku i wszystkie były odurzane narkotykami, nie pamiętają, dlaczego są w tej sytuacji. Główna bohaterka to dziewczyna, najmłodsza z nich, która od dziecka żyła w niewoli. Wszystkie rzeczy, które czasami wspominają kobiety – jak słońce, tańce, podrywanie – są dla niej jedynie słowami. Jej bunt zaczyna rodzić się wraz z odkryciem pożądania. Pewnego dnia wyje syrena alarmowa, strażnicy uciekają, zostawiając otwartą klatkę. Kobiety wychodzą na zewnątrz i rozpoczynają wędrówkę po bezludnym, na pierwszy rzut oka, świecie. To opowieść o dojrzeniu, o wolności, o zniewoleniu, o płci.

„Orlanda” to dialog z powieścią „Orlando” Virginii Woolf. Harpman rozpoczyna swoją opowieść na dworcu kolejowym, gdzie Aline Berger czyta ze znużeniem „Orlanda” – obieca-



ła swoim studentom wykład o tej powieści. Tymczasem jej duch zaczyna krążyć wokół pytania: „A gdyby tak zmienić płęć?” i nagle wyzwala się z ciała, by zasiedlić ciało chłopaka, który siedzi naprzeciw niej. Ten duch żył wiele lat w stłumieniu – od czasu, gdy dwunastoletnią Aline zaczęto wychowywać do kobiecości, poskramiając jej naturę. Wejście w ciało młodzieńca to obietnica przygód, również seksualnych. Wyzwolenie się duszy Aline wywraca życie bohaterów do góry nogami – czasami jest to zabawne, ale częściej pozwala nam zadać pytania o naszą naturę, o to, kim jesteśmy i kim mogłybyśmy być, wyzwolone z więzów narzuconych przez kulturę i wychowanie. ▲ (Paulina Reiter)



JACQUELINE HARPMAN

„Ja, która nie poznałam mężczyzn” i „Orlanda”,
przekład Katarzyna
Marczewska,
wyd. Art Rage

KONCERT

Po francusku
w Warszawie

Polscy fani mają słabość do Isabelle Geffroy, francuskiej wokalistki znanej jako Zaz. Po raz pierwszy wystąpiła w naszym kraju w 2011 r. i od tego czasu przyjeżdża tu regularnie. Jej unikalny styl, który łączy pop, jazz, folk, soul, a nawet muzykę afrykańską czy latynoamerykańską, podbił serca fanów na całym świecie. „Bardzo lubię bawić się muzyką, bo wtedy w każdym z tych gatunków da się znaleźć coś ciekawego, zaczerpnąć pasujące elementy. Lubię eklektyzm i szukam go także w muzyce. Ale najważniejsza jest przy tym dla mnie dobra zabawa” – mówiła w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” w 2019 r.

Na koncercie ma już sześć albumów studyjnych, w tym „Paris” z 2014 r., na którym znalazły się jej wersje francuskich przebojów, a także wydany we wrześniu 2025 r. „Saints et saufs”. O płycie mówiła w lipcu w rozmowie z dziennikarzem „Trójki”, że „to płyta bliska jej sercu, a każda piosenka to osobny świat, oddzielna opowieść”. Jak ta opowieść brzmi na żywo, będzie można przekonać się samemu, bo Zaz da w Polsce w lutym dwa koncerty – w Katowicach i Warszawie. ▲ (Joanna Wróżyńska)

ZAZ, 1 lutego – NOSPR, Katowice; 2 lutego – COS Torwar, Warszawa

WYSTAWA

Wytchnienie w Żyjni

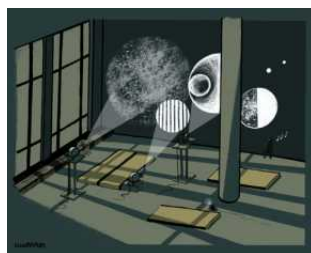
W styczniu we Wrocławiu otworzyła się Żyjnia, rozpisana na dwa miesiące wystawa-sytu-

acja i jednocześnie nowy typ galerii, w której sztuka zostaje wyjęta z klasycznych ram prezentacji i staje się aktywną przestrzenią codziennego bycia, powiązaną z rytmem natury, cyklami pór roku i doświadczeniem ciała obecnego w przestrzeni. Żyjnia to miejsce, w którym sztuka ma służyć wytchnieniu.

Sama nazwa „żyjnia” to konstrukcja językowa, która w latach 60. używana była jako tłumaczenie angielskiego „living room”, czyli salonu. Już etymologia słowa wskazuje, że projekt ma bardziej polegać na tworzeniu warunków dla codziennego życia, obecności, kontaktu i refleksji. – W Żyjni najpiękniejszy jest imperatyw, który jest zawarty w tym słowie – mówi Katarzyna Roj, autorka koncepcji, kuratorka i dyrektorka programowa BWA Wrocław Galerii Sztuki Współczesnej. Podkreśla, że formalne ramy projektu miały wyrwać sztukę ze skostniałego schematu: „montaż, wystawa, demontaż, montaż...” i zastąpić go modelem, który zakłada ciągłość, relację i współudział widza.

Pomysł na Żyjnię wyrósł z idei projektowania regenerującego (ang. regenerative design) bazującego na podejściu, w którym systemy ludzkie i naturalne są projektowane tak, aby współistniały i ewoluowały w czasie.

Żyjnia została zaprojektowana jako miejsce przypominające żywy organizm, poddawany rytmom regeneracji i rozpadu oraz cyklom przyrody. W przeciwieństwie do klasycznych galerii, które często działają jako postindustrialne, czyste przestrzenie, Żyjnia cierpliwie wchodzi w dialog z ciałem,



ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Wdzięczność

*Piętnastoletni Rafał ma świetne stopnie jest
najlepszy w klasie
Wybierz liceum - mówi nauczyciel
pójdziesz na studia
zostaniesz inżynierem
Idę do zawodówki
Zmarnujesz się, skąd ten pomysł?
Zarobić pieniądze, wyrwać się z biedy, wie pan
Nie wiem - odpowiada nauczyciel*

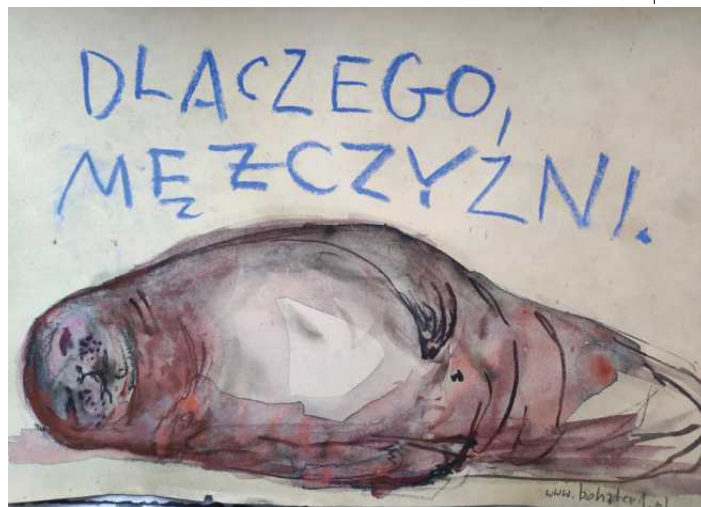
*wyjedzie do Niemiec malować domy
potem pracować w sortowni cebuli*

*rok później wyremontuje rodzicom łazienkę
kilka lat później kupi w Polsce dom*

*30 lat później jego córka jako pierwsza z rodziny
pójdzie na studia*

ALEKSANDRA SAMELCZAK - poetka i aktorka.
Wiersz pochodzi z tomu „Dom” (wyd. Austeria)

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE



czasem i pamięcią, zachęcając odwiedzających do leżenia czy wspólnego przebywania w ciszy. To także odpowiedź na społeczny lęk przed sztuką i galerią – Żyjnia ma być przestrzenią, w której te lęki można przekroczyć. Zimowa odsłona Żyjni koncentruje się na motywie snu, co jest zarówno metaforą, jak i praktycznym

doświadczeniem. – Pierwsze miesiące będą o leżeniu, spaniu, uciekaniu – zapowiada kuratorka, która do współpracy zaprosiła ponad 20 artystów i artystek. ▲ (Justyna Grochal)
ŻYJNIA działa od 23 stycznia 2026 roku. Sezon zimowy potrwa do 19 marca.
Szczegóły na bwa.wroc.pl

Dom murem *podzielony*

Lista rzeczy do podziału przy rozwodzie jest długa. A co, jeśli nie wszystko da się podzielić?

TEKST DOMINIKA WANTUCH
RYSUNEK MACIEJ SIEŃCZYK

Pamiętam nawet, jak wtedy pachniało. Był listopadowy wieczór, za oknem padał deszcz. Równomiernie, kropla po kropli uderzał o wygiętą rynnę. Siedziałam na kanapie pod kocem, popijałam herbatę z miodem i imbirem. W zlewie piętrzyły się talerze, bo chwilę wcześniej do domu wpadły na obiad dzieci, a potem się rozjechały – najstarszy syn do dziewczyny, córka na korepetycje, a najmłodszy syn na karate. W tle leciał jakiś program informacyjny – wspomina Agnieszka.

Było chwilę po 20, gdy do drzwi zadzwonił dzwonek. – Podchodząc do drzwi, zastanawiałam się, które z dzieci znowu czegoś zapomniało. Na końcu języka miałam „Przecież macie klucze”, gdy w drzwiach zobaczyłam Wojtkę.

Były mąż stał w progu z dwiema walizkami. Oznajmił: „Wróciłem”.

ULGA

– Wojtek to była moja pierwsza miłość na studiach. Poznaliśmy się na pierwszym roku, szybko zdecydowaliśmy, że chcemy wziąć ślub. Dziś już nie wiem, czy to była presja rodziców, którym nie podobano się, że mielibyśmy zamieszkać razem bez ślubu, czy sami tego chcieliśmy, ale na trzecim roku Wojtek się oświadczył, a studia kończyliśmy już jako małżeństwo.

Niedługo potem pojawił się na świecie Krzyś, po trzech latach Ada i na końcu Tymek. – Jakie było nasze małżeństwo? – Agnieszka się zamyśla. – Bardzo zwyczajne. Poprawne, chyba trochę nudne. Szybko wpadliśmy w rutynę: praca, dom, dzieci. Wojtek niedługo po studiach załapał się na dobre stanowisko w prywatnej firmie, ja pracowałam w rodzinnym biznesie i też nie zarabiałam źle, więc gdy tylko na świecie pojawiła się córka, postanowiliśmy wybudować dom.

Wojtek chciał mieć w piwnicy pracownię i pomieszczenie, w którym będą robić

imprezy dla znajomych – ze stołem do bilarda, wygodnymi kanapami, nagłośnieniem. Agnieszka marzyła o bibliotece na poddaszu, gabinecie, łazience z dużą wanną i ogrodzie pełnym kwiatów. W efekcie powstał dwupiętrowy kłoc z piwnicą – jak dziś mówi na niego Agnieszka, prawie 300 m kw. – Marzyliśmy o dużym domu, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jego budowa i wykończenie będzie wiązać się z ogromnymi wyrzeczeniami, a utrzymanie to będzie ciężka praca na kolejny etat.

Najpierw zrezygnowali z wakacji. Bo trzeba kupić drzwi do pokoi, urządzić kuchnię, wymienić łóżka dzieci na większe, uprządkować ogród. Potem stwierdzili, że „po co jechać na wakacje, jak ma się dom na obrzeżach miasta, pośród drzew. To strata pieniędzy”. W międzyczasie Agnieszka zaszła w trzecią ciążę. Pojawiły się kłótnie: że on nie dowozi pieniędzy, a ona nie ogarnia domu, przerzucanie się winą o to, czyim pomysłem był duży dom, kto zawiezie dzieci do szkoły itd.

– To nas powoli zaczęło dzielić, ale przez kolejne lata jeszcze jakoś funkcjonowaliśmy. Dzieci były coraz starsze, dom jakoś poukładaliśmy. Tylko nie zauważyliśmy, że coraz mniej nas łączy. Oddaliliśmy się od siebie, zaczęliśmy się mijać. Gdy Wojtek wracał z pracy, ja wychodziłam do ogrodu. Gdy ja chciałam iść na spacer, Wojtek wołał rower. Gdy on siadał do obiadu, ja nie byłam głodna. Przestaliśmy razem chodzić do znajomych i zapraszać ludzi do nas.

Potem przyszła pandemia, praca zdalna i konieczność siedzenia razem w domu. To wtedy Wojtek powiedział Agnieszce, że już dłużej nie da rady, że odchodzi. Zaproponował, żeby sprzedali dom, ale ona powiedziała kategorycznie „nie”. Więc Wojtek spakował się i wynajął mieszkanie.

– Nie pytałam, czy kogoś ma, nie prosiłam, żeby został. Nie chciałam dawać nam drugiej szansy. Szczerze mówiąc, to chyba poczułam ulgę, że zdjął ze mnie ten ciężar decyzji.

Rozwiedli się w zgodzie. Wspólnie zdecydowali, że będą przelewać określone kwoty

na odrębne konto dzieci i składać się po połowie na nadprogramowe wydatki. – Znajomi nie dowierzali, gdy im opowiadałam, że można się rozstać bez kłótni, bez dzielenia samochodów, domu, bez alimentów. Bez rzucania talerzami i awantur o krzesła – Agnieszka zawiesza głos... – A potem nagle po dwóch latach Wojtek wrócił.

Nie do Agnieszki. Do domu. Stwierdził, że wynajem mieszkania jest za drogi.

AKADEMIK

– Stałam tego listopadowego wieczoru w drzwiach z kamienną twarzą, ale w środku się gotowałam. Wojtek był nabuzowany, miał zaciśnięte usta, był chyba pewien, że zrobię awanturę. Ale ja wiedziałam, że to nic nie da, bo to przecież też jego dom – wspomina Agnieszka.

Pierwszego wieczoru zabrała swoje rzeczy z gabinetu do sypialni. Wojtek rozłożył tam łóżko, rozpakował ubrania, zaczął urządzać swoją „sypialnię”.

Potem podzielił półki w lodówce. Górna dla Wojtka, dolna dla Agnieszki. – Ustaliliśmy, że z całej lodówki mogą korzystać dzieci, a dodatkowo specjalnie dla nich zaopatrujemy na zmianę, tydzień do tygodnia środkową półkę w kuchni – opowiada Agnieszka.

Ustalili grafik sprzątania korytarzy, schodów, zasady dbania o czystość kuchni i łazienki oraz korzystania z salonu i jadalni. Na ścianie zawiesili kalendarz. Każde z nich wpisuje tam np. kiedy ma gości. Rachunki za prąd i gaz podzielili po połowie. Agnieszka wzięła na siebie pielęgnację ogrodu, na głowie Wojtka jest porządek w garażu i przed domem.

Kupili dodatkowy kosz na pranie i rozpisali grafik korzystania z pralki i suszarki. Ustalili maksymalny czas przebywania w łazience rano i wieczorami. Postanowili, że rachunkami za usterki będą dzielić się po połowie.

– Na początku to było trudne do zaakceptowania. Atmosfera była ciężka. W pierwsze „wspólne” święta Wojtek wyjechał do rodziców, bo nie wiedzieliśmy,



jak podzielić Wigilię, czy najpierw dzieci usiądą ze mną, czy z nim, a może razem? Nie chcieliśmy sztucznej atmosfery i udawania rodziny, więc Wojtek wyjechał. Albo wpadały do mnie koleżanki, które Wojtek zna. Nie wiedział, jak się zachować, więc siadał na chwilę, witał się i potem robiło się niezręcznie. Zdarzały się też kłótnie, bo Wojtek jest dość pedantyczny, lubi mieć idealny porządek w kuchni, a mnie zdarza się zostawić naczynia w zlewie i np. dopiero wieczorem wkładać je do zmywarki. Mielśmy też spięcia np. o łazienkę, bo ja według Wojtka zużywałam za dużo wody podczas kąpieli, a on np. nie czyścił wanny. Ale jakoś po kolei ustalaliśmy szczegóły tego „wspólnego” mieszkania. Dziś już mniej rzeczy nas zaskakuje. Jesteśmy trochę jak współlokatorzy w akademiku. Z tą może różnicą, że do akademika zaprasza się partnerów czy partnerki, a my ustaliliśmy, że dopóki dzieci są w domu, nie będziemy zapraszać nikogo nowego, jeśli któreś z nas zacznie się z kimś spotykać. I nawet nie wiem, czy Wojtek kogoś ma.

A uczucie? Czy nigdy nie odczuły wspomnienia wspólnych lat? – dopytuję, a Agnieszka się uśmiecha. – Nigdy – mówi pewnie, kręcąc głową. – Ja miałam dużo emocji w sobie po wyprowadzce Wojtka. Wieczorami przychodziło do mnie uczucie pustki, myśli, że jednak lepiej zasypiać obok drugiego człowieka, albo zastanawiałam się, co mogłam zrobić inaczej. Ale przez te dwa lata, gdy nie mieszkaliśmy razem, emocje opadły. Gdy Wojtek się wprowadził, to jedyne, nad czym się zastanawiałam, to jaką karuzelę fundujemy dzieciom. Bałam się ich reakcji, musiałam pocieszać się myślami, że przecież w innych domach też nie jest idealnie i czasami rodzice ciągle się kłócą albo w ogóle ze sobą nie rozmawiają. A nam zdarza się dziś nawet wieczorami usiąść na kanapie i wspólnie porozmawiać, wypić lampkę wina. Ale wtedy myślę, że mogłabym tak rozmawiać z każdą inną obcą osobą.

IDEALNI

– U nas zawsze było głośno. Ludzie przychodzili i wychodzili. Ktoś wpadał na kawę, ktoś na kolację, ktoś zostawał do późna. Jak robiliśmy imprezy dla najbliższej rodziny i przyjaciół, to zjeżdżało się 40 osób. Zawsze był śmiech, rozmowy, muzyka. Koleżanki mówiły, że jesteśmy z mężem jak dwie połówki jabłka. Idealnie dobra-

ni. Tylko ja nie zauważyłam, że to jabłko jest zgniłe – mówi Maria.

Z Jackiem przeżyła ponad 20 lat, mają dorosłego już syna. – Poznaliśmy się w trakcie studiów, podczas wakacji, w schronisku w górach. On grał na gitarze, ja zaczęłam śpiewać do tych jego brzdęków... historia jak z taniej komedii romantycznej. Potem okazało się, że uwielbiamy te same filmy, książki, uprawiamy ten sam sport, mamy podobne poczucie humoru.

Wzięli ślub, założyli wspólnie firmę turystyczną. Razem zjeździli pół świata. Ich dom obwieszony był pamiątkami z najbliższych zakątków, ale Maria mówi, że najcenniejsze, co przywozili, to nowe przyjaźnie.

– Jacek był zawsze duszą towarzystwa. Wchodził do pokoju i od razu było go pełno. Opowiadał o swoich sukcesach, o przygotowaniach, żartował, błyszczał. Jego telefon dzwonił non stop – bo ktoś potrzebował pomocy, porady, kontaktu. Uwielbiał być w centrum uwagi, ludzie byli nim zachwyceni, z każdym potrafił się dogadać. Pod warunkiem że to ja wyszłam z inicjatywą rozmowy, bo Jacek wkraczał dopiero po chwili. Przez lata żartowaliśmy, że nawet w tym się uzupełniamy. On błyszczał, ja podtrzymywałam relacje. Pamiętałam o urodzinach, imieninach, rocznicach. O tym, że czyjaś mama jest w szpitalu albo że ktoś stracił pracę. Zapraszałam przyjaciół do nas, pilnowałam relacji z rodziną i przyjaciółmi. A Jacek był tym od załatwiania. „Para idealna” – mówili znajomi.

Nie uwierzyli, gdy Maria powiedziała im, że się rozwodzą. – Że ma kochankę, dowiedziałam się przez przypadek. Jacek miał wyjechać z kolegami na ryby, ja miałam jechać na wyjazd służbowy, ale się rozchorowałam. Zadzwoiłam do koleżanki, rozmowa zeszła na temat męskiego wyjazdu na ryby. Tyle że jej mąż o żadnym wyjeździe nie słyszał. Zaczęłam drać i w końcu zrozumiałam.

Maria zadzwoniła do Jacka od razu, powiedziała, że wie o kłamstwie. Wrócił tej samej nocy do domu. – Mówił, że to błąd, że stracił głowę, że przechodzi kryzys wieku średniego. Prosił o ostatnią szansę, proponował terapię. Ale ja nie umiałabym wybaczyć zdrady. Zresztą gdy Jacek ochłonął, po kilku tygodniach wyznał, że już mnie nie kocha. Stwierdził, że byliśmy tak blisko, że zaczął się dusić i chce czegoś innego od życia.

Zostawił Marii mieszkanie i pamiątki z wypraw. Oszczędnościami i samochodami podzielili się po połowie. Firmę też udało im się podzielić bez większych kłótni.

Mieli drugie mieszkanie kupione na kredyt z myślą o przyszłości syna. Jacek zaproponował, że je spłaci i przepiszą to mieszkanie na syna. – Myślałam wtedy, że przynajmniej zachował się uczciwie. To oczywiście nie ułatwiało sprawy, bo im bardziej on był ugodowy, tym ja byłam w większej rozsypce. Tęskniłam, płakałam, obwiniałam się o jego odejście. Nie umiałam sobie sama poradzić ze smutkiem i samotnością. Wyjechałam na kilka miesięcy do Azji. Gdy wróciłam, przyszło pismo z sądu.

W piśmie rozwodowym od prawnika Jacka, obok kwestii rozwodowych i ustalenia podziału majątku, pojawił się jeszcze jeden punkt. Jacek wnosil o podział relacji.

NIEPODZIELNI

– Do dziś mam to przed oczami. Kartkę papieru, a na niej lista nazwisk. Byli tam przyjaciele, znajomi, rodzina, bliźni i dalsi współpracownicy, ludzie, których poznaliśmy podczas podróży, z którymi utrzymywaliśmy kontakt. Moje rodzeństwo i rodzice. Nawet kuzyn się załapał – wylicza Maria.

Przy każdym nazwisku, dopisek „przy J” albo „przy M”. Co oznaczał? Jacek zaproponował, żeby ustalili, z kim z przyjaciół Maria może utrzymywać kontakt po rozwodzie, a którzy znajomi zostają „po jego stronie” i będą się z nim spotykać.

Jako że oboje też mieli dobre relacje ze swoimi rodzinami nawzajem i Jacek nie chciał rezygnować z kontaktów z rodziną Marii, zaproponował podział świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, kalendarz odwiedzin rodziny i spotkań z nią w długie weekendy, np. majówkę, a nawet godziny wizyt na grobach 1 listopada.

W piśmie znalazło się też zastrzeżenie, że ponieważ trudno będzie dzielić najbliższych przyjaciół, jeśli są małżeństwem i przyjaźnili się do tej pory w czwórkę, możliwe są pewne wyjątki od wypracowanych zasad.

– Jakbyśmy dzielili przedmioty, a nie ludzi. W pierwszej chwili, gdy przeczytałam tę listę, myślałam, że Jacek żartuje. Zadzwoiłam do niego. Usłyszałam, że jego nowa partnerka dopiero niedawno przyjechała do naszego miasta, zna niewiele osób i chciałaby się zaprzyjaźnić z naszymi przyjaciółmi.

Jacek wiedział, że pismo wysłane do Marii nie ma żadnej mocy prawnej i że nie można „podzielić” przyjaciół czy rodziny. – Chyba liczył, że jak się nasi bliscy o tym dowiedzą, to się dostosują, bo przecież Jacek zawsze wszystkim pomagał, zawsze

dobrze radził. I częściowo mu się udało, bo wiele osób faktycznie się dostosowało. To bolało najbardziej. Jedni przestali dzwonić, inni tłumaczyli, że im niezręcznie się mieszać, i zaczęli się delikatnie wycofywać. Jeszcze inni zniknęli bez słowa. Tak naprawdę zostało przy mnie kilka koleżanek i rodzina. Nagle okazało się, że bez Jacka dla wielu osób jestem mniej atrakcyjna, mniej ciekawa i potrzebna.

Maria poszła na terapię. – Musiałam przepracować to, że ktoś zabrał mi ludzi, że uznał, że ma większy przywilej do relacji z innymi. Wcześniej słyszałam czasami opowieści o kłótniach o majątek i dzieci. Wiedziałam, że rozwód łączy się z rozczarowaniem drugim człowiekiem, ale nie spodziewałam się, że można stracić nie tylko męża, ale całe zaplecze życia.

CISZA

– Marek zawsze powtarzał, że cisza potrafi być gorsza niż najgłośniejsza kłótnia. Całe nasze małżeństwo było tym naznaczone. Powtarzał to bez przerwy, ale dopiero podczas rozwodu zrozumiałam, skąd on to ma – mówi Zuzia.

Poznała go na imprezie wspólnych przyjaciół niedługo po studiach. Zaczęli od razu intensywnie: po miesiącu znajomości wyjechali we dwoje na dwa miesiące do Ameryki Południowej. Gdy wrócili, zapakowali rzeczy i ruszyli do Szwecji. Postanowili tam zarobić na mieszkanie. Potem było już bardziej klasycznie: ślub, dwoje dzieci, mieszkanie w Łodzi. Wdarła się rutyna – bo praca, bo małe dzieci, bo płacz, bo chore i ktoś musi zostać z nimi w domu, bo trzeba zawieźć dzieci do żłobka albo na zajęcia. Bo teściowa przyjeżdża, ale nie pomaga, albo bo druga w ogóle przyjeżdża nie chce.

– Marek po każdej kłótni, po każdej napiętej sytuacji karał mnie ciszą. Najpierw obrażał się na dzień, dwa, potem te ciche dni się wydłużały do tygodnia. Albo do momentu, w którym ja wybuchalam. On wtedy przeproszał i powtarzał, że „to wszystko przez rodziców”.

Rodzice Marka rozwiedli się, gdy był w podstawówce. Formalnie, na papierze. Bo w praktyce zostali w jednym domu. Dom był duży, mama Marka nie chciała go sprzedać, powtarzała, że majątek na niego wydali, kredyty pobrali, urządzili nie po to, żeby go sprzedawać i mieszkać „w klitce”. Każdy miał swoją przestrzeń, swoje pokoje. Wydawało się, że da się to jakoś poukładać.

Nie dało się.

– Rodzice się nienawidzili. Ale jeszcze bardziej nie chcieli odpuścić. Przez 25 lat po rozwodzie mieszkali razem. Nie rozmawiali ze sobą. W domu panowała cisza. Ale nie taka zwyczajna. To była cisza pełna napięcia, ciężka. Komunikowali się ze sobą trzaśnięciem drzwiami albo złośliwie podgłaśnianym telewizorem bądź radiem. Czasami wieczorami słuchałem jak robią sobie jakieś złośliwości, zaczętki – opowiada Marek.

Rodzice omijali się na schodach, w łódźce mieli swoje półki, ojciec Marka zamontował w małej łazience dla gości prysznic, żeby nie korzystać z tej łazienki co mama Marka. Rzadko zapraszali znajomych, Marek nie zapraszał ich wcale. – W Wigilię schodziłem na dół do jadalni i najpierw jadłem kolację wigilijną z oj-

**Zdażyłam poukładać się
na nowo. A on dwa lata
po rozwodzie zapukał
do drzwi i oznajmił:**

„Wróciłem”

cem, a potem on szedł na górę, schodziła mama i podawała swoje potrawy – wspomina Marek.

Ale żadne z rodziców nie chciało się wyprowadzić. – Dom był symbolem, przestrześnięciem do wygrania. Każde z nich chciało sprawdzić, kto odpuści pierwszy, kto komu dowali tak mocno, że druga strona nie wytrzyma. Dziś, patrząc na to z perspektywy, mam wrażenie, że ich głównym celem było sprawienie, żeby drugiej stronie było jak najciężiej.

Pierwszy odpuścił ojciec Marka. Po 25 latach poznał kobietę samotnie wychowującą syna. Zaczęli się spotykać. Ojciec Marka namawiał byłą żonę na sprzedaż domu, ale ona jeszcze mocniej uparła się, że domu nie sprzedadzą. Ojciec Marka w końcu się wyprowadził. Zamieszkał z partnerką i jej synem w dwupokojowym mieszkaniu w bloku.

– Ale to stało się już, gdy ja byłam dorosłą i się wyprowadziłam. Wcześniej przez całe życie wychowywałam się w tym domu. I powtarzałam sobie, że nigdy nie skończę jak moi rodzice. Że nigdy nie utknę w jednym domu z kimś, z kim nie chcę być.

Ale to Zuzia pierwsza powiedziała, że odchodzi. – Po którejś kolejnej milczącej akcji, trwającej chyba ze dwa tygodnie, zaczęłam zastanawiać się, czy chcę tak spędzić resztę życia. Każda taka kłótnia zakończona milczeniem wysysała ze mnie mnóstwo energii. Nie mogłam spać, nie mogłam skupić się w pracy, ciągle zastanawiałam się, co zastanę, gdy wrócę do domu, w jakim Marek będzie nastroju. Czy to już? Czy jeszcze mam czekać? Poszłam do prawnika, skonsultowałam się z przyjaciółką, która jest psychiatrą. Na początku zaproponowałam Markowi wspólną terapię, ale on stwierdził, że jeśli ja potrzebuję terapii, to znaczy, że ze mną jest coś nie tak.

Zuzia przyniosła do domu dokumenty rozwodowe. Oznajmiła Markowi, że wystawia mieszkanie na sprzedaż i że oboje będą musieli się wyprowadzić. Ona z dziećmi do mamy pod Łodzią. Marek spanikował. Nie chciał, żeby dzieci co kilka dni zmieniały domy. Wymyślił, że dzieci zostaną w ich wspólnym mieszkaniu, a oni będą mieszkać w nim na zmiany. Tydzień Zuzia. Tydzień Marek.

Podzielili półki w szafach. Zmieniali w łazience szczoteczki do zębów, przekładali kosmetyki, ładowarki, ubrania. Nie rozmawiali wtedy ze sobą, ale tym razem nie była to forma kary. – Po prostu byliśmy wściekli na siebie nawzajem. Rozżaleniu, rozgorzyczeniu – mówi Zuzia. Zostawiali sobie kartki: „Dzieci mają jutro basen”, „Skończył się papier toaletowy”, „Zapłaciłam rachunek”.

Z czasem zaczęli rozmawiać o logistyce. O emocjach wciąż nie. – Marek zostawiał przy łóżku książki, które czytał. Zaczął pić inną herbatę. Każdy powrót do dzieci był jak wracanie do domu, który już nie był mój, ale jeszcze nie był cudzy. Najtrudniejsza była dla mnie sypialnia. Łóżko, zapach. Zastanawiałam się, czy Marek na pewno śpi w tym łóżku sam, gdy mnie nie ma. Nie mieliśmy jeszcze wtedy rozwodu, ale od kilku miesięcy nie żyliśmy razem.

W końcu, wymieniając się z Markiem opieką nad dziećmi, zostawiła mu kartkę: „Musimy kupić dwa oddzielne łóżka”. Spodziewała się kolejnej ciszy. Ale on w kolejnym tygodniu odpisał jej: „Chodźmy na terapię. Ja już zacząłem”.

– Postanowiliśmy spróbować. Ale na razie dalej dojeżdżamy do dzieci. Dalej mamy podzielone tygodnie, szafy w domu i półki w łazience. Tylko łóżek nie kupiliśmy dwóch. Zobaczmy, co z tego wyjdzie. ▲

Miłość na lodzie

Aktorzy z serialu „Gorąca rywalizacja” żartowali na gali Złotych Globów, że wszyscy obecni na sali widzieli ich już nago. A jeśli nie oni, to ich matki i córki.

TEKST KATARZYNA SEILER

Męski hokej to mało romantyczny świat. Ostra walka, spięcia na lodowisku, krwawe kontuzje są tam na porządku dziennym. Jakby tego było mało, w ostatnich latach liga zaczęła systematycznie ograniczać widoczne gesty wsparcia społeczności LGBTQ+. Decyzją komisarza ligi NHL Gary’ego Bettmana zrezygnowano ze specjalnych tęczyowych koszulek i innych elementów strojów, uzasadniając, że to „rozprasza” drużyny i media.

To właśnie na tle tej rzeczywistości – świata, w którym wciąż nie ma nawet jednego aktywnego, otwarcie gejowskiego zawodnika NHL – powstała „Gorąca rywalizacja”. Serial, który nie tylko opowiada o queerowej miłości w środowisku hokejowym, ale wręcz tworzy alternatywną rzeczywistość, w której taka historia może być powiedziana.

OD ROMANSIDŁA DO HITU

Rachel Reid, a właściwie Rachelle Goguen, pochodzi z Nowej Szkocji i dorastała jako zagorzała fanka hokeja. Jej książki z cyklu „Game Changers” – w tym „Gorąca rywalizacja”, druga i najpopularniejsza część serii – powstały z potrzeby stworzenia przestrzeni, w której sportowcy LGBTQ+ mogą istnieć otwarcie, bez lęku i wstydu. Reid powtarzała w wywiadach, że chciała wykreować świat, w którym „gejowski hokeista” to nie oksymoron, lecz jedna z możliwych, pięknych historii. Cykl zdobył ogromną popularność – zwłaszcza wśród kobiet i społeczności queerowej – i szybko wymknął się poza niszę romantycznych powieści sportowych.

Fabula „Gorącej rywalizacji” skupia się na skomplikowanej relacji pomiędzy Kanańczykiem o azjatyckich korzeniach Shanem Hollanderem, który zostaje kapitanem drużyny Montreal Metros, a Rosjaninem Ilyą Rozanovem, gwiazdorem Boston Raiders. Ich związek rozpoczyna się od niewinne-

go spotkania na samym początku kariery sportowej, gdy mają zaledwie 17 lat. Mimo wrogości na lodowisku nie potrafią oprzeć się wzajemnemu przyciąganiu. Ich tajny romans rozwija się przez osiem lat, spotkanie po spotkaniu, zawsze w cieniu sportowej rywalizacji i mediów.

Telewizyjną wersję serii powierzono Jacobowi Tierneyowi – queerowemu twórcy, który przejął nad projektem pełną kontrolę: napisał scenariusz i wyreżyserował wszystkie odcinki. Do wcielenia się w role głównych bohaterów zaprosił młodych, nieznaną szerszej publiczności aktorów – Hudsona Williamsa i Connora Storriego. Adaptacja została sfinansowana w całości przez lokalną firmę medialną Bell Media, co w Kanadzie jest rzadkością. Dzięki temu produkcja mogła powstać według spójnej wizji bez ingerencji zagranicznych partnerów. To zaś, jak zdradził François Arnaud, jeden z drugoplanowych aktorów w serialu, mogło zdecydować o sukcesie „Gorącej rywalizacji”. Według jego relacji Tierney rozmawiał o realizacji produkcji z najważniejszymi platformami streamingowymi, które próbowały mocno ingerować w kształt serialu. – Pierwszy pocałunek miał być dopiero w piątym odcinku – zdradził Arnaud.

Premiera miała odbyć się w 2026 roku, jednak po obejrzeniu gotowych sześciu odcinków stacja zdecydowała się przyspieszyć emisję o kilka miesięcy. Jak opisywał to zespół producencki: „nie było sensu trzymać tego w szufladzie – to było zbyt dobre, by czekać”.

ULUBIEŃCY GWIAZD

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem fenomen „Gorącej rywalizacji” zawładnął internetem, wywołując lawinę reakcji na platformach społecznościowych. Seria, która początkowo mogła wydawać się niszowa, stała się wiralowym zjawiskiem. Społeczność TikToka i BookToka odegrała kluczową rolę w rozprzestrzenianiu się popular-

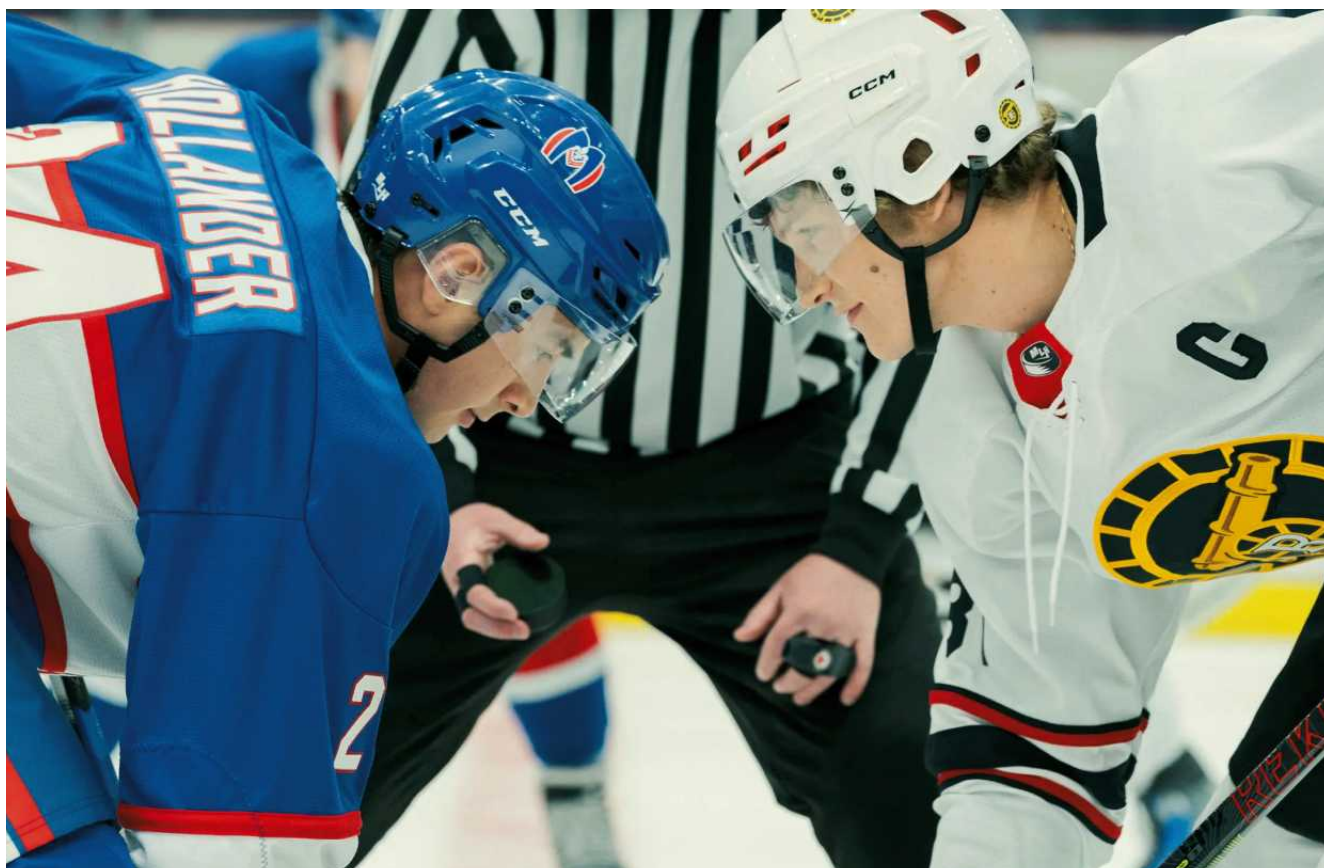
ności serialu. Fani tworzyli własne montaże fragmentów odcinków, relacjonowali, jak oglądają je z bliskimi, i zapewniali, że nie mogą poprzestać na jednym seansie.

Dołączyła do nich cała rzesza gwiazd. Popularni amerykańscy dziennikarze Anderson Cooper i Andy Cohen żartowali o „Gorącej rywalizacji” podczas sylwestrowego programu CNN. Donatella Versace w serwisach społecznościowych parafrazowała słynny cytat z serialu: „Take me to the cottage already” [ang. „Zabierz mnie w końcu do chatki”] i spotkała się z Hudsonem Williamsem we własnej „Versace cottage”, wręczając mu spersonalizowany szlafrok.

Tak naprawdę promocja serialu w mediach mainstreamowych ruszyła pełną parą dopiero, gdy szaleństwo „Gorącej rywalizacji” zawładnęło internetem tak mocno, że niemal przyćmiło epicki finał „Stranger Things”. Hudson Williams i Connor Storrie zostali zaproszeni na galę Złotych Globów 2026 jako prezenterzy. Na scenie żartowali, że prawdopodobnie wszyscy obecni na uroczystości widzieli ich już nago. A jeśli nie oni, to z pewnością ich matki i córki.

Aktorzy zaczęli pojawiać się w wieczornych talk-show, udzielać wywiadów i trafiać na okładki magazynów. Kariera Hudsona Williamsa nabrała szczególnego rozpędu. Nie minął miesiąc od premiery serialu, a został zaproszony do otwarcia pokazu Dsquared2 na Milan Fashion Week, co doprowadziło do przeciążenia internetowej relacji na żywo. Potem przyszedł udział w pokazie Giorgio Armani oraz kolacje i zdjęcia z Tomem Blythem i Rickym Martinem.

Popularność „Gorącej rywalizacji” wpłynęła też na sytuację Reid. Wraz z premierą serialu książki ponownie zaczęły sprzedawać się w rekordowych nakładach, a piosenka ogłosiła rozpoczęcie prac nad kolejnym tomem – „Unrivaled” zaplanowano na wrzesień 2026 r. Dodatkowym i bardzo ludzkim wymiarem tego sukcesu jest fakt, że dzięki dochodom z adaptacji Reid mo-



Serial „Gorąca rywalizacja”
zadebiutuje w Polsce 6 lutego
w serwisie HBO Max

gła sfinansować kosztowne leczenie po diagnozie choroby Parkinsona.

NAGA PRAWDA

Po zakończeniu zdjęć do serialu Williams i Storrie zdecydowali się zrobić sobie identyczne tatuaże z napisem „sex sells” [ang. seks sprzedaje]. Artyści podkreślali, że to ironiczne nawiązanie do erotycznego charakteru produkcji, ale ich żart porusza kwestię, o której dyskutuje wielu: czy swój sukces „Gorąca rywalizacja” zawdzięcza odważnym scenom i nagości?

Kanadyjski serial zdecydowanie wyróżnia się na tle wcześniejszych popularnych adaptacji LGBTQ+ takich jak „Heartstopper” czy „Red, White & Royal Blue”. Podczas gdy tamte tytuły stawiały na delikatność i oszczędne ukazywanie związków, serial Jacoba Tierneya nie unika fizyczności i zdecydowanie mocniej akcentuje cielesny wymiar relacji. W mediach podkreślano, że produkcja jest bardziej odważna wizualnie i emocjonalnie, co stawia ją w zupełnie innym segmencie współczesnych queerowych opowieści. The Cut nie wahało się napisać, że „Gorąca rywalizacja” ze swoimi trzema scenami erotycznymi na jeden odcinek „sprawia, że »Heartstopper« wygląda jak »Teletubisie«”.

Jednocześnie, mimo śmiałej warstwy erotycznej, serial konsekwentnie podkreśla, że intymność bohaterów jest osadzona w ich relacji, a nie stanowi wyłącznie estetycznej prowokacji. François Arnaud zwracał uwagę w mediach, że nie istnieje jedna „właściwa” forma przedstawiania queerowej intymności, a kontekst postaci – dwóch zawodowych sportowców funkcjonujących w środowisku o ograniczonej akceptacji – znacząco wpływa na sposób, w jaki ich relacja rozwija się na ekranie.

Jednym z najbardziej komentowanych aspektów serialu okazała się struktura widowni. Jak zauważył Charles Karel Bouley z Gay and Lesbian Entertainment Critics Association, największą grupą odbiorców „Gorącej rywalizacji” są kobiety – zarówno heteroseksualne, jak i queer. W jego ocenie to nie wyłącznie odwaga w ukazywaniu seksualności przyciąga uwagę, lecz klasyczne elementy romansu: napięcie, niedopowiedzenia, sekretna relacja i emocjonalna intensywność, które budują fabularny kręgosłup serii.

Znaczenie serialu wzmacnia szerszy kontekst reprezentacji. Według danych organizacji GLAAD ponad 84 miliony doro-

ślach Amerykanów deklaruje, że chętniej sięga po produkcje zawierające postacie LGBTQ+. To pokazuje, że tytuły queero-we wcale nie muszą być niszowe – wręcz przeciwnie, mogą trafiać do masowej widowni i funkcjonować w głównym nurcie kultury.

Wielu przedstawicieli społeczności LGBTQ+ zabierających głos w tej sprawie w sieci podkreślało, że szczególnie cenią sobie skoncentrowanie historii na homoseksualnej miłości, która nie jest wpisana w kontekst tragedii, choroby i obciążona negatywnym finałem. Jednym z najbardziej poruszających głosów w dyskusji był wiralowy komentarz użytkownika @therobinlowe, który zwrócił uwagę na ważny wymiar historyczny takiej reprezentacji: „Mam 67 lat i jestem gejem. Przeżyłem epidemię AIDS i pochowałem zdecydowanie zbyt wielu przyjaciół. (...) Widziałem zbyt wiele filmów, które przedsta-

„Są największym koszmarem toksycznej męskości.

Może dlatego ich kochamy”

wiały nas jako postacie tragiczne – a teraz to: publiczne wyznanie miłości i pocałunek, któremu kibicuje tłum. Nie bierzcie tej chwili za pewnik. To jest triumf, kulturowy fenomen, coś, o co walczone. Żałuję tylko, że ci, którzy odeszli, nie mogli tego zobaczyć. To jest dla nich”.

LEKCJA UCZUĆ

Stopniowe odkrywanie uczuć i intymność „wrogów stających się kochankami” – jeden z najbardziej rozpoznawalnych tropów romansu – szczególnie rezonuje z kobietą publicznością. „Gorąca rywalizacja” czerpie z narracyjnych strategii znanych z kultury fanfiction, zwłaszcza gatunku slash, którego zdecydowaną większość tworzą kobiety. Ich społeczności fanowskie od dekad tworzą opowieści o romantycznych relacjach mężczyzn jako formę eksploracji emocji i ról płciowych poza ograniczeniami tradycyjnych heteronormatywnych historii.

Odpowiedzi na pytanie o popularność serialu wśród kobiet udzielają same użytkowniczki portali społecznościowych. W jednym z TikToków autorka mó-

wi: „Są największym koszmarem toksycznej męskości i może dlatego ich kochamy”. Komiczka i stand-uperka Taylor Tomlinson nagrała wideo dla swoich obserwatorów: „Pragnę tego, co oni mają. Nie jestem homoseksualnym mężczyzną ani nie jestem sportowcem, ale chcę tego samego. Nie czegoś tym stylu – dokładnie tego samego!”.

Choć czytelniczki romansów wciąż bywają traktowane z pobłażaniem – jakby wybierały fastfoodową wersję kultury – badania psychologiczne pokazują coś zupełnie odwrotnego. To, co przez lata uznawano za „niepoważne”, „kiczowate” czy „babskie”, okazuje się jednym z najbardziej skutecznych narzędzi rozwijania empatii, wrażliwości i rozumienia innych ludzi. Fikcja romantyczna nie jest więc śmieciową rozrywką, lecz zaskakująco ważnym elementem emocjonalnego ekosystemu współczesnych odbiorców i odbiorczyń.

Jak przekonuje profesor Keith Oatley, psycholog z University of Toronto, od lat badający wpływ fikcji na ludzkie procesy poznawcze, zanurzenie się w opowieść uruchamia w mózgu te same mechanizmy, które odpowiadają za przetwarzanie relacji społecznych.

Oatley dowodzi, że czytanie i oglądanie historii – zwłaszcza takich, które skupiają się na emocjach i relacjach – wzmacnia empatię, uczy wnioskowania o stanach mentalnych innych osób i dosłownie „trenuje” naszą zdolność do rozumienia ludzi w prawdziwym życiu.

Co więcej, zespół dr Katriny Fong z York University udowodnił, że odbiorcy romansów osiągają wyższe wyniki w testach wrażliwości interpersonalnej niż czytelnicy innych gatunków – nawet po uwzględnieniu takich czynników jak osobowość, wiek czy ekspozycja na literaturę faktu.

W świetle tych badań nie dziwi, że „Gorąca Rywalizacja” działa na widzów tak intensywnie. Serial nie tylko opowiada o skomplikowanej miłości między Shane’em a Ilyą – on pozwala tę miłość przeżyć. Dzięki emocjonalnej immersji, której mechanizmy opisuje prof. Oatley, widzowie wchodzą głęboko w świat bohaterów, uczestniczą w ich lękach, tęsknotach i odkryciach. To właśnie ten rodzaj zaangażowania, łączący przyjemność z psychologiczną korzyścią, sprawia, że serial rezonuje tak silnie – i że jego odbiór ma dużo więcej wspólnego z treningiem empatii niż z „konsumpcją lekkiej rozrywki”. ▲

Z RĄK DO RĄK

Co pięć sekund ktoś sięga po ten krem (dane z 2024 r.). Ta najbardziej znana aluminiowa tubka kremu do rąk, L'Occitane en Provence, powstała w 1993 r. Teraz, z okazji 50-lecia marki, ruszyła kampania, która przypomina, że krem powstaje na bazie organicznego masła shea, pochodzącego ze współpracy Fair Trade ze spółdzielniami kobiet w Afryce Zachodniej **(150 ml/119 zł)**.



PAMIĘĆ O PARYŻU

Zapach Odéon MEMO PARIS do niedawna był dostępny tylko w paryskim butik marki. Ale jego ogromny sukces sprawił, że twórcy wypuścili go w świat. Kwiatowo-orientalna kopozycja oparta jest na absolutach róży i bobu tonka oraz esencji paczuli. Dostępna jest w perfumeriach Quality Missala **(75 ml/1085 zł)**.



GIĘTKA, GIBKA, ELASTYCZNA

Nowa maskara YSL Lash Latex zapewnia długotrwałe podkręcenie i długość rzęs bez rozmazywania. Szczoteczka Lash-Sculpting z gęstym ułożeniem 496 mikrowłosek jest bardzo precyzyjna. Produkt nawilża rzęsy, dzięki ekstraktowi z irysa florenckiego i kwasowi hialuronowemu, a do tego jest testowany okulistycznie, stworzony dla osób o wrażliwych oczach **(8,5 ml/209 zł)**.



NA RATUNEK

Mam skórę nadwrażliwą, która reaguje na różne bodźce: zmiany temperatury, nadmierne dotykanie, kosmetyki. Kiedy pojawia się reakcja alergiczna, nieocenione stają się specjalne kosmetyki. Proste i bezpieczne formuły, np. krem Tolérance od Avène. Hydra-10 jest pozbawiony zapachu, konserwantów i potencjalnych alergenów. Łagodzi i nawilża **(40 ml/77 zł)**.



NA ZIMĘ

Drunk Elephant stawia w centrum pielęgnację skóry opartą na silnych, skutecznych stężeniach substancji aktywnych. Kosmetyki nie zawierają składników, które są źródłem problemów skórnych. Na chłody w ofercie jest nawilżający, opatentowany krem Protini™ Polypeptide z proteinami **(50 ml/345zł)**.

**TEMAT NUMERU: MIŁOŚĆ PO LATACH.
JAK UTRZYMAĆ WIELOLETNI ZWIĄZEK?**

MONICA BELLUCCI: Jak być piękną i nie zwariować

KULISY SCENOGRAFII Heweliusza

KOBIETY, które chcą żyć solo



Prezent do wyboru: Bioliq BHL Barierowy krem ochronny do twarzy lub Himalaya pasty do zębów